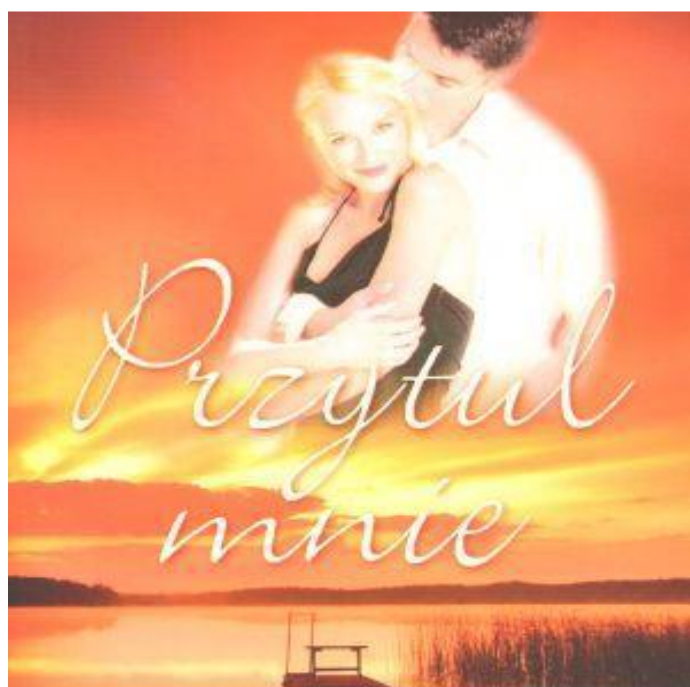




KAREN KINGSBURY

Cykl tańcz ze mną 02



Tłumaczenie: Krzysztof Bednarek

Mojemu mężowi, który od czternastu lat pracuje jako trener uniwersyteckiej drużyny koszykówki. Wiele wycierpiałeś podczas ostatniego sezonu, ale zawsze z podniesioną głową i z wiarą powtarzałeś nam wszystkim: - To część Bożego planu. Twoja postawa budzi mój wielki podziw. Jesteś najuczciwszym i najbardziej godnym zaufania mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałam. Mam wielkie szczęście, że zostałam Twoją żoną. Naprawdę... To błogosławieństwo, które otrzymałam od Boga. Twoja postawa moralna jest jak świetlany przykład dla wszystkich, którzy mieli zaszczyt się z Tobą choćby przelotnie zetknąć. Zgadzam się, Kochanie, że Pan Bóg zaplanował dla nas dobre rzeczy. Za jakiś - nie tak długi - czas znów będziesz nosił na piersi trenerski gwizdek.

Modłę się dla Ciebie o dwie rzeczy. Po pierwsze o to, żebyśmy wykorzystali każdą chwilę czasu, jaki mamy dla siebie teraz, kiedy odpoczywasz od pracy. Drużyna koszykówki traci z powodu Twojej nieobecności, ale Ty i ja tak wiele zyskujemy! Po drugie zaś modłę się o to, żeby Twoja ulubiona praca i serce, jakie okazujesz studentom, wywarły na tych młodych ludziach niezatarte piętno, ubogacając ich na zawsze, odmieniając ich życie na lepsze.

Mojej ukochanej córeczce Kelsey. Jesteśmy sobie tak bliskie! Patrę, jak dajesz z siebie wszystko na boisku piłki nożnej, i obserwuję, jak stajesz się wspaniałą młodą kobietą. Dziękuję za to Bogu. Nie ulegasz ani niedobrym propozycjom chłopców, ani niemądrym namowom koleżanek, ani modom. To właśnie Ty wyznaczasz wartościowy trend. Jesteś cudowną, jedyną na świecie dziewczyną i czeka Cię piękna przyszłość. Zdaje mi się, że tak niewiele czasu upłynęło od dni, kiedy dreptałaś chwiejnym kroczkiem po kuchni i dawałaś swój smoczek kotu, żeby nie czuł się samotny... Czas mija; człowiek ma wrażenie, że każdy rok upływa szybciej - ale możesz mieć pewność, że cieszę się każdą minutą. Jesteś moim wielkim szczęściem i radością, Córeczko.

Mojemu najstarszemu synowi, Tylerowi - człowiekowi silnego charakteru. Wesólemu dziecku, które uwielbia nas rozbawiać, odkąd tylko nauczyło się chodzić. Śpiewałeś, tańczyłeś, wygłupiałeś się. Teraz jesteś wysokim, przystojnym chłopcem, piszesz książki, uczysz się śpiewu i gry na fortepianie, tworzysz dramaty, w których wychwalasz Pana - a wszystko to robisz już w wieku dziesięciu lat! Zawsze byłam przekonana, że Pan Bóg zaplanował dla Ciebie jakąś szczególną drogę, i z każdym dniem moje przekonanie się pogłębia. Słuchaj wciąż Jego głosu, mój Kochany, a On poprowadzi Cię

właściwą drogą. Będiesz tańczył do Jego muzyki - tworzył tak, aby podobało się to Bogu.

Seanowi, mojemu wrażliwemu chłopczykowi. Od razu kiedy przywieźliśmy cię do naszego domu z Haiti, wiedziałam, że kochasz Pana Boga. Ale jak bardzo Go kochasz, zrozumiałam dopiero, kiedy rozplakałeś się ze wzruszenia podczas nabożeństwa. Nie zapomnę, jak spytałam Cię wtedy: - Co się stało, Sean? - a Ty odpowiedziałeś: - Nic, mamó; płaczę, bo bardzo Kocham Pana Jezusa. Modłę się o to, żebyś zawsze miał w sercu tę wyjątkową miłość i żebyś pozwalał Bogu prowadzić się ku dobrym i pięknym rzeczom, które dla Ciebie przewidział.

Joshowi - dziecku, dla którego nie ma nic trudnego. Od razu kiedy zobaczyłam Cię w sierocińcu, pomyślałam, że jesteś wyjątkowy, wyróżniałeś się spośród wszystkich. Mieszkamy razem już od roku i widzę, że się nie pomyliłam. Nigdy nie spotkałam tak uparcie dążącego do celu dziecka. Pan Bóg obdarzył Cię niezwykłą siłą - czy rysujesz, czy piszesz, czy też kolorujesz książeczki, śpiewasz, grasz w koszykówkę albo piłkę nożną, zawsze starasz się być najlepszy, od początku do końca. Jestem z Ciebie ogromnie dumna, synku. Zrobiłeś tak ogromne postępy! Pamiętaj zawsze, Josh, że Twoje talenty pochodzą od Boga i spożytkowuj je na Jego chwałę.

EJ - naszemu wybranemu spośród tak wielu synkowi. Kiedy zastanawialiśmy się z tatą nad adopcją dzieci z Haiti, to właśnie Twoją buzię zobaczyliśmy na zdjęciu w Internecie jako pierwszą. I od tamtego czasu jestem przekonana, że to Pan Bóg Cię do nas sprowadził. Czasami myślę, że może zostaniesz lekarzem, prawnikiem albo prezesem jakiejś firmy. W ciągu zaledwie jednego roku odkąd zostałeś naszym synkiem, Pan Bóg pobłogosławił Cię tak niezwykłymi osiągnięciami, że chyba nic mnie nie zdziwi. Kieruj zawsze wzrok ku Panu Jezusowi, Syneczku. Tylko w Panu można odnaleźć nadzieję. Zawsze.

Austinowi, zwanemu także MJ - mojemu cudownemu, ukochanemu chłopczykowi. Sama nie wierzę, że masz już pięć lat! Wyrosłeś, już nie sypiasz po obiedzie, a za rok pójdiesz do szkoły. Uwielbiam być Twoją mamusią. To rozkoszne, kiedy przynosisz mi dmuchawce albo kiedy łapiasz mnie pulchnymi rączkami za szyję i całujesz. I kiedy ćwiczymy sobie co rano w pokoju koszykarskie podania; mam wtedy na głowie koronę z Burger Kinga, żebym była drużyną Sacramento Kings, a Ty reprezentujesz Chicago Bulls. Dostarczasz mi tyle radości, Syneczku! Nazywasz siebie MJ, bo

chcesz być jak Michael Jordan, i nie wątpię, że pewnego dnia staniesz się tak wybitnym zawodnikiem jak on. Kiedy na Ciebie patrzę, przypomina mi się, jak niewiele brakowało, żebyś umarł, i jestem ogromnie wdzięczna Panu Bogu, że nam Cię przywrócił.

Wreszcie, dedykuję tę książkę Bogu Najwyższemu, Autorowi życia, który pobłogosławił mnie wspaniałą rodziną.

RS

ROZDZIAŁ 1

Trener John Reynolds był zdenerwowany. Złościł go jeden z jego uczniów - wysoki i chudy chłopak, który od początku lekcji bazgrał coś w zeszytce. John kończył właśnie prowadzić lekcję o zdrowiu dla trzeciej klasy liceum. Zbliżywszy się do ucznia, zobaczył, że ten narysował czaszkę i skrzyżowane piszczele. Staranny rysunek był podobny do symbolu widniejącego na czarnej koszulce chłopaka i do naszywki na jego czarnych, workowatych spodniach. Chłopak, imieniem Nathan, farbował także na czarno włosy, a na szyi i nadgarstkach nosił kolczaste obroże i pieśczochy.

John nie miał wątpliwości, że Nathana Pike'a fascynuje ciemność i związane z nią siły. Nathan był gotem, podobnie jak kilkoro innych uczniów liceum w Marion. Znajdował upodobanie w rozmyślaniach nad zagładą i śmiercią.

Preferencje estetyczne Nathana nie niepokoiły przesadnie Johna, zdenerwował go jednak napis, który chłopak umieścił pod rysunkiem czaszki - - Śmierć - i coś dalej. Z daleka John nie był w stanie odczytać ozdobnego napisu, więc chodził po klasie, żeby przyjrzeć się z bliska. W ogóle miał zwyczaj chodzenia po klasie w czasie lekcji - sprawdzał, jak pracują uczniowie i kiedy było trzeba, wydawał im polecenia albo krytykował ich.

Podszedłszy znów bliżej Nathana, John zerknął do jego zeszytu i zamarł z przerażenia. Zmrużył oczy - nie było wątpliwości, chłopak napisał pod rysunkiem czaszki: - Śmierć sportowcom. Czy Nathan miał jakieś złe zamiary? John obawiał się, że tak. W amerykańskich szkołach zdarzało się zbyt wiele aktów przemocy, aby sądził inaczej.

Nathan podniósł wzrok i spojrzał Johnowi w oczy lodowatym wzrokiem. John nie odwracał spojrzenia. Miał ochotę powiedzieć uczniowi, że napisał coś złego, że tego rodzaju napisy nie mogą być tolerowane, i że jeżeli Nathan planuje popełnić zbrodnię, rzeczywiście zmierza ku samozagładzie. Jednocześnie John współczuł chłopakowi, który mógł mieć tak poważne problemy z własną osobowością; pragnął mu pomóc. Zawsze żywo interesował się losem swoich uczniów, nie pozostawał obojętny na ich kłopoty.

Nathan odwrócił wzrok. John ruszył z powrotem w stronę tablicy. Opanował się i z obojętną miną spojrzał znowu na klasę. Uczniowie mieli jeszcze przez dziesięć minut wykonywać zadanie, które im polecił; później zamierzał podjąć na nowo wykład.

Usiadł przy biurku, wziął długopis i zapisał w notesie: - Śmierć sportowcom?.

Będzie musiał powiadomić dyrekcję o tym, co zobaczył w zeszycie Nathana. A co jeszcze mogę zrobić, jako nauczyciel? - zastanawiał się. Załóżmy, że Nathan naprawdę myśli o popełnieniu zbrodni...

Od czasu tragicznych strzelanin w kilku szkołach na terenie Stanów Zjednoczonych, w większości okręgów wprowadzono w życie plany zapobiegania podobnym przypadkom. Dyrektor liceum w Marion przykazał wszystkim nauczycielom i innym pracownikom szkoły zwracać baczną uwagę na zachowanie uczniów. Jeśli ktokolwiek sprawiał kłopoty czy zachowywał się dziwnie, jeżeli zdarzyła się jakaś nieprzyjemna lub nietypowa sytuacja, należało natychmiast powiadomić o tym dyrekcję. Raz w miesiącu odbywały się rady pedagogiczne poświęcone zachowaniu poszczególnych uczniów, którymi być może należało zająć się w szczególny sposób. Łatwo było ich wyodrębnić - chodziło o tych, którym dokuczali inni, tych, którzy wydawali się przygnębieni, osowiali, wykluczani przez innych, pełni gniewu, zafascynowani śmiercią. A nade wszystko o tych, którzy grozili innym użyciem przemocy.

Nathan Pike spełniał wszystkie powyższe warunki jednocześnie.

Nie on jeden - to samo można było powiedzieć o mniej więcej co dwudziestym uczniu szkoły. Nauczyciel czy dyrektor nie mógł wiele w związku z tym zrobić, jeśli nie był świadkiem konkretnych niepokojących sytuacji. Poradnik postępowania z trudnymi uczniami zalecał takie postępowanie, aby angażować ich w życie szkoły i przynosić ulgę tym, którym dokuczano.

- Rozmawiajcie państwo z nimi, dowiadujcie się więcej na ich temat, pytajcie ich o zainteresowania i ulubione rozrywki - radził nauczycielom dyrektor. - Kierujcie kogo trzeba pod opiekę psychologa.

Zalecenia dyrektora były mądre, jednak nie w każdym przypadku łatwo było je realizować. Nathan Pike był już maturzystą, przez pierwsze dwa lata szkoły ubierał się skromnie i pozostawał zamkniętym w sobie chłopcem. Dopiero w poprzednim roku zmienił swój wygląd.

Stało się to wtedy, kiedy szkolna drużyna futbolowa Orłów po raz drugi zdobyła mistrzostwo stanu.

John zerknął na Nathana. Znów bazgrał w zeszycie. Nie wie, że zobaczyłem, co napisał i narysował - myślał John. Inaczej nie zasłaniałby swojego dzieła, prostując się w ławce, jak gdyby nigdy nic.

John nie pierwszy raz niepokoił się zachowaniem Nathana. Obserwował go bacznie od początku roku szkolnego, stwierdziwszy, że chłopak radykalnie zmienił sposób ubierania się. Każdego dnia John co najmniej raz przechodził koło ławki Nathana, zadawał mu pytania, rozmawiał z nim, patrzył mu w oczy. Miał wrażenie, że Nathan dusi w sobie gniew. Dziś John zobaczył na własne oczy, że się nie myli.

Rozejrzał się niepostrzeżenie po klasie. Co szczególnego stało się dzisiaj? - zastanawiał się. Dlaczego akurat teraz Nathan wypisał starannie w zeszycie nienawistne hasło?

Już wiem! Nie ma Jake'a Danielsa.

No tak, wszystko rozumiem... Kiedy Jake Daniels jest obecny, zawsze umie zwrócić klasę przeciwko Nathanowi.

- Pochlast! Pedal! Doktor śmierć! Leszcz! Chodząca porażka! - tak go nazywał. Kiedy rzucane półszepem docinki dobiegały uszu Johna, patrzył gniewnie na Jake'a czy innego spośród kilku chłopców, którzy dokuczali Nathanowi.

- Dosyć! - rzucał ostrzegawczym tonem John, i to zwykle wystarczało - docinki pod adresem Nathana ustawały. Musiały jednak wycisnąć piętno na jego psychice.

John nie wątpił w to, mimo że Nathan nigdy nie dał tego po sobie poznać. Ignorował dokuczających mu sportowców z klasy, zupełnie jakby nie istnieli. I był to chyba najlepszy sposób, w jaki mógł im dopiec. Tegorocznych zawodników prowadzonej przez Johna drużyny najbardziej ze wszystkiego denerwowało to, kiedy nie zwracano na nich uwagi.

A już szczególnie Jake'a Danielsa.

Tymczasem chwalona przez tak wielu drużyna w tym roku wcale nie zasłużyła na pochlebstwa - osiągała najgorsze od kilku lat wyniki. Jake i jego koledzy chyba nie zwracali na to uwagi. Wydawało im się, że są wyjątkowi i starali się, żeby wszyscy inni uczniowie traktowali ich jako takich.

Dziwne - myślał John, zastanawiając się nad zawodnikami swojej drużyny. W tym roku dysponuję naprawdę utalentowanymi chłopcami, może nawet najlepszym materiałem, jaki kiedykolwiek miałem. Ludzie mówią, że moi zawodnicy są jeszcze bardziej popularni niż ci z zeszłego roku, kiedy Orły, na czele z moim synem Kade'em jako rozgrywającym, zdobyły mistrzostwo stanu. A jednak to aroganccy chłopcy. Szukają tylko zaczepki, nie zachowują się jak przystało na porządnych uczniów, brakuje im

odpowiednich charakterów. Nigdy nie spotkałem w swojej karierze trenerskiej tak trudnej grupy młodzieży.

Nic dziwnego, że nie zwyciężają. Nic po ich talencie, kiedy mają takie nastawienie do pracy nad sobą.

A rodzice tych chłopców są często jeszcze gorsi od nich! Dało się to odczuć szczególnie po tym, jak Orły przegrały dwa z pierwszych meczów w bieżącym sezonie. Rodzice bez przerwy skarżyli się na ilość czasu spędzoną przez ich synów na boisku, sposób szkolenia, no i oczywiście na porażki. Często odnosili się do Johna niegrzecznie, z wyższością, grozili, że doprowadzą do wyrzucenia go z pracy, jeśli drużyna nie zacznie osiągać lepszych wyników.

- Dlaczego niezwyciężone Orły z Marion zaczęły przegrywać? - pytali. - Dobry trener potrafi utrzymać zwycięską passę.

- A może pan trener nie wie, co robi? Chłopcy są tak zdolni, że każdy poprowadziłby ich do mistrzostwa. A oni - przegrywają!

Rodzice zawodników rozważali na głos, jak bardzo złym trenerem musi być John Reynolds, skoro Orły przegrywają mecze. Było to dla nich nie do pomyślenia. Nie do pojęcia. Jak pan Reynolds śmiał doprowadzić do dwóch przegranych na początku sezonu!

Zwycięstwa komentowano czasami jeszcze gorzej niż porażki.

- Przecież to był żaden przeciwnik! - skarżyli się Johnowi rodzice. Jeśli Orły wygrały przewagą dwóch przyłożeń, ojcowie chłopców domagali się dwukrotnie większej. Na koniec rzucali komentarz, na który John był szczególnie wyczulony: - Gdyby mój syn grał przez większą część meczu....

Plotkowali za plecami Johna i podważali jego trenerski autorytet. Nie zwracali uwagi na to, że w poprzednim roku Orły zdobyły mistrzostwo ani że John należał do kilku trenerów, którzy odnieśli w swojej karierze największe sukcesy w całym stanie. Wreszcie na to, że po zeszłorocznych maturach odeszła ponad połowa zawodników, przez co John musiał w bieżącym sezonie odbudowywać drużynę od nowa.

Dla krytyków Johna najważniejsze było to, czy ich synowie grali na odpowiednich ich zdaniem pozycjach i czy ich talent został wykorzystany w każdym meczu przez wystarczająco dużą liczbę minut. Czy grali w decydujących chwilach najważniejszych meczów oraz czy dostatecznie dobrze przedstawiają się na papierze ich indywidualne osiągnięcia.

Dziwnym trafem największy zatarg w szkolnej drużynie futbolowej odbił się pośrednio na życiu Nathana Pike'a.

Ostatniego lata na treningach pojawiło się dwóch rozgrywających: Casey Parker i Jake Daniels. Każdy z nich pragnął zostać kluczowym zawodnikiem Orłów.

Wydawało się, że rozgrywającym zostanie Casey - był starszy i przez poprzednie lata przesiadywał na ławce rezerwowych, czekając aż odejdzie z drużyny Kade. Szkolna kariera futbolowa Parkera miała rozbłysnąć w pojedynczym, ostatnim roku jego nauki w liceum Marion. Jeszcze w sierpniu był pewien sukcesu.

Nie spodziewał się jednak, że napotka na swojej drodze Jake'a Daniela - ambitnego chłopca z pierwszej klasy. Jake dawniej nie sprawiał szczególnych kłopotów. John znał jego rodzinę, mieszkali na tej samej ulicy, co on. Ale dwa lata temu Danielsowie rozwiedli się. Matka Jake'a przeprowadziła się z synem do innego mieszkania, a ojciec wyjechał do New Jersey i został radiowym spikerem sportowym. Podczas sprawy rozwodowej małżonkowie wściekle ze sobą walczyli.

Jedną z ofiar tej walki był Jake.

John zadrzał. Jak niewiele brakowało, żebyśmy także się rozwiedli, ja i Abby! - myślał. Dzięki Bogu, nasze małżeńskie problemy skończyły się. Za to Jake Daniels wciąż nie otrząsnął się po rozstaniu swoich rodziców.

Na początku Jake zwrócił się ku Johnowi – mężczyźnie o ojcowskim autorytecie, który był w pobliżu, a nie parę tysięcy kilometrów od Marion. John nigdy nie zapomni pytania, które zadał mu wówczas Jake:

- Czy myśli pan, że mój tata ciągle mnie kocha?. Jake miał około metra dziewięćdziesięciu wzrostu i twarz niemal dorosłego mężczyzny, a jednak w tamtej chwili wydawał się siedmiolatkiem, który za wszelką cenę pragnie usłyszeć, że ojciec, na którego liczył przez całe życie, a który opuścił go, wyprowadzając się w dalekie strony, nadal troszczy się o jego los.

John robił wszystko, żeby dodawać Jake'owi otuchy, jednak z upływem czasu chłopak posepniał i coraz bardziej zamykał się w sobie. Coraz więcej godzin spędzał samotnie w siłowni albo na boisku, ćwicząc rzuty piłką.

Gdy rozpoczęły się letnie treningi, od razu stało się jasne, kto zostanie pierwszym rozgrywającym Orłów. Jake był wyraźnie lepszy od Caseya. Kiedy tylko się to okazało, ojciec tego ostatniego, Chuck Parker, zażądał spotkania z Johnem.

- Podobno mój syn nie został pierwszym rozgrywającym drużyny, panie trenerze - powiedział ze złością; na jego skroniach rysowały się nabrzmiałe żyły.

- To prawda - potwierdził John, tłumiąc westchnienie.

Pan Parker rzucił kilka przekleństw, po czym zażądał wyjaśnień. John udzielił mu prostej odpowiedzi. Casey był dobrym rozgrywającym, lecz brakowało mu pewnych cech charakteru. Jake to młodszy chłopak, ale jeszcze zdolniejszy, a do tego słuchający poleceń trenera. Dlatego lepiej nadawał się na pierwszego rozgrywającego.

- Mój syn nie może być rezerwowym! - zdenerwował się Parker, czerwieniejąc na twarzy. - Przez całe jego życie staraliśmy się o to, żeby został rozgrywającym. Jest w maturalnej klasie i nie spędzi jej na ławce rezerwowych! Jeżeli nie słucha pańskich poleceń, to tylko dlatego, że ma silny charakter. Musi się pan do tego przyzwyczaić.

Na szczęście John poprosił o udział w spotkaniu jednego ze swoich asystentów. Oskarżano Johna o niestworzone rzeczy, więc pomyślał, że lepiej mieć świadka rozmowy. Dwaj trenerzy siedzieli i czekali, co jeszcze powie pan Parker.

- Trenerzy trzech innych drużyn dopytują się o mojego syna! - oznajmił. - Myślimy, żeby przeniósł się do innej szkoły. W miejsce, gdzie zostanie potraktowany należycie.

John opanował się i odpowiedział spokojnie:

- Pański syn ma trudny charakter, proszę pana. Jeżeli trenerzy drużyn z innych szkół chcą mieć go u siebie, to znaczy, że go nie znają. - Spojrzał mężczyźnie prosto w oczy. - Co konkretnie pana niepokoi?.

- Nie podoba mi się to, że nie zależy panu na zawodnikach, których pan prowadzi! - oskarżył Johna Chuck Parker, gniewnie pokazując na niego palcem. - Lojalność to podstawowa sprawa w sporcie!.

I kto to mówi - myślał John. Przecież ten człowiek i jego syn zastanawiają się nad zmianą szkoły i barw klubowych przez Casey'a.

Ostatecznie Casey Parker został w Marion. Szybko przekwalifikował się na biegacza i końcowego, cały czas marząc o odebraniu Jake'owi pozycji rozgrywającego. Tymczasem ojciec Casey'a co tydzień wygłaszał krytyczne uwagi pod adresem Johna. Przynosiło to tylko wstyd Casey'owi, który starał się w miarę możliwości pozostawać w dobrych stosunkach ze swoim rywalem. Jake cieszył się, że maturzysta Casey akceptuje jego szczególną rolę w drużynie, i w końcu obaj zaczęli spędzać ze sobą wolny czas. Po krótkim czasie w osobowości Jake'a zaszły widoczne zmiany. Dawniej nieśmiały, poważny i pracowity Jake, który dwa razy w tygodniu zaglądał do klasy Johna, żeby podtrzymywać z nim kontakt, zmienił się na gorsze.

Przestał być miły dla Nathana Pike'a. Teraz nie różnił się charakterem od większości zawodników drużyny, którzy przechadzali się po szkole, zadzierając nosa.

I właśnie to odbiło się negatywnie na życiu Nathana Pike'a. Dawniej szanował go przynajmniej jeden ze szkolnych futbolistów, a obecnie już żaden.

Ostatnio John usłyszał fragment rozmowy dwojga nauczycieli:

- Ilu Orłów z Marion potrzeba, żeby wkręcić żarówkę?. - Nie mam pojęcia.

- Jednego - trzyma żarówkę, a świat obraca się wokół niego.

W niektóre wieczory John zastanawiał się, po co w ogóle marnuje czas na trenowanie szkolnej drużyny. Szkolni futboliści uważali się za członków elity, dzielili uczniów i utrudniali życie takim osobom jak Nathan Pike. Zrzucali ich na dół towarzyskiej hierarchii, a ci czasami nie wytrzymywali - i płaciła za to cała szkoła.

I co z tego, że moi młodzi sportowcy są w stanie rzucić piłkę z jednego końca boiska na drugi? - myślał John. Jeżeli opuszczą szkołę jako ludzie pozbawieni współczucia dla innych i umiejętności pracy nad sobą, po co to wszystko?

Za cały sezon prowadzenia drużyny futbolowej John dostawał 3100 dolarów. Obliczył kiedyś, że oznacza to mniej niż dwa dolary za godzinę. Bez wątplenia nie był trenerem dla pieniędzy.

Jeszcze trzy minuty samodzielnej pracy uczniów nad zadaniem - stwierdził, spojrzawszy na zegar.

Przypomniały mu się rozmaite chwile z minionych sezonów. Dlaczego trenuję szkolną drużynę futbolową? - zastanawiał się. Dla sławy też nie, bo kiedy sam byłem rozgrywającym drużyny Uniwersytetu stanu Michigan, odebrałem więcej pochwał niż większość mężczyzn przez całe swoje życie...

Prowadzę tę drużynę z dwóch prostych powodów - myślał. Po pierwsze od dziecka uwielbiam grać w futbol, a po drugie - bardzo chcę uczyć młodzież.

Praca trenerska wydawała mu się najlepszym sposobem na połączenie obu jego pasji. Przez wiele lat przynosiła mu satysfakcję. Ale teraz wydawała mu się nagle idiotyczna. Jak gdyby cały świat sportu zszedł na manowce.

John westchnął głęboko, wstał i porzucił ścięgna kolana, które nigdy nie powróciło do pełnej sprawności. Doznał niegdyś kontuzji podczas meczu... Podszedł do tablicy i przez następne dziesięć minut szczegółowo

tłumaczył, jakie wartości odżywcze mają cenne dla sportowców pokarmy i na czym polega ich działanie. Na koniec zadał pracę domową.

Przez cały czas myślał jednak tylko o Nathanie.

Jak to możliwe, że dawniej tak poprawny uczeń jak Nathan stał się przepelniony nienawiścią? Czy to wszystko z powodu Jake'a Danielsa? Czy Jake i jego koledzy z drużyny mają o sobie tak wysokie mniemanie, że nie potrafią funkcjonować w towarzystwie kogoś zupełnie od nich różnego? I czy napis - Śmierć sportowcom w zeszycie Nathana Pike'a oznacza, że jego autor planuje popełnić zbrodnię?

Jeśli tak, w jaki sposób można jej zapobiec?

Liceum w Marion było podobne do innych szkół ze środkowych Stanów Zjednoczonych, gdzie przestępczość była niska. Większość placówek nie była wyposażona w bramki z wykrywaczami metalu czy sieć kamer, które umożliwiłyby zauważenie dziwnie zachowującego się ucznia, zanim popełni przestępstwo. Nie wymagano też plecaków o ściankach z przejrzystej siatki. Wprowadzono wprawdzie program wykrywania trudnych uczniów i dawno ustalono, że Nathan do takich należy. Wszyscy, którzy go znali, obserwowali go pilnie.

Ale jeśli to nie wystarczy?

John przełknął, czując skurcz w żołądku. Nie wiedział, co robić. Poza tym, że jeszcze tego dnia powiadomi dyrektora o deklaracji Nathana wypisanej w zeszycie. Oprócz tego czekało Johna sprawdzanie klasówek, wpisywanie ocen do komputera, przeprowadzenie popołudniowego treningu i rozmowa z kilkorgiem zdenerwowanych rodziców, którzy będą czekać przy linii bocznej boiska.

Dopiero o ósmej wieczorem wsiadł do samochodu i otworzył kopertę, którą znalazł w swojej skrytce przed treningiem.

- Do wszystkich zainteresowanych - zaczynał się list. - Domagamy się rezygnacji trenera Johna Reynoldsa....

Johna aż zatkało. Co to jest?! Z narastającym bólem żołądka czytał dalszy ciąg:

- Pan Reynolds nie jest odpowiednim wzorcem moralnym dla młodych mężczyzn. Wie, że kilku zawodników jego drużyny pije i uczestniczy w nielegalnych wyścigach samochodowych. Zdaje sobie z tego sprawę, lecz nic w związku z tym nie robi. Dlatego żądamy jego rezygnacji lub zwolnienia. Jeśli nasze żądanie pozostanie bez echa, poinformujemy o sytuacji środki masowego przekazu.

John z trudem wypuścił powietrze. List był anonimem, ale autor powiadał, że kopię otrzymali wicedyrektor do spraw wychowania fizycznego, dyrektor szkoły i trzy osoby z kuratorium.

Kto mógł napisać coś takiego? I co miał na myśli?! John ścisnął mocno kierownicę i opadł na oparcie fotela. Przypomniało mu się. W sierpniu, kiedy rozpoczął treningi, plotkowano, że kilku chłopców pije i ściga się samochodami. Ale były to tylko plotki. Cóż mógł z nimi zrobić? Nic.

Oparł głowę o boczną szybę samochodu. Czytał doniesienie o tych plotkach i od razu spytał wprost swoich zawodników, czy są prawdziwe. Wszyscy kolejno zaprzeczyli, jakoby robili cokolwiek złego. W szkole obowiązywała zasada, że nie należy dawać wiary plotkom, jeśli nie ma dowodu, że ktokolwiek postępuje niezgodnie z prawem czy regulaminem.

Nie jestem wzorcem moralnym dla zawodników?...

Dłonie Johna zaczęły drżeć. Obejrzał się przez prawe ramię i spojrzał na drzwi szkoły. Wicedyrektor do spraw wychowania fizycznego z pewnością nie przyjmie do wiadomości anonimu napisanego przez jakiegoś tchórza. Chociaż... To nowy nauczyciel, szorstki mężczyzna, mający pretensje do całego świata. A już szczególnie nienawidzący chrześcijan. Przed rokiem zastąpił Raya Lemminga, który był wspaniałym człowiekiem, pełnym serca i oddanym trenerem oraz sportowcom.

Zdawało się, że Ray będzie pracował w szkole wiecznie, ale w wieku sześćdziesięciu trzech lat przeszedł na emeryturę, żeby spędzać więcej czasu z najbliższymi. Wraz z nim odszedł z liceum Marion prawdziwy sportowy duch. Tak przynajmniej postrzegała to większość trenerów. Szczególnie kiedy w miejsce Raya pojawił się Herman Lutz.

John westchnął, zmęczony. Robił wszystko, by nowy wicedyrektor zaaklimatyzował się w zespole, jednak Lutz już zwolnił trenera chłopięcej drużyny pływackiej - z powodu skargi rodzica. A jeśli weźmie ten absurdalny list poważnie pod uwagę? Trenerzy uważali, że Lutz nie nadaje się na wicedyrektora do spraw sportu, że praca na tym stanowisku go przerasta.

- Wystarczy, że zaledwie jeden rodzic zagrozi Lutzowi, że poskarży się na niego do szefa, i Lutz spełni każde żądanie rodziców - ocenił latem jeden z kolegów Johna.

Wicedyrektor nie wahał się nawet na żądanie rodzica zwolnić trenera.

Głowa Johna oparła się powoli o kierownicę. Nathan Pike grozi sportowcom śmiercią, Jake Daniels stał się nieznośny, moim zawodnikom

uderzyła do głowy woda sodowa, rodzice się skarżą drużyna przegrywa kolejne mecze... A teraz jeszcze to!

John poczuł się, jakby miał osiemdziesiąt lat. W jaki sposób ojciec Abby zdołał aż do emerytury pracować jako trener? To pytanie skierowało myśli Johna na inny temat. Zapomniał na chwilę o wszystkim, co przeżył tego dnia. Po trzynastu godzinach pobytu w szkole mógł wreszcie zrobić coś, o czym marzył najbardziej ze wszystkiego. Czym co dzień cieszył się coraz więcej.

Mógł pojechać do domu, rodzinnego gniazda, którego utraty był nie tak dawno bardzo bliski, otworzyć drzwi i przytulić kobietę, którą kochał nad życie. Ostatnio jej błękitne oczy błyszczały szczęściem, a każde jej czułe dotknięcie odsuwało coraz bardziej w przeszłość bolesne doświadczenia, jakie były wcześniej ich udziałem. Każdego ranka żona napełniała jego serce radością a kiedy miał już dość prowadzenia drużyny i uczenia, myślał właśnie o niej.

O kobiecie, od której prawie odszedł.

O ukochanej Abby.

RS

ROZDZIAŁ 2

Abby pisała pierwszy akapit swojego najnowszego artykułu. Współpracowała z pewnym czasopismem.

Nagle - w przerwie pomiędzy trzecim a czwartym zdaniem - jej palce zawisły ponad klawiaturą, a do głowy Abby zaczęły cisnąć się pytania. Czy to możliwe? Czy naprawdę do siebie wróciliśmy? Czy rzeczywiście udało nam się uniknąć rozwodu, który zniszczyłby nasze szczęście, tak jak kula z pistoletu, która czasem niszczy nagle ludzkie życie? Nasze dzieci nie dowiedziały się nawet, jak niewiele brakowało...

Spojrzenie Abby powędrowało powoli z ekranu ku fotografii na biurku. Nicole, córka Abby i Johna, która niedawno wyszła za mąż, zrobiła im to zdjęcie w pierwszy weekend września - długi weekend związany ze Świętem Pracy. Abby i John stali, obejmując się, na drewnianej trybunie boiska, na którym grali całą rodziną w softball. Wyglądali jak wiecznie zakochana i szczęśliwa para.

- Tak ślicznie wyglądacie! - powiedziała w tamten weekend Nicole. - Każdego roku kochacie się coraz bardziej.

Abby wpatrywała się w zdjęcie, a w jej uszach rozbrzmiewały słowa córki. Naprawdę nie dali po sobie z Johnem poznać, jak niewiele brakowało, żeby ich rodzinne szczęście legło w gruzach. Żeby pogrzebali swoje trwające dwadzieścia dwa lata małżeństwo.

Ale Abby dobrze o tym wiedziała, i dostrzegała to na fotografii.

W ich oczach. Nikt poza nią i Johnem nie był w stanie tego zauważyć, jednak ich spojrzenia pały szczególnym blaskiem. Była w nim ocalona miłość - miłość sprawdzona, naprawdę wypróbowana, i przez to wszystko znacznie wzmocniona. Miłość, która znajdowała się już na samym skraju przepaści, bezdennej, pustej otchłani. Która wytrzymała wszystkie siły, aby przetrwać ból... i skoczyła, a potem, w ostatniej chwili, została uratowana - złapana za kark i przeniesiona z powrotem na bezpieczne, zielone pastwisko.

Nicole nie miała oczywiście o tym pojęcia, podobnie jak pozostałe dzieci Abby i Johna. Osiemnastoletni Kade, który rozpoczął niedawno studia w college'u. I jedenastoletni Sean, który już zupełnie nie zdawał sobie sprawy, jak niewiele brakowało, żeby jego rodzice się rozeszli.

Abby spojrzała na kalendarz. Dokładnie rok temu planowali z Johnem rozwieść się. Ale potem Nicole i Matt ogłosili swoje zaręczyny. Abby i John

odłożyli rozwód na później - postanowili zapowiedzieć go dzieciom po powrocie Nicole z podróży poślubnej.

Abby zadrzała. Gdyby rzeczywiście się rozwiedli, byłby to dla ich dzieci cios, po którym mogłyby nigdy się nie podnieść. Szczególnie Nicole - prawdziwa idealistka ufna w potęgę miłości.

Gdybyś tylko wiedziała, moja malutka...

A jednak Abby i John znowu byli razem i kochali się, dokładnie tak jak myślała Nicole.

Abby musiała się od czasu do czasu szczypać, żeby wciąż wierzyć, że to prawda. Że nie wypełniają z Johnem dokumentów rozwodowych i nie zastanawiają się, jak powiedzieć o wszystkim dzieciom. Nie kłócili się, nie unikali się nawzajem, nie byli bliscy pogrążenia się w pozamałżeńskich romansach.

Ich małżeństwo przetrwało. Nie tylko małżeństwo - naprawdę byli teraz szczęśliwi razem. Najszczęśliwsi od czasów, kiedy złożyli sobie nawzajem małżeńską przysięgę. Problemy, które zniszczyły tak wiele małżeństw, dzięki Bożej łasce umocniły tylko związek Abby i Johna. Któregoś dnia, kiedy nadejdzie odpowiedni czas, opowiedzą dzieciom o tym, że byli bliscy rozwodu. Może i dzieci staną się dzięki temu silniejsze.

Abby spojrzała z powrotem na ekran komputera.

Artykuł dotyczył tematu, który leżał jej głęboko na sercu. - Ginący gatunek: trenerzy młodzieżowych drużyn sportowych w Stanach Zjednoczonych - głosił tytuł. Większość swoich artykułów Abby pisała do magazynu o ogólnokrajowym zasięgu, który właśnie zmienił redaktora naczelnego. Nowym redaktorem została kobieta, która miała rzetelne wyczucie spraw, jakie interesują amerykańskie rodziny, a nieraz i poruszają ich sumienia. We wrześniu omówiły tematy, na jakie mogła pisać dalej Abby. Co ciekawe, artykuł na temat szkolnych trenerów był pomysłem redaktorki.

- Cała Ameryka szaleje na punkcie sportu - powiedziała.

- Jednak zewsząd słyszę, że kolejny świetny trener porzuca zawód. Być może powinniśmy przyjrzeć się temu bliżej i spróbować odnaleźć przyczyny takiego stanu rzeczy.

Abby omal nie roześmiała się na głos. Kto jak kto, ale ona bez wątplenia mogła prosto z serca opisać codzienne udręki szkolnych trenerów, a także pasję, z jaką uczą podopiecznych. Była przecież córką trenera. Ojcowie jej i Johna byli niegdyś kolegami z drużyny Uniwersytetu stanu Michigan. John

także w niej grał, a po ukończeniu studiów podjął pracę w jedynym zawodzie, który wydawał mu się przeznaczony dla niego - został trenerem futbolu amerykańskiego.

Całe życie Abby toczyło się wokół futbolu, od sezonu do sezonu.

Przeżywszy dwa dziesięciolecia z Johnem Reynoldsem, była w stanie napisać nie tylko artykuł, ale nawet książkę o pracy trenerskiej. Książkę o wszystkim - o rodzicach, którzy żądają żeby ich synowie grali przez większą część meczu, o nieodpowiedzialnych zawodnikach, którym brakuje silnego charakteru, o nierealistycznych oczekiwaniach, o krytyce po sportowych porażkach, o gwizdach z trybun.

I jeszcze o fałszywych oskarżeniach, rozpuszczanych potajemnie jako plotki, celowo, aby wyrzucić na trenera presję, żeby złożył rezygnację. Nawet w sytuacji, kiedy organizuje na własnym podwórku integracyjne grille dla drużyny albo kupuje chłopcom z własnych pieniędzy śniadanie po sobotnim treningu.

Wszystko zawsze sprowadza się do jednego: wygrywajcie więcej meczów, bo inaczej będzie źle.

Czy to dziwne, że trenerzy porzucają swój zawód?

Złość Abby ustąpiła nieco. Część zawodników sprawia, że rozgrywki przynoszą jednak radość, część rodziców dziękuje Johnowi po trudnym meczu albo przysyła mu kartki z wyrazami wdzięczności. Gdyby nie to, pośród trenerów nie byłoby już takich ludzi jak John. Kilku zawodników z liceum Marion wciąż uczyło się pilnie i mozolnie trenowało na boisku, okazywało szacunek trenerowi i samemu zasługiwało na szacunek, ciężko nań zapracowując. Ci chłopcy doceniali fakt, że mogą przyjść do Johna na grilla i to, że ich trener wkłada całe swoje serce w przygotowanie ich do zawodów i okazuje rzetelne zainteresowanie losem każdego z nich. Wkrótce, jako młodzi mężczyźni, ukończą studia i będą mieli dobre prace, a po latach wciąż będą odwiedzać dom Johna i Abby i pytać: - Czy jest pan trener?.

Dawniej właśnie tacy młodzi zawodnicy stanowili normę. Dlaczego obecnie - a dostrzegali to trenerzy w całym kraju - stali się wyjątkami?

- Tak - odpowiedziała Abby redaktorce naczelnej. -Z wielką radością napiszę o tym artykuł.

Przez kilka ostatnich tygodni robiła wywiady z długoletnimi trenerami, których drużyny od dawna odnosiły sukcesy. Z ludźmi, którzy porzucili w ostatnich latach pracę trenerską, z powodu tych samych problemów, jakie

nękały Johna. To przez nie John coraz częściej przychodził do domu zmęczony i przygnębiony.

Rozległ się chrobot klucza w zamku i mąż Abby wszedł do mieszkania. Kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, westchnął. Ruszył po wyłożonej terakotą posadzce przedpokoju - jego krok nie był pewny, sprężysty jak wiosną czy latem. John powłóczył nogami; od razu można było wyczuć, że jest smutny. To dlatego, że sezon futbolowy przebiegał źle.

- Tu jestem - odezwała się Abby. Odsunęła krzesło od biurka i czekała.

John pojawił się w drzwiach pokoju, zgarbiony, i oparł się o futrynę. Spojrzał Abby w oczy i podał jej jakąś kartkę.

- Miałeś ciężki dzień? - spytała Abby, wstając.

- Przeczytaj.

Usiadła z powrotem i przeczytała anonim. Posmutniała głęboko. Jacyś rodzice domagali się rezygnacji Johna. Czy oni powariowali? Nie wystarcza im, że dokuczają mu co dnia? Czego oni chcą? Abby złożyła list i rzuciła go na biurko, a potem podeszła do Johna i objęła go.

- Współczuję ci - szepnęła.

Przytulił ją, tak jak w czasach, kiedy byli świeżo poślubionym małżeństwem. Abby rozkoszowała się dotykiem silnych ramion Johna, zapachem jego wody kolońskiej i tym, jak oboje potrafią czerpać siłę z wzajemnej miłości.

To był ten sam mężczyzna, w którym się niegdyś zakochała - a później omal nie dopuściła do tego, żeby od niej odszedł.

John wyprostował się i popatrzył na Abby.

- Nie ma się czym martwić - pocieszył, po czym nachylił się i pocałował ją.

Abby wcale nie była spokojna.

- Na końcu jest napisane, że posłali kopię Lutzowi - zauważyła. - Wicedyrektorzy do spraw wychowania fizycznego zwalniają trenerów, kiedy przychodzą skargi od rodziców.

- Tym razem tak nie będzie - skwitował John, wzruszając ramionami. - Lutz zna mnie przecież.

- Najlepiej znał cię Ray Lemming - przypomniała łagodnym głosem Abby.

- Nie podoba mi się ten Lutz.

- Opowie się po mojej stronie. Każdy wie, że nigdy nie pozwoliłbym na to, żeby moi uczniowie pili. - John roześmiał się smutno. - Albo... co tam jeszcze jest?

- Brali udział w nielegalnych wyścigach samochodowych po ulicach.

- Właśnie. Wyścigi po ulicach. Też coś! - John spojrział na Abby z ukosa. - Zawsze znajdzie się jeden czy dwoje rodziców, którzy będą zgłaszać pretensje. Nawet gdybyśmy wygrywali wszystkie mecze.

- Pan Bóg czuwa nad wszystkim - zakończyła Abby, nie chcąc drażnić tematu.

- Co masz na myśli? - spytał John, mrugając powiekami.

- To, że Bóg cię wesprze, niezależnie od tego, co zrobią poszczególni ludzie.

- Martwisz się.

- Nie martwię się. Po prostu przejęłam się tym listem.

John oparł się o ścianę, ściągnął bejsbolową czapeczkę i rzucił ją na kanapę.

- Gdzie jest Sean?

- W swoim pokoju. Jego życie towarzyskie doprowadziło do pewnych zaległości w nauce. Jeśli będzie pilnie pracował, to może przed dziesiątą skończy.

Najmłodszy syn Reynoldsów był w szóstej klasie szkoły podstawowej. Przed kilkoma tygodniami zaczęły telefonować do niego koleżanki.

- Nic dziwnego, że w domu taka cisza. - John puścił Abby i przesunął palcami po jej policzku. - Nie powinno tak być.

Miękki dotyk jego dłoni sprawił, że Abby przeszedł dreszcz.

- Mówisz o swojej pracy?

- W zeszłym sezonie zdobyliśmy mistrzostwo - odpowiedział John, przytakując. W jego głosie było znać zmęczenie, a w oczach smutek, jakiego Abby nie widziała w nich od pewnego czasu. - Czego oni ode mnie chcą?

- Nie jestem pewna... - Abby przyglądała się chwilę mężowi, a potem opuściła spojrzenie. - Ale wiem, czego ty potrzebujesz.

- Czego? - spytał łagodnie John.

- Lekcji tańca. - W oczach Abby pojawił się szczególny błysk.

- Lekcji tańca? Żebyśmy mogli w przyszły piątek pokonać drużynę z Jefferson zwinnością?

- Nie, głupolu! - Abby pchnęła lekko Johna. - Przestań myśleć o futbolu. - Ujęła jego dłoń i poprowadziła go od ściany i z powrotem do ściany krokiem walca. - Mówię o nas.

- No coś ty, Abby! - jęknął cicho John. - Nie nadaję się na lekcje tańca. Wiesz, że słoń mi na ucho nadepnął. Poczucia rytmu też nie mam.

Abby znowu wykonała z Johnem kilka tanecznych kroków, prowadząc go tym razem w głąb pokoju. Stykali się ciałami.

- Tańczysz ze mną na molo - przypomniała błagalnym tonem, wysuwając naprzód usta, jak Nicole, kiedy domagała się czegoś.

- Och nie, Abby... - John zgarbił się troszkę, choć w jego oczach pojawił się błysk, którego nie było w nich wcześniej. - Taniec na molo to co innego. Tam grają świerszcze i skrzypiące deski, szumiący nad jeziorem wiatr. Do takiej muzyki umiem tańczyć. - Uniósł rękę i obrócił pod nią Abby. - Proszę cię, nie zmuszaj mnie do lekcji tańca.

Abby już wiedziała, że wygrała tę dyskusję. Uśmiechnęła się, uniosła palec i powiedziała:

- Zaczekaj... - Odbiegła do biurka i zaraz powróciła z wycinkiem porannej gazety. - Patrz. Lekcje odbywają się w twoim liceum. - Pokazała Johnowi artykuł.

- - Lekcje tańca klasycznego dla dojrzałych par? - odczytał, przewracając oczami. - No świetnie - rzucił, zapierając się pod boki. - Nie dość, że pierwszy raz w życiu będę brał lekcje tańca, to jeszcze będę to robił w towarzystwie ludzi dwa razy starszych ode mnie. - Cofnął nieco głowę. - Abby, proszę cię...

- - Dla ludzi powyżej czterdziestki, John - odczytała Abby, pokazując palcem tekst. - Tak jest napisane.

- Ale my nie jesteśmy w takim wieku - odparł z udawanym oburzeniem John. Droczył się z Abby, podobnie jak w czasach kiedy była maturzystką, zdumioną, że słynny rozgrywający drużyny futbolowej, gwiazda, a do tego student - co prawda długoletni przyjaciel jej rodziny - chce się z nią umawiać. Akurat z nią, kiedy miał do wyboru tyle dziewczyn.

Abby zachichotała i przysunęła się do Johna bliżej.

- Jesteśmy.

- Nieee... - John otworzył szeroko usta, pokazał na nią, potem na siebie i spytał: - Ile my mamy lat?

- Ja mam czterdzieści jeden, a ty - czterdzieści pięć.

- Czterdzieści pięć? - wyszeptał John, takim tonem, jakby otrzymał jakąś przerażającą wiadomość.

- Tak, mój drogi.

- Naprawdę? - John wyjął Abby z ręki wycinek z gazety i przeczytał go jeszcze raz.

- Naprawdę.

- W takim razie... - Karteczka poleciała na dywan. Tym razem to John ujął dłoń Abby i ruszył z nią ku drzwiom, krokiem walca. - Chyba już czas, żebym wziął lekcje tańca.

- Dotarli do wyjścia z pokoju. - Dla dojrzałych, zgadza się?

- Tak. - Abby uwielbiała takie chwile jak ta, kiedy czuli się z Johnem jednością. Tańczyli walca dalej, pokonując w ten sposób przedpokój. Kierowali się w stronę kuchni.

- Ty nie uważasz, że jestem dojrzały, prawda? - spytał John. W tym samym momencie jego stopa zaplątała się w nogi Abby i przewrócił się na plecy, pociągając żonę za sobą. Uderzyli o ścianę i osunęli się na dywan; Abby znalazła się na górze.

Przez kilka sekund nie poruszali się, zaszokowani, lecz kiedy tylko zorientowali się, że żadnemu z nich nic się nie stało, oboje wybuchnęli śmiechem.

- Nie, John - odpowiedziała Abby, chichocząc tak, że aż stoczyła się na podłogę obok męża. - Nie martw się, nie uważam cię za dojrzałego.

- Całe szczęście. - John śmiał się do łez, jeszcze głośniejszym niż ona. - Nie ucieszyłoby mnie to.

- Ale za to naprawdę przydałyby ci się lekcje tańca. - Najwyraźniej. - Śmiech Johna narastał. - Przypomina mi się, jak kiedyś... - John z trudem łapał oddech.

- Jak spadaś ze schodów w Sea World.

- Pamiętam! - Abby ze śmiechu rozboleły zębra. - Musiałam przecież koniecznie zająć miejsce.

- Nie zapomnę min lwów morskich. - John pokazał sposób, w jaki zwierzęta popatrzyły tamtego pamiętnego dnia na Abby.

- Przestań, bo umrę ze śmiechu!

- Ludzie wyciągali ręce i nogi, żeby cię zatrzymać. - John usiadł na podłodze i oparł łokcie na kolanach.

Abby złapała w końcu oddech.

- Dobrana z nas para!

Jej mąż wstał z wysiłkiem i oparł się o ścianę.

- Podziałało - skomentował, wyciągając rękę. Pomógł Abby wstać.

- Co? - spytała wesoło Abby. Tak cudownie się czuła, tak lekko - tarzała się po podłodze ze śmiechu, żartując z Johnem.

- Wiem, że teraz nie uważasz mnie za dojrzałego - wyjaśnił. Objęli się nawzajem i razem weszli do kuchni.

- Ani trochę.
- Jestem może zgłodniały - oznajmił John, pocierając obolałe pośladki - ale na pewno nie dojrzały.

RS

ROZDZIAŁ 3

Trwał rodzinny obiad. Tej środy

wszystkie miejsca przy stole w salonie Reynoldsów były zajęte. Po jednej stronie zasiedli John, Abby i Sean, a naprzeciw nich - Nicole z Mattem oraz rodzice Matta - Jo i Denny Conleyowie.

Abby uwielbiała takie wieczory. Wszyscy śmieli się i opowiadali, co wydarzyło się ostatnio w ich życiu. Twarz Nicole była przepełniona szczęściem. Dziękuję Ci, Panie Boże, że postawiłeś na jej drodze Matta - pomodliła się Abby. Proszę Cię, spraw, żeby nigdy nie było im dane przechodzić przez to, czego doświadczyliśmy John i ja.

Pozostali śmiali się z jakiejś opowieści Denny'ego. Zdaje się, że w miniony weekend haczyk czyjejs wędki zaczepił o perukę pastora.

- Największą sensacją było to - mówiła czerwona od śmiechu Jo - że nasz pastor nosi perukę. Żadne z nas o tym nie wiedziało. Myślałam, że pastor staje naprzeciw nas co niedziela uczciwie, jak pstrąg latem... Wiecie, o co mi chodzi. - Jo gestykulowała szeroko. - To nie jest pastor w typie tych kudłatych telewizyjnych kaznodziei. To prawdziwy kapłan.

Abby nie знаła pastora, o którym była mowa, ale współczuła mu.

- Musiał być przerażony - zauważyła.

Denny wzruszył ramionami, lecz zanim zdążył jej odpowiedzieć, wyprzedziła go Jo:

- Wiecie, co powiedział? - Jo - mówi - tylko nie mówcie o tym nikomu z parafian. Pan Bóg zabrał mi włosy, ale to nie znaczy, że nie mogę nosić kapelusza. - Jo uderzyła otwartą dłonią w stół, aż wychlapało się trochę wody ze stojącej przed nią szklanki. - Kapelusza! Słyszeliście kiedyś coś śmiesznieszego?

Abby przyglądała się rudowłosej matce swojego zięcia. Gdyby mogła ją sobie wybrać, nigdy nie zdecydowałaby się na tę drobną kipiącą energią kobietę. Jednak Abby i Nicole stopniowo nabrały do Jo sympatii. Uważały ją obecnie za czarującą osobę, choć trochę przesadnie gadatliwą i odrobinę za mocno zainteresowaną wędkarstwem. Była jednak cudownie szczerą i przepełnioną miłością kobietą. Spotkania rodzinne bez jej udziału nie dorównywały tym, w których uczestniczyła.

Nicole otarła usta, spojrzała na Johna i zapytała:

- Co słyhać u Kade'a?

- Nic nowego. - Jej ojciec wzruszył ramionami. - Na uczelni wszystko dobrze, w futbolu też robi postępy.

- W tym roku nie uczestniczy w rozgrywkach, żeby mogła upomnieć się o niego lepsza drużyna, prawda? - upewnił się Denny, opierając się łokciami o blat.

- Prawda. Jeszcze przez cały rok drużyny ligowe będą mogły się na niego decydować.

- Nie podoba mi się ten zwyczaj - skrzywiła się Jo. - Taki zawodnik kojarzy mi się z wiadrem nieświeżej przynęty.

- Decyzja należy do trenera - uspokoiła z uśmiechem Abby. - Kade jest naprawdę utalentowany i może niedługo osiągnąć znacznie lepsze wyniki. Nie przeszkadza mu, że nie gra w meczach.

- Wszystko mi jedno - upierała się głośno Jo. - Przecież już jest na tyle dobry, że mógłby grać w lidze, i gdybym tylko знаła numer telefonu jego trenera, powiedziałabym mu to zaraz. - Spojrzała z ukosa na Johna. - Nie masz numeru do tego człowieka, co?

Zebrani roześmieli się, tylko Jo rozejrzała się poważnie po twarzach pozostałych, jak gdyby potracili rozumy.

- Mówię najpoważniej w świecie. Kade jest dobry.

- Nie denerwuj się, Jo - odpowiedział z uśmiechem John. Abby była uszczęśliwiona. Ostatnio uśmiech męża sprawiał, że topniało jej serce. - Kade sam zgodził się poczekać rok - wyjaśnił ciepło John. - Musi jeszcze wiele się nauczyć, zanim zacznie grać w międzystanowej lidze.

- To prawda - potwierdziła Nicole. - Słyszałam, że Kade ma niedługo was odwiedzić - zmieniła temat, spoglądając na Abby.

Abby podziwiała spryt, z jakim jej córka radziła sobie z teściową. W czasie kilku miesięcy jakie minęły od ślubu Nicole i Matta, Nicole stała się prawdziwą ekspertką w tej dziedzinie. Wiedziała, jak pokierować rozmową, żeby odwrócić uwagę Jo, kiedy ta stawała się zbyt podeksytowana.

- Owszem - odparła Abby. - Drużyna Uniwersytetu stanu Iowa gra dwudziestego października na stadionie uniwersyteckim w Indianie. To tylko cztery godziny jazdy samochodem stąd. Kade przyjedzie z nami do domu, zostanie na niedzielę i odleci na uczelnię w poniedziałek, bo nie będą mieli tego dnia zajęć.

- Jeszcze dziesięć dni - odezwał się znad talerza Sean.

- Nie mogę się doczekać.

- Wyobrażacie sobie chyba, że ja też chcę wtedy z wami być - wtrąciła Jo.
 - Takie rzeczy działają na mnie jak lep na muchy. Pojadę, to znaczy pojedziemy razem z Dennyem za wami autostradą prosto do... Zaraz! - Jo sapnęła, po czym uderzyła męża łokciem w żebra, aż podskoczył.

- Przecież to właśnie w tamten weekend mamy spotkanie w sprawie naszej misji! Dobrze mówię?

Denny zastanowił się chwilę.

- Chyba tak.

- Waszej misji? - upewnił się Matt, zawieszając w powietrzu widelec. Uwielbiał jedzenie, które gotowała Abby, dlatego zwykle podczas rodzinnych rozmów nie odzywał się, skupiając się na pałaszowaniu obiadu. Tego dnia Abby przygotowała faszerowaną wieprzowinę z zapiekаныmi ziemniakami. Matt pochłaniał właśnie trzecią porcję. Spojrzał jednak z błyskiem w oku na matkę. - Jakiej misji? - spytał.

- O niech cię! - Jo spojrzała na Denny'ego, westchnęła i wyjaśniła: - Mieliśmy powiedzieć wam dopiero potem, moi kochani. Żeby to była niespodzianka.

Nicole wychyliła się naprzód, przyjrzała się teściom i spytała:

- Czyżbyście wybierali się w podróż misyjną?

- Cóż, to trochę więcej niż podróż - odpowiedziała Jo, ujmując dłoń męża.

Zebrani przy stole czekali z zainteresowaniem na dalszy ciąg. Rodzice Matta rozwiedli się, kiedy był jeszcze małym dzieckiem. Żyli osobno aż do czasu, gdy Matt zaręczył się z Nicole. A później nastąpiła seria wydarzeń, które można było nazwać cudownymi. Najpierw Denny, a później Jo nawrócili się. Przed dwoma miesiącami pobrali się na nowo i aktywnie włączyli się w życie swojej chrześcijańskiej wspólnoty kościelnej. Nabrali zwyczaju spędzania sobót w towarzystwie pastora - na wspólnym łowieniu ryb.

- Mamo, co wy planujecie? - spytał wreszcie Matt, odkładając widelec.

- A niech mnie gęś kopnie! - Jo spojrzała ze skruchą na Denny'ego. - Jestem największą papłą po tej stronie Pacyfiku razem ze wszystkimi rybami, które w nim pływają. Widzisz - odpowiedziała Mattowi - zastanawiamy się z tatą nad spędzeniem roku w Meksyku. Pracowalibyśmy tam w sierocińcu i...

Jo umilkła. Chyba pierwszy raz w obecności Abby, Jo umilkła sama. Wiadomość, którą podzieliła się z Reynoldsami, była tak niezwykła, że

nawet ona nie wiedziała, co mogłaby dodać. Dotychczas nigdy w życiu nie robiła niczego, co choć odrobinę przypominałoby pracę misyjną.

- Coś niezwykłego! - Nicole aż pisnęła z radości. Zerwała się z krzesła, stanęła za Jo i Dennyem i objęła ich jednocześnie. - Nie będziecie żałować ani minuty spędzonej na pomocy dzieciom. To będzie cudowne!

Jo wzruszyła ramionami.

- Wiecie, nie jesteśmy w stanie wiele dla nich zrobić - odezwała się znowu, zarumieniona. - Ale bardzo chcemy im pomagać. Pastor mówi, że to najważniejsze.

- Pomożemy zbudować drugą salę, dla niemowląt - dodał Denny, odchrząknawszy. - Będziemy reperować, co trzeba, sprzątać. Będziemy trochę takimi dozorcami sierocińca.

- Tato, to po prostu wspaniałe! - Matt wyciągnął rękę i uściśnął dłoń ojca. - Aż trudno mi w to uwierzyć. Nigdy bym nie pomyślał, że moi rodzice postanowią spędzić rok na misji.

John spojrzał ukradkiem na Abby.

- Nasz Pan potrafi czynić prawdziwe cuda - skomentował. - Bez dwóch zdań.

Abby spuściła wzrok. Wiedziała, do czego nawiązał John. W chwilach takich jak ta miała wielką ochotę opowiedzenia swoim dzieciom o cudzie, który stał się udziałem jej samej oraz Johna. O tym, że byli bardzo bliscy rozvodu, ale potem zdołali jakoś odnaleźć drogę na stare moło za domem. Właśnie na tym moło, kilka godzin po ślubie Nicole, Bóg ponownie otworzył uszy Johna i Abby na muzykę ich wspólnego życia. Przypomnieli sobie, jak razem tańczyć...

Pozostali małżeństwem i uczynili je prawdziwie pięknym - na tym właśnie polegał cud. Nie doszłoby do tego bez Bożej interwencji. A skoro nastąpiła, warto było podzielić się z innymi opowieścią o całej sprawie.

Jednak Abby i John do tej pory nie mieli odwagi tego zrobić. Przypuszczali, że byłby to dla ich dzieci zbyt silny wstrząs, szczególnie dla Nicole. Dzieci nie miały pojęcia, co zaszło, i pewnie nigdy się tego nie domyśla.

Abby spojrzała z powrotem na swoich najbliższych. Gratulowali Jo i Denny'emu i zasypywali ich pytaniami, a ci odpowiadali. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak planowali, wyjadą do Meksyku w czerwcu i wrócą rok później.

- Pytali nas, czy umielibyśmy nauczyć dzieci czegokolwiek podczas naszego pobytu. - Jo mrugnęła okiem do Denny'ego. - Powiedziałam, że mogę szybko nauczyć je zakładania przynęty na haczyk i łowienia ryb.

Matt uśmiechnął się ciepło do matki. - Jak cię znam, sprowadzicie pewnie stamtąd parę małych wędkarzy - odpowiedział półzartem.

- Możliwe. - Jo tym razem roześmiała się nieco sztucznie, spoważniała.

Nie umknęło to uwadze Abby, choć być może inni tego nie dostrzegli. Kiedy Matt wspomniał o sierotach, Jo poczuła nagle ukłucie smutku. Abby pomyślała, że dobrze będzie wykorzystywać w czasie najbliższych miesięcy sposobności do dłuższych rozmów z Jo. Wyczuwała, że poruszony temat budzi w sercu Jo silne emocje. Być może nie rozmawiała na ten temat z Mattem czy Nicole.

- Zaraz - odezwał się Denny do Matta - nie chcemy z mamą zostać znowu rodzicami.

- Denny ma na myśli, że chcę być babcią - dodała Jo. - Im prędzej, tym lepiej.

- Babcią? - Nicole udawała zaszokowaną. - Przepraszam cię, ale zamierzamy spełnić twoje życzenie dopiero za kilka lat.

- To prawda - zgodził się Matt, obejmując żonę ramieniem. - Zdaje się, że najlepiej by nam pasowały cztery lata, czy nie?

- Dokładnie.

Abby zagryzła wargi, żeby powstrzymać wybuch śmiechu.

- Gdyby jeszcze to wychodziło tak, jak się zaplanuje...

- Właśnie. - John zmrużył oczy. - Ty i ja pobraliśmy się czternastego lipca 1979. Kiedy planowaliśmy dzieci?

- Jeśli dobrze pamiętam, po pięciu latach.

- A kiedy urodziła się Nicole?

- Szesnastego kwietnia 1980. - Abby uśmiechnęła się natychmiast do Nicole. - Ale to nie szkodzi, kochanie. Możecie udawać, że macie w tej sprawie plan. To łagodzi stres.

Jo robiła obliczenia na palcach. Po chwili aż sapnęła. Spojrzała na Abby.

- To znaczy, że urodziłaś Nicole dziewięć miesięcy i dwa dni po ślubie? - Znow była radosna. Sięgnęła ponad talerzem Matta i pogładziła dłoń Nicole. - Nic dziwnego, że jesteś taka słodka, kochanie. Zawsze myślałam, że to przez twoje wychowanie. I na pewno o to też chodzi - dodała, zerkając na Johna. - Ale nie miałam pojęcia, że jesteś z miodowego miesiąca - mówiła dalej do Nicole.

- Dzieci z miodowego miesiąca są cudowne. Zdrowe, urocze i optymistycznie na świat patrzące.

Jo nabrała powietrza, spojrzała z kolei na Matta i przykazała:

- Opiekuj się nią porządnie, synku. To nie zwykła dziewczyna, to dziecko z miodowego miesiąca! - Zniżyła głos, a pozostali wytężyli słuch. - To dobrze dla ciebie, mój mały. Złowiłeś na haczyk najlepszy okaz na świecie. A poza tym dzieci z miodowego miesiąca rodzą dzieci z miodowego miesiąca. Przynajmniej tak się mówi.

- Przepraszam - odpowiedziała z poważnym uśmiechem Nicole, unosząc rękę. - Jestem dzieckiem z miodowego miesiąca, jednak nie zamierzam poczynać następnego. Najwcześniej za cztery lata. Najpierw mój błyskotliwy mąż - wyjaśniła, tuląc się do Matta i patrząc mu w oczy - rozpocznie karierę prawniczą.

Dopiero teraz Abby zwróciła uwagę na oczy Johna. Od paru minut wydawał się coraz bardziej obojętny, jak gdyby myślał tylko o tym, żeby już iść spać, i siedział przy stole jedynie z grzeczności. Abby przyjrzała się Johnowi uważnie. Nie, nie patrzył obojętnie, był tylko głęboko zamyślony. I smutny. I nagle zrozumiała. Znowu myślał o futbolu. Cieszyła się, że ten temat nie został poruszony przez cały wieczór. W ostatnich dniach John i Abby spędzili większość czasu na zmaganiu się z pytaniami, jakie zadają sobie, chcąc nie chcąc, wszyscy trenerzy, którzy dłużej pracują w zawodzie. Po co to wszystko? Dlaczego się tym zajmujemy? Czy w życiu nie ma nic ważniejszego?

Wieczór dobiegał końca. Nicole i Matt pożegnali się, zaraz po nich odjechali Denny i Jo. Sean powiedział, że idzie dokończyć pracę domową z matematyki. John i Abby ruszyli po schodach do sypialni.

- Nad czym rozmyślasz? - spytała Abby, kiedy w końcu znaleźli się sami.

Dopiero wtedy ubrał swoje myśli w słowa. Nie spodziewała się, że John Reynolds kiedykolwiek powie coś takiego. A on potarł kark, spojrzał na Abby i odparł zmęczonym, pełnym przekonania głosem:

- Rzucam futbol, Abby. To mój ostatni rok pracy trenerskiej.

Było to dla Abby szokujące wyznanie. Poczowała skurcz w żołądku. Zawsze wiedziała, że nadejdzie ten dzień; nie spodziewała się jednak, że stanie się to teraz. Nie po sezonie, w którym drużyna Johna zdobyła mistrzostwo. Cóż, obecny sezon był bez wątpienia trudniejszy od innych. Ale John już wcześniej radził sobie ze skarżącymi się rodzicami, zawodnikami o trudnych charakterach i niespodziewanie przegrywanymi meczami. Takie rzeczy

spotykają każdego trenera. Jednak myśl, że John mógłby odłożyć trenerski gwizdek do szafy teraz, kiedy mógł prowadzić drużynę i uczyć jeszcze wiele lat, była dla Abby czymś zupełnie niespodziewanym. Chyba żadne słowa Johna nie zdziwiłyby jej bardziej.

Ale doznała także całkowicie zaskakujących uczuć.

Zawsze obawiała się w głębi serca dnia, w którym futbol zniknie z jej codziennego życia. A tu nagle, w tej właśnie chwili, patrząc Johnowi w oczy, wcale nie czuła przerażenia.

Poczuła ulgę.

RS

ROZDZIAŁ 4

Samochód stal zaparkowany, ale od razu robił wrażenie szybkiego.

Jake Daniels i kilku jego kolegów zauważyli go w sobotnie przedpołudnie, kiedy wyszli z treningu. To była czerwona acura NSX, rocznik może dziewięćdziesiąty pierwszy czy dziewięćdziesiąty drugi.

Przystanęli, nie mogąc się powstrzymać od podziwiania samochodu. Jake nigdy nie widział maszyny, która bardziej by mu się podobała.

- Spoko fura - odezwał się Casey, który ocknął się pierwszy. Zrzucił na ramię sportową torbę. - Musi mieć kopa.

Czerwony lakier błyszczał tak, że Jake musiał lekko zmrużyć oczy. Dwudrzwiowy, sportowy wóz, spojler z przodu i z tyłu, smukła karoseria tuż przy ziemi i kontrastujące z nią szerokie felgi marki Momo.

Nagle przyciemniana boczna szyba pojazdu opuściła się i ze środka zamachał do chłopców jakiś mężczyzna. Jake wyteżył wzrok. Jak to?...

- Jake, to nie twój zgred? - Casey szturchnął kolegę w ramię. - A gdzie jego blondyna?

Jake przełknął. Rzeczywiście patrzył na ojca. Jego ojciec przyjechał poprzedniego dnia na mecz, po raz pierwszy odkąd przeprowadził się do New Jersey. Obok niego siedziała na trybunach jakaś młoda blondynka w obcisłej sportowej bluzce, skórzanych spodniach i butach na wysokich obcasach. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Towar fuli wypas. Cały czas żuła gumę i mizdrzyła się.

Zobaczywszy ją, koledzy z drużyny dokuczali Jake'owi przez cały poranny trening.

- Można ją wyrwać, ziom. Chyba, że twój ojo ma po maksie kasiory.

- Może się z nami podzieli, co? Wyjechana w kosmos macocha, takiej jeszcze nie widziałem.

- Co ty, to nie jego macocha, to jego panna. Jake i starszy zmieniają się, wiesz....

Po godzinie docinki zaczęły się powtarzać, lecz nie znudziły się chłopcom. W każdym razie blondynka, kimkolwiek była, nie siedziała teraz w samochodzie ojca. Jake skinął głową w stronę kolegów i podszedł do acury. Zazwyczaj odwoziła go z treningów matka, która nigdy go nie zawiodła ani nawet się nie spóźniła. Jeździła ich starą rodzinną furgonetką.

Ale tego dnia nie było jej w pobliżu szkoły.

- Hej - odezwał się cicho ojciec, dopiero kiedy Jake był blisko niego. - Wskakuj.

Jake wsiadł do samochodu. Acura musiała być z wypożyczalni. Pewnie ojczulek trząskając nieźłą kasę w radiu. Przed rozwodem, kiedy był dziennikarzem lokalnej gazety z Marion, nigdy nie wypożyczyłby sobie acury NSX. I nie odważyłoby mu na tyle, żeby skołować sobie pannę.

- No i co powiesz? - zagadnął ojciec, uśmiechając się od ucha do ucha.

- A gdzie ona?

- Kto? - spytał ojciec takim tonem, jakby nie miał pojęcia, o kogo chodzi.

- Ta dziewczyna. Lala, Lola... czy jak.

- Lila. - Ojciec Jake'a nachmurzył się nagle. Wyglądał na starszego od mamy. Byli w tym samym wieku, ale teraz tata miał bardziej pomarszczone czoło. Pomasażował je dwoma palcami, odchrząknął i wyjaśnił: - Ma w tej chwili masaż.

- Ach... - Jake nie wiedział, co powiedzieć. - Dzięki, że przyjechałeś mnie podwieźć. - Poklepał dłonią w deskę rozdzielczą. - Wypożyczyłeś nieźłą bryczkę.

Ojciec oparł się jedną ręką na kierownicy, trzymając w drugiej ciemne okulary. Wyglądał jak kolo z reklamy w Sports Illustrated.

- A co byś powiedział, gdyby to nie był samochód z wypożyczalni?

Jake'owi aż zaparło dech w piersiach.

- Nie z wypożyczalni?

- Pamiętasz - kontynuował ojciec, znowu pokazując w uśmiechu wszystkie zęby - jak latem rozmawialiśmy o samochodach?

- O samochodach?

- Tak. - Ojciec zachichotał dziwnie. Jake miał poczucie, że jego tata zmienił się nie do poznania. Wydawało się, że bardzo stara się być fajny.

- Ech... - Jake starał się zachować spokój. O co mu chodzi? - myślał. - Pytałeś mnie, jakie samochody są teraz na topie - o tę rozmowę ci chodzi?

- Właśnie! Powiedziałeś mi, że najbardziej cool jest używana acura NSX, gdzieś tak z dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Pamiętasz?

- No... - Serce Jake'a zaczęło nagle bić dwukrotnie szybciej. To chyba niemożliwe... W przyszłym tygodniu kończę przecież siedemnaście lat. Ale chyba mój tata nie jechałby tu aż z New Jersey, żeby przyprowadzić mi...

- Tato - Jake przełknął z trudem - czyj to samochód? Ojciec odwrócił się szybciej niż normalnie, wyłączył silnik, wyjął kluczyki ze stacyjki i podał je Jake'owi.

- Twój, synku. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Jake otworzył szeroko usta.

- Serio?

- Serio. - Ojciec uśmiechnął się kolejny raz i założył ciemne okulary. - W następny weekend będę zajęty, więc przyprowadziłem go teraz. Dzięki temu w dniu urodzin będziesz go już miał.

W głowie Jake'a zakłębiły się myśli. Tata nie żartuje? Przecież ta bryka musiała kosztować ze czterdzieści kafli! Co na to Jeni i Kindra, i Julieanne? No i Kelsey? Najlepsze towary w szkole rzucają się na mnie, kiedy tylko zobaczą tę furę. Ja wymiękam, pewnie chodzi w pięć sekund od zera do paczki. A w ulicznym wyścigu wycisnę z niej ze dwieście dziesięć, może nawet dwieście dwadzieścia pięć...

A co pomyśli mama? Jake znowu przełknął. Nie będzie chciała, żebym miał już samochód - jakikolwiek, a co dopiero najbardziej wyjątkową sportową furę stąd do granicy stanu.

- No i co? - spytał w końcu ojciec, który wpatrywał się w Jake'a i uśmiechał się przez cały czas.

- Tato, to niesamowity wóz! Normalnie szok!

- No cóż, przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić. - Ojciec ściągnął okulary i popatrzył tym razem poważnie. - Nie ma mnie przy tobie, synku... Może ten samochód ci to wynagrodzi. Przynajmniej trochę.

- Trochę? To wspaniała nagroda! - Palce Jake'a same chciały się poruszać, mięśnie jego rąk i nóg aż drżały z podniecenia. Miał ochotę wskoczyć na dach swojego samochodu i obwieścić całemu światu: - Mam acurę NSX!. Być może tata się zmienił, ale jednak mnie kocha - myślał. Na pewno. Ja też go kocham, a zwłaszcza teraz.

Ojciec znów przyglądał się synowi, czekał. Lecz co mógł powiedzieć Jake? Jak dorastający chłopak może podziękować ojcu za tego rodzaju prezent? Jake wzruszył parokrotnie ramionami.

- Brak mi słów - przyznał. - Dzięki, tato. To idealny sprzęt. Nie mogę uwierzyć, że jest mój!

Ojciec roześmiał się kolejny raz, nieco sztucznie; był to zapewne śmiech wyćwiczony podczas prowadzonych przez niego audycji.

- Coś mi się zdaje, że siedzisz na moim miejscu - powiedział, po czym odblokował pokrywę silnika i wysiadł. Jake także wyskoczył z samochodu. Spotkali się z ojcem przy przednim spojlerze. Jake nie mógł oprzeć się pokusie - wsunął palce pod pokrywę i podniósł ją - a potem znowu zaparło

mu dech w piersiach. Nie, to nie może być prawda! Obejrzał się przez ramię. Czy tata wie, że to nie jest zwykły seryjny silnik? Zachowuj się spokojnie - przykazał sobie - nie daj niczego po sobie poznać.

Głowica silnika była zmodyfikowana, tak aby komory spalania miały inny kształt. Przewody dolotowe musiały zostać wykonane na specjalne zamówienie. Szybka bryka to mało powiedziane. Ta fura będzie fruwać!

- Niezły, co? - zagadnął znowu ojciec, klepiąc Jake'a po ramieniu. Nie cofał ręki. Dotyk ojcowskiej dłoni wzbudził w Jake'u tęsknotę za dawnymi dobrymi czasami, kiedy jeszcze nie czuli się razem... dziwnie.

- Dokładnie. Fajny.

Ojciec parsknął lekko śmiechem.

- To szybki samochód, synu.

Jake odwrócił się na pięcie i spojrzał ojcu w oczy. Pewnie chce zamienić w ciągu kilku dni silnik na zwykły! - pomyślał.

- Zgadza się - odparł.

- Niech ten mały szczegół pozostanie poza świadomością mamy, dobrze?

- Poważnie? - Jake poczuł, że ma spierzchnięte usta. A co powiedzą chłopcy? - myślał. Będą chcieli spędzać ze mną każdy weekend, mam to jak w banku. W ogóle stanę się najpopularniejszą osobą w szkole. Mama wściekłaby się, gdyby dowiedziała się, jak szybki jest ten wóz... albo ile kosztuje. Tata ma rację. Po co martwić ją szczegółami. - Nie pisnę jej ani słówka.

- Tylko żeby nie było mi mandatów, słyszysz? - przestrzegł ojciec, unosząc palec i zbliżając go do twarzy Jake'a.

- Nie będzie ani jednego - odpowiedział poważnie Jake, kiwając głową. Mogę mieć z takiej fury niezłą zabawę, ale będę uważał. Nie będę ryzykował, brał udziału w ulicznych wyścigach. No... może trochę będę brał, ale tak, żeby nie jeździć niebezpiecznie. Paru chłopaków z drużyny ostatnio zaczęło się ścigać. Jednak ja nie będę robił tego często. Może z raz na miesiąc. Poza tym uważają mnie w szkole za jednego z najbezpieczniej jeżdżących ludzi. - Nie musisz się martwić, tato.

- Cieszę się. - Ojciec opuścił z powrotem uniesione okulary przeciwsłoneczne i spojrzał na zegarek. - Jedźmy lepiej do domu. Inaczej mama zacznie się dziwić, co zajęło nam tyle czasu.

,A tak w ogóle czeka na mnie Luda - dokończył w myśli Jake - czy jak jej tam. Nie zastanawiał się jednak dłużej nad kobietą którą widział ze swoim ojcem, tylko ruszył, żeby zasiąść za kierownicą acury. Parę lat temu

przytuliłby w takiej sytuacji mocno tatę albo złapałby go łokciem za szyję i wymierzył mu kilka żartobliwych kuksańców w brzuch.

Ale nie teraz.

Rozwód rodziców zmienił wszystko. Najpierw zmienił się adres ojca i jego praca. Później jego ubrania i to, jak spędzał sobotnie wieczory. Dziewczyny jak ta blond foczka były dla jego ojca łatwo dostępne i wiele go nie kosztowały. Czemu nie? Tata to kawał ciacha. Przystojniak, silny, były sportowiec, ma przyjemny głos...

Foczkom podobają się tacy kolesie jak mój ojo.

Jake nie rozumiał tylko, co jego tata widzi w tych wszystkich dziewczynach, szczególnie kiedy w domu została opuszczona mama, cudowna kobieta.

Mijały sekundy i sytuacja zaczęła robić się coraz bardziej niezręczna. W końcu Jake wyciągnął energicznie rękę, ojciec zrobił to samo, i uściśli dłonie z wielką siłą.

- Jeszcze raz dzięki, tato. Niesamowity wóz.

Jake podszedł do lewych drzwi samochodu, zajął miejsce za kierownicą i uruchomił silnik. Jechał do domu, uważając, żeby nie przekraczać dozwolonej prędkości. Miał wrażenie, że samochód niecierpliwi się jak wspaniały koń tuż przed wielkim wyścigiem. Jeśli to koń, to taki, który przechodzi w kłus chyba dopiero przy jakichś stu osiemdziesięciu kilometrach na godzinę.

Oczywiście Jake nie odkrył swoich myśli przed ojcem. Wątpił, czy porozmawia o tym nawet z chłopakami. Jego wóz zostawiłby daleko w tyle wszystko, czym jeździli koledzy, więc po co o tym mówić? Ścigając się, narobiłbym sobie tylko kłopotów. Wystarczy, że po prostu mam tę furę. Jake uśmiechnął się. Ojciec nie musi się martwić. Będę najostrożniejszym kierowcą acury NSX na świecie.

Z miny matki Jake'a można było wyczytać jej odczucia, od razu kiedy wyszła z domu. Najpierw była zaszokowana, potem pełna podziwu, a następnie wpadła w gniew, unosząc palec, którym wycelowała w byłego męża.

Ledwie rzuciła spojrzenie Jake'owi, kiedy obaj z ojcem wysiedli z samochodu.

- Co to jest? - spytała, pokazując na acurę, tak samo jak pokazywała na klasówki Jake'a z matematyki, kiedy widniała na nich ocena niedostateczna lub mierna.

- To? - Ojciec spojrział na samochód, potem znowu na matkę. - Prezent urodzinowy dla Jake'a. W przyszłym tygodniu mnie tu nie będzie, więc przyprowadziłem go parę dni przed czasem.

- Nawiązujesz do tej wycieczki, na którą jedziesz z Lilą?

- Matka uśmiechnęła się jak jakaś diablica, aż ścierpła skóra na plecach Jake'a. - Twoja dziewczyna pochwaliła się. A plotki roznoszą się tu szybko, Tim.

Jake skrzywił się, czując ból żołądka. To przez to, jakim tonem mówi mama! - przekonywał sam siebie. Nie chciał przyznać przed samym sobą, że boli go to, że jego ojciec woli pojechać sobie na wycieczkę z jakąś blondynką zamiast być z nim w dniu jego urodzin. Spojrział na niego.

Ojciec otworzył usta, nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Skąd...? - Założył ręce. - Słuchaj, to moja sprawa, jak spędzam czas, jasne?

- A więc to, to... - Co?

- Piękny sportowy samochód. - Matka roześmiała się krótko, bez cienia humoru. Ból żołądka Jake'a wzmógł się. A może jestem chory? - zaczął się zastanawiać. Nie cierpię, kiedy mama tak się zachowuje. - Rozumiem, Tim - ciągnęła, pokazując na samochód. - To ma być zadośćuczynienie za twoją tegoroczną nieobecność przy Jake'u. Prezent, który ma przyćmić wszystkie godziny, które spędzasz ze swoją nową dziewczyną!

- Nie masz prawa mówić takich rzeczy przy...

- Przy kim? Przy Jake'u? Rzeczywiście, bardzo się nim przejmujesz! Chłopak w jego wieku nie powinien prowadzić takiego samochodu.

Zaraz... Jake chciał wtrącić się w rozmowę, ale zrezygnował, gdy tylko spojrział na pełne wściekłości oblicze matki.

- Zwariowałaś, Tara. Przecież to ideał samochodu.

- Czy ty masz mnie za kompletną idiotkę? To jest acura NSX! - Matka podniosła głos, a Jake złapał się za brzuch. Rodzice zachowują się, jak dzieci, kłócące się o jakąś głupią zabawkę. Tylko że to ja jestem tą zabawką. I tak naprawdę każdemu z nich wcale nie zależy na tym, żeby mnie mieć, tylko żeby wygrało kłótnię!

- No i co z tego?

- To za szybki samochód. - Matka cofnęła się parę kroków w stronę domu, a potem odwróciła się na pięcie i rzuciła: - Jeśli chcesz, żeby Jake miał własny pojazd, kup mu forda bronco albo półciężarówkę. Ale acurę NSX? - Zmrużyła oczy.

Jake miał już dość. Zrzucił torbę na ramię, minął rodziców i wszedł do domu. Nawet nie zwrócili na to uwagi. Dlatego właśnie się rozwiedli - kłócili się, wrzeszczeli na siebie, obrzucali się wyzwiskami. Jake nienawidził tego, a już szczególnie w taki dzień jak dzisiejszy. Bolało go to, w jednej chwili psuło jego dobry humor.

Opadł na łóżko i zatopił twarz w poduszce. Dlaczego mama i tata nie mogą kochać się tak jak kiedyś?! - rozpacział. Dlaczego ciągle muszą się kłócić? Czy nie wiedzą, jak bardzo przez to cierpię? Moi koledzy też mają rozwiedzionych rodziców, jednak ich rodzice przynajmniej starają się żyć ze sobą w zgodzie. A moi nie. Za każdym razem kiedy się widzą, zachowują się, jakby się nienawidzili!

Jake przewrócił się na plecy i patrzył w sufit. Dlaczego właściwie pozwalam na to, żeby problemy rodziców psuły mi dzień? Nic nie zmieni fantastycznego uczucia, które właśnie mnie ogarnęło. Mam samochód jak marzenie! Tak wyczesany, że fura złomu tego pochlasta Nathana Pike'a może się schować.

A jak rodzice chcą się kłócić, ich sprawa. Może uparli się, żeby ten weekend był jak najgorszy - ale i tak poniedziałek będzie najwspanialszym dniem mojego życia.

Bo mam czerwoną, wymuskaną acurę NSX, prawie najszybszy samochód w całym stanie Illinois!

ROZDZIAŁ 5

To nie miało nic wspólnego z dojrzałością.

Pół godziny po rozpoczęciu pierwszej lekcji tańca w gimnazjum, stanowiącym część szkoły średniej w Marion, John czuł się jak uczeń pierwszej klasy, który z trudem radzi sobie podczas lekcji wychowania fizycznego. Potykał się, jakby miał dwie lewe nogi i nie wiedział, którą powinien zrobić następny krok.

Instruktorka miała na imię Paula i była siwowłosą kobietą przed sześćdziesiątką. Miała na głowie mikrofon z nadajnikiem i była ubrana w obcisły, trykotowy kostium z grubego materiału. Odzywała się protekcyjnym tonem, ze sztuczną wesołością, co sprawiało, że John nie czuł się ani odrobinę dojrzały. A poza tym często klaskała w ręce.

- Uwaga, kursanci! - Paula popatrzyła na piętnaście ustawionych w szeregu par.

Wypiła o dwie albo trzy filiżanki kawy za dużo - pomyślał John, krzywiąc się.

- Ustawcie się w równej linii! - Znowu klasnęła. Wyglądała, jakby stale unosiła brwi. - Spróbujmy jeszcze raz.

Abby radziła sobie, poza momentami, kiedy John deptał jej po nogach. Niestety robił to tak często, że był to stały element ich tańca.

- Zaczynamy - odezwał się do niej z uśmiechem. - Mam nadzieję, że nie zادةpczę cię całkowicie.

- Cicho, bo nauczycielka usłyszy - skarciła go wesoło Abby.

- Pewna siebie Paula? - Odezwała się muzyka i John z Abby od razu z trudem nadażali za innymi parami. - Jest zbyt zajęta odliczaniem rytmu - szepnął John. Obrócił Abby, a ona skinęła głową na znak pochwały. - Bardzo ładnie.

- Pewnie, za chwilę będę tańczył na środku, z panią Paulą. - John tańczył teraz trochę mniej krzywo, i wypróbował następną sekwencję kroków bez patrzenia na nogi. W efekcie nadepnął na stopę Abby tak, że jej but poleciał parę metrów w bok.

Paula spojrzała na nich groźnie, tak jak patrzy się na ucznia, kiedy splunie.

- Proszę państwa... - Strzeliła głośno językiem. - Do szeregu, szybko.

Abby zacisnęła usta, ale i tak wybuchnęła śmiechem. Podbiegła drobnym kroczeniem po but, kuląc się, jak gdyby dzięki temu pozostali mieli przestać

na nią patrzeć. Włożyła but, wróciła do Johna, po czym szybko dołączyli do szeregu.

Nic dziwnego, że John nie był zdolny skupić się na nauce tanecznych kroków. Abby wprost promieniowała urodą i szczęściem. Wyglądała, jakby miała o dziesięć lat mniej, a jej oczy błyszczały tak, że był oszołomiony, zupełnie jak przed laty, kiedy zaczęli się spotykać. Dlaczego rok czy dwa temu nie dostrzegałem jej piękna? - dziwił się. Nawet przed trzema laty. Jak mogłem pozwolić sobie na zainteresowanie inną kobietą?

Dlaczego wydawało mi się, że ktoś inny może zająć w moim sercu miejsce Abby?

- O czym myślisz? - szepnęła Abby.

John był wzruszony. Przestał martwić się o to, że nie nadążają z tańcem za innymi parami.

- O tym - odpowiedział - jaka jesteś piękna. Zawsze byłaś najpiękniejszą kobietą na świecie.

- Kocham cię, John - odpowiedziała Abby, rumieniąc się. John zatrzymał się, i Abby, tańcząc, znalazła się naprzeciw niego. Wtedy nachylił się i pocałował ją.

- Dziękuję ci za to, że mnie kochasz - szepnął. Następna para wpadła na nich, a potem ruszyła znowu, obchodząc ich tanecznym krokiem.

- Ruszajcie państwo! - ponagliła Paula, klaszcząc w ręce pod adresem Johna i Abby. - To jest kurs tańca, a nie bal maturalny!

Abby i John znowu dołączyli do tańczących, ale żadna reprimenda instruktorki nie była w stanie powstrzymać ich od wpatrywania się w siebie nawzajem. Nic na świecie nie było dla nich równie ważne. Tańczyli ze sobą - tak jak zawsze pragnęli. Gdyby nie Boża pomoc, kto wie, co robiłoby teraz każde z nich? Czy pośród zamętu w ich sercach wciąż byłoby miejsce na Boga? Z kim dzieliliby dziś łóżko John?

Zadrżał.

Panie Boże, dziękuję Ci, że nie upadłem tak, jak mogłem upaść - pomodlił się. Spraw, proszę Cię, żebym zawsze kochał Abby tak jak w tej chwili. Nie pozwól, żebyśmy kiedykolwiek znowu się od siebie oddalili. Od siebie ani od Ciebie. Proszę Cię.

- Powróż potrójny niełatwo się zerwie - usłyszał w myślach. To był cytat z Pisma Świętego, który Abby i John wybrali do czytania podczas swojego ślubu. Myśl o tym cytacie sprawiła, że John znów nadepnął Abby na nogę, niemal idealnie w rytm muzyki.

Tym razem aż pisnęła i odskoczyła. Kobiety z dwóch następnych par odskoczyły w podobny sposób, sądząc, że należy to do sekwencji kroków ćwiczonego tańca. Kiedy Abby to spostrzegła, straciła panowanie nad sobą.

Śmiała się cicho, lecz tak serdecznie, że nie mogła przestać. Po chwili John także zaczął się śmiać. Paula kilkakrotnie spojrzała na nich, sfrustrowana. Kręciła głową, jak gdyby chciała przez to powiedzieć, że Abby i John nigdy nie będą parą dojrzałych tancerzy. Choćby ćwiczyli i sto lat.

Pod koniec zajęć Abby już utykała.

Ruszyli do samochodu. W połowie drogi John przyklęknął naprzeciw żony.

- Twój rydwan, kochanie - odezwał się, rozkładając ręce.

Roześmiała się perliście, a John napawał się jej śmiechem i bliskością. Postukała go palcami w plecy.

- Nie musisz mnie nosić, John. Poradzę sobie.

- Daj spokój, uszkodziłem ci palce, to mogę cię podrzucić. - Wyciągnął ręce ku nogom Abby, a ona wskoczyła mu na plecy. Na początku zwyczajnie szedł, ale słysząc, że żona śmieje się coraz głośniejszymi głosami, zaczął przyspieszać, aż posuwał się niemal biegiem. Minał samochód i okrążył parking. Była to prawdziwie spontaniczna, pulsująca życiem chwila. Czas zatrzymał się, a oni cieszyli się, że są razem. John wydał indiański okrzyk bojowy, który odbił się echem od ściany szkoły.

- Zastanawiam się - odezwała się Abby głosem zniekształconym z powodu podskoków - co nasza stara Paula pomyślałaby na temat tej figury tanecznej?

John dobiegł w końcu do samochodu i postawił Abby na ziemi koło drzwi. Na parkingu było już pusto - wszyscy dojrzały tancerze pojechali do domów, żeby wypić po filiżance rumianku i położyć się wcześniej spać. Abby oparła się o drzwi, dostała zadyszki od nieoczekiwanej jazdy i śmiechu.

- Co za wieczór! - skomentowała.

John umilkł i przytulił ją. Złączyli się w zmysłowym uścisku i patrzyli sobie w oczy. Wokół panowała cisza, słychać było tylko ściszone odgłosy pojedynczych samochodów na odległej drodze, i jeszcze zniewalający rytm serc zakochanych małżonków. John przesunął delikatnie palcem po brodzie Abby.

- Czuję się jak zauroczony tobą nastolatek.

- Hm. - Abby odchyliła głowę. Miała tak piękne rysy, oświetlone księżycową poświatą! - Może to dlatego, że stoimy na szkolnym parkingu -

odpowiedziała zmysłowym głosem. Ostatnio John często słyszał w nim tę szczególną barwę.

- Nie. - Odchylił głowę, żeby nie zasłaniać księżycowego światła. Pragnął dobrze widzieć twarz Abby, całą. Zapamiętać jak najlepiej ten widok. - To nie dlatego.

- Nie?

- To z powodu ciebie, Abby - szepnął, przesuając lekko palcami po jej ramionach. - Ty sprawiasz, że tak się czuję.

Milczeli długą chwilę, znów tuląc się z miłością. John muskał nosem twarz Abby, z rozkoszą chłonąc zapach jej perfum. Przesunął palcami po jej szyi.

Podniósł wzrok i zobaczył w oczach żony łzy. Przeraził się. Poprzysiągł sobie, że nigdy więcej nie doprowadzi jej do płaczu.

- Co się stało, malutka? - spytał. - O czym myślisz? Po policzku Abby spłynęła łza.

- To cud. To naprawdę niezwykle, co czuję... co oboje do siebie czujemy. Pół roku temu...

Umilkła. Tak było lepiej. John przysunął palec do jej ust.

- Czy mówiłem ci ostatnio, jaka jesteś piękna?

- Tak. - Opuściła lekko głowę i zamrugała powiekami. Była nieco onieśmielona, a z drugiej strony flirtowała z Johnem. Właśnie ten jej gest budził jego zachwyt od ponad dwudziestu lat.

- Kiedy to powiedziałem?

- Podczas kursu tańca, zapomniałeś? - Abby uśmiechnęła się lekko. Jej oczy błyszczały.

- To było dawno temu. - John pocałował ją najpierw w jedną, potem w drugą powiekę. - Chodzi mi o to, czy mówiłem ci to ostatnio?

Po policzku Abby spłynęła druga łza, ale ona roześmiała się cicho i odpowiedziała:

- Chyba nie.

- Jesteś piękniejsza niż słońce, Abby - oznajmił John.

- Piękniejsza niż wiosna. Chcę żebyś to wiedziała, na wypadek gdybym nie mówił ci tego dostatecznie często. Przez całe zajęcia z tańca nie potrafiłem myśleć o niczym innym. - Uśmiechnął się zawadiacko - Cały czas myślałem tylko o...

Umilkł nagle i zbliżył się do Abby tanecznym krokiem właściwym tylko jemu, a potem zaczął ją całować. Marzył o tym od godziny.

Całowali się do utraty tchu, a ich serca biły w przyspieszonym rytmie.

- Hej - John pocałował Abby jeszcze dwa razy - masz ochotę pojechać ze mną do mojego domu? - Patrzył jej głęboko w oczy.

- Mam nadzieję, że nie po to, żeby tam z tobą tańczyć.

- Uniosła lekko brew, jak zawsze, kiedy się z nim przekomarzała. - Mam obolałe stopy.

- Nie... - John ujął Abby leciutko za policzki i uśmiechnął się powoli. - W każdym razie nie będzie to taniec klasyczny.

- Hm... - mruknęła, muskając ustami jego usta, a potem oparła dłonie na jego ramionach i odsunęła go nieco.

- Prowadź. Pan przodem.

Weszli chyłkiem do domu, jak dwoje nastolatków, którzy powrócili do internatu po godzinie zamknięcia drzwi. W rzeczywistości mieli cały dom dla siebie. Sean nocował akurat u kolegi.

Weszli do salonu. Abby od lat nie czuła się tak wspaniale, jak w tej chwili.

- Gdzie nasza sala balowa? - spytała.

- Pokażę pani - odpowiedział John, po czym ujął jej dłoń i poprowadził ją ku schodom i sypialni. - Proszę za mną.

Następna godzina była tak cudowna, że przeszła najśmielsze marzenia Abby. Słyszała od innych kobiet, że po trudnych przejściach w małżeństwie intymne pożycie nie jest już nigdy tak wspaniale jak wcześniej. Szczególnie jeśli mąż miał pozamałżeński romans.

Lecz od chwili kiedy po weselu Nicole John i Abby znaleźli się razem na molo za domem i zrozumieli, że nie mogą od siebie odejść, Abby zdążyła na nowo zakochać się w mężu. Był to prawdziwy cud. Ich związek był teraz bardzo intensywny, pełen fizycznych uniesień. Na nowo rozkoszowali się odczuciami, które tłumili przez minione trzy okropne lata.

Wynagradzali to sobie teraz, kochając się z rozkoszą, ciesząc się ponownym odkryciem czegoś, co mogli utracić na zawsze. Powszechnie uważano, że odbudowa związku po wielu trudnych latach zajmuje co najmniej rok, że jest dla małżonków bardzo trudna - a jednak ich to nie dotyczyło.

Abby całkowicie ufała Johnowi, a on ufał jej.

Zanim zasnęła, John przewrócił się na bok i spytał:

- Czy mówiłem ci ostatnio... - Na jego twarzy tańczyły promienie księżycowego światła.

- Tak... Mówiłeś mi.

- Wiesz, co dzisiejszego wieczoru podobało mi się najbardziej?
Abby także się obróciła, żeby byli skierowani twarzami do siebie.

- Taniec? - spytała.

- Taniec - zawsze. - John roześmiał się cicho. - Ale wiesz, co jeszcze?

- Nie.

- To, że zapomniałem o mojej pracy, przynajmniej na ten jeden wieczór.

- Jest aż tak źle? - upewniła się ze smutkiem Abby. - Jeszcze gorzej. - John przestał się uśmiechać.

- Wiesz, co przeczytałem wczoraj w gazecie?

- Co?

- Rodzice jakiegoś zawodnika szkolnej drużyny koszykówki wytoczyli proces jego trenerowi i domagają się od niego siedmiu milionów dolarów.

- Siedmiu milionów?! - Abby oparła się na łokciu.

- Za co?

- Za zaprzepaszczenie szansy na zrobienie przez ich syna kariery w NBA.

- Jak to? - Przytoczona historia zdawała się nie mieć sensu. - Dlaczego miałyby być to wina trenera?

- Dlatego - odpowiedział z westchnieniem John - że trener przydzielił go do drugiej drużyny, a nie pierwszej.

Abby odjęło na chwilę mowę.

- Żartujesz?

- Nie. - John roześmiał się smutno. - Mówię poważnie. Do tego już doszło, Abby. Czasami wydaje mi się, że nie przetrwam tego sezonu.

- Współczuję ci. - Abby oparła policzek o poduszkę.

- Chciałabym ci jakoś pomóc.

- Ciągle myślę o tym anonimie. Jak bardzo rodzic któregoś z moich zawodników musi chcieć się mnie pozbyć, skoro zwraca się z tym aż do okręgowego wydziału oświaty! - John opadł z powrotem na plecy. - Ja pozwalałam zawodnikom pić i ścigać się samochodami po ulicach? Czy ci ludzie zupełnie mnie nie znają? Nie doceniają wszystkiego, co osiągnąłem dla tej szkoły, odkąd w niej pracuję?

Abby czuła w sercu głęboki ból. Jak mogą podawać w wątpliwość morale Johna? Gdybym tylko mogła, weszła-bym do szkoły, poszłabym do radiowęzła i powiedziała-bym wszystkim uczniom i pracownikom, że trener Reynolds nigdy nie postąpił ani nie postąpiłby nieetycznie w jakiejkolwiek sprawie, która dotyczyłaby zawodników jego drużyny. Zażądałabym uznania jego wysiłków i traktowania go z należnym szacunkiem oraz wdzięcznością!

Nie mogła jednak tego zrobić.

Nie mogła nawet napisać listu w obronie Johna, choć ogromnie pragnęła.

- Jestem w stanie robić tylko jedno - powiedziała. - Ale to coś, co jest najważniejsze ze wszystkiego.

- Modlić się? - John obrócił głowę i znów spojrzał na żonę.

- Właśnie. - Abby przesunęła lekko palcami po jego włosach. - Modlić się o to, żeby Pan Bóg pokazał ci, iż chłopcy wciąż naprawdę cię uwielbiają, że nie graliby w futbol pod kierunkiem żadnego innego trenera.

- Dobrze. - John uśmiechnął się, napięcie widoczne na jego twarzy zmaleło. - Módl się. Tylko dzięki twoim modlitwom trenuję tę drużynę tak długo.

- Wiesz, co myślę? - Abby ułożyła głowę na ramieniu Johna i wtuliła się w niego.

- Pewnie, że obecny sezon będzie dla mnie fatalny?

- Nie. - Położyła dłoń w miejscu, gdzie biło serce jej męża. - Myślę, że zdarzy się coś bardzo doniosłego.

- Na przykład wygramy trzy mecze z rzędu?

- Nie. - Abby parsknęła stłumionym śmiechem. - Coś, co będzie miało wymiar duchowy. Być może Pan Bóg przygotował dla ciebie coś ważnego. Może to dlatego sezon zaczął się tak źle. Niewykluczone, że w tej chwili nie możemy dopasować do siebie elementów układanki, lecz wkrótce zobaczymy całość. Wiesz? John milczał.

- Spisz?

- Nie. Myślę. - Pierś Johna uniosła się mocniej. - Zapomniałem o tym.

- O tym, że Bóg ma dla ciebie dobry plan?

- Mhm. - John zawahał się chwilę. - Musi chodzić o to.

- Tak. Cokolwiek się zdarzy, będzie to coś naprawdę bardzo doniosłego.

- Skąd wiesz?

- Czuję to przez skórę.

- Och. Skoro tak mówisz... - John oddychał teraz wolniej i mówił mniej wyraźnie. Robił się coraz bardziej senny. - Przepraszam.

- Za co?

- Za to, że deptałem cię dzisiaj po nogach.

- Nic się nie stało. Za tydzień będziemy mieli następne zajęcia.

- Kocham cię, Abby. ...branoc.

- Dobranoc... Ja też cię kocham.

Abby zasnęła, z głową na ramieniu Johna. Przed oczami jej wyobraźni przelatywały radosne wspomnienia wydarzeń minionego wieczoru.

Coraz silniej czuła, że Bóg zamierza w jakiś sposób dokonać w liceum Marion czegoś bardzo ważnego. Cze- i gość, co będzie związane z futbolem, rodzicami, a przede i wszystkim z jej wspaniałym mężem, trenerem Johnem Reynoldsem.

RS

ROZDZIAŁ 6

Nicole bała się.

Nie można było tego inaczej nazwać. Weekend, na który przyjechał do rodzinnego domu Kade, był pełen wrażeń. Nicole była po nim bardzo zmęczona, po prostu wyczerpana. Zbyt mocno wyczerpana. Była już środa, zaplanowali sobie z Mattem kolację w restauracji. Nicole włożyła dżinsy i sweterek, ale czuła się, jakby miała ręce i nogi z ołowiu. Każdy ruch wymagał od niej kolosalnego wysiłku.

To nie mogła być grypa. Nicole nie miała gorączki, kaszlu ani dolegliwości żołądkowych. Zapięła spodnie i spojrzała w lustro. Była blada, wprost popielata. Oczywiście zesza jej już opalenizna, jednak Nicole nie pamiętała, żeby kiedykolwiek była taka blada.

Westchnęła. Może to wydarzenia ostatnich kilku miesięcy zaczęły w końcu odbijać się na jej zdrowiu? Wróciwszy z Mattem z podróży poślubnej, natychmiast pomogła mu napisać życiorys i list motywacyjny, który złożył w biurze prokuratora okręgowego. Został zatrudniony, a Nicole pograżyła się w nauce. Próbowwała pogodzić prowadzenie domu z obowiązkami studentki ostatniego roku college'u.

Do tego, wciąż na nowo dyskutowała z Mattem o zbliżającym się rocznym wyjeździe jego rodziców na misje. Jej myśli zaprzętał też Kade, jeden z jej młodszych braci.

Kiedy widziała go w miniony weekend u rodziców, wydawał się jakiś inny. Może po prostu starszy, poważniejszy. Był zamyślony, niecierpliwił się, żeby występować w meczach drużyny Uniwersytetu stanu Iowa. W niedzielę wieczorem przyjechał do Nicole i Matta. Rozmawiali do trzeciej w nocy; Kade zastanawiał się, czy nie popełnił błędu, korzystając ze stypendium na tym uniwersytecie. Wolałby grać w drużynie Uniwersytetu stanu Illinois, bliżej domu.

- Jestem zbyt daleko - powiedział po godzinie rozmowy. Matt położył się już spać, Nicole i Kade rozmawiali sami w salonie. - Czuję się, jakbym wylądował na innej planecie! - narzekał Kade, gestykulując żywo. Siedział na dywanie, oparty o ścianę.

- To tylko dzień jazdy samochodem stąd - pocieszała brata Nicole. Nie chciała, żeby porzucał drużynę z Iowa z powodu tęsknoty za rodzinnym domem. - Pierwszy semestr jest zawsze najtrudniejszy.

- Tak, ale od zawsze moim trenerem był tata! - Kade zgiął w kolanach rozstawione szeroko nogi, od lat tak siadał w czasie poważnych rozmów z Nicole. - Chciałbym przynajmniej widzieć go przy linii bocznej, wiesz? - Oparł łokcie o kolana. - Dopiero pierwszy raz byli teraz z mamą na meczu mojej drużyny.

- Dlaczego wcześniej nie zastanowiłeś się nad drużyną z Illinois? - Nicole czuła, że rozumie brata. - Przysłali ci list, prawda?.

- Tak, nawet kilka. - Kade zmarszczył brwi. - Myślałem, że fajnie będzie mieszkać z dala od domu.

- Może będzie. Jesteś w Iowa dopiero od trzech miesięcy.

- Wiem... lecz teraz chcę być tu. Czy to ma sens?.

Powtarzał wciąż te same myśli, dyskusja nie postępowała naprzód. W końcu Nicole nie pozostawało nic innego niż powiedzieć bratu to, co chciał usłyszeć.

- W takim razie przenieś się. - Roześmiała się smutno. - Bardzo chcielibyśmy, żebyś był bliżej nas, Kade. Moglibyśmy wtedy co tydzień tak rozmawiać.

- Jak za dawnych czasów - dodał z uśmiechem Kade.

- Tak, jak za dawnych czasów.

Wspomnienie rozmowy oddaliło się; Nicole jeszcze raz popatrzyła w lustro. Rano po owej dyskusji z Kade'em miała wykłady, począwszy od ósmej rano. Od tamtego czasu była nieustannie zajęta, o każdej porze dnia i nocy. Nic dziwnego, że była zmęczona. Jej ciało z trudem było w stanie temu sprostać.

Chyba że...

Przełknęła i odwróciła się od lustra, a potem spryskała perfumami szyję. Nie myśl o tym... to niemożliwe. A jednak wciąż myślała o tym samym. Szczególnie w świetle pewnego wspomnienia, które nie chciało odejść w przeszłość.

To zdarzyło się trzy tygodnie po powrocie z podróży poślubnej. Matt i Nicole wspólnie postanowili odłożyć na trzy lata powiększanie rodziny, musieli więc stosować jedną z metod zapobiegania poczęciu dziecka. Chcieli, żeby Nicole skończyła college i podjęła pracę jako nauczycielka. Popracowałyby dwa lata, a potem przez dziesięć lat zajmowałyby się wychowywaniem dzieci. Kiedy podrosną na tyle, że zaczną chodzić do szkoły, wróciłyby do pracy. Jako nauczycielka wracałyby do domu mniej więcej równo z nimi, nie siedziałyby więc w domu same.

Nicole i Matt zaplanowali wszystko na co najmniej dziesięć lat i zamierzali trzymać się swojego planu. Byli więc bardzo ostrożni. Nie tylko dlatego, by udało się go zrealizować, ale i z innego powodu. Powodu, którym Nicole nie chciała dzielić się z nikim. Nawet sama nie potrafiła o nim rozmyślać.

Rozmawiali z Mattem o pigułkach antykoncepcyjnych, jednak Nicole martwiła się o ich skutki uboczne, zdecydowali się więc na prezerwatywy.

- Uczyliście się państwo zapewne w szkole o prezerwatywach? - upewnił się lekarz, kiedy Nicole przyszła na umówioną wizytę, parę dni przed ślubem.

- Tak. To jedna z najskuteczniejszych metod zapobiegania ciąży, prawda?.

- Można tak powiedzieć - zgodził się ze śmiechem doktor. - Ale średnio raz w miesiącu przychodzi do mnie ciężarna pacjentka, której mąż używał prezerwatyw.

Nicole była zaskoczona, ale pomyślała, że lekarz na pewno przesadza. Przecież prezerwatywy muszą być skuteczne, inaczej by ich nie sprzedawano.

A jednak zdarzyło się raz, że...

Parę dni po powrocie z ich podróży poślubnej Matt wrócił nocą z łazienki z wymalowanym na twarzy niepokojem.

- Co się stało? - spytała Nicole, przysiadając na łóżku i osłaniając się kołdrą.

- Zdaje się, że prezerwatywa pękła. - Matt przesunął dłonią po włosach i pokręcił głową. - Myślałem, że to zdarza się tylko na filmach.

Nicole przerażała się. Uspokoiła się jednak zaraz. Na pewno wcale nie pękła! - pomyślała.

- Może tylko tak wyglądała? - wysunęła przypuszczenie.

- Miejmy nadzieję - zakończył temat Matt, wracając pod kołdrę.

Od tamtej nocy minęło już dziesięć tygodni, tymczasem Nicole co parę godzin na nowo przypominała sobie ową krótką wymianę zdań. Nie tylko dlatego, że była bardziej zmęczona niż zwykle, ale i dlatego, że ostatni raz miała okres jeszcze przed ślubem.

Pamiętała, jak mama opowiadała jej kiedyś, jak czuła się w ciąży - od chwili poczęcia nie miała wątpliwości, że rozwija się w niej nowe życie.

Nicole wypatrywała oznak czegoś takiego, lecz nie znajdowała ich. Zawsze miała nieregularne cykle. Czasami zdarzało się, że przez trzy

miesiące z rzędu nie miała okresu. Nie miała więc żadnych szczególnych powodów, żeby myśleć, iż zaszła w ciążę. Czy na pewno?...

Podskoczyła ze strachu. To Matt otworzył drzwi sypialni.

- Jesteś gotowa? - spytał.

- Pewnie. - Uśmiechnęła się mimo woli. - Zaraz zejść. Podczas kolacji była małomówna. W końcu, kiedy

Matt zjadł i odsunął od siebie talerz, popatrzył na nią i odezwał się:

- Nicole, powiedz mi, co się stało.

- Nic - odpowiedziała natychmiast, zbyt szybko. Wbiła spojrzenie w talerz. Zjadła mniej niż połowę cheeseburgera.

- Nic mi nie jest. - Dodała, znów spoglądając w oczy męża.

- Nie wydajesz się zdrowa. Dłużej śpisz, kładziesz się spać wcześniej. Cały czas ziewasz, nie masz apetytu.

- Matt mówił łagodnym, pełnym troski tonem. - Martwię się o ciebie.

Nicole znowu spuściła wzrok. Zaczęła rozgrzebywać widelcem fasolę obok cheeseburgera. Jedzenie wydawało jej się nieświeże i zupełnie nie miała na nie ochoty. Westchnęła. Już czas. Jeśli mamy budować razem małżeństwo oparte na bliskości i zaufaniu, nie mogę ani chwili dłużej kryć przed Mattem swoich obaw.

- Matt - zaczęła z westchnieniem, patrząc mężowi w oczy - możliwe, że jestem w ciąży.

Spodziewała się, że Matt będzie zaszokowany, może nawet posmutnieje. Przecież dziecko w tej chwili oznaczałoby, że ich plan spali na panewce.

- Nicole! - zawołał tymczasem radośnie Matt. - Naprawdę?

- Matt - Nicole zniżyła głos, żeby ludzie przy sąsiednich stolikach nie słyszeli ich rozmowy - za wcześnie na to. Nie możesz się z tego powodu cieszyć.

Matt zaniemówił na chwilę, po czym roześmiał się cicho.

- Mogę. Dzieci to prawdziwy cud, kochanie. Kiedykolwiek się pojawiają.

Nicole była przerażona. Entuzjazm Matta sprawił, że prawdopodobieństwo, iż zaszła w ciążę, wydało jej się znacznie większe niż dotąd. A jeśli naprawdę jestem...? - myślała. Jak mogę zostać matką? Nie skończyłam przecież studiów. A poza tym najbardziej boję się... Nie, nie jestem w stanie nawet o tym myśleć! Dręczyły ją kolejne pytania. Tymczasem Matt położył dłonie na jej dłoniach.

- Kochanie, nie rozumiem - szepnęła. - Martwisz się, bo myślisz, że być może jesteś w ciąży?

- Tak! - odpowiedziała ze łzami w oczach. - Mieliliśmy poczekać cztery lata, zapomniałeś?

- Nie zapomniałem. - Matt cofnął się odrobinę i zamrugał powiekami. - Ale jeżeli już teraz jesteś w ciąży, nie ma powodu się smucić. Pan Bóg zatroszczy się o wszystkie szczegóły. - Ścisnął leciutko jej palce. - Poza tym może wcale nie jesteś w ciąży. Jesteśmy ostrożni.

- Wiem, lecz pamiętasz tę noc, kiedy wydawało ci się, że prezerwatywa pękła?

- Myślisz, że to wtedy?... - upewnił się z troską Matt.

- To możliwe. Lekarz powiedział mi, że takie rzeczy zdarzają się bardzo często. - Nicole spuściła na moment głowę, a kiedy ją znowu podniosła, po jej policzkach spłynęły dwie łzy. - Nie uwierzyłam mu.

- Rozumiem. - Mąż ujął jej dłoń. - Ale kochanie, zawsze mówiłaś mi, że nie możesz się doczekać chwili, kiedy zostaniesz matką. Dlaczego w takim razie płaczesz? Możemy przecież zmodyfikować nasz plan, prawda?

- Pewnie tak.

- To dlaczego płaczesz, kochanie? Nie rozumiem. Nicole miała ochotę schować się pod stół i wtulić się w nogi Matta. Był tak dobrym człowiekiem, pełnym miłości do niej i do dzieci, które będą z czasem mieli. Uspokoila się jednak i postanowiła podzielić się z nim swoimi lękami. Tymi, przez które nie mogła spać, nawet kiedy bardzo potrzebowała snu.

- Chyba dlatego, że się boję - przyznała. Matt popatrzył na nią ze współczuciem.

- Czego? - spytał, zaniepokojony.

Nicole opadła na oparcie krzesła i wypila łyk wody.

- Pamiętasz, co działo się w pierwszej połowie roku, kiedy szykowaliśmy się do ślubu i wesela?

- Oczywiście. - Matt wpatrywał się w żonę, wychyliwszy się naprzód. Opierał się rękami o stół.

- Moi rodzice wyraźnie mieli problemy małżeńskie. - Teraz Nicole ścisnęła lekko palce Matta. - Mówiłam ci chyba, że martwiłam się o nich.

- Mówiłaś. Modliłaś się za nich, a w noc poślubną, kiedy zameldowaliśmy się w hotelu, poczułaś, że Bóg wysłuchał twoich modlitw. Ze wszystko będzie dobrze.

Nicole przytaknęła.

- Od tego czasu wielokrotnie się nad tym wszystkim zastanawiałam i doszłam do wniosku, że może... Nie wiem tego, ale być może małżeństwo moich rodziców wcale nie jest takie, jak się wydaje. Wiesz?

- Rozumiem. - Matt chwilowo wyglądał jak mały, zagubiony chłopczyk. - I co w związku z tym?...

- Chyba doszłam do tego.

- Do czego?

Nicole patrzyła na męża.

- Chyba zrozumiałam, dlaczego moi rodzice w rzeczywistości nie są tak szczęśliwi, jak mi się zdawało.

Matt zamrugał ze zdziwieniem powiekami.

- Mniej więcej miesiąc temu powiedziałaś im, że wyglądają jak świeżo poślubiona para! - zauważył.

- Dopiero później poukładałam sobie wszystko w głowie. Kiedy twoja mama powiedziała raz coś przy kolacji.

- Nicole puściła Matta i znów cofnęła się na oparcie krzesła. Chciałabym, żeby Matt mnie zrozumiał - myślała.

- Teraz już chyba wiem, na czym polega ich problem.

- Na czym?

- Jestem dzieckiem z miodowego miesiąca, pamiętasz?

- Dziwne - myślała Nicole - Matt chyba nie wie, o co chodzi. Muszę wytłumaczyć mu to cierpliwie. - Za wcześnie mieli dzieci.

- Przepraszam cię, Nicole, ale nie rozumiem - przyznał Matt, także cofając się i zakładając ręce.

- Jak możesz tego nie rozumieć? - Nicole uniosła ręce ze zdziwienia. - Moi rodzice nigdy nie przeżyli ze sobą tych kluczowych dla rozwoju swojego związku lat, podczas których mogliby scementować wzajemną miłość.

Matt przyglądał się chwilę żonie, a potem wstał, obszedł stół i usiadł na ławie koło niej. Objął ją ramieniem i przytulił.

- Mam wrażenie, że głęboko się mylisz, Nicole - odpowiedział. - Twój rodzice bardzo się nawzajem kochają. Fakt, że mieli dzieci od razu na początku małżeństwa, nie zaszkodził im. Ani wtedy, ani ostatnio.

Bliskość kochającego męża i jego czuły dotyk sprawiły, że rzeczywistość wydała się Nicole lepsza niż przed chwilą. Przestała obawiać się rozmowy o swoich lękach. Może Matt ma rację? - pomyślała. Od powrotu z podróży poślubnej bez przerwy o tym myślę...

- Uważasz, że im to nie zaszkodziło? - upewniła się.

- Nie. - Matt pocałował żonę w policzek i zaczesał palcami jej włosy za ucho. - Jednak jeśli cię to niepokoi, dlaczego po prostu nie spytasz o to mamy? Powie ci prawdę.

Spytać o to mamę? Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? Zamiast wyobrażać sobie powody, z których moi rodzice mieli w zeszłym roku problemy, mogę po prostu ich o nie spytać. Na pewno nikomu to nie zaszkodzi. Nicole obróciła się nieco w bok, żeby lepiej widzieć męża.

- Dobrze. Spytam ją - zgodziła się.

- A teraz może zapłaćmy rachunek i zrobmy małe zakupy, a potem jedźmy do domu. Musimy chyba coś kupić, jeszcze dzisiaj. Małą rzecz.

Nicole od paru tygodni nie czuła się tak spokojna i pogodna. Wszystko będzie dobrze - mogę liczyć na pomoc Boga, mam wspaniałego męża - myślała.

- Co takiego? - zainteresowała się.

- Test ciążowy - odparł z uśmiechem Matt.

RS

ROZDZIAŁ 7

Internecie można było znaleźć dane na każdy temat.

Abby zebrała już wiele informacji potrzebnych jej do napisania artykułu, ale mogła bez trudu je poszerzyć, korzystając z Internetu. Zalogowała się do sieci i poczekała na połączenie. Po weekendzie spędzonym z Kade'em była tak zajęta pracami domowymi, że dopiero tego wieczoru znalazła czas na ponowne zajęcie się artykułem o pracy szkolnych trenerów. Właściwie poprzedniego wieczoru też mogłaby przeznaczyć nań parę godzin, jednak akurat potrzebował komputera John. Musiał przestudiować nową stronę internetową na której były porady dla trenerów, przykłady defensywnych akcji. Dowiedział się właśnie o niej od jednego z kolegów.

Abby nie sprzeczała się z mężem o dostęp do komputera. Miała jeszcze mnóstwo czasu na dokończenie artykułu.

- Masz nową pocztę - odezwał się syntetyczny głos.

Abby przypomniało się nagle, jak ogromnie wyczekiwała tych słów przed rokiem. W czasie kiedy szybko oddalali się od siebie z Johnem, zmierzając ku rozwodowi. Niemal codziennie wymieniała maile z pewnym mężczyzną, który miał ochotę spędzać z nią czas - z ówczesnym redaktorem naczelnym czasopisma, z którym współpracowała.

Gdyby po ślubie Nicole nie znalazła pamiętnika Johna, nie przeczytała go i nie dowiedziała się, co naprawdę jej mąż myślał o ich małżeństwie oraz o własnych błędach, być może nigdy by mu nie przebaczyła. Prawdę mówiąc, mogłaby właśnie żyć w związku z owym redaktorem.

Na myśl o tym, Abby poczuła mdłości. Szybko porzuciła swoje rozważania. Obecnie niemal wszystkie jej maile dotyczyły spraw zawodowych. Współpracowała od niedawna z kilkoma kolejnymi czasopismami, i ograniczała swoje relacje z redaktorami do czysto zawodowych. Od czasu do czasu otrzymywała maila od jednej z przyjaciółek albo jakiś apel czy informację od którejś z kobiet związanych z jej parafią.

I na tym w zasadzie koniec.

John spędzał teraz przy komputerze więcej czasu, ale nie dostawał żadnych maili. Surfował tylko po sieci w poszukiwaniu nowych futbolowych strategii i zagrywek, które dotąd nie przyszły mu do głowy. Od czasu do czasu zaglądał na stronę, gdzie wystawiano na sprzedaż rancza i mówił Abby, że powinni kupić ze czterdzieści hektarów ziemi w północnej

Montarne. Żartował tylko, chodziło mu przede wszystkim o rozładowanie napięcia - praca dawała mu się we znaki.

Abby przeszła do skrzynki odebranych maili. Pojawiło się ich więcej niż zwykle. Przejrzała listę. Napisali do niej z redakcji jednego z nowych czasopism, i z trzech, z którymi współpracowała dłużej. I jeszcze...

Serce jej zamarło.

Następny mail był zatytułowany: - Więcej podniecenia niż umiesz sobie wyobrazić!. Autorką była niejaka Candy ze strony internetowej o nazwie - Sexy zabawa.

Serce Abby ruszyło z powrotem i kołatało szybko. Przejrzała tytuły pozostałych maili. Przyszło jeszcze pięć podobnych do tego ostatniego, i wszystkie napisały jakieś kobiety, zachwalające strony internetowe, nazywające się w podobnym stylu jak ta pierwsza.

Nie, to niemożliwe! - pomyślała Abby. Wszędzie wokół mówiono i pisano o pornografii internetowej. Dyskutowała z Johnem o tym zjawisku, i żadne z nich tak naprawdę nie rozumiało zainteresowania innych ludzi pornografią. Nie ma mowy, żeby John odwiedzał pornograficzne strony. Raczej. Owszem, surfuje po Internecie, lecz chyba tylko po to, żeby zwiększyć swoją trenerską wiedzę.

Był tylko jeden sposób na sprawdzenie tego.

Abby wykonała kilka kliknięć myszką - przeglądarka zapamiętywała listę pięćdziesięciu ostatnio odwiedzonych stron. Trzy ostatnie były związane z futbolem. Ale reszta listy była po prostu okropna!

Abby ledwie była w stanie przesunąć wzrokiem po nazwach stron, nie mówiąc nawet o wymawianiu ich na głos. Zamknęła oczy. Boże, nie! Niech się tak nie dzieje. Błagam Cię! Przeszli z Johnem tak wiele, ostatnio wydawał się głęboko w niej zakochany... Po prostu nie mógł zafascynować się pornografią. To było niemożliwe.

Jeśli tak, jakie mogło być inne wytłumaczenie tego, co zobaczyła? Poza Seanem tylko ona i John korzystali z Internetu na tym komputerze. A Sean używał komputera tylko do odrabiania lekcji. Abby pomyślała chwilę. Sean nie dotykał komputera od ponad miesiąca. To znaczy, że...

- Boże, nie! - jęknęła na głos. - Ja tego nie wytrzymam! - Zasłoniła twarz rękami. Wcześniej musiała radzić sobie z tym, że jej mąż jest zafascynowany inną kobietą. A teraz to?!

Boże, przeprowadziłeś nas przez tamten trudny okres... - pomodliła się. Dlaczego znowu?

Odczekała chwilę, ale nie usłyszała w myślach żadnej odpowiedzi Boga, nie przyszedł jej do głowy żaden wers z Pisma Świętego. Czuła tylko bardzo nieprzyjemny, narastający skurcz w żołądku.

Otworzyła oczy i jeszcze raz popatrzyła na listę ostatnio odwiedzonych stron. A może to nie są strony pornograficzne? Może to strony dla trenerów, tylko idiotycznie się nazywają? Tak, na pewno o to chodzi. Pot wystąpił jej na czoło i nos. Czuła się zdesperowana, przerażona, zrobiło jej się słabo. Była w szoku, nie potrafiła pogodzić się z nazwami stron, które były wyświetlone naprzeciw niej na ekranie.

Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić...

Kliknęła w pierwszy link, którego tytuł mówił o nagich dziewczynach. Niech to będą informacje dla trenerów... - myślała. O zagrywkach defensywnych. Cokolwiek, byle nie...

Zobaczyła takie zdjęcie, że aż sapnęła, po czym natychmiast odnalazła - X w prawym górnym rogu okna i zamknęła je. To nie była strona dla trenerów, tylko dokładnie taka, jakiej można było spodziewać się pod nazwą, którą przeczytała.

Pornografia.

Zniechęcony kłopotami zawodowymi, zestresowany John musiał późnymi wieczorami zagłębiać się w internetowy świat grzechu. Skurcz w żołądku Abby zmienił się w gniew, a ten - w palącą wściekłość. Jak on śmie?!...

Wyłączyła komputer i obróciła się z krzesłem ku oknu, za którym panowała ciemność. Tej nocy widoczny był jedynie cieniutki sierp księżyca, ale Abby i tak wyglądała na dwór. Co on sobie myśli?! - zastanawiała się. Tak nam dobrze idzie, cieszymy się sobą nawzajem - i jako para przyjaciół, i kochanków. Jak on może...

Nagle przyszła jej do głowy odpowiedź.

A może to dlatego ostatnio Johnowi tak przypada do gustu nasza miłość fizyczna - może on wcale nie myśli o mnie, tylko o tych, tych wszystkich...

Poczuła mdłości. Nie była pewna, czy za chwilę nie wymiotuje. Jak John śmie spać spokojnie na górze, jak gdyby nic złego się nie działo, podczas gdy w rzeczywistości skrywa przede mną tak okropną tajemnicę?! I jak może porównywać moje ciało i moją miłość z obrazkami na ekranie komputera?

Abby ledwie była w stanie znieść opanowujące ją gwałtowne emocje. Smutek, wściekłość, żal. W końcu ufała przecież Johnowi. Wierzyła mu, że chce być jak orzeł - silny mężczyzna u jej boku, dopóki śmierć ich nie

rozłączy. Jeśli tak było, to po cóż zaczęłyby ostatnio eksperymentować z pornograficznymi stronami internetowymi? Szczególnie, że wie od przyjaciół, jak łatwo przy tym wpaść w niszczycielski nałóg!

Abby siedziała w gabinecie przez ponad godzinę, ze ściśniętym żołądkiem. W końcu weszła na piętro i przyjrzała się śpiącemu mężowi. W minionym roku nie miała wątpliwości, że John interesował się inną kobietą. Unikał jej, nie było go w domu długimi godzinami, zdarzały się dziwne telefony - wszystkie znaki na niebie i ziemi mówiły jasno Abby, jak wygląda sytuacja. Ale teraz, ta pornografia... John doskonale zdołał zamaskować swoją nową słabość. Abby zamrugała powiekami. Odrzucał ją niewinny wyraz twarzy Johna.

Położyła się na skraju ich wspólnego łóżka, odwracając się plecami do męża. Zanim zasnęła, myślała tylko o dwóch rzeczach:

Jak możemy w tej sytuacji pozostać razem?

A przede wszystkim - dlaczego mu nie wystarczam?

Zakończył się piątkowy mecz. Prowadzone przez Johna Orły zwyciężyły, zdobywając gola w ostatniej minucie gry. Rozprzestrzeniały się tymczasem plotki o zawodnikach, którzy piją i uczestniczą w nielegalnych wyścigach samochodowych. Było bardzo źle - John niemal słyszał, jak rodzice szepczą o nim niedobre rzeczy.

- Reynolds nie jest takim człowiekiem, jak nam się zdawało...

- Potrzebny jest człowiek o lepszym charakterze niż on... Prawdziwe powody tych przykrych słów były jasne - równie zrozumiałe jak tabela wyników, i ściśle z nimi powiązane. Orły z Marion wygrały zaledwie trzy mecze. To fatalny rezultat w porównaniu z oczekiwaniami wobec drużyny Johna, jakie wcześniej wszyscy żywili. Zwycięstwo naprawdę potrafi zamknąć usta krytykom. A porażka natychmiast powoduje, że stawką w grze staje się trener.

Na trybunach było pełno rodziców, których zdaniem można było szybciej biec po czwartym przyłożeniu albo podać piłkę po pierwszym. Większość z nich uważała, że drużyna będzie zwyciężać tylko wtedy, jeśli na boisku będą występować ich synowie. Ale ci, których synowie grali, widzieli inną przyczynę ich marnej gry - kiepskiego trenera.

W obu przypadkach za zły początek sezonu winiono Johna.

Kiedy wsiadł do autobusu, żeby wrócić z drużyną do Marion, czuł jedynie niewielką ulgę. Wprawdzie zwyciężyli, jednak Jake Daniels wcale nie

myślał o meczu, niezależnie od wysiłków Johna. John widział jego świeżo zakupioną acurę NSX. Rozmawiała o niej cała szkoła.

Krażyły plotki, że Jake zacznie ścigać się swoim samochodem, kiedy tylko zakończy się sezon futbolowy.

John wyglądał przez brudną szybę autobusu i zaciskał zęby. Jak ojciec Jake'a mógł kupić chłopcu taki samochód?! Co on sobie myśli? Jak nastoletni chłopak ma skupić się na nauce i na roli rozgrywającego drużyny futbolowej, kiedy na parkingu czeka na niego jego wyścigowa maszyna?

A poza tym Jake, Casey i jeszcze paru zawodników drużyny coraz mocniej dokuczało Nathanowi Pike'owi i jego kolegom gotom.

John powiadomił dyrekcję o złowieszczym napisie w zeszycie Nathana - - śmierć sportowcom. Podobno dyrektor wezwał Nathana do gabinetu i wypytał go o napis. Nathan zachowywał całkowity spokój, jak gdyby chodziło o błahostkę.

- To tytuł piosenki. - Pokręcił głową pod adresem dyrektora. - Ze też nauczyciele nie mają pojęcia o niektórych podstawowych rzeczach!

Dyrektor nie miał innego wyjścia jak uwierzyć Nathanowi. Udzielił mu ostrzeżenia. Zabronił mu wypisywać w zeszycie śmiertelne groźby pod czyimkolwiek adresem, nawet jeżeli będą to tytuły piosenek. Nathan zaakceptował to i na tym zakończył się cały incydent. Przynajmniej z punktu widzenia dyrekcji szkoły.

Ale w rzeczywistości sytuacja rozwijała się dalej. Nathan i jego ubrani na czarno przyjaciele trzymali się na jeszcze większy dystans od wszystkich innych, rzucali pełne nienawiści spojrzenia. Jednocześnie okrutne, aroganckie zaczepki ze strony Jake'a, Casey'a i paru innych chłopców przybrały na częstotliwości. Czasami pomiędzy obiema grupkami panowało tak wielkie napięcie, że John był pewien, iż dojdzie do jakiegoś aktu przemocy.

Kilka razy odciągał Jake'a i Casey'a na bok i przywoływał ich do porządku, jednak zawsze odpowiadali mu tak samo: - Wygłupiamy się tylko, panie trenerze.

Ich rodzice nie przejmowali się najwyraźniej tym, czy ich synowie dokuczają uczniom w rodzaju Nathana Pike'a. Rodziców Orłów obchodziły tylko wyniki drużyny. Byli zbyt zajęci plotkowaniem na temat Johna i spiskowaniem, aby został zwolniony z pracy, żeby martwić się innymi sprawami. Na trybunach panowała tak negatywna atmosfera, że przez samo to drużyna mogła przegrać większość pozostałych meczów.

Nic dziwnego, że Abby nie chciała pojechać tego wieczoru z Johnem.

To był pierwszy od początku sezonu mecz, jaki opuściła. Przed odjazdem John wpadł na chwilę do domu, w pośpiechu złapał sportową torbę i z powrotem ruszył do wyjścia.

- Jedziesz? - upewnił się. Chciał pocałować żonę w usta, lecz odwróciła się w ostatniej chwili, i chcąc nie chcąc, pocałował ją w policzek. Zdziwił go jej ruch, ale John nie miał czasu się nad nim zastanawiać. Mógł spóźnić się na autobus.

- Dzisiaj nie pojedę - odpowiedziała Abby, zamyślona. Od wtorku wydawała się jakaś dziwna. Jakby rozzłoszczona, choć nie do końca. Raczej po prostu... zatopiona w myślach.

Jazda autobusem zdawała się trwać dłużej niż zwykle. John oparł się wygodnie. Co trapi Abby? - zastanawiał się. Już wiem! Na pewno chodzi o ten artykuł, który pisze. Czasem robi się taka cicha, kiedy zbliża się termin oddania przez nią jakiegoś dłuższego artykułu. Najlepszym rozwiązaniem w takich przypadkach jest danie jej odrobiny spokoju. Niech Abby ma jak najwięcej czasu i miejsca dla siebie, żeby mogła w porę dokończyć pracę. Potem szybko wydobrzeje.

A jednak brakowało mu jej tego wieczoru. Zawsze lepiej prowadziło mu się drużynę, kiedy wiedział, że Abby siedzi gdzieś na trybunie za jego plecami. Nawet jeśli wszyscy inni na niego narzekali, Abby zawsze mu kibicowała. Szczególnie cieszyłaby się dzisiaj, kiedy Orły wygrały mecz.

John przeciągnął się. Dość negatywnych myśli. O Jakeu Danielsie, Nathanie Pike'u, skarżących się na mnie rodzicach. To wszystko tylko element sezonu, który minie. Będę modlił się za swoich uczniów i szukał okazji, żeby nawiązać z nimi prawdziwy kontakt. Ale kiedy kończy się dzień mojej pracy, muszę pozostawić za sobą szkołę i wszystko, co z nią związane. Ostatnio uczę się tej umiejętności.

Zycie jest zbyt krótkie, żebym przenosił kłopoty zawodowe do domu. Szczególnie kiedy z Abby układa mi się tak cudownie, że aż nie do wiary!

Kiedy wrócił do domu, była już prawie dwudziesta trzecia. Światło było zgaszone. Abby musiała zakończyć pracę i położyć się spać. John zamknął za sobą drzwi wejściowe i wszedł trzy schodki w górę. Wtedy usłyszał głos żony:

- John... Tu jestem.

Zmrużył oczy, po czym zapalił światło w przedpokoju.

- Abby? Co ty robisz?

- Modłę się... Chodź tu, dobrze? Musimy porozmawiać.

John nie wiedział, czy ma czuć się zaszczycony, czy też niepokoić się. Abby specjalnie czekała na niego długo w pobliżu drzwi, chciała z nim porozmawiać. Jednak ton jej głosu był ponury. John odstawił na bok torbę i usiadł w fotelu naprzeciw żony.

- Co się stało?

- To. - Abby schyliła się i podniosła z podłogi jakiś papier. Poruszała się jak stara kobieta. - Znalazłam to kilka dni temu, ale zastanawiałam się długi czas, jak poruszyć tę sprawę.

Jaką sprawę? - dziwił się John. O czym ona mówi? Wziął kartkę i spojrzał na nią w słabym, wpadającym z przedpokoju świetle. Zobaczył, co jest na kartce i natychmiast poczuł skurcz w żołądku.

- Skąd to się wzięło? - spytał. Zbliżył kartkę do oczu, aby łatwiej mu było czytać.

Patrzył na listę tytułów pornograficznych stron internetowych. Było ich chyba ze dwadzieścia, następowały jeden po drugim. Na górze strony John zobaczył adres internetowy, którego używali wspólnie z Abby. Nagle zrozumiał, o co chodzi żonie. Tkwiła tu, czekając na niego w ciemnościach, ponieważ znalazła tę listę w domowym komputerze. Oczekiwała wyjaśnień.

Nie odzywała się, kiedy John czytał kartkę. Podniósł wzrok, serce biło mu bardzo szybko.

- Wydrukowałaś to z naszego komputera? - upewnił się.

- Tak. - Abby założyła ręce, kuląc się. - Tylko ty i ja używamy komputera, John. Chyba nie dziwisz się, że chcę z tobą pomówić - oznajmiła łamiącym się głosem.

John miał ochotę krzyczeć. Czy ona naprawdę myśli, że oglądam w wolnym czasie pornografię w Internecie?! Tyle mam problemów z uczniami i swoją drużyną; musiałbym chyba zupełnie zwariować, żeby jeszcze zacząć zajmować się internetowymi sprośnościami! W tej sytuacji, kiedy jestem mężem jedynej kobiety, jaką kiedykolwiek kochałem?!

Sama myśl o tym była dla niego odrażająca.

- Myślisz, że to ja odwiedzałem te strony? - John przyłożył dłoń do piersi.

- A co innego mam myśleć?

John zmiażdżył kartkę i cisnął nią o ścianę, a potem wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Abby, czy ty oszalałaś? Nigdy w życiu nie patrzyłem na żadną pornograficzną stronę internetową! - Ton głosu Johna był bardzo ostry. - Jak mogłaś pomyśleć coś takiego?!

- Nie okłamuj mnie, John! - Abby była najwyraźniej równie rozgniewana jak on, choć nie wstawiała z fotela. ~ Ostatnio surfujesz po Internecie częściej niż zwykle, i zawsze późno w nocy. Dlaczego?

John patrzył na żonę, oszołomiony.

- Ty naprawdę wątpisz w moje słowa!... Po wszystkim, przez co przeszliśmy, nadal mi nie ufasz!

- Ufałam ci! - Abby zniżyła głos, lecz wciąż mówiła z wielką powagą i zdecydowaniem: - Tylko że trzy lata temu też ci ufałam. A ty spędzałeś każdy ranek z Charlene.

John pobladł.

- Jak możesz to przywoływać, Abby! - John aż zgiął się wpół, wyrzucając z rozpaczą gniewne słowa: - W tamtych czasach oboje źle postępowaliśmy, ale zamknęliśmy już ten rozdział! Zapomniałaś?

- Tak myślałam - odparła Abby ściszone nagle głosem. - Dopóki nie zobaczyłam tej listy.

John poczuł się, jak gdyby żona wymierzyła mu policzek. Czuł się urażony, był wściekły, nie wiedział, co powiedzieć. Opadł z powrotem na fotel i ukrył twarz w dłoniach.

- Wcale nie znasz mnie lepiej niż rodzice moich zawodników!

Abby nie odpowiedziała. Przez chwilę oboje milczeli.

Ta historia przeglądarki musiała skądś się wziąć - myślał John. Nie wątpię, że Abby nie oglądała pornograficznych stron internetowych, ale ja też tego nie robiłem. Jak śmie mnie o to oskarżać, skoro powiedziałem jej, że nigdy w życiu nie patrzyłem na taką stronę?!

Boże, podpowiedz mi odpowiednie słowa! Jak Abby może nie wierzyć mi w tej sprawie?

Miłość nie unosi się gniewem... - usłyszał w myślach.

Boża odpowiedź sprawiła, że opuścił go gniew. John zgarbił się i pokręcił głową. Oczywiście, że Abby mi nie wierzy. Po tym jak spędzałem tyle godzin i dni z Charlene... jak okłamywałem Abby w czasie, kiedy nasze małżeństwo zmierzało ku rozpadowi...

Po raz pierwszy odkąd pogodzili się z Abby, John zdał sobie sprawę z pewnej rzeczy.

Dopiero za parę lat każde z nas poczuje się znowu całkowicie bezpieczne. Bez względu na to, jak dobrze będzie się między nami układało. Grzech zawsze ma swoje konsekwencje. Jednymi z nich są obecne wątpliwości Abby.

- Nic nie powiesz? - odezwała się w końcu. - Chodziłam z tą kartką przez dwa dni, zastanawiając się, dlaczego ci nie wystarczam! - Rozpłakała się. Nie łkała w gniewie ani nie lała rześzystych łez, tylko wydawała krótkie, bezgłośnie okrzyki rozpacz, od których Johnowi ścisnęło się serce.

John zsunął się na dywan i na kolanach podszedł do nóg żony.

- Abby... - szepnął. Dotknął jej brody, żeby Abby patrzyła mu w oczy. - Przysięgam ci na wszystko, na co tylko można, że tego nie robiłem. Nigdy w życiu nie patrzyłem na pornograficzną stronę internetową. Przenigdy.

Abby pociągnęła nosem i otarła dłonią policzki. Nie odzywała się, ale John czytał odpowiedzi z jej oczu. Widział w nich wątpliwości, lęk, niepokój. Myśli o tym, że ich małżeństwo znowu się rozpada.

Boże, udziel mi mądrości! - pomodlił się. Musi być jakieś wytłumaczenie faktów!

Minęły dwie sekundy, potem trzecia - i nagle już wiedział. Odpowiedź przyniosła mu jednocześnie wielką ulgę i głęboki ból. Wątpliwości Abby rozwieją się, ale wyglądało na to, że mają kłopot, którego się nie spodziewali.

- Zapomniałaś? - Wciąż patrzyli sobie w oczy. - W weekend był u nas Kade. Aż do poniedziałkowego popołudnia.

Abby przez chwilę zastanawiała się nad znaczeniem słów Johna. Wyraz jej twarzy zmienił się. Opuścił ją gniew, a w jego miejsce pojawił się smutek i poczucie winy, tak głębokie, że w sercu Johna wezbrało współczucie.

Abby otworzyła w końcu usta.

- Kade? - szepnęła.

- Był u nas. Nie jestem pewien, czy siedział przy komputerze, ale musiał. Bo ja oglądałem tylko strony dla trenerów - zapewnił John, patrząc żonie prosto w oczy. - Znalazłem trzy.

Abby popatrzyła w ciemność. Po długiej chwili spojrzała znów na Johna i przypomniała:

- W niedzielę wieczorem Kade był u Nicole. Ale w sobotę... w sobotę był u nas. O pierwszej w nocy jeszcze nie spał; wiem, bo wstałam i...

- I co? - spytał John, ujmując dłonie żony.

- Zeszłam na dół, żeby napić się wody. - Abby miała łzy w oczach. - Kade siedział przy komputerze. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki w połowie schodów, kiedy wracałam na górę, nie usłyszałam klikania. Zupełnie o tym zapomniałam.

John milczał. Cóż mógłby powiedzieć? Wątpliwości Abby zabolowały go do żywego, jednak nie mógł zaprzeczyć, że zasłużył sobie dawniej na nie. Na szczęście nigdy w życiu nie miał ochoty oglądać internetowej pornografii. A jednak nie mógł mieć żalu do Abby o to, że uważała za możliwe, iż to robił.

- John... - Abby ujęła męża za policzki i popatrzyła mu w oczy. - Tak bardzo cię przepraszam! Jak mogłam pomyśleć, że...?

- Cśś... Nie przejmuj się tym, Abby. - John oparł skroń o głowę żony i delikatnie pogłaskał ją po włosach. - To moja wina. Gdybym nigdy w życiu cię nie zawiódł, nie miałybyś takich wątpliwości.

- Idiotka ze mnie. - Abby załkała z całych sił i przytuliła męża. - Dlaczego najpierw nie spytałam cię o tę sprawę, tylko od razu zaczęłam cię oskarżać?

- Już dobrze... - W sercu Johna zagościł pokój. Moja Abby! - myślał John. Stara się, żeby w naszym małżeństwie się układało, nie chce wracać do trudnej przeszłości. Na moment straciła do mnie zaufanie, lecz to nic dziwnego, biorąc pod uwagę wszystko, przez co przeszliśmy. - To oczywiste, że jeszcze nie raz będziesz miała wątpliwości na mój temat. Nie ma o czym mówić. Wystarczy.

Abby z wysiłkiem wyprostowała plecy; miała przekrwione oczy, oddychała szybko i nierówno.

- Nie chcę nigdy więcej wąpić w twoją wierność, John - odpowiedziała, pociągając nosem. Pokręciła głową i mówiła dalej, niemal szeptem: - To nie jest dobre. Nasz związek jest zbyt cenny, żebyśmy marnowali go na wzajemne podejrzenia.

Rzeczywiście. Nie da się umacniać miłości i pomnażać radości, jaka towarzyszy nam od kilku miesięcy, jeśli nie będziemy sobie nawzajem ufać - pomyślał John. Nagle przyszło mu do głowy, czy Abby nie niepokoiła się o jego wierność już wcześniej.

- Czy już miewałaś ostatnio wątpliwości na mój temat? - spytał.

- Nie... - Abby zaczęła kręcić głową, jednak nagle umilkła. - Właściwie... czasami. - Westchnęła i milczała dłuższą chwilę. - Chyba zastanawiam się, czy pewnego dnia na horyzoncie nie pojawi się następna Charlene i czy w przyszłości będę ci wystarczała. Czy będziesz uważał mnie za dostatecznie ładną, inteligentną, młodą...

John miał ochotę uklęknąć, ale ponieważ już klęczał, odpowiedział tylko:

- Zawsze mi wystarczałaś, Abby. To nie ty byłaś nie w porządku, to życie oddaliło nas od siebie. Brak czasu, różne sprawy... Dopuszciliśmy do tego, żeby to wszystko nas rozdzieliło.

- Wiem. - Głos Abby stał się spokojniejszy. - Lecz zawsze będą istnieć kobiety takie jak Charlene.

- Nigdy więcej, kochanie. Pamiętasz, jak to jest z orłami?

- Mówisz o pracy maturalnej Kade'a? - Abby spojrzała z ukosa na męża. - Pisał, że para orłów wiąże się ze sobą na całą resztę życia. Samiec fizycznie trzyma samicę, kiedy ta spada w stronę ziemi. Woli zginąć razem z nią, niż ją puścić.

- Właśnie. - John pogładził żonę po ramionach i uniósł dłonie ku jej policzkom. - Trzymam cię mocno, jak nigdy.

- Pochylił się naprzód i pocałował Abby w czoło. - Nic nie zdoła sprawić, żebym cię puścił. Nic.

Abby zsunęła się na krawędź fotela i przytuliła Johna.

- Wierzę ci - powiedziała. - Od dnia ślubu Nicole wierzę ci. Moje wątpliwości... nie wiem, chyba są po prostu głupie.

John zastanowił się głęboko. Jeśli mam być do końca uczciwy, muszę powiedzieć Abby, co o tym myślę - stwierdził - a jest jeszcze pewna sprawa...

- Tu chodzi nie tylko o ciebie - odezwał się. Abby cofnęła się.

- Nie tylko o mnie? - upewniła się, spoglądając mu w oczy.

- Nie tylko ty masz głupie wątpliwości. Abby popatrzyła łagodniej.

- Naprawdę?

- Tak. - John spuścił na moment wzrok. Tak dobrze nam się ostatnio układało! - myślał. Nie miał ochoty przyznać się do swoich przelotnych zmartwień - nawet przed samym sobą. - Zastanawiam się czasami, co by się stało, gdybym nie wrócił tu owej nocy po weselu Nicole. - powiedział w końcu.

- Przecież byłem spakowany, zamierzałem opuścić cię na zawsze. Tylko Bóg był w stanie sprawić, że zatrzymałem samochód i wróciłem. - Zagryzł wargi. - Ale gdybym tego nie zrobił? Czy spotykałabyś się teraz z tym wydawcą albo była z nim w czymś na kształt związku przez Internet?

- Nie powinnam była pozwalać, abys odszedł. - Abby przesunęła palcami po włosach Johna, patrząc na niego błyszczącymi oczami. - Wtedy nie musiałbyś zadawać sobie i mnie takich pytań.

- Nie martwię się o to, jak będziesz postępowała teraz. Tylko o przeszłość. O to, co byłoby z nami, gdybym nie wrócił.

Teraz to Abby oparła głowę o skroń męża. Tulili się ciepło dłuższą chwilę. Wreszcie Abby opadła z powrotem na oparcie fotela i zauważyła:

- I tak mamy problem.

John doskonale potrafił czytać w jej myślach. Tak samo obecnie, jak i w czasach, kiedy była jeszcze nastolatką.

- Chodzi ci o Kade'a?

- Tak. - Abby zmrużyła oczy. Była trochę rozzłoszczona, lecz przede wszystkim zakłopotana. - Dlaczego on to robi? Przecież nie tak go wychowaliśmy. To paskudztwo zniszczy jego życie.

- Porozmawiam z nim.

- Przez telefon? A jeśli wszystkiemu zaprzeczy? Faktycznie, to nie jest rozmowa na telefon - pomyślał

John. Sprawa jest zbyt poważna.

- W drugim tygodniu listopada będą mieli przerwę w rozgrywkach. Niech Kade przyleci do nas. Porozmawiam z nim wtedy.

- A może wpadł w nałóg? To się nader często zdarza... Wolałabym nie czekać.

- Nie musimy. - John znowu ujął dłonie żony, składając je pomiędzy swoimi. - Jest coś, co możemy zrobić od razu.

Łącząc dłonie, Abby i John złączyli i serca w modlitwie za najstarszego syna. Opuściwszy głowy, poprosili Boga, żeby Kade mówił prawdę na temat swojego postępowania, i żeby był otwarty na rozmowę z Johnem o stronach internetowych, na które zaglądał.

Wreszcie modlili się o to, żeby udało im się wspólnie przezwyciężyć problem, zanim będzie za późno.

John czuł, że emocjonalna wspólnota z Abby przepelnia całe jego jestestwo.

ROZDZIAŁ 8

Pewna siebie Paula bez wątpienia ich wyrzuci! - stwierdziła Abby, kiedy tylko zobaczyła w drzwiach szkoły Jo i Denny'ego. Nadeszła pierwsza sobota listopada. Abby zaproponowała teściom Nicole uczestnictwo w kursie tańca - zupełnie jakby deptanie Johna po jej nogach nie dostarczało wszystkim dość rozrywki. Umówiła się z Jo i Dennyem przy wejściu.

John miał na sobie eleganckie spodnie i koszulę koloru khaki, Abby włożyła sukienkę; tak samo ubierali się do kościoła. Uczyli się w końcu tańca klasycznego, co według Abby wiązało się z elegancją i dobrym gustem. Nawet jeśli mąż deptał jej po palcach.

Tymczasem Jo i Denny wyglądali, jakby przyszli na wiejską zabawę.

Abby początkowo ogarnęło współczucie, jednak stwierdziła, że rodzice Matta nie dostrzegają, iż ubrali się nieodpowiednio. Być może oni nigdy nie widzieli prawdziwego balu ani tańca klasycznego? - myślała. Tak, możliwe, że nigdy w życiu nie byli w sali balowej...

Denny miał na sobie kowbojskie buty z czubkami i czarny cylinder, Jo ubrała się w obcisłą różowo-czarną minispódniczkę, pasującą do niej różową bluzkę z frędzlami i różowe kozaki.

- Czy nie mówiłaś im, jak powinni się ubrać? - szepnął na ich widok John, nachylając się do ucha żony.

Abby zamachała na powitanie do Jo.

- Myślałam, że sami będą wiedzieć.

- Nie uważasz, że instruktorka będzie mieć coś przeciwko, że zaczynamy dopiero teraz, i w ogóle? - odezwała się Jo, znalazłszy się obok Abby i Johna.

- Nie - uspokoił John, ruszając z Dennyem w stronę sali. - Kurs jest otwarty i nie ma ustalonego początku ani końca. Nie cieszysz się? - rzucił w stronę Denny'ego.

Denny uśmiechnął się krzywo.

- Stawiam, że będzie beczka śmiechu - odpowiedział, dla ilustracji obracając palec w powietrzu.

- Przestań. - Jo posłała mężowi kuksańca w bok. - Przecież uwielbiasz ze mną tańczyć. Słyszysz?

Paula biegała tu i tam po sali, rozmawiając z kolejnymi parami kursantów. Uśmiechnęła się także do Abby i Johna.

- Witam państwa ponownie. Widzę, że przyprowadzili państwo swoich... - Przyjrzała się Jo i Denny'emu i umilkła na chwilę, marszcząc brwi. - Coś podobnego! Tak nieodpowiedni strój!... - mruknęła półgłosem, ale tak, żeby Jo i Denny słyszeli. Pokręciła głową, po czym ruszyła na swoje miejsce.

Jo aż zapłonęła gniewem. No, to się zaczyna! - pomyślała Abby, ujmując dłoń Johna. Patrzyła na Jo i czekała, co będzie dalej.

- Proszę, co za śmiałość! - syknęła Jo, obracając się na pięcie. - O co tej kobiecie chodzi? - spytała, unosząc brwi.

- O nic - uspokoił John, gładząc ją po ramieniu. - Ta pani bardzo poważnie podchodzi do swojego zajęcia.

Jo zaparła się pod boki. Abby wydało się, że widzi, jak na szyi matki Matta jeżą się włosy.

- Ja podchodzę poważnie do łowienia ryb - wypaliła Jo ~ jednak to nie znaczy, że wbijam haczyki w początkujących wędkarzy!

Pary ustawiły się w szeregu, a Paula przygotowała nagranie. Abby i John stanęli obok Jo i Denny'ego.

- A poza tym sama to jak wygląda?! - zauważyła głośno Jo. - Ubrała się w obcisły kostium z lamparta, w tym wieku!

- Jo... - próbował uspokoić żonę Denny, trącąc ją lekko w bok.

- Co? Przecież wygląda jak idiotka. - Jo wbiła spojrzenie w plecy instruktorki, jak gdyby chciała przepalić ją promieniami lasera. - Niech no lepiej nie patrzy na mnie więcej takim wzrokiem, bo inaczej... - Zerknęła na Denny'ego i uspokoiła się odrobinę. - Nieważne, przepraszam. - Uśmiechnęła się lekko do Abby i Johna. - Trochę mnie poniosło.

- Rzeczywiście. - Denny przeprosił spojrzeniem za zachowanie Jo. - Poruszyło ją to do żywego.

- Nie przejmuj się, Jo - odezwała się z uśmiechem Abby, ściskając dłoń Johna. Zastanowiła się, co zrobiłaby w tej sytuacji Nicole. Wzięła głęboki oddech i wciąż ciepło się uśmiechając, spytała: - Słuchaj, jak idą wam przygotowania do wyprawy misyjnej? Nadal chcecie spędzić cały rok w Meksyku?

- Oczywiście! - Jo przestała marszczyć brwi. - Już nie możemy się doczekać. Tam są malutkie dzieci, którym potrzeba kogoś, kto by je kochał - no a ja z Denny'm jesteśmy do tego odpowiednimi ludźmi. A poza tym bosko będzie się nam łowiło tam ryby. - Mrugnęła jednym okiem do męża. - Zupełnie jakbym umarła, i Pan Bóg czekałby na mnie u bram nieba z nowiutką wędką i kołowrotkiem!

Zajęcia jeszcze się nie zaczęły - jedno z małżeństw rozmawiało z instruktorką. John szturchnął Denny'ego w bok i poradził:

- Uważaj na nogi Jo. Po pierwszych zajęciach musiałem wynieść Abby na rękach!

- Nieee! - Jo klepnęła Johna w ramię. - Zwinny rozgrywający z drużyny Uniwersytetu stanu Michigan, gwiazda futbolu? Nie wierzę.

- Naprawdę - potwierdziła ze śmiechem Abby, krzywiąc się lekko. - Ciągle mam posiniaczone palce.

- Widzieliście ostatnio nasze dzieciaki? - spytała Jo, następnie uniosła wysoko ramiona, opuściła je, a potem wyprostowała ręce ponad głowę. Rozciągała się jak do aerobiku. Dwie znajdujące się w pobliżu pary zwróciły na to uwagę i zaczęły szeptać między sobą.

- Eee... - Abby próbowała przypomnieć sobie pytanie Jo. - Tak. Wczoraj wpadła na chwilę Nicole.

- No i co myślisz?

Denny popatrzył na żonę ze zdumieniem. Najwyraźniej nie po raz pierwszy nie wiedział, o czym mówiła.

- Co myślę?

- O Nicole - sapnęła Jo. - Czy ona nie promienieje szczęściem?

Abby zastanowiła się.

- Chyba nie zwróciłam na to uwagi.

- Kursanci! - Paula klasnęła w ręce. - Proszę bardzo, ustawiamy się równo! Zróbmy szybki przegląd kroków, których uczyliśmy się w zeszłym tygodniu. Gotowi? Raz, dwa i... - Włączyła muzykę.

Abby i John ruszyli. Przetanączyli walcem pół sali, po czym John nadepnął Abby na nogę.

- Auuu! - krzyknęła, potykając się lekko; udało jej się jednak nie wypaść z rytmu. Okrążyli walcem całą salę. - Nieźle - pochwaliła męża. - Ładnie dojrzewasz - dodała z uśmiechem.

- O Jo i Dennyem nie można tego powiedzieć - stwierdził John, zerkając ponad plecami żony. Abby obróciła głowę i omal nie potknęła się po raz drugi.

Jo i Denny pozostawali niepomni na polecenia Pauli. Objęli się nawzajem i wykonywali taniec country, unosząc wysoko nogi i przytupując. Cóż z tego, że wokół wszystkie pary tańczyły walca?...

- Paula ich wyrzuci! - skomentowała z przerażeniem Abby.

- Chyba nie - odparł John, którego oczy błyszczały szczęściem. - Cały czas na nich patrzy. Jest tak zaszokowana, że nic nie mówi.

W rzeczywistości Paula nie reagowała na wyczyny Jo i Denny'ego mniej więcej do połowy zajęć. A konkretnie do momentu, kiedy w środku cichej, tkliwej melodii Jo wydała energiczny, kowbojski okrzyk.

Instruktorza poprawiła słuchawki, klasnęła w ręce i powiedziała:

- Kursantom nie wolno krzyczeć. Proszę tańczyć tak jak para przed państwem. Inaczej będę musiała państwa wyprosić.

Jo rzuciła jej gniewne spojrzenie, a potem krzyknęła jeszcze raz, tak samo jak poprzednio. Tyle że tym razem Denny zasłonił jej usta pod koniec okrzyku.

- Coś takiego. - Abby z trudem powstrzymywała głośny śmiech i zerkała ponad ramieniem Johna, obserwując scenę. - Ona przechodzi samą siebie!

- To ty ją zaprosiłaś - przypomniał John, spoglądając z udawanym oburzeniem na żonę. - Ja domyśliłbym się, że może zdarzyć się coś podobnego.

- Oj, przestań. Jo po prostu przeżywa silniejsze emocje niż większość ludzi.

- Tak. Podobnie jak tornado jest silniejsze od powiewu. Jo i Denny tańczyli tymczasem polkę. Jednocześnie

Denny szeptał coś Jo na ucho. W jej oczach pojawiło się coś na kształt wstydu, następnie wydała się nieco spokojniejsza. Abby była pod wrażeniem. Denny potrafił wywierać przemożny wpływ na żonę.

Do końca zajęć Jo i Denny tańczyli polki albo tańce country. Wydawali się Abby jak gdyby zatopieni we własnym świecie. Ani razu nie spróbowali kroku jakiegokolwiek klasycznego tańca.

Wreszcie zdyszane pary opuściły salę. Większość zatrzymała się w pobliżu drzwi, żeby odpocząć.

- Ta instruktorka chyba coś do mnie miała! - odezwała się do męża Jo.

- Nie... Poważnie tak myślisz? - Denny objął żonę za szyję i przyciągnął ją do siebie, szczerząc zęby do Abby i Johna.

- A poza tym dlaczego uczyła nas jakiegoś tańca dla dziadków i babć? Ktoś powinien zabrać ją do sali, gdzie ludzie tańczą normalne country. Zobaczyłaby, że można się wyluzować, a nie chodzić z nadętą miną i...

Denny znowu zasłonił żonie usta.

- Jo chciała powiedzieć, że dziękuję wam za zaproszenie nas - odezwał się do Abby i Johna. - Świetnie się bawiliśmy.

Abby stłumiła śmiech. Nagle coś jej się przypomniało.

- Pytałaś wcześniej o Nicole. O czym mówiłaś?

Jo zaczęła odpowiadać, ale dłoń Denny'ego zniekształciła jej słowa. Roześmiał się i puścił żonę.

- Dziękuję! - burknęła, unosząc brwi. - Mówiłam, że Nicole promienieje bardziej niż pstrąg tęczy - odpowiedziała Abby - bo może tego nie zauważyłaś.

- Wygląda na tak zakochaną? - upewniła się Abby, zastanawiając się, co może mieć na myśli Jo.

- Nie. - Jo wychyliła się naprzód, jak gdyby chciała podzielić się jakąś ściśle tajną informacją. - Po prostu promienieje szczęściem!

- To znaczy... - Abby nie mogła się doczekać wyjaśnienia słów Jo. To niemożliwe - myślała. Czyżby ona próbowała zasugerować, że...

- Słuchaj - Jo wyprostowała się znowu - Nicole to dziecko z miodowego miesiąca, prawda?

John przestąpił z nogi na nogę i spojrzał na zegarek. Tak robiła Abby, kiedy chciała mu przekazać, że ma ochotę zakończyć jakąś rozmowę. Jednak Abby pragnęła, żeby Jo powiedziała, o co jej chodzi.

- Zgadza się.

- A dzieci z miodowego miesiąca rodzą dzieci z miodowego miesiąca - oznajmiła z uśmiechem Jo. - Tak to już jest!

- Jo, co ty mówisz? - skomentował z uśmiechem John. - Uważasz, że Nicole jest w ciąży?

- Nie tak prędko. - Jo uniosła dłoń, zadarła nosa i zastrzegła się: - Ja tego nie powiedziałam.

Abby poczuła skurcz w żołądku. Gdyby Nicole była w ciąży, nie powiadomiłaby przecież o tym najpierw Jo czy Denny'ego. Chociaż... Ale może nic takiego im nie mówiła. Mógł im to powiedzieć...

- Czy wiesz o tym od Matta? - spytała.

- Nie, nic z tych rzeczy. Dzieciaki nie pisnęły nawet słowa. Mam tylko przecucie. - Jo postukała się palcem w skroń. - A poza tym widzę, jak ostatnio promienieje Nicole.

John lekko pociągnął Abby za ramię. Zrobiła kilka drobnych kroków w tył.

- Musimy lecieć. Nie przypuszczam, żeby Nicole była w ciąży. Zaplanowali z Mattem poczekać z tym dłuższy czas.

- Chyba wszyscy tutaj wiemy, jak udają się tego rodzaju plany - zauważyła poważnie Jo, spoglądając na Denny'ego. Popatrzyli na siebie z lekkim smutkiem. Abby miała ochotę porozmawiać z nią dłużej, ale naprawdę się spieszyła. Pożegnali się więc.

Wieczorem Abby pomagała Seanowi zrobić indiański szałas, który jej najmłodszy syn musiał skończyć na poniedziałek. Nie mogła przestać myśleć o tym, co powiedziała Jo. Kiedy szałas był gotowy, Abby skinęła na Johna i razem wyszli tylnym wyjściem prowadzącym nad jezioro.

Bez słowa zeszli na molo. Zawsze tak robili, kiedy coś trapiło jedno z nich.

Doszli na sam koniec molo i usiedli na ławeczce, którą ustawił tam przed trzema miesiącami John. Abby milczała chwilę, spoglądając na połyskującą na wodzie wstęgę księżycowego światła. Uwielbiała to jezioro i ogromnie cieszyła się, że mieszkają nad nim całą rodziną już od czasu, kiedy dzieci były małe. Ileż to lat minęło od dnia, kiedy maleńka córeczka Abby i Johna, Haley Ann, umarła nagle we śnie...

Za każdym razem, gdy Abby siadała z Johnem na końcu molo, wspominała ich młodszą córeczkę, której popioły rozsypali nad wodą, właśnie z tego miejsca. Przychodzili tu od lat, aby dzielić się nawzajem radościami i smutkami, jakie przynosiło im życie. Byli tu i po tym jak matka Abby zginęła w wyniku uderzenia tornada, w Barneveld... i kiedy ojciec Johna umarł na zawał serca... byli, gdy trenowane przez Johna Orły pierwszy raz zdobyły mistrzostwo stanu... i kiedy miał już dość skarg i narzekań rodziców swoich zawodników.

Siedzieli w milczeniu, do czasu aż spontanicznie zaczęli rozmawiać. A gdy już wszystko omówili, John ujmował dłoń Abby i kołysali się razem, w przód i w tył. Był to swoisty taniec, którego nie trzeba było się uczyć. Musieli za to wyteżać słuch, aby słyszeć szum drzew wokół molo, granie świerszczy, szept wiatru i skrzypienie desek. I jeszcze ciche refreny powtarzających się wspomnień.

- Słyszysz? - pytał w takich chwilach John.

Abby opierała policzek na jego piersi i mruczała z zadowoleniem.

- To muzyka naszego życia - szeptała.

- Tańcz ze mną, Abby - prosił John. - I nigdy nie przestawaj.

Abby otworzyła usta i rozkoszowała się chłodnym, nocnym powietrzem, oddychając powoli. Było wilgotne, temperatura nie była wysoka. Czuło się, że nadchodzi zima. Niedługo trzeba będzie w takie wieczory ciepło się ubie-

rać. Abby przeczuwała, że czeka ją z Johnem kilka długich rozmów na molo - kłopoty jej męża w pracy nie ustawały, oboje martwili się także postępowaniem Kade'a.

Spojrzała Johnowi w oczy i ujęła jego dłoń. Mąż odpowiedział jej spojrzeniem.

- Zastanawiam się, czy Kade się przyzna - odezwała się po chwili.

- Pewnie tak. - John popatrzył ponad wodą. - Zwykle niczego przede mną nie kryje.

- Wiem, ale...

- Myślę, że wszystko mi powie.

- Niepokoję się o to.

John delikatnie pogładził kciukiem dłoń żony.

- A ja nie - uspokoił. - To dobry chłopak, Abby. Cokolwiek ogląda w Internecie... Wątpię, żeby wpadł w nałóg.

- Masz rację. Ale jeżeli zdenerwuje się, kiedy dowie się, że znamy jego tajemnicę? - Abby próbowała rozluźnić ściśnięte mięśnie brzucha. - Martwię się, żeby nie pogorszyło to naszych relacji z Kade'em. Ani nie oddaliło go od Boga.

- Abby... - John stanął naprzeciw małżonki i spojrzał na nią łagodnie, ze spokojem, zrozumieniem, pewnością siebie. Tak samo patrzył na dzieci, kiedy nadciągała potężna burza. - Modlimy się o Kade'a przez całe jego życie. Pan Bóg nie pozwoli mu tak łatwo odejść.

- Rzeczywiście - zgodziła się Abby, kiwając głową. Skurcz w jej żołądku zelżał.

- Czym jeszcze się martwisz?

- Naprawdę dobrze mnie znasz...

- Znam cię. - John pokazał zęby w uśmiechu, który uwielbiała. - Czym się martwisz?

- Mówiłeś mi o pewnym uczniu. Pamiętasz? Nazywa się Nathan Pike.

Abby naprawdę martwi się dzisiaj, czym tylko można - pomyślał John. Nie przeszkadzało mu to jednak. Był przyzwyczajony do podobnych rozmów. - Nagłe strzały nerwów - tak określał samopoczucie żony.

- Trudno, żebym o nim zapomniał - odpowiedział. - Codziennie siedzi naprzeciw mnie w klasie.

- Nie podoba mi się ta sprawa. - Serce Abby gwałtownie przyspieszyło. - Niepokoję się o niego. A jeśli popełni jakieś szaleństwo?

- Nie popełni. To nie jest chłopak w typie tych, którzy kupują broń i strzelają. - John puścił dłoń Abby i splótł palce z tyłu głowy. - Nathan pragnie zwrócić na siebie uwagę, to wszystko. Ubiera się jak kot, wypisuje od czasu do czasu złowieszcze groźby - właśnie to są jego sposoby na to, żeby ktoś go wreszcie zauważył.

- Nie podoba mi się to - powtórzyła Abby.

Znów umilkli. W górze śmignął orzeł. Zniżył lot i sunął chwilę ponad wodą, a potem zanurkował, wyłowił rybę i wzleciał z nią ponad kępę drzew.

- Pewnie znosi pożywienie do gniazda - skomentował John, patrząc za odlatującym ptakiem.

- Pewnie tak... - Abby odchyliła głowę. Była pełnia, blask księżycy przyćmiewał światło gwiazd. Abby uspokajała się. John ma rację - myślała. Z Kade'em będzie wszystko w porządku; i z tym Nathanem także. A nawet z drużyną Orłów. Pan Bóg jakoś rozwiąże wszystkie problemy.

- Jak myślisz - spytała znowu - Nicole chyba nie jest w ciąży?

John wstał i przeciągnął się, obracając tułów najpierw w prawo, potem w lewo. Energicznie wyrzucił z płuc powietrze, a potem wyciągnął rękę w stronę żony.

- Nie, nie przypuszczam. Przecież postanowili na pewien czas poczekać z dziećmi.

- Wiem. - Abby uchwyciła mocno dłoń męża, a on pomógł jej wstać. - Ale jeżeli Jo ma rację? Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, myślę, że Nicole rzeczywiście cała promienieje.

- Moja droga - John przytulił żonę - możesz być pewna, że gdyby Nicole była w ciąży, powiedziałaaby o tym najpierw Mattowi, a potem tobie. Po prostu jest szczęśliwa, to wszystko. Nic dziwnego, że promienieje.

- Masz rację - zgodziła się Abby. Zawahała się. - Ale gdyby jednak była w ciąży - to by było coś! Zostalibyśmy dziadkami.

- W takim wypadku musiałbym chyba naprawdę dojrzeć - skomentował ze śmiechem John.

Abby przyglądała się z bliska mężowi. Na jego czole rysowały się delikatnie zmarszczki, na skroniach pojawiły się pierwsze oznaki siwizny.

- Starzejemy się - powiedziała. - To dziwna myśl.

- Dziwna? - John przytulił ją. - Nie wiem; to miłe.

- Tak - zdecydowała Abby, wyobrażając sobie, jak tańczą na molo, tuląc się, roześmiani, zakochani i odnajdujący w sobie nawzajem siłę. - Sympatycznie będzie starzeć się razem z tobą.

- Któregoś dnia postawimy sobie na molo bujane fotele.

- Kiedy nie będziemy już mieli siły tańczyć, będziemy mogli kołysać się razem w fotelach.

- Właśnie. - Kąciki ust Johna uniosły się w uśmiechu, i Abby poczuła na plecach dreszcz.

- Pamiętasz naszą pierwszą randkę? - spytała.

- Przyjechałaś z rodzicami na mecz mojej drużyny, do Michigan. Wreszcie! - zaznaczył John, unosząc brwi.

- Miałam wtedy siedemnaście lat. - Abby spuściła oczy, przypominając sobie, jaką nieśmiałą dziewczyną była w owym czasie. Ich rodzice znali się od niepamiętnych lat, lecz John był od niej starszy, i Abby nie sądziła, że może zwrócić na nią uwagę - aż do czasu tamtego pamiętnego meczu. - Skąd mogłam przypuszczać, że John Reynolds, rozgrywający Rosomaków, gwiazda futbolu, będzie chciał się ze mną spotykać?

- Postanowiłem to już dwa lata wcześniej. - John przesunął delikatnie palec po brodzie żony. - Czekałem tylko, aż dorośniesz.

- Teraz nasze role się odwróciły.

- Doprawdy?

- Uhm. Ostatnio ja czekam, aż ty dorośniesz. - Abby wesoło kopnęła męża w kostkę. - Przynajmniej na parkiecie.

- Kiedy trzeba, umiem tańczyć - oznajmił John, spoglądając na jezioro. Napawał się chwilę pięknem ulubionego miejsca, a potem zaczął się powolutku kołysać. Znów popatrzył żonie w oczy, charakterystycznym spojrzeniem, jakie towarzyszyło jej od lat. - Tańcz ze mną, Abby.

- Z tobą - zawsze - odpowiedziała na jego czułe słowa Abby, czując, że jej serce ogarnia niezmierny spokój i radość. - Bez przerwy i bez końca - szepnęła, kołysząc się razem z Johnem.

Oparła głowę na jego ramieniu i czuła, że każde uderzenie serca męża dodaje jej sił. Tańczyli razem, do muzyki, którą okazał się odległy krzyk jastrzębia i chlupot wody omywającej brzeg ich posiadłości. Abby zamknęła oczy. Jakież byłoby moje życie bez Johna? - myślała. Nie moglibyśmy przychodzić razem tutaj, na nasze ukochane molo, w miejsce gdzie leżą pod wodą prochy naszej córeczki i gdzie wyznaliśmy sobie nawzajem tyle uczuć i trosk. Nie byłoby takich nocy jak dzisiaj...

Abby nie umiała sobie tego wyobrazić.

Nie dało się zaprzeczyć, że oboje robili się coraz starsi. Pewnego dnia, kiedy już przestaną żyć życiem dziadków, a nawet pradziadków, muzyka umilknie. Taniec dobiegnie końca. Było to nieuniknione.

Abby jeszcze raz przyłgnęła policzkiem do piersi Johna, rozkoszując się jego bliskością. Dzięki Ci, Panie Boże - pomodliła się w duchu. - Dziękuję, że ocaliłeś nas przed tym, czego o mało nie zrobiliśmy...

Późno w nocy, tuż przed snem, Abby pomodliła się znowu, słowami, które w ostatnich miesiącach często powtarzała:

Panie, nigdy w życiu nie kochałam Johna mocniej niż teraz. Proszę Cię, pozwól nam cieszyć się jeszcze tysiącem tak cudownych nocy, jak dzisiejsza. Tak bardzo Cię proszę!

RS

ROZDZIAŁ 9

Trudna rozmowa z Kade'em miała odbyć się w sobotnie popołudnie. John już dawno wszystko zaplanował, choć oczywiście jego syn o tym nie wiedział. Poprzedniego wieczoru Orły wygrały mecz, więc poranny trening przebiegał gładko. Kade przyjechał popatrzeć i spotkać się z dawnymi kolegami z drużyny.

- Wiesz, tato, chyba rzucę kilka piłek nowicjuszom - powiedział w pewnej chwili i odszedł na sąsiednie boisko, gdzie trenowały młodsze Orły.

John przyglądał się synowi z oddali. Kiedy tylko Kade wszedł pomiędzy chłopców z drugiej drużyny i rezerwowych, zebrali się wokół niego. Podawali mu ręce i patrzyli na niego jak na idola. Pojawienie się rozgrywającego z ważnej uniwersyteckiej drużyny, Kade'a Reynoldsa, było dla nich wydarzeniem tygodnia.

- Uwaga! - odezwał się znowu John do swoich zawodników. - Ustawcie się i próbujemy jeszcze raz. Chcę, żeby tym razem obrońcy stanęli ramię w ramię. Macie wyglądać jak mur, a nie płot z tyczek. Zapamiętajcie to!

Kiedy drużyna rozpoczęła ćwiczenie, John zerknął jeszcze raz na sąsiednie boisko. Kade rzucał piłkę, a młodzi skrzydłowi próbowali ją złapać. Przerzucał ich; piłka śmigła tak wysoko, że nawet John otworzył usta z podziwu. Chłopak ma potencjał! - pomyślał. Rozpierała go duma.

A mimo to po południu Kade nie będzie odbierał od niego pochwał za doskonałe umiejętności sportowe. John zamierzał porozmawiać z nim jak ojciec z synem, i bynajmniej nie o talencie do rzucania piłką.

Panie, podpowiedz mi odpowiednie słowa - pomodlił się. To, w jaki sposób przeprowadzę dzisiejszą rozmowę z Kade'em, może wpłynąć na całe jego życie.

Dwie godziny później kończyli lunch w domowym salonie. Abby pojechała z Seanem do sklepu, trzeba było kupić mu nowe korki do piłki nożnej. Wybrała na zakupy właśnie to popołudnie, żeby John i Kade zostali sami.

Kade ruszył w stronę telewizora.

- Czas zobaczyć, jak tam futbolowa sobota - powiedział. Jednak zanim sięgnął po pilota, John chrząknął i odpowiedział:

- Wypłynęmy zamiast tego łódką na jezioro. We dwóch. Kade zawahał się chwilę.

- Dobrze - zgodził się, wzruszając ramionami - czemu nie? Mogę obejrzeć potem wiadomości sportowe, i tak zobaczę najciekawsze momenty meczów.

Dzień był wyjątkowo ciepły jak na tę porę roku, jak gdyby jesień starała się za wszelką cenę oddalić zimę. Cienka warstwa chmur przysłaniała słońce, ale nie padało. Popołudnie świetnie nadawało się do tego, żeby spędzić parę godzin na wodzie.

Na początku John i Kade rozmawiali o błahostkach. Wspominali wesoło czasy, kiedy Sean był czterolatkiem. Pewnego dnia Abby pojechała na zakupy, a John został z dziećmi. Grał z Nicole i Kade'em we frisbee na schodzącym ku jezioru trawniku za domem. Sean wymknął się tymczasem, założył kamizelkę ratunkową, wsiadł do rodzinnej łódki wiosłowej i odwiązał cumy. Zanim John zdał sobie sprawę, że Sean zniknął, dryfująca łódka z jego dzieckiem zdążyła już wypłynąć sto metrów w głąb jeziora. Sean stanął na dnie łodzi i zaczął wołać o pomoc.

- Byłem przerażony! - przyznał ze śmiechem John, wiosłując energicznie.

- Myślałeś, że Sean się utopi?

- Nie żartuj! Przecież miał na sobie kamizelkę ratunkową. A poza tym już umiał pływać. Bałem się mamy. - John mrugnął do syna porozumiewawczo.

- Zabiłaby mnie, gdyby wróciła do domu i zobaczyła, że Sean siedzi samotnie w łódce na środku jeziora!

Jezioro stanowiło własność prywatną, podzieloną pomiędzy posiadaczy nadbrzeżnych działek. Linia brzegowa miała w sumie długość pięciu kilometrów. Tego dnia na wodzie widać było jedynie kilka łodzi, w pobliżu najbardziej odległego brzegu. John wypłynął jeszcze nieco dalej, a potem wyciągnął z wody wiosła.

Kade oparł się wygodnie i skierował twarz ku przysłoniętemu cienkim welonem chmur słońcu.

- Już zapomniałem, jak tu przyjemnie. Cicho, spokojnie. Miałeś dobry pomysł, tato - pochwalił, uśmiechając się do ojca.

- Na jeziorze łatwiej mi rozmyślać - odpowiedział John. - Albo przeprowadzić poważną rozmowę - dodał z wahaniem.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym Kade wychylił się naprzód i spojrzał ojcu w oczy.

- Czy chciałbyś porozmawiać ze mną o czymś, tato? - Tak.

- Co się stało?

John przyglądał się synowi, szukając na jego twarzy jakiejś oznaki... zrozumienia czy też poczucia winy. Kade patrzył jednak na niego z dziecięcą

ufnością. John poczuł gniew. Czyżby Kade tak przyzwyczaił się do oglądania pornografii, że nie uważa tego za coś złego?!

Panie Boże, proszę Cię, podpowiedz mi odpowiednie słowa - pomodlił się po raz ostatni przed rozmową z synem. Oparł ręce o kolana, spojrzął Kade'owi głęboko w oczy i wyjaśnił:

- Po twojej ostatniej wizycie znaleźliśmy z mamą w komputerze adresy podejrzanych stron internetowych w historii przeglądarki.

- Podejrzanych?

- Właściwie gorzej niż podejrzanych. - John musiał się starać, żeby zachować spokój na twarzy. - To była lista stron pornograficznych, Kade.

- Pornograficznych? - Kade zmarszczył brwi. - Chcesz powiedzieć, że oglądałem pornografię w Internecie?

John poczuł chwilowe wątpliwości.

- Synku, zastanów się - odpowiedział. - Mama myślała, że to ja odwiedziłem te strony - ale ja wiem, że tego nie zrobiłem. Mama też nie, bez dwóch zdań. Sean od miesiąca nie siedział przy komputerze, a poza tym korzysta z ustawień użytkownika, które nie pozwalają mu na dostęp do takich stron. I co mam w tej sytuacji myśleć?

Kade otworzył na chwilę usta. Widać było po jego oczach, że toczy wewnętrzną walkę z sobą samym. Miał ochotę zaprzeczyć wszystkiemu, podnieść głos na ojca, krzyknąć, żeby nie wtrącał się w nie swoje sprawy i nie śledził innych. Jednak z każdą mijającą sekundą gniew Kade'a słabł. Zastępowała go mieszanina emocji, z których najsilniejszą było widoczne na zewnątrz poczucie winy. Łatwo było Johnowi je rozpoznać, ponieważ nie tak dawno sam wyglądał podobnie jak jego syn w tej chwili.

Kade milczał.

- Mam rację, prawda? - spytał John, ścisząc głos do zwykłego poziomu.

Kade westchnął ze zmęczeniem i spuścił głowę.

- Musimy o tym porozmawiać, synu. Kiedy zacząłeś to robić?

Kade zgarbił się, a potem podniósł głowę.

- Nie tylko ja oglądam takie rzeczy w Internecie. Wszyscy chłopcy to robią - bronił się, zakładając ręce.

Patrzył śmiałym spojrzeniem, niemal hardo. Zaniepokoiło to mocno Johna; żadne z jego dzieci nie reagowało nigdy w taki sposób.

- Być może to prawda, Kade - odpowiedział - ale to i tak zło. Wiesz o tym lepiej niż twoi koledzy z drużyny.

- To tak, jakby się miało wirtualną dziewczynę - tłumaczył Kade, wyrzucając ręce w powietrze. - Nie rozumiesz, tato? - W jego głosie było słycać napięcie. Rozejrzył się, jakby mogło pomóc mu to znaleźć sposób na przekonanie ojca. - Bez zobowiązań, bez emocjonalnego związku, bez seksu... - Zarumienił się. - To znaczy w każdym razie bez prawdziwego seksu...

- A jednak to niemoralne, synu. I mnóstwo ludzi popada w obsesję na punkcie pornografii.

- Dobrze, to powiedz mi, co mam robić? Jestem chrześcijaninem, więc nie wolno mi uprawiać seksu aż do ślubu, niezależnie od tego, za ile lat się ożenię. Jestem futbolista, więc nie mam czasu na związek z dziewczyną. A nawet gdybym go miał, nie mam pieniędzy. - Kade sapnął ze złością. - Nie rozumiesz? Internet rozwiązuje te wszystkie problemy, wystarczy kilka kliknięć. Kiedy tylko mam ochotę, mogę mieć to, czego pragnę. Poza tym lepsze to niż żeby jakaś dziewczyna zaszła w ciążę.

Teraz John miał ochotę krzyczeć.

- Nie ma w tym nic lepszego! - Czy Kade'owi naprawdę wydaje się, że pornografia to nic wielkiego? Czy zwyczajnie studentów jego collegeu wystarczyły, żeby tak szybko odszedł od wszystkiego, czego uczyliśmy go w domu?! - rozpacział w duchu. - Dla Pana Boga pornografia jest równie zła jak pozamałżeński seks. To, to samo, Kade.

- To nie to samo! - zaprzeczył ze złością Kade. - Nie biorą w tym udziału inni ludzie. To tylko zdjęcia, tato.

- Owszem. - John oparł się o dziób łodzi. Serce biło mu bardzo mocno. - Zdjęcia innych ludzi.

Kade umilkł na chwilę. Złość na jego twarzy zelżała nieco.

- Płacą im za to. To ich wybór.

- Zastanów się nad własnymi słowami, synku. Czy myślisz, że te kobiety lubią zarabiać na życie w ten sposób? Część z nich to niewolnice. Żyją przykute kajdankami do łóżek, ciągle słyszą groźby, są zmuszane do robienia okropnych rzeczy przez bandytów, którzy celują w nie z pistoletów. Inne to nastolatki, które uciekły z domu, ledwie nauczywszy się prowadzić samochód. Desperacko szukają sposobu na przeżycie na ulicach miast. Część to narkomanki, które popadły w tak silne uzależnienie, że zrobią wszystko, żeby kupić następną dawkę. - John zrobił pauzę i spytał ciszej, głosem pełnym smutku: - Czy chcesz wspierać finansowo działalność, która tak wygląda?

- Chłopcy rozmawiają o tym, jakby nie było to nic złego... - odpowiedział Kade, nerwowo wykręcając ręce. Znowu opuścił spojrzenie. - Wydawało mi się przeważnie... że mają rację.

- Oczywiście, że tak ci się wydawało. - John patrzył synowi głęboko w oczy, pragnąc, aby go zrozumiał. - Szatan chce, żebyś tak właśnie myślał. - Och, to tylko stos fotografii, nic wielkiego. Jednak takie zdjęcia prowadzą w określonym kierunku, Kade. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym?

- W jakim znowu kierunku? - spytał Kade, podnosząc wzrok.

- Zdjęcia prowadzą do filmów, a potem... Bardzo szybko i filmy przestają wystarczać. - Kade skrzywił się, a Johna kolejny raz ogarnęło przerażenie. - Filmy też oglądasz?

Kade spojrzał na jeden brzeg jeziora, potem drugi.

- Oglądałem tylko kilka. Czasami po treningu chłopcy umawiają się u kogoś w akademiku. Mają parę filmów, no i...

John poczuł się, jak gdyby łódka zniknęła nagle, a on - zaczął tonąć. Jakby zalała go dziwna woda, z której nie był w stanie się wydostać.

- Filmy też bardzo szybko przestają wystarczać - ostrzegł.

- Potem dochodzi do korzystania z usług prostytutek.

- Nie! Tego nigdy nie robiłem - odpowiedział natychmiast Kade.

- A twoi koledzy? Kade zawahał się.

- Kilku... próbowało raz czy dwa. Przed rozpoczęciem sezonu. - Na czoło Kade'a wystąpił zimny pot. - Ale ja nie, tato. Przysięgam!

Problem był o wiele poważniejszy, niż John sądził. Boże, proszę Cię, podpowiedz mi coś, co go przekona! - pomodlił się.

- Pornografia to oszustwo, synu.

- Oszustwo? - Kade był bez wątpienia skruszony, lecz John czytał z oczu syna, że wciąż nie zdaje sobie sprawy z powagi omawianego problemu.

- Tak. Sprawia, że kobiety wydają się niczym więcej niż obiektami seksualnymi, których jedynym celem istnienia jest sprawianie przyjemności mężczyznom. To oszustwo, prawda? - spytał John, spoglądając z ukosa.

- Tak, chyba tak.

- Chyba? - John zacisnął zęby. - Pomyśl o swojej siostrze... albo o dziewczynach, z którymi się umawiałeś. Jak byś się poczuł, gdybyś wykonał kilka kliknięć myszą i zobaczył na ekranie komputera ich rozneglizowane zdjęcia?

- Tato! - Kade zmrużył oczy. - Jak możesz mówić coś takiego?!

- Cóż, dziewczyny, które oglądasz, też są czyimiś bliskimi. Czyimiś siostrami i córkami. W wielu wypadkach także matkami. Czyimiś przyszłymi żonami. Dlaczego traktowanie ich w taki sposób miałoby być dobre? Oto pierwsze kłamstwo - sapnął John - pornografia głosi, że kobieta to tylko ciało.

Kade podniósł wzrok. Czyżby zaczął słuchać mnie z uwagą czy tylko mi się zdaje? - zastanawiał się John.

- Drugie oszustwo pornografii - kontynuował - to twierdzenie, że grzeszne postępowanie może przynieść prawdziwą satysfakcję seksualną. - John popatrzył na chwilę w niebo. Chmury rozstępowały się. I nagle dokładnie wiedział, co powiedzieć. Spojrzał synowi w oczy i wyjaśnił: - Dla ciała może być i przyjemne, ale nie dla duszy. Nie można doznać prawdziwego zaspokojenia bez bliskości.

- Bez prawdziwego seksu?

- Nie. Bliskość i seks to dwie różne rzeczy. Bliskość... to więź, którą Bóg łączy małżonków. Rodzi się ona przez lata dbania o związek, dzielenia się wspólnymi sprawami, lata rozmów i wspólnego rozwiązywania problemów. Lata poznawania drugiej osoby lepiej niż kogokolwiek innego w życiu. Seks z tak bliską osobą przynosi prawdziwe spełnienie. Każdy inny może być tylko czymś mniejszym. Jest oszukiwaniem siebie i innych.

- Twój romans z panią Denton też? - spytał Kade, rzucając Johnowi wyzywające spojrzenie.

Johnowi zapało dech w piersiach. Jak to?! Czy Kade wie, że omal nie zacząłem sypiać z Charlene Denton? Była to koleżanka z pracy Johna - uczyli w tej samej szkole. Flirtowała z nim przez całe lata, bez zahamowań kusząc Johna, mimo że oboje pozostawali w związkach małżeńskich. Po jakimś czasie Charlene rozwiodła się, i odtąd często przychodziła do sali Johna.

Wyprowadziła się ostatecznie, ale w ciągu poprzedzającego to wydarzenie roku Kade parokrotnie zastał ją w sali, w której uczył jego ojciec. John zawsze znajdował jakieś wytłumaczenie sytuacji. Raz Kade zobaczył ich, kiedy trzymali się za ręce. John skłamał wtedy, mówiąc, że modlił się razem z panią Denton... To było okropne... Tak czy owak, John do tej pory sądził, że syn mu wierzył.

- Mój romans z panią Denton? - powtórzył John, w desperacji próbując zyskać choćby kilka sekund. Wyraz twarzy Kade'a powiedział mu, że jego

synowi od samego początku nie podobała się jego relacja z nauczycielką z ich szkoły.

- Nie żartuj, tato. Przecież wszędzie byliście razem. Rozmawiali nawet o tym chłopcy z naszej drużyny. Pani Denton przychodziła na nasze treningi i stała koło ciebie, przychodziła do twojej sali... Nie jestem aż taki głupi.

John poczuł się, jakby miał za chwilę umrzeć.

- Jak to możliwe, że nigdy wcześniej nie rozmawiałeś ze mną o tym?

- Tłumaczyłeś mi, że to tylko twoja przyjaciółka, że potrzebuje twoich modlitw. - Kade wzruszył ramionami.

- Chyba po prostu chciałem w to wierzyć.

Podniósł się lekki wiatr i John w jednej chwili przestał udawać.

- Cała moja relacja z panią Denton była niewłaściwa - przyznał. - Była złem, oszustwem, tak samo jak pornografia jest oszustwem.

- Sypiałeś z nią?!... - jęknął Kade. Wydawał się bliski płaczu.

- Nie. - John zastanowił się, czy powiedzieć synowi, że dwa razy całował się z Charlene. Nie było jednak potrzeby opowiadania o tym. Cała sprawa była już dla Johna dawno zamknięta. - Robiłem rzeczy, z których nie jestem dumny, synu. Ale nigdy z nią nie spałem, nie przekroczyłem tej granicy.

- A więc to prawda... - Kade pokręcił głową. Zgarbił się znowu i spoglądał na Johna z obrzydzeniem, a może z rozpaczą w oczach. - Chłopcy bez przerwy mi w związku z tym dokuczali. Mówiłem im, żeby spadali, odczepili się. Tłumaczyłem, że moi rodzice są inni, że się kochają. A tymczasem ty... cały czas... To wszystko jeden wielki żart!

- Kade, zagalopowałeś się trochę. Oceniasz mnie niesprawiedliwie.

- Jak to niesprawiedliwie?! Pornografia nie jest jedynym oszustwem na świecie. Ty i mama też oszukujecie siebie i innych! Wszystko to jest kłamstwem!... Skoro tak, po co w ogóle...

- Przestań! - John pochylił się naprzód, aż jego kolana dotknęły kolan syna. - Słuchaj, miłość, bliskość moja i mamy jest prawdziwa. Przeżywaliśmy małżeńskie kłopoty, to prawda. Jednak wyszliśmy z nich obronną ręką, jeszcze silniejsi niż dawniej. Jeszcze mocniej ze sobą związani. A wiesz... dlaczego wcześniej oddaliliśmy się z mamą od siebie? - spytał, spoglądając Kade'owi głęboko w oczy.

Jego syn milczał, wydymając zaciśnięte usta.

- Dlatego, że zapomnieliśmy właśnie o bliskości. O budowaniu związku. Przestaliśmy ze sobą rozmawiać i dzielić się naszymi myślami i zmartwieniami. Dopuszciliśmy do tego, że życie kierowało nami,

najważniejszą rzeczą w naszym związku stał się rozkład zajęć każdego z nas. I przez to o mało nie zaprzepaściliśmy miłości, największej, jaką znam - poza miłością Boga. - John roześmiał się nerwowo. - Wiedz, synku, że nasz związek z mamą jest najprawdziwszy na świecie. Za to moja relacja z Charlene Denton - to było oszustwo! Co dzień dziękuję Bogu, że pozwolił mi to zrozumieć, zanim było za późno. Za to, że pomógł mamie i mnie przypomnieć sobie o tym, jak ważna jest prawdziwa bliskość dwojga ludzi.

Kade wyprostował się odrobinę, choć wciąż marszczył brwi - nie pozbył się do końca wątpliwości.

- Czy to znaczy, że teraz pomiędzy tobą i mamą wszystko jest w porządku?

- Jest lepiej niż w porządku, o wiele lepiej. Kochamy się chyba bardziej niż kiedykolwiek. - John ścisnął lekko syna za ramię. - Martwimy się tylko o ciebie.

- Nic mi nie jest.

- To nieprawda. Jeśli w to uwierzysz, jeżeli będziesz oszukiwał samego siebie, mówiąc sobie, że wirtualna rzeczywistość może przynieść ci satysfakcję, to jak zdołasz później kiedykolwiek nawiązać głęboką relację z prawdziwą kobietą?

- To co innego.

- Pewnego dnia poznasz kogoś, i ta dziewczyna będzie chciała dobrze poznać ciebie. Wiedzieć o tobie wszystko. Jeżeli dowie się, że fascynowałeś się pornografią internetową, pewnie cię rzuci. Któraż dziewczyna pragnie dorównywać pornograficznym zdjęciom? A poza tym nie szanowałyby cię. Jak mogłaby szanować mężczyznę, który postrzega kobiety jedynie przedmiotowo, widząc w nich niewolnice seksualne?

Wyraz twarzy Kade'a zmienił się teraz zdecydowanie. Słucha mnie - stwierdził z całą pewnością John.

- Prawdziwy związek wymaga pracy, synu - mówił dalej. - Długich godzin i dni zbliżania się do drugiego człowieka. To właśnie prawdziwa miłość, prawdziwa bliskość. Jeśli przyzwyczaisz się do myśli, że praca w tym kierunku nie jest ważna, to po pierwsze sprzeciwisz się wszystkiemu, co zaplanował dla Ciebie w życiu Bóg, a co więcej stracisz szansę na doświadczenie największego daru, jakiego nam udzielił. Daru prawdziwej miłości.

- Naprawdę myślisz, że to grzech?

- Tak. Z całą pewnością tak - odpowiedział pewnym, lecz spokojnym tonem John.

Kade odwrócił wzrok.

- Rozmawialiśmy o tym, to znaczy rozmawiałem o tym z kilkoma kolegami. Mówili, że przecież nie ma żadnego problemu, bo dziewczyny same się godzą, żeby robić im te zdjęcia, i że naprawdę nie robimy nic złego.

- Kade nachmurzył się. - Ale gdzieś w środku... chyba zawsze wiedziałem, że to nie może być prawda.

- Kolejnym niebezpieczeństwem jest pokusa powrotu do twojej słabości, za każdym razem kiedy poczujesz się sfrustrowany prawdziwym związkiem.

Kade westchnął.

- Pozostaje pytanie, jak trudno będzie ci przestać. - John znowu oparł się o dziób łodzi.

Kade zmrużył oczy, spoglądając w stronę odległej kępy drzew.

- Trudno.

John poczuł się jak trafiony kamieniem.

- A czy... próbowałeś już z tym zerwać?

- Raz... - Kade miał taką minę, jakby znów stał się ośmioletnim chłopcem.

- Ale mam w pokoju w akademiku komputer i... nie wiem. Człowiek się przyzwyczaja.

Dopiero teraz John zrozumiał, dlaczego tak łatwo uzależnić się od internetowej pornografii. Przecież komputery są wszędzie, dostęp do Internetu można uzyskać równie łatwo jak nawiązać rozmowę telefoniczną. Jeżeli ktoś raz zacznie oglądać pornograficzne strony i dozna w związku z tym przyjemności, jego ciało będzie domagało się większej.

- Są specjalne filtry przeciwko stronom pornograficznym - odezwał się znowu. - Może pomogłoby ci coś takiego.

- Może. Jeden z chłopaków kupił sobie taki filtr; musiał nawet iść do psychologa. Być może moglibyśmy pomagać sobie nawzajem.

- Mama i ja możemy znaleźć ci psychologów, wszystko, czego będzie trzeba, żeby ci pomóc. Bardzo chcemy ci pomóc. Musisz mi wierzyć, synku, że pornografia to bardzo zła rzecz. Jeżeli pozwolisz sobie na dalsze oddawanie się jej, zniszczy cię.

Kade pokiwał powoli głową.

- Chyba nigdy nie przyszło mi to do głowy - przyznał. - Wiesz... do czego może mnie to doprowadzić.

- Czy wtedy kiedy próbowałeś zerwać z pornografią -kontynuował John, znów opierając dłoń na kolanie - prosiłeś o pomoc Pana Boga?

- Nie, nie przypuszczałem, że tak trudno mi będzie przestać.

- To coś, z czym zdecydowanie musisz zerwać i nigdy więcej do tego nie wracać, syneczku. Nigdy w życiu.

- Wiem. - Kade wiercił się na ławeczce, oglądając własne dłonie. - Kupiłem sobie taką książkę, o tym jak z tym zerwać. Tuż przed przyjazdem tutaj. Mam tę książkę w torbie.

- Masz taką książkę? - John poczuł ulgę. - W takim razie dlaczego tak trudno było ci przyjąć moje słowa? Odpowiadałeś mi tak, jak gdyby pornografia była czymś dobrym.

- Chyba poczułem się osaczony. Wszędzie wokół słyszę, że pornografia to zło. - Kade podniósł wzrok, i wtedy John zobaczył w jego oczach łzy. - A jeżeli... jeżeli ja nie dam rady przestać?

John zbliżył się do Kade'a i przytulił go.

- Przystaniesz, syneczku. Bóg da ci potrzebną do tego siłę. - Znowu przypomniawszy mu się Charlene. - Bóg jest w stanie dać ci siłę wystarczającą do odejścia od wszystkiego, co złe, niezależnie od tego za jak bardzo beznadziejną uznajesz swoją sytuację.

Kade pociągnął nosem i objął ojca za szyję.

- Módl się za mnie, tato! - błagał go z płaczem w głosie. - Będziesz się za mnie modlił? Proszę cię!

W tej chwili skurcz w gardle Johna zaczął ustępować.

Kiedy minął, John opuścił głowę, dotykając czołem czoła Kade'a, i zaraz, siedząc w łódce na środku jeziora, zaczął modlić się za niego, tak żarliwie jak nigdy przedtem. Prosił Boga, żeby Kade miał siłę porzucić podstępny, grzeszny świat pornografii. O to, aby odnalazł budujące przyjaźnie, dobrego psychologa i wszelkie wsparcie, jakie będzie mu potrzebne do tego, żeby dostrzegał okropieństwa związane z niektórymi rzeczami, na jakie można się w świecie natknąć. O to, żeby Pan zatarł w pamięci Kade'a obrazy, wyryte w niej podczas oglądania pornografii, i zastąpił je prawdziwym pojmowaniem kobiecego piękna, zrozumieniem, na czym ono polega. O to, żeby Kade zrozumiał na przykładzie związku Abby i Johna, na czym polega prawdziwa bliskość dwojga ludzi. I żeby dotychczasowe błędy i odejście od nich uczyniły go mądrzejszym, podobnie jak John i Abby kiedy zaprzestali błędzić, stali się mądrzejsi niż dawniej.

Wreszcie John modlił się o to, żeby jego syn w wyniku całej tej sprawy stał się człowiekiem silniejszego charakteru i lepszym chrześcijaninem.

RS

ROZDZIAŁ 10

Ostatnio anonimy zaczęły przychodzić częściej.

Autor nie tylko oskarżał Johna o to, że jest marnym wzorcem moralnym dla uczniów liceum Marion, lecz także nazywał go - trenerem, którego czas minął. Dyrekcja początkowo zapewniała Johna, że popiera go bez zastrzeżeń, ale niedawno zaczęła mieć wątpliwości na jego temat.

- Różni ludzie martwią się o pański program treningowy - powiedział mu tego tygodnia Herman Lutz. - Niepokoi mnie to, jako wicedyrektora do spraw wychowania fizycznego. Chyba rozumie pan moje położenie.

Jeszcze przed rokiem byłoby to niewyobrażalne, tymczasem obecnie John żył z przytłaczającym przeświadczeniem, że może zostać wyrzucony z pracy, zanim sam zdąży się zwolnić. Ze Lutz pozwoli na to, żeby rodzice doprowadzili go szantażem do podjęcia najmniej niewygodnej dla niego decyzji. John wolał o tym nie myśleć. Jeśli przetrwam na stanowisku dostatecznie długo, mogę zrezygnować po zakończeniu sezonu rozgrywek - rozważał.

Tymczasem wyniki jego drużyny zaczęły się poprawiać.

John spakował trenerski worek i ruszył w stronę autokaru Orłów. Wygrały cztery ostatnie mecze. Jeśli tego wieczora pokonają kiepsko grające Buldogi na wyjazdowym meczu w hrabstwie North, przejdą do następnej rundy.

Sezon nie był jeszcze bynajmniej przegrany.

Tego popołudnia John nie przejmował się jednak najbardziej ani sportowym wynikiem, ani fanatycznie uwielbiającymi własnych synów rodzicami. Właśnie miał zrobić coś, co nie zdarzyło mu się jeszcze nigdy, odkąd tylko rozpoczął karierę trenerską. Wszedł do swojego gabinetu. Autokar ruszał za kilka minut.

- Halo? - odebrała Abby po trzecim dzwonku.

- To ja - odezwał się do słuchawki John.

- John?... Czy ty nie powinienes być w tej chwili w autokarze?

- Tak, zaraz tam będę. Krótka piłka: nie przyjeżdżaj dzisiaj na mecz.

Nastąpiła pauza. John miał nadzieję, że Abby go zrozumie. Nie miał czasu na długie wyjaśnienia.

- Dlaczego nie? - spytała w końcu, kiedy ochłonęła. - W sekretariacie szkoły odebrano dzisiaj pogróżki.

Była w nich mowa o dzisiejszym meczu. - John oparł się o biurko. - Policja myśli, że to niemądry żart, ale nigdy nie wiadomo. Nie chcę, żebyś tam była. Tak na wszelki wypadek.

- Czy autorem tych pogrózek jest Nathan Pike?

- Policja nie jest pewna, jednak to możliwe. - John spojrzął na zegarek. - Słuchaj, muszę biec. Wiedz, że cię kocham. I proszę cię, nie przyjeżdżaj na dzisiejszy mecz.

- Ależ John...

- Nie przyjeżdżaj, Abby. Muszę kończyć.

- Dobrze - zgodziła się z troską w głosie Abby. - Nie przyjadę. Ja też cię kocham.

- Do zobaczenia wieczorem.

- Czekaaj... - Abby zawahała się chwilę. - Uważaj na siebie, John.

- Będę uważał.

Odłożył słuchawkę i pobiegł do autobusu. Wsiadł jako ostatni. Jazda do hrabstwa North zajęła zaledwie piętnaście minut. Chłopcy byli w świetnych nastrojach, lecz John patrzył na przesuwany się za szybą krajobraz i zastanawiał się, jak mogło dojść do takiej sytuacji. Nie przekazał Abby wszystkich szczegółów. Gdyby je poznała, byłaby przerażona.

Okolo trzynastej w sekretariacie szkoły zadzwonił telefon. Czyjś chrapliwy głos powiedział sekretarce, że wieczorem na stadionie, na którym będzie odbywał się mecz, pojawi się zamachowiec-samobójca z ładunkiem wybuchowym.

- To będzie wielkie wydarzenie, proszę pani - dodał rozmówca. - Słyszysz pani? - rzucił ze śmiechem.

Sekretarka skinęła na dyrektora, żeby podniósł drugą słuchawkę, ale dyrektor był zajęty rozmową z czyimś rodzicem.

- Kto... mówi? - zająknęła się.

- Dobre pytanie! - Szantażysta roześmiał się ponownie. - Wkrótce się dowiecie. Niech pani tylko powie panu trenerowi, że już za późno, żeby mi pomóc. Dziś nadszedł wielki wieczór!.

- Jeżeli to ma być dowcip, proszę to natychmiast powiedzieć. - Sekretarka drżącymi rękami sięgnęła po kartkę papieru i długopis. - Wygłaszanie tego rodzaju pogrózek jest przestępstwem.

- To nie pogróżki, proszę pani. Dziś wieczorem zginie niejeden człowiek. Pani usłyszała o tym pierwsza.

Po tych słowach tajemniczy rozmówca rozłączył się.

Błada i wstrząśnięta sekretarka zaciągnęła dyrektora do sąsiedniego gabinetu i powiedziała mu o wszystkim. Piętnaście minut później na terenie szkoły była już policja. Funkcjonariusze zadawali pytania: Czy ktokolwiek na terenie szkoły albo związany ze szkołą groził już komuś śmiercią? Jak reagowano na takie incydenty? Gdzie ma być rozgrywany dzisiejszy mecz? Ile jest wejść na stadion? Czy ktoś może mieć o coś żal do szkolnej drużyny futbolowej?

W odpowiedziach wielu osób pojawiło się nazwisko Nathana Pike'a. Policja nie mogła jednak nic w związku z tym zrobić, nawet porozmawiać z Nathanem o niezwykle groźnych pogroźkach ogłoszonych tego dnia przez telefon.

Nathan Pike zwolnił się tego dnia z lekcji, z powodu złego samopoczucia.

Policjanci postanowili go przesłuchać i pojechali do jego domu. Otworzyła im jego matka, na której twarzy malowało się zdumienie. Powiedziała, że z tego co wie, jej syn jest w szkole. W każdym razie nie widziała go od rana.

John myślał o tym wszystkim, czując skurcz w żołądku. Cóż, policja obstawi wejścia na stadion, rozstawi także swoich ludzi pośród widzów. Ale co to da? Zamachowcy-samobójcy nie zapowiadają swoich występów. Wchodzą po cichu gdzieś, gdzie znajduje się tłum ludzi, a potem wysadzają siebie i innych w powietrze. Zanim policja zauważy Nathana Pike'a, zostaną już po nim tylko szczątki, pośród innych ciał.

Świadomość, że on i jego drużyna będą na boisku, w bezpiecznej odległości od trybun, nie dodawała Johnowi otuchy. Przecież na trybunach będą siedziały setki nastolatków, może nawet tysiące. Jeśli pośrodku trybuny wybuchnie bomba... John nie był w stanie nawet o tym myśleć. Poza tym zamachowiec mógł poczekać do zakończenia meczu i wbiec na boisko razem z kibicami. Policja w żaden sposób nie zdoła powstrzymać chłopaka, który postanowił...

- Panie trenerze?

John obrócił głowę, zapominając o swoich troskach. To był Jake Daniels.

Jake w minionych tygodniach świetnie się spisywał. Przestał tak mocno dokuczać Nathanowi. A nawet trzy razy z własnej inicjatywy rozmawiał z Johnem o stresach, jakie towarzyszą uczniowi szkoły średniej, i o swojej matce, o którą się niepokoił. Według Jake'a, była wściekła na jego ojca. Rodzice Jake'a kłócili się, kiedy tylko życie zmuszało ich do rozmowy. A ich syn czuł się tym przytłoczony. Po półgodzinnej rozmowie z Johnem Jake zawsze wydawał się spokojniejszy.

Właśnie dlatego John wciąż pracował jako trener szkolnej drużyny futbolowej - żeby pomagać takim dorastającym mężczyznom jak Jake Daniels. Odkąd znowu zaczęli ze sobą rozmawiać na poważne tematy, Jake robił wrażenie szczęśliwszego, mniej napiętego. I był mniej skłonny do przestawania z Caseyem Parkerem i paroma innymi zawodnikami, którym wydawało się, że są najważniejszymi osobami w szkole.

John zastanawiał się nawet, czy to nie dlatego drużyna lepiej radzi sobie na boisku. Nie było wątpliwości, że zagrywki Jake'a pomogły Orłom osiągnąć ostatnie zwycięstwa. W tej chwili chłopak wydawał się jednak zakłopotany.

- Cześć, Jake - odpowiedział z wymuszonym uśmiechem John.

- Eee... - zająknął się Jake, rozglądając się, jak gdyby nie chciał, żeby ktokolwiek zwrócił uwagę, że ze sobą rozmawiają. - Czy mogę przysiąść się do pana na chwilę?

- Pewnie. - John zrobił podopiecznemu więcej miejsca. - Co cię niepokoi?

- Krążą plotki, że... no, że Nathan Pike ma dzisiaj podczas meczu strzelać do ludzi.

Johnowi zaparło dech. Uczniowie są w stanie rozpowszechnić najnowsze wiadomości szybciej niż dziennikarze! Westchnął i odpowiedział:

- Do sekretariatu szkoły zatelefonował ktoś z pogrózkami. Policja wyjaśnia tę sprawę. Nie martwi się o treść pogrózek.

- Poważnie? - zaniepokoił się Jake. - Naprawdę były pogróżki? Panie trenerze, a jeśli policja się myli? Nathan Pike to świr, czy oni tego nie wiedzą?

- Policja zdaje sobie sprawę z tego, że istnieje Nathan i jaki jest. - John starał się zrobić wrażenie spokojnego człowieka, ale w rzeczywistości bał się tak samo jak Jake. Po co właściwie jedziemy na mecz, którego widzom i uczestnikom zagrożono śmiercią, prawdziwą masakrą? - zastanawiał się John. Czyż jakikolwiek mecz może być ważniejszy od ludzkiego życia?

- I nikt nic nie robi w związku z tymi pogrózkami?

- Policja obstawi stadion.

- To niewiele da, jeżeli Nathan nie będzie bał się umrzeć.

- Policja jest przekonana, że nie ma realnego zagrożenia, Jake - uspokajał John. - Gdyby było inaczej, nakazaliby odwołanie meczu.

- Wątpię. - Jake machinalnie przycisnął do siebie futbolowy kask. - Wszystkim tak naprawdę zależy tylko na wygranej. Wie pan, żebyśmy przeszli do następnej rundy.

- To mocny argument - przyznał John, wiedząc, jak bliski prawdy jest Jake.

- Panie trenerze - kontynuował chłopak, podnosząc na moment spojrzenie - wiem, kto pisze te listy.

- Listy?

- Tak, te, w których domaga się wyrzucenia pana z pracy.

John był przerażony. Wystarczyło mu, że sam był świadom wściekłych ataków rodziców na swoją osobę. Członkowie jego drużyny nie musieli o tym wiedzieć. Szczególnie tacy chłopcy jak Jake, dla których John zawsze był autorytetem. Chciał wiedzieć, co wie Jake, jednak nie zamierzał go o to pytać.

- Każdy trener ma swoich krytyków - skomentował, klepiąc go w kolano.

- Słyszałem, co mówił raz w szatni Casey Parker. Powiedział, że jego ojciec wziął się na pana. Mieli kilka spotkań.

- Casey i jego ojciec?

- Jego ojciec i kilkoro innych rodziców. Najpierw ci inni nie chcieli przyjść na żadne spotkanie, ale... kiedy przegraliśmy mecz, zaczęli przychodzić. Zrobiło się ich więcej, rozmawiali z panem Lutzem.

- Pewnie mają do tego prawo - odpowiedział ze smutnym uśmiechem John. - Jedyne co mogę w tej sprawie zrobić, to starać się jak najlepiej.

- Ale nie chce pan odejść, prawda? - upewnił się z przerażeniem Jake. John chciałby móc jakoś go pocieszyć. - Chyba nie zostawi nas pan? Został mi jeszcze rok gry w drużynie...

- Bardzo chciałbym pracować tu w przyszłym roku, Jake.

- Czyli będzie pan tu pracował?

- Zobaczymy. - John nie chciał zdradzać chłopakowi zbyt wiele, lecz nie chciał także kłamać. Szanse, że pozostanie trenerem drużyny z Marion w następnym sezonie, cały czas malały.

- To znaczy, że może pan odejść?

- Być może nie będę musiał - jeżeli pan Lutz po prostu wyrzuci mnie z pracy - przyznał z westchnieniem John.

- Nie wyrzuci pana! Przecież doszedł pan z drużyną naszej szkoły do tak wielkich osiągnięć!

- Ludzie tego nie widzą. Uważają za to, że ich synowie nie są wykorzystywani podczas meczów przez odpowiednio długi czas, że drużyna zbyt rzadko zwycięża. Jeżeli rozgniewa się na trenera zbyt wpływowy rodzic, to... czasami nic nie da się zrobić.

John powstrzymał cisnące mu się na usta komentarze na temat Hermana Lutza. Nie powinien podważać autorytetu wicedyrektora szkoły w rozmowie z uczniem. Lecz w rzeczywistości zawodowy los Johna spoczywał w rękach Lutza - a charakterystyczną cechą tego człowieka była uległość wobec rodziców. Jeżeli ojciec Caseya Parkera domagał się wyrzucenia Johna z pracy, Lutz prawdopodobnie postąpi zgodnie z jego żądaniem.

Jeśli oczywiście John wcześniej sam nie złożył rezygnacji.

- Jeżeli ma to jakieś znaczenie, będę grał dzisiaj tak, że wygramy wysoko - obiecał Jake.

Gdyby tylko to wystarczyło - pomyślał John, znów uśmiechając się smutno.

- Dzięki, Jake. To ma bardzo duże znaczenie. Jake bawił się nerwowo paskiem kasku.

- Czy mogę jakoś pomóc w sprawie Nathana Pike'a i tych pogroźek? - spytał.

- Módlcie się.

Jake otworzył szeroko oczy, a nawet usta ze zdziwienia.

- Słucham?

- Módlcie się - ty i cała drużyna. - John patrzył chłopakowi w oczy. - Nie byliście w tym roku mili dla Nathana. Wcale nie jestem zaskoczony, że w końcu rzucił tego rodzaju pogroźki.

Jake wpatrywał się w poprzedzający fotel. Przełknął.

- Chce pan, żebym pomodlił się w związku z tym z chłopakami?

- Spytałeś mnie, czy możesz jakoś pomóc. Jake umilkł na chwilę.

- Panie trenerze - odezwał się znowu - myślę, że on jest zazdrosny o mój samochód.

- O tę acurę NSX?

- Tak. Parę dni po tym, jak ją dostałem, natrafiłem na Nathana i jego matkę, która podwiozła go do szkoły. Ona jeździ takim starym kombi, z wgniecionym błotnikiem. Nathan wysiadł, popatrzył na mój samochód, potem na mnie... Normalnie patrzy na mnie z nienawiścią, a wtedy spojrzał jakoś tak, jakby chciał być mną. Jakby wiele oddał za to, żeby zamienić się ze mną miejscami.

- To dlatego od kilku tygodni przestałeś mu dokuczać? Jake przytaknął.

- To było nie w porządku. Odbijało mi.

- To prawda.

- Ale... jeżeli uspokoiłem się za późno i Nathan naprawdę zrobi coś strasznego?

- Powiedziałem ci, co możecie zrobić - odpowiedział John, patrząc Jake'owi w oczy.

- Dobrze, panie trenerze. - Jake ścisnął mocniej kask. - Pomodlimy się. Namówię do tego chłopaków.

Nic na świecie nie zdołaloby tego wieczoru powstrzymać Abby przed przyjazdem na mecz Orłów. Wiedziała, że John będzie z tego powodu niezadowolony. Trudno, będzie musiała poradzić sobie z tym później. Ale jeżeli ktoś miał zamiar zrobić coś złego młodzieży na trybunach, zawodnikom albo nawet jej mężowi, Abby postanowiła być na miejscu. A może będę mogła coś zrobić - myślała - pomóc jakiemuś młodemu człowiekowi, może nawet ocalić czyjeś życie? A jeśli ostatni raz będę oglądała Johna żywego?!...

Myśli te pojawiły się w głowie Abby, natychmiast kiedy John powiadomił ją o pogroźkach. Nie dyskutowała z nim, bo musiał biec do autobusu. Z pewnością nie zamierzała jednak zostać w domu.

Weszła na trybunę i zajęła miejsce na jednym z jej końców, w pobliżu rodziców zawodników drużyny przeciwnej. Nie czuła się w tym roku dobrze w towarzystwie rodziców chłopców z drużyny Johna, i nie zmienił tego nawet fakt, że ktoś zagroził zdetonowaniem ładunku wybuchowego. W ogóle rzadko czuła się dobrze pośród rodziców zawodników Johna. To, kim dla nich była, nie ułatwiało po prostu wzajemnych kontaktów.

Kiedy John podjął pracę w liceum Marion, Abby uwielbiała być żoną pierwszego trenera drużyny futbolowej. Wydawało jej się, że czeka ją sielanka, że będzie przesiadywała podczas meczów z rodzicami, rozmawiała z nimi, zaprzyjaźniała się. Tak zresztą z początku było. W pierwszych latach po zamieszkaniu w Marion Abby zapraszała rodziców Orłów na obiad w Święto Dziękczynienia albo na przyjęcia w sobotnie wieczory.

- Uważaj, Abby - ostrzegał ją John. - Wydaje ci się, że są twoimi przyjaciółmi, ale poczekaj. Sama zobaczysz. Niektórzy ludzie zbliżają się do określonych osób w z góry założonym celu.

Abby uważała to za wstrętą insynuację. Jak John może podejrzewać, że ci wspaniali ludzie, pośród których siadam na trybunach, są dla mnie mili tylko po to, żeby ich synowie cieszyli się szczególnymi względami trenera? - myślała. Od czasu do czasu wyrażała sprzeciw wobec stanowiska Johna. Mówiła mu, że ludzie nie są tacy płytki, a futbol - taki ważny.

Okazało się jednak, że John miał całkowitą rację.

Pewne małżeństwo - wierzący ludzie, którzy byli w domu Abby i Johna na wielu obiadach - pierwsi przyszli do szkoły ze skargą dotyczącą sposobu prowadzenia drużyny przez Johna, kiedy ich syn zbyt wiele czasu spędzał na ławce rezerwowych. Inni rodzice także okazali się fałszywi - plotkowali nieprzyjemnie o Abby za jej plecami, a potem uśmiechali się szeroko ma jej widok i odzywali się do niej głośno i serdecznie.

Oczywiście nie wszyscy byli tacy, jednak Abby nauczyła się, jak potrafią postępować rodzice zawodników, i więcej nie ryzykowała zawierania bliższych znajomości z nimi. Od lat siadała na trybunach sama albo z żoną któregoś z trenerów pomagających Johnowi.

Tego wieczoru nie zamierzała siadać ani gawędzić z nikim. Postanowiła usiąść na końcu trybuny i obserwować - nie mecz, tylko właśnie trybunę. Będzie wypatrywała oznak nietypowego zachowania uczniów, a także Nathana Pike'a. Widziała go kilka razy na terenie szkoły i rozpoznawała go. Łatwo było zauważyć Nathana i jego kolegów, bo ubierali się na czarno i nosili kolczaste obroże. Abby postanowiła dziś spostrzec ich pierwsza, i pierwsza rozpoznać ewentualny sygnał, że któryś z nich zamierza wysadzić stadion w powietrze.

Mecz rozpoczął się. Mijały kolejne minuty. Aż do przerwy nie zdarzyło się nic szczególnego. Na trybunach widać było rozstawionych policjantów, Abby domyślała się, że niektórzy cywile także są policjantami. Jak dotąd najbardziej spektakularnym wydarzeniem było pięć przyłożeń w wykonaniu Orłów, po rzutach Jake'a Danielsa. Abby była pewna, że to rekord ligi. Kade był jednym z najlepszych rozgrywających w tej części kraju, ale nigdy nie był bliski zdobycia pięciu przyłożeń w ciągu połowy meczu!

Druga połowa także przebiegała normalnie. W trzeciej kwarcie Jake został zdjęty z boiska, a jego miejsce zajął Casey Parker. Przejęto dwa jego podania, lecz i tak Orły wygrały przewagą trzydziestu punktów. Kiedy odezwał się sygnał wyznaczający koniec meczu, tłum kibiców wlał się na boisko. Uradowani ludzie ściskali Orłów, jak gdyby był to udany sezon, podczas którego nikt na nikogo ani na nic się nie skarżył, a już zupełnie - rodzice.

Jakie znaczenie miały dotychczasowe niesnaski? Orły przeszły do następnej rundy rozgrywek.

Abby także wstała i zaczęła schodzić z trybuny na boisko. Boże, gdzie on jest? Gdzie jest Nathan Pike? - myślała. Jeżeli jest gdzieś tutaj, proszę Cię, pokaż mi go

- modliła się. Rozglądała się pośród tłumu. Zaraz... Czy przy płocie na końcu terenu stadionu coś się poruszyło? Ogromny obiekt otaczały z trzech stron kukurydziane pola. Z czwartej znajdował się parking.

Zmrużyła oczy i wypatrywała... Tak. Mogła przysiąc, że pośród wysokich łanów kukurydzy dostrzegła czyjś ruch.

Czując się jak w transie, przemieściła się wzdłuż trybuny, żeby znaleźć się bliżej Johna i jego zawodników, którzy odbierali gratulacje od setek uczniów oraz od członków orkiestry dętej. Przez cały czas nie spuszczała oka z wybranego miejsca kukurydzianego pola.

Nagle z pola wyłoniła się postać ubranego na czarno mężczyzny.

Zanim Abby zdążyła cokolwiek zrobić - zbliżyć się do Johna i Orłów na tyle, żeby ostrzec ich krzykiem, zanim zdołała uciec, schować się czy też zwrócić uwagę jakiegoś policjanta - ubrany na czarno człowiek przeszedł przez dziurę w płocie i wbiegł pomiędzy ludzi, zmierzając w stronę jej męża.

- John, uważaj! - zawołała. Kilkoro stojących w pobliżu niej rodziców przestało rozmawiać i popatrzyło na nią w zdumieniu.

Nie zważając na nich, Abby ruszyła na boisko, zbiegając jak najszybciej ze schodów. Boże, błagam Cię, uratuj ich przed tym nieszczęściem! - jęczała w duchu. Błagam Cię! Jezu...

Znalazła się na murawie, ale widziała, że twarz młodego człowieka w czerni zbliża się szybko do Johna, przesuwając się tak, by być możliwie w samym środku tłumu uczniów i zawodników. Abby rozpoznała chłopaka, mimo że dzieliło ją od niego jeszcze pięćdziesiąt metrów.

To był Nathan Pike.

Nathan jak zwykle ubrał się na czarno, jednak miał na sobie nowy ubiór - obszerną kurtkę.

- John, uciekaj! - krzyczała Abby. Odwróciły się ku niej dziesiątki młodych twarzy. - Uciekajcie, wszyscy! Szybko!

Niektórzy posłuchali jej i zaczęli uciekać, ale większa część młodzieży znieruchomiała tylko i patrzyła na Abby jak na osobę, która nagle zwariowała.

Była dziesięć metrów od Johna, kiedy Nathan dotarł do niego i położył mu rękę na ramieniu. W tej samej chwili z tłumu wyskoczyło czterech policjantów i razem powalili Pike'a na ziemię.

- John! - jęknęła słabym głosem Abby, zbliżywszy się do męża. Żołądek kurczył jej się tak, że nie była w stanie oddychać. - Chodź! - Złapała Johna za ramię. - Uciekajmy stąd!

- Co się dzieje?... - spytał z przerażeniem John, blady jak ściana.

Wokół miejsca, gdzie czterej policjanci przyciskali do ziemi Nathana Pike'a, gęstniał krąg uczniów. Nathan nie stawiał oporu. Ze wszystkich stron zaczęło nadbiegać coraz więcej funkcjonariuszy, którzy odgonili młodzież od niebezpiecznego miejsca i zaczęli kierować ją w stronę parkingu. John polecił swoim asystentom jechać z powrotem do szkoły autobusem drużyny.

- Czysty! - zameldował jeden z policjantów. - Nie ma żadnej bomby!

Abby opadła z sił, doznając jednocześnie ogromnej ulgi. Złapała się rękawów kurtki Johna i przycisnęła twarz do jego piersi.

- Myślałam, że on cię zabije, John!... Tak się bałam...

Odezwała się szeptem, żeby koledzy Johna nie słyszeli. Nikt z pracowników szkoły nie dziwił się temu, co się działo, bo wszyscy zostali powiadomieni o potencjalnym zagrożeniu.

- Już, malutka, nie trzeba. Nic nam nie grozi. - John pogładził żonę po plecach i ujął jej dłoń. Podeszli do miejsca, gdzie na trawie leżał Nathan Pike, skutym kajdankami.

Policjanci skinęli głowami na znak, że pozwalają Johnowi podejść do podejrzanego.

- Czy to ty dzwoniłeś do sekretariatu szkoły? - spytał John.

Nathan kręcił głową, wyraźnie przerażony.

- Bez przerwy mnie o to pytają! - Przełknął, mówił z wysiłkiem. - W ogóle nie wiem, o co chodzi!

Abby trzymała się ramienia Johna, drżąc od przyływu adrenaliny. Ten chłopak kłamie! - myślała. Bez dwóch zdań.

- Nie było cię dzisiaj na lekcjach - zauważył spokojnym tonem John.

Nathan zamrugał powiekami.

- Poszedłem do biblioteki. Musiałem napisać pracę z angielskiego, bo już nadszedł termin, i potrzebne mi było do tego kilka godzin spokoju. Przysięgam! Panie trenerze, ja nie wiem, o co chodzi policji!

- Dlaczego wślizgnąłeś się na stadion przez dziurę w płocie? - spytał jeden z funkcjonariuszy, pochylając się nad Nathanem.

- Kiedy wracałem z biblioteki, pomyślałem, że zajrzę na stadion. Zobaczyłem wynik i... chciałem pogratulować panu trenerowi. To był wspaniały mecz!

Odpowiedzi Nathana wydawały się zbyt podejrzane, żeby mu wierzyć, ale Abby pomyślała, że to nie jej zmartwienie. Liczyło się tylko to, że John był cały i zdrowy. Podobnie jak kibice i zawodnicy... Zamknęła oczy i znowu oparła głowę o pierś męża. Dziękuję Ci, Panie Boże! - modliła się. Tak ogromnie Ci dziękuję!

Policjanci pomogli Nathanowi wstać i zaprowadzili go do radiowozu. Jeden z funkcjonariuszy podszedł do Johna i spytał:

- Czy uważa pan, że chłopak mówi prawdę?

- Trudno mi go wyczuć. - John zastanowił się chwilę. - Jedno mogę powiedzieć na pewno - odkąd go znam, ani razu nie widziałem, żeby był przerażony. Gdybym nie znał jego różnych dotychczasowych zachowań, przysiągłbym, że mówi prawdę.

Oficer zanotował coś.

- Dziękuję. Weźmiemy pańską opinię pod uwagę.

Po chwili na stadionie pozostali tylko Abby i John. John objął żonę i przytulił ją czule.

- Drżysz - szepnął.

- Myślałam... Myślałam, że Nathan wysadzi cię w powietrze. Zanim zdołam zrobić cokolwiek, co by cię uratowało.

- Mówiłem ci, żebyś nie przyjeżdżała - przypomniał łagodnym głosem John. Abby cieszyła się, że się na nią nie gniewa.

- Wiem. Ale nie byłabym w stanie siedzieć w domu, podczas gdy tutaj być może ktoś próbowałby cię zabić. - Cofnęła się i spojrzała Johnowi w oczy. - Musiałam tu przyjechać. Nic nie zdołałoby mnie powstrzymać.

- Jakoś nietrudno mi to sobie wyobrazić.

- Wiesz, co? - zagadnęła Abby, z nieoczekiwanym uśmiechem.

- Słucham.

- Zwyciężyliście!

- Faktycznie.

- Gratuluję!

- Dziękuję. - Na tablicy świeciły się jeszcze wyniki. Jupiterów też nie zgaszono, teraz pracownicy obsługi mieli za zadanie posprzątać obiekt. - Przeszliśmy do kolejnej rundy rozgrywek.

- Jakoś nie wydajesz się tym podekscytowany. - Abby pogładziła męża po policzkach.

- Bo nie jestem. Rodzice mnie nienawidzą...

- Coś ty? Kiedy zwyciężasz, lubią cię. - Abby leciutko przesunęła palcem po brwiach Johna.

- Ci rodzice są wyjątkowi. Jake Daniels powiedział mi, kto jest autorem anonimów ze skargami na mnie. Ojciec Caseya Parkera.

- Można się było domyślić.

- Hej - John zbliżył usta do ust żony i pocałował ją

- dziękuję, że przyjechałaś. Mimo że prosiłem cię, abyś tego nie robiła. Twój gest jest dla mnie bardzo ważny.

- Proszę bardzo. - Teraz Abby pocałowała Johna. Rozkoszowała się jego zapachem, próbując przestać wyobrażać sobie, co mogłoby się teraz dziać, gdyby... Nie była zdolna o tym myśleć.

- Wyglądasz na zmęczoną - odezwał się John.

- Nic dziwnego. Nigdy w życiu tak się nie bałam.

- Och, Abby!... - John przylgnął policzkiem do jej policzka i tulili się nawzajem czule. - Moja ukochana Abby... Przepraszam cię. To okropne, że musiałaś tak strasznie się bać. Pojedź już może do domu i odpocznij trochę.

- A ty?

- Jestem za bardzo podekscytowany, żeby odpoczywać.

- John zarzucił torbę na ramię i ruszył z Abby w stronę parkingu. - Chyba pojedę do szkoły i sprawdzę klasówki. Mam ze dwa tygodnie zaległości. Czy mogłabyś mnie podwieźć?

- Z wielką przyjemnością. - Abby uśmiechnęła się zalotnie. - Mój samochód stoi pod szkołą.

Podczas jazdy rozmawiali o meczu. Abby zatrzymała samochód naprzeciw szkoły.

- Późno wrócisz? - spytała, ziewając.

- Może i tak. Zanim sprawdzę wszystkie klasówki, będzie pewnie pierwsza albo druga w nocy - jeśli będę miał siłę tak długo pracować.

- Nie zapomnij, że jutro mamy lekcję tańca. - Abby pocałowała Johna w policzek.

- Do tego czasu przyjadę, nie martw się - zażartował John, wysiadając z samochodu.

- Domyślałam się, ale chciałabym, żebyś był dostatecznie wypoczęty. Pani Paula jest wymagającą instruktorką.

- Do zobaczenia, Abby - zakończył ze śmiechem John. - Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Abby odjechała w stronę domu. Kochamy się mocniej niż kiedykolwiek! - myślała, szczęśliwa.

RS

ROZDZIAŁ 11

Na prywatce było pełno młodzieży. Jake Daniels czuł się wspaniale. Martwiło go tylko jedno.

Nie mógł przestać myśleć o Nathanie Pike'u i o Caseyu Parkerze.

Myślał o Nathanie, bo widział, jak go powalono i aresztowano. Miał doskonały widok, bo kiedy się to zdarzyło, stał tuż obok trenera. Zobaczywszy Nathana, Jake przeraził się, był pewien, że ten pochłast wyjmie broń i ich pozabija.

Ale potem zobaczył spojrzenie Nathana.

Jake nigdy nie przyjaźnił się z Nathanem, chociaż można było powiedzieć, że parę lat wcześniej byli kolegami. Mówili sobie - cześć, od czasu do czasu jeden z nich pomagał drugiemu odrobić pracę domową. Jake stopniowo stawał się coraz lepszym sportowcem i coraz bardziej podziwianym chłopakiem, a Nathan - wprost przeciwnie. Było z nim coraz gorzej.

Jake mówił szczerze, kiedy w rozmowie z trenerem nazwał Nathana świrem. Uważał, że Nathan naprawdę stał się zbyt dziwny. Jednak kiedy przed paroma godzinami Nathan leżał na murawie powalony przez policję, był tak przerażony, że Jake natychmiast nabrał pewności, że to nie on zadzwonił do sekretariatu z pogrózkami. Nie miał z nimi nic wspólnego. Można było to odczytać z jego oczu. Jego zaskoczenie i przerażenie było ogromne.

Dlatego cała sytuacja nie dawała Jake'owi spokoju. Po pierwsze, uważał za niesprawiedliwe to, że Nathan został aresztowany w związku z czymś, czego raczej nie zrobił. A po drugie - jeśli to nie był Nathan, musiał być to ktoś inny, kto być może planował właśnie dalsze wyczyny. Kto to mógł być?

Poza tym Jake myślał o Caseyu Parkerze.

Wcześniej rozegrała się następująca scena: przed meczem Jake wszedł do szatni i powiedział kolegom, że plotki, jakie między sobą powtarzali, są prawdziwe. Że ktoś zatelefonował do szkoły i powiedział, że podczas meczu na stadionie zginą ludzie.

Kiedy poruszeni tym chłopcy uciszyli się, Jake oznajmił, że w związku z pogrózkami mogą zrobić tylko jedno - pomodlić się. Chłopcy, po dwóch, po trzech, poodkładali kaski i popodchodzili do niego. Po upływie minuty wokół Jake'a zgromadziła się już cała drużyna - oprócz Casey'a Parkera.

- W szkole publicznej - odezwał się wtedy Casey - nie wolno publicznie się modlić!

W ciągu minionych trzech tygodni Jake i Casey oddalili się od siebie, odkąd Jake znowu zaczął prowadzić poważne rozmowy z trenerem Reynoldsem i przestał dokuczać Nathanowi.

Jake zamierzał sprzeciwić się Caseyowi, ale uprzedził go jeden z kolegów, mówiąc:

- Człowiek może modlić się, gdzie chce.
- Właśnie - zgodziło się chórem kilku chłopców, kiwając głowami.

Casey usiadł pod ścianą, a pozostali pomodlili się razem do Boga, żeby ochronił wszystkich obecnych na stadionie podczas meczu. Później, jak zwykle przed meczem, młodzi zawodnicy zbliżyli się do siebie, tworząc krąg, i wydali bojowy okrzyk Orłów z Marion.

Casey nie dołączył ani do modlitwy, ani do wspólnego zagrzewania się drużyny do boju.

Prawie cały mecz przesiedział na ławce rezerwowych, z dala od pozostałych. Trener wywołał go dopiero pod koniec, po tym jak Jake zdobył dla Orłów aż sześć przyłożeń. Kiedy Casey przejął rolę rozgrywającego, nikogo nie zdziwiła jego fatalna postawa na boisku. W krótkim czasie cztery razy rzucił piłką niecelnie, a dwukrotnie podał tak, że piłkę przejęli gospodarze. Później nie miał już okazji wiele pokazać, bo trenerzy obu drużyn kazali swoim zawodnikom grać na czas.

W autobusie, podczas powrotu Orłów do Marion, Casey nie odezwał się do nikogo. Potem chłopcy zaczęli rozmawiać o prywatce, lecz Casey poszedł, nie powiedziawszy nawet - cześć ani nie skinąwszy głową. Jake starał się o tym nie myśleć. W końcu ten dzień był dla niego prawdziwym świętem. Pogrożki okazały się tylko pogrozkami, Jake odniósł wielki osobisty sukces, a Orły - wspaniałe zwycięstwo, co więcej - przeszły do następnej rundy rozgrywek!

Naprawdę było się z czego cieszyć.

Rozejrzał się. Impreza odbywała się w domu jakiejś dziewczyny, zdaje się, cheerleaderki z pierwszej klasy. Miała olbrzymi dom, stoły ugiwały się od jedzenia, rodzice musieli być fajni, skoro zgodzili się na przyjęcie. Przyszła na nie większość członków drużyny, ale Caseya nie było. W pewnej chwili do Jake'a podeszło kilku chłopców, których znał w zasadzie tylko z widzenia.

- Świetny mecz, stary - odezwał się jeden z nich. - Naprawdę umiesz rzucać.

- No, to był chyba rekord? Sześć przyłożeń!

Chyba setny raz spytano Jake'a, czy pobił tego wieczoru rekord. Odpowiedział jednak grzecznie:

- Rekord szkoły. I wyrównanie rekordu ligi.
- Ale jazda! Ciekawe, co będzie dalej!

Chłopcy odeszli. Jake oparł się o kuchenny blat. Patrzył na wchodzących i wychodzących ludzi, którzy pili w samochodach przywiezione piwo i wracali. Rodzice gospodyni nie sprzeciwiali się temu, że obecna w ich domu młodzież piła alkohol, o ile tylko nie robiła tego na terenie ich posiadłości.

Jake'owi także to nie przeszkadzało, jednak sam nie zamierzał tej nocy pić alkoholu. Obiecał ojcu, że nigdy nie będzie prowadził samochodu po alkoholu, i do tej pory dotrzymywał słowa. Sięgnął po jednorazowy kubek i nalał sobie wody z lodem. Miał zresztą ochotę napawać się sukcesem i naprawdę cieszyć wspaniałym wieczorem, a nie stracić go w oparach alkoholu. Zdarzyło mu się to zbyt wiele razy latem. Teraz był już mądrzejszy.

Minęły dwie godziny od rozpoczęcia przyjęcia, przeszła północ. Jake pomyślał, że za parę minut pojedzie do domu, ponieważ chciał być wypoczęty przed sobotnim treningiem.

W tym momencie drzwi wejściowe otworzyły się i Jake ze zdumieniem zobaczył Caseya Parkera, obejmującego Darię Brubaker - dziewczynę, którą Jake zamierzał poprosić, żeby była jego partnerką na balu z okazji zakończenia roku szkolnego. Odstawił kubek i zacisnął zęby. Nie wiedział, jaką scenę zamierzał odegrać Casey, ale mógł być pewien, że jego zamiary zostaną pokrzyżowane.

Casey rozejrzał się, a kiedy zobaczył Jake'a, popatrzył na Darię i pocałował ją w policzek.

Jake odwrócił wzrok. O co mu chodzi? - pomyślał. Zachowuje się jak totalny leszcz. Jeżeli Daria chce spotykać się z takim pajacem, to niech spada.

A jednak nie mógł się oprzeć i znowu popatrzył na świeżo przybyłą parę.

Casey szepnął coś Darli na ucho, a ona zachichotała i usiadła w kącie salonu. Wtedy Casey wszedł do kuchni. Patrzył takim wzrokiem, jak gdyby znienawidził Jake'a.

- Cześć - burknął, i oparł się o przeciwległy blat. - Fajnie dzisiaj grałeś.
- Dzięki. - Jake sięgnął znowu po kubek i wypił łyk zimnej wody. - Co ci jest? Nie jesteś dzisiaj sobą.
- Nieważne. Wnerwiła mnie ta modlitwa, wiesz?

- Ale podziękowała - odpowiedział z uśmiechem Jake - bo nikt nie strzelał.

- Tylko nie mów więcej o modlitwie! - Casey huknął pięścią w blat. - Gdybyś nie był młodszy ode mnie, natrza-skałbym cię za takie zagrywki przed meczem!

- Zagrywki? - Jake'owi nie podobało się zachowanie Caseya. - Jakie zagrywki?

- Widziałem! Kiedy jechaliśmy na mecz, przez całą drogę rozmawiałeś z trenerem! - Casey założył ręce. - Nie rozumiem. I tak jesteś jego pupilkiem. Naprawdę musisz jeszcze pozwalać mu się namawiać na modlitwę? Ostatnio ciągle mu się podlizujesz. Chodzisz do niego do pokoju i lansujesz się na jego zioma.

Jake odstawił kubek i zbliżył się do Caseya.

- Co ty nawijasz?

- Nie udawaj. Jesteś z Drużyny C pana Johna Reynoldsa. Takie ludki jak ja mają zero szans.

- Jakiej Drużyny C? - Jake nie wiedział, o czym mówi Casey.

- Już ty wiesz. C jak chrześcijanie. Trener Reynolds zawsze ustawia na najlepszych pozycjach największych chrześcijan w drużynie. To jasne dla wszystkich.

Jake poczerwieniał, potem przeszedł go dreszcz.

- Odwalilo ci, Casey. Co za bzdety! Pogadaj z chłopakami, każdy powie ci, że to nieprawda.

Wtedy Casey złapał Jake'a za koszulkę i szarpnął go, tak że spojrzeli sobie w oczy z odległości dziesięciu centymetrów.

- To ja jestem najlepszym rozgrywającym Orłów! -warknął Casey. Szarpnął Jake'a po raz drugi. - Powiedz, dlaczego w takim razie grzeję ławkę rezerwowych, a ty grasz przez cały czas?!

- Żeby grać przez większą część meczu, trzeba sobie na to zapracować. - Jake oparł dłonie na ramionach Caseya i odepchnął go. - Wie to każdy, kogo trenerem jest pan Reynolds!

- Nie chrzaniysz?! - Z tymi słowami Casey pchnął Jake'a tak potężnie, że ten wpadł plecami na blat.

Zamierzał odpowiedzieć na atak, lecz w tym momencie do kuchni wpadło z krzykiem kilka dziewczyn.

- Przestańcie!

- Dostyc tego, chłopcy! Już!

Jake poprawił koszulkę, patrząc z wściekłością na Casey'a. Kiedy dziewczyny wyszły, Casey znowu rzucił mu zaczepne spojrzenie, po czym zmrużył oczy i odezwał się:

- Musimy wyjaśnić tę sprawę do końca!...

- To chodźmy na dwór.

- Dobrze. Ale nie na trawnik.

- A gdzie?

- Rozstrzygniemy to na ulicach. - Casey uśmiechnął się szyderczo. - Myślisz, że tylko ty jesteś szybki? Mylisz się, chłopcze.

- Chodzi ci o wyścig? - upewnił się Jake, czując mrowienie w plecach. Nikt nie słuchał ich rozmowy. Wyścig nie będzie wielką imprezą. Tylko oni dwaj... Wystarczy, żeby Casey nauczył się, że nie należy z nim zadzierać. - Proszę bardzo, kiedy tylko chcesz. Ale twój samochód zostanie tak daleko w tyle, jakby stał.

- Zobaczymy.

- Gdzie chcesz się ścigać?

Casey znowu zmrużył oczy i syknął:

- Po ulicy Haynesa. Na półtorakilometrowej prostej koło szkoły.

- Dobra.

- Spotkamy się za pół godziny, na rogu ulic Hayne-sa i Jeffersona. - Po tych słowach Casey odwrócił się do Jake'a plecami i odszedł do Darli.

Obejrzał się jeszcze i powiedział do Jake'a głośno, tak, żeby dziewczyna słyszała:

- Tylko nie zapomnij przywieźć nagrody, którą dzisiaj wywalczyliśmy.

Johnowi najlepiej nadrabiało się zaległości w pracy po meczach, późnymi wieczorami. Codziennie prowadził sześć lekcji o zdrowiu, łatwo więc mu było nabrać opóźnień, szczególnie w sezonie futbolowym. Cieszył się, że tego dnia ma więcej energii niż zwykle.

Najczęściej wchodził do gabinetu, sprawdzał mniej więcej tyle uczniowskich prac, ile nazbierało się w ciągu jednego dnia, robił się zmęczony, jechał do domu i kładł się spać, około dwudziestej trzeciej zajmując już miejsce w łóżku koło Abby. Tej nocy miał jednak tyle siły, że mógł pracować do rana. Nie zamierzał jednak siedzieć w gabinecie tak długo. Obiecał Abby, że wróci, zanim nastąpi ranek, a do tego faktycznie musiał zachować dość energii na lekcję tańca.

Zaczął wpisywać do zeszytu oceny sprawdzonych prac.

Nigdy nie należał do tych trenerów, którzy w piątkowe noce analizują filmy z meczów. Prowadzenie meczu pochłania mnóstwo energii, i po zakończeniu zmagania drużyny na stadionie John zawsze czuł potrzebę zajęcia się czymś zupełnie innym. Jego ulubionym sposobem na odstresowanie się było sprawdzanie klasówek czy zadanych uczniom prac. Tego wieczoru zdołał szybko sprawdzić prace z trzech dni.

Cały czas nie był w stanie przestać myśleć o Nathanie Pike'u.

Miał silne przeświadczenie, że Nathan przyszedł na stadion tylko z powodów, które podał. Że chciał pogratulować mu wspaniałego zwycięstwa. John machinalnie przerwał wpisywanie ocen i przypomniał sobie przebieg incydentu, jaki miał miejsce po zakończeniu meczu. Cóż, rodziło się wiele pytań. Dlaczego Nathan nie wszedł na stadion głównym wejściem, jak wszyscy inni? Dlaczego miałby przesiedzieć cały dzień w bibliotece, a potem nagle pojechać na odległy o piętnaście kilometrów stadion? Nie leżał po drodze do jego domu. Do tego John nie przypominał sobie, żeby w tym sezonie Nathan oglądał już którykolwiek z meczów Orłów.

A jednak John miał talent do czytania z oczu uczniów prawdy. Słowa Nathana wydały mu się paradoksalnie bardziej wiarygodne niż wszystko, co kiedykolwiek wcześniej mówił w jego obecności ten chłopak.

Sprawdziwszy jeszcze jeden stosik prac, John przeciągnął się. Jego wzrok padł na stojącą w rogu biurka fotografię oprawioną w ramki. Było to jego zdjęcie z Abby, zrobione w dniu ślubu Nicole. Abby dziwiła się, że John postanowił wybrać sobie na biurko właśnie tę fotografię. Stali na niej pół metra od siebie i nawet przypadkowy obserwator od razu zauważyłby na ich twarzach napięcie. Nie była to fotografia szczęśliwej pary.

Przedstawiała jednak prawdziwy stan rzeczy. John i Abby mieli wcześniej zamiar się rozwieść, a owej nocy, tuż po wyjeździe Nicole i Matta w podróż poślubną John zamierzał zabrać swoje rzeczy i wyprowadzić się do kolegi - nauczyciela, który zresztą od roku był rozwodnikiem. Gdy fotograf naciskał spust, osobiste drobiazgi i ubrania Johna czekały już spakowane w bagażniku jego samochodu.

Omam nie doszło do rozwodu.

Kade i Sean przenieśli się wówczas na tydzień do kolegów, Abby miała w planach podróż do Nowego Jorku i prywatne spotkanie z redaktorem naczelnym czasopisma, z którym współpracowała. Wspólne życie Abby i Johna sypało się w gruzy. A ich dzieci nie wiedziały o tym.

Po ślubie i weselu Nicole John odjechał, ale pokonawszy połowę trasy, zatrzymał samochód. Nie wiedział, jak zawrócić ze źle obranej drogi - jak naprawić popełnione przez siebie i swoją żonę błędy. Poczuł jednak, że nie może oddalić się nawet o metr więcej od jedynej kobiety, jaką w życiu kochał. Bóg chciał, żeby John kochał ją, dopóki śmierć ich nie rozłączy.

W owym czasie Abby i John mieli już pozałatwiane przedrozwodowe formalności, ustalili, kiedy powiedzą o wszystkim dzieciom, jak podzielać się opieką nad nimi. Zdawało się, że pozostało im tylko się rozwieść. Lecz Johna trapił pewien istotny szczegół.

Wciąż kochał Abby. Całym sercem i duszą.

Wysiadł więc z samochodu i pieszo wrócił do domu. Znalazł Abby na dworze; wiedział, gdzie jej szukać. Była na końcu mołu, gdzie przeżyli wspólnie tyle wzruszeń. W ciągu następnej godziny mury, które każde z nich zbudowało wokół swojego serca, runęły z hukiem. Odsłoniły dwoje ludzi, którzy wcześniej założyli rodzinę, zbudowali wspólne życie i miłość, jakiej nie mogli odrzucić.

John westchnął.

Tak bardzo kocham Abby - pomyślał - bardziej niż kiedykolwiek.

- Zabierz stąd to zdjęcie - powiedziała, kiedy ostatnio weszła do jego gabinetu. Z niesmakiem patrzyła na fotografię. - Jest okropne. Wyglądam na nim jak stara, zgorzkniała kobieta.

- Nie. Dzięki niemu pamiętam - odpowiedział.

- Co pamiętasz?.

- Jak niewiele brakowało, żebyśmy wszystko stracili.

Poza tym nie była to jedyna fotografia na biurku Johna. Tuż obok stała druga, mniejsza, zrobiona przed paroma miesiącami podczas jednego z rodzinnych spotkań. Abby i John śmieli się wesoło. Abby wydawała się o dziesięć lat młodsza niż na poprzednim zdjęciu. To niezwykle, jak szczęście potrafi upiększyć twarz człowieka!

John zerknął na ścienny zegar. Było wpół do pierwszej w nocy. Abby zapewne już spała. John poczuł nagle zmęczenie. Popatrzył na leżące przed nim papiery - sprawdził połowę wszystkich prac. Druga mogła poczekać. Jeżeli będzie musiał, popracuje do późna w nocy w poniedziałek.

Podniecenie wywołane wydarzeniami dnia minęło. Teraz mógł jechać do domu i położyć się spać. Nie będzie leżał całymi godzinami, rozważając mimo woli szczegóły tego czy innego meczu. Przytuli się lekko do śpiącej

Abby i napawając się jej delikatnym, kobiecym zapachem, zaśnie w ciągu kilku minut.

Tak, czas jechać.

John poukładał równo prace i schował je do odpowiednio oznaczonych teczek. Sięgnął po klucze, zamknął gabinet i wyszedł na parking.

Kiedy wyjechał poza bramę szkoły, przystanął, żeby rozruszać mięśnie nóg. Czuł się bardziej zmęczony niż zdawało mu się jeszcze chwilę wcześniej.

Ulice były od dawna puste. Szkoła znajdowała się o zaledwie parę minut jazdy od jego domu. Za pięć minut położę się spać u boku Abby - pomyślał John.

Rozejrzał się w obu kierunkach i zapinając pas, wyjechał na ulicę Haynesa.

Nagle usłyszał z tyłu przeraźliwy odgłos, jakby nadjeżdżał rozpędzony pociąg towarowy. John uświadomił sobie w ułamku sekundy, że przeciętorky kolejowe przechodzą przez inną część miasta. Zerknął w lusterko wsteczne i wtedy oślepiły go światła.

Jezus Maria, wjedzie we mnie!!! - pomyślał. Boże!!!

Nie miał czasu na reakcję. Zanim zdążył zastanowić się, czy należy wcisnąć hamulec czy gaz, dobiegający z tyłu ryk stał się ogłuszający, a potem ciałem Johna szarpnął straszliwy wstrząs. Słyszał pisk opon i łoskot rozpadających się szyb, i...

Poczuł w plecach przemożny ból, nieopisanie silny. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł czegoś takiego!

Obraz przed jego oczami zamazał się; John z trudem łapał powietrze, znalazłszy się w kompletnej ciemności. Stwierdził, że może mówić i krzyknął przeraźliwie jedyne słowo, jakie przyszło mu na myśl:

- Aaabby!!!

Jego głos rozbrzmiewał przez zadziwiająco długi czas; jednocześnie John nie był w stanie zaczerpnąć na nowo powietrza.

A potem nastąpiła zupełna cisza.

RS

ROZDZIAŁ 12

Poduszka powietrzna nadmuchwała się szybciej niż trwa mgnienie oka.

W jednej sekundzie Jake śmigał ulicą Haynesa, oszołomiony prędkością, jaką Casey zdołał wycisnąć ze swojej hondy, a w następnej rozległ się najpotworniejszy hurgot, jaki można było sobie wyobrazić!

Jake zorientował się, że jego samochód przestał się poruszać; poduszka powietrzna dusiła go. Zaczął w nią bić, żeby móc oddychać. Co się stało?! - myślał, sapiąc. Strzeliła mi opona czy sam straciłem panowanie nad samochodem? Kręciło mu się w głowie. Nie, zaraz - myślał, oszołomiony. Ścigałem się z Caseyem Parkerem...

Jake prowadził, ale bardzo niewielką przewagą. Wcisnął pedał gazu do końca i widział jak wskazówka prędkościomierza mija sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Nigdy nie zamierzał tak szybko prowadzić; cieszył się, że wyścig zakończy się za niecały kilometr.

Nagle zobaczył jakiś ruch. Na ulicę wyjechał duży samochód - tuż przed nim!

I co? Chyba się z nim zderzyłem! - myślał Jake. Czuł suchość w ustach, cały czas trudno mu było oddychać. Boże! Tylko nie to!... Zaczął kopać z wściekłością opadłą poduszkę powietrzną, żeby uwolnić nogi i otworzyć drzwi. Zrobił to i postawił stopę na ulicy. Czuł silny ucisk w piersi. Dlaczego nie mogę w pełni nabrać powietrza? - myślał z niepokojem.

No wstawaj, baranie! - ponaglił się w duchu, jednak jego ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Nie mógł się poruszać; czuł, że jego kończyny są bezwładne. Minęło kilka sekund. Jake poczuł, że jego płuca wypełniają się stopniowo powietrzem. I nagle zrozumiał - uderzenie wycisnęło mu powietrze z płuc.

Muszę oddychać - pomyślał. No, oddychaj!

Tak, przestało brakować mu tlenu. Odzyskał władzę w nogach. Wysiadł i rozejrzał się. Samochodu Caseya nigdzie nie było widać.

- Boże, nie!... - jęknął na głos Jake.

Serce tłukło mu się mocno i szybko, kiedy się odwracał. Mniej więcej siedem metrów przed sobą zobaczył zmiażdżony wrak pojazdu, chyba półciężarówki. W tej chwili nie potrafił nawet określić, jaki do niedawna miała kolor. Jake poczuł mdłości, ale zamiast zwymiotować, rozplakał się. Nie miał telefonu komórkowego, nie mógł więc w żaden sposób wezwać pogotowia. Szkołę otaczały pola. Huk z pewnością nie obudził nikogo.

Jake patrzył na stos pogiętego metalu i uświadomił sobie, że kierowca rozbitej półciężarówki z pewnością nie żyje. Pasażerowie także nie, jeśli byli jacyś... Na kursie prawa jazdy uczono, że należy zapinać pasy, bo w razie wypadku prawie zawsze pozostaje wokół zamkniętego w samochodzie człowieka miejsce, dzięki czemu można przeżyć.

Tylko że z tej półciężarówki jedynie przód był cały. Skrzynia ładunkowa była zgnieciona jak puszka po piwie, a jeśli chodzi o kabinę, to właściwie jej nie było... Wyglądało na to, że reszta samochodu zajęła miejsce, w którym wcześniej była kabina.

Umysł Jake'a nawiedziła prosta myśl: Uciekaj! Uciekaj stąd jak najszybciej! Miał świadomość, że jeśli przed chwilą kogoś zabił, spędzi całe lata w więzieniu. Spojrzał teraz na wrak swojego samochodu. Przód był zniszczony, lecz acura wyglądała tak, że być może mogła jeździć.

Jake pokręcił głową oddalając myśl o ucieczce.

Co ja wyprawiam?! Wydaje się to niemożliwe, ale przecież w tym wraku może być jednak wciąż żywy człowiek! Jake podszedł do zmiażdżonej półciężarówki. Nie miał ochoty zobaczyć tego, co... kto tkwił w środku.

Serce Jake'a biło teraz tak niezwykle szybko, że bał się, iż zemdleje. Już wcześniej zwrócił uwagę, że drży, ale teraz po prostu dygotał. W panującej wokół ciszy usłyszał szcęknięcie własnych zębów. Podchodził od tyłu do wraku.

Nagle zobaczył, że od rozbitego samochodu coś odpadło, leżało na asfalcie. Tablica rejestracyjna. Zrobiwszy kolejny krok, Jake spojrzał na tablicę i serce mu zamarło.

- GO EAGLES - zobaczył. - ORŁY DO BOJU.

Co??? Nie, Boże...! To nie mogło się stać! Błagam Cię!...

Tylko jeden samochód miał takie tablice. Jake znał tę półciężarówkę i jej właściciela.

- Panie trenerze!!! - zawołał z przerażeniem Jake. Z wytrzeszczonymi oczami i sercem, które nie chciało bić, przyskoczył do burty wraku.

Ze środka doleciał jęk. Drzwi pojazdu były tak powyginane, że Jake nie widział, kto jest w środku, a tym bardziej nie był w stanie pomóc ofierze wypadku.

- Panie trenerze! - powtórzył. - To pan?!

Jasne, że to pan trener Reynolds! Jake złapał się za głowę i zaczął rozpaczliwie rozglądać się na wszystkie strony. Dlaczego akurat nie pojawiał

się żaden inny samochód? I gdzie podział się Casey?! Jake odruchowo szarpał się za włosy.

- Panie trenerze, sprowadzę pomoc! - krzyknął znowu. - Niech pan się trzyma!

Z całą wypracowaną przez lata siłą sportowca, Jake pociągnął za coś, co było chyba częścią drzwi. Otwierajcie się, głupie drzwi!... - myślał. No otwierajcie...!

- Panie trenerze, niech pan chwilę zaczeka!

Jake poczuł przyływ paniki. Boże, co ja zrobiłem?! - myślał. Rozpędziłem acurę do stu kilkudziesięciu kilometrów na godzinę i wpadłem na półciężarówkę pana trenera!!! Jak to się mogło stać? Przecież on powinien być już od paru godzin w domu. No i co teraz? Pan Reynolds tkwi w środku tego pogieętego wraka i umiera, a ja nie mogę nic na to poradzić!...

- Panie trenerze... Czy pan mnie słyszy? Cisza.

- Boże... - jęknął Jake. Z płaczem odrzucił głowę w tył, uniósł ręce ku niebu i wrzeszczał jak szaleniec: - Boże, pomóż mi, błagam!!! Niech pan trener nie umrze!!!

W tym momencie usłyszał za plecami odgłos nadjeżdżającego samochodu. Dziękuję, Panie! - pomyślał. Cokolwiek ze mną zrobią, błagam Cię, żeby pan Reynolds żył! Proszę Cię!

Stanął na środku drogi i zaczął energicznie wymachiwać rękami. Od razu rozpoznał zbliżający się samochód. Przyjechał Casey Parker. Honda zatrzymała się z piskiem opon i Casey wyskoczył na ulicę.

- Zdaje mi się, że to była półciężarówka naszego trenera... - powiedział. Na jego twarzy malowała się udręka. On także dygotał, był blady, wyraźnie pogrążony w szoku. Jake wiedział, że z nim dzieje się to samo. - Poczulem, że muszę tu wrócić! - Casey pokazał Jake'owi telefon komórkowy. - Już dzwoniłem do centrum ratownictwa.

- On... - zająknął się Jake. - On... - Trząśł się cały. Nie był zdolny mówić.

Casey podbiegł do wraku.

- Chodź, pomóż mi! - zawołał. - Musimy go wyciągnąć. Dwaj chłopcy za wszelką cenę próbowali znaleźć jakiś sposób na dostanie się do wnętrza zmiażdżonej kabiny. Nie znaleźli żadnego. Wciąż walczyli z pogieętym metalem, kiedy odezwały się syreny, a nawet kiedy obok zatrzymało się pogotowie ratunkowe. Dopiero sanitariusze polecieli chłopcom odsunąć się od wraku.

- Tam jest pan trener! - krzyknął Jake. Nie mógł logicznie myśleć, a nawet z trudem mówił. - Uratujcie go!

- W środku jest trener naszej drużyny! - dodał Casey. - Na sto procent.

- John Reynolds? - upewnił się jeden z sanitariuszy. - Tak!... - Casey obliznął spierzchnięte usta. Wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć; dobrze przynajmniej, że był w stanie normalnie mówić. Jake schował ręce do kieszeni i spuścił głowę. Miał ochotę zapaść się pod ziemię, skryć się w jakiejś norze i nigdy z niej nie wyjść. Albo zasnąć; i żeby obudziła go mama i wytłumaczyła mu, że to wszystko był tylko zły sen.

Zamiast mamy pojawił się jednak radiowóz.

Jake i Casey na przemian patrzyli w asfalt albo śledzili wysiłki ratowników. Jake nie przejął się nawet zbytnio przybyciem policji. Myślał głównie o tym, czy sanitariusze zdołają wydostać z wraka pana trenera, a jeśli tak, czy uda im się uratować go od śmierci, czy nie.

Był tym tak pochłonięty, że kiedy naprzeciw niego i Caseya stanęli dwaj policjanci, Jake zrobił krok w bok, żeby lepiej widzieć wrak.

- Ty prowadziłeś tę czerwoną acurę NSX? - spytał jeden z funkcjonariuszy i zaświecił Jake'owi latarką w oczy.

Zadrzało mu serce. Boże, ratunku!...

- Tak... to ja - odpowiedział, mrużąc powieki.

- Odniosłeś jakieś obrażenia?

- Nie. - Jake czuł taki ścisk w gardle, że musiał się wysilać, by wydobywać z siebie słowa. - Miałem poduszkę powietrzną.

Drugi z policjantów oświetlił z bliska twarz Caseya.

- Ty prowadziłeś tę hondę?

- Tak. - Słysząc było, że Casey szczęka zębami.

- Kierowca, który znajdował się półtora kilometra stąd, zameldował nam, że widział żółtą hondę i czerwoną acurę NSX, które ściagały się, pędząc z olbrzymią prędkością ulicą Haynesa. - Pierwszy z policjantów zrobił krok w stronę Jake'a. - Czy to prawda?

Jake zerknął na Caseya. To jakiś koszmar! - pomyślał. Jezu, co my tu robimy?! Dlaczego w ogóle zgodziłem się ściagać z Caseyem? Przecież miałem zamiar jechać do domu! Powiedziałem sobie: - Jeszcze parę minut i wyjdę. I co?...

- Przynieś swoje prawo jazdy. - Policjant pokazał na rozbity samochód Jake'a. - Ty też - dodał pod adresem Caseya, pokazując na hondę.

Jake i Casey posłusznie przynieśli dokumenty. Pierwszy z funkcjonariuszy obejrzał laminowane karty, a potem podał je drugiemu.

- Sprawdź dokumenty w bazie - polecił. - Słuchaj, człowieku - rzucił do Jake'a. - Możesz polepszyć swoją sytuację. Nasi technicy ustalą, jak szybko jechałeś, z dokładnością do jednego kilometra na godzinę. Jeżeli nie będziesz chciał z nami teraz współpracować, zadbamy o to, żeby proces skończył się bardzo źle dla ciebie i twoich rodziców!

Rozległ się odgłos narzędzia do cięcia metalu. Boże, proszę Cię, niech oni go stamtąd wyciągną... - modlił się Jake.

Próbował przełknąć, ale nie mógł. Język przykleił mu się do podniebienia. Jake nie spoglądał już na Caseya.

- Tak, ścigaliśmy się - odpowiedział.

- Czy wiecie, że prawo tego zabrania?

Jake i Casey pokiwali jednocześnie głowami. Wrócił drugi policjant.

- Obaj nie notowani.

- Od dzisiaj będą - skwitował jego starszy kolega. - Skujmy ich. Potem zadzwonimy do ich rodziców.

Jake przeraził się - nie tym, że zawiozą go do aresztu, tylko tym, że odciągają go od pana trenera. Miał ochotę krzyknąć, żeby zostawili go, odsunęli się i pozwolili mu zostać, dopóki nie będzie miał pewności, że z panem Reynoldsem wszystko będzie dobrze. On naprawdę może umrzeć...

- pomyślał, czując się, jakby zamiast serca miał worek cementu. Może nawet już nie żyje. A nawet jeżeli żyje, to już nigdy wszystko nie będzie dobrze! Jestem jednym z najgorszych ludzi, jacy chodzą po świecie, i cokolwiek się ze mną od tej pory będzie działo, zasłużyłem na to!

Pierwszy z policjantów szarpnął go za nadgarstki i wykręcił mu ręce do tyłu, po czym Jake poczuł zimny metal, który złączył mu ręce za plecami. Jake omal cieszył się z tego. Policjant odszedł do radiowozu. Drugi, który skuł Caseya, też. Jake i Casey zostali na środku drogi, skuci. Mogli patrzeć na zmiażdżoną półciąężarówkę swojego trenera.

Ratownicy ciągle walczyli z pogiętym metalem, spiesząc się, żeby jak najszybciej wyciągnąć pana Reynoldsa. Szkoda, że nie potrafili działać szybciej. Jake zamknął oczy. Panie Boże, jak mogłeś do tego dopuścić? - jęknął w duchu. Tam powinienem tkwić ja. Proszę Cię, niech oni go wyciągną...

- Mam je! - odezwał się głośno jeden z sanitariuszy. Obrócił się i rzucił poszarpane drzwi, prosto na starannie przystrzyżony pas trawy, który okalał szkolny parking.

- Potrzebne sztywne nosze, natychmiast! I śmigłowiec. Nie przeżyje, jeżeli będziemy go wieźć karetką.

Będą wyciągać pana trenera! - pomyślał Jake. Drżały mu kolana, znów nie mógł złapać oddechu. Do jego serca napłynęła nadzieja, miał ochotę wołać do rannego pana Reynoldsa...

Sanitariusz zaczął energicznie wydawać polecenia pozostałym, używając słów, które Jake słyszał po raz pierwszy w życiu. Zrozumiał na pewno jedno: pan Reynolds wciąż żyje! Jest szansa, że... być może uda się go uratować! Nogi odmówiły Jake'owi posłuszeństwa, opadł na kolana, czując jak kołacze mu serce. Panie trenerze, niech pan trzyma się mocno!... - myślał. Boże, proszę Cię, niech on nie umrze!

Nie wiedział, jak długo tkwią z Caseyem na środku ulicy, obserwując pracę ratowników. Wreszcie przyleciał helikopter. Wylądował na pustej ulicy. I wtedy jeden z sanitariuszy zamachał do pozostałych i zawołał:

- On umiera!

- Nie!!! - krzyknął Jake, ale nikt go nie usłyszał, z powodu łoskotu śmigłowca. Jake zrobił trzy kroki w stronę grupy ratowników, cofnął się z powrotem... Zobaczył, że Casey płacze głośno.

Ktoś zaczął robić panu Reynoldsowi masaż serca, ktoś inny - sztuczne oddychanie.

- Zabierajmy go! - zawołał dowodzący akcją. Sanitariusze unieśli nosze i wtedy Jake zobaczył ofiarę wypadku. Natychmiast rozpoznał swojego trenera. Miał nawet na sobie futbolową kurtkę Orłów z Marion.

Teraz i Jake zaczął łkać. Jestem potworem! - myślał. Jak mogłem ścigać się na ulicy?! Co będzie z panem trenerem?! W ostatnich latach John Reynolds był mu bliższy niż ojciec.

- Uratujcie go, błagam! - zawołał Jake, pośród terkotu śmigłowca.

Załadowano do niego nosze z rannym i maszyna wystartowała, szybko znikając w oddali. Jake patrzył za helikopterem tak długo, aż odgłos wirnika przestał być słyszalny. Rozejrzał się i dopiero teraz zwrócił uwagę na policyjnych techników, którzy robili pomiary. W tej chwili mierzyli odległość pomiędzy rozbitymi samochodami. Nadjechały też dwa holowniki. Ich kierowcy wysiedli i czekali na swoją kolej.

Jake znów zaczął drżeć. Rozbolały go już ręce przytrzymywane kajdankami za plecami.

- No, to po nas - szepnął Casey. - Rozumiesz? Koniec sezonu.

Sezonu?! Jake poczuł mdłości. Co za człowiek z tego Caseya?! Kogo w takiej chwili obchodzą jakieś wyniki sportowe?! Spojrzał na Caseya; ledwie go widział przez napuchnięte powieki.

- Czy naprawdę sezon futbolowy jest dla ciebie najważniejszy na świecie?! - spytał.

Casey pokręcił głową. Nie płakał teraz, lecz trząsał się, jakby dostał jakiegoś ataku.

- Jasne że nie... Martwię się o naszego trenera. Ale poza tym... to będzie się za nami ciągnęło, do końca życia.

- Wiem, i zasłużyliśmy na to! - wybuchnął Jake. Casey otworzył usta, wyglądało na to, że chce się sprzeciwić, jednak zwiesił głowę, a potem rozplakał się.

- To prawda... - szepnął w końcu.

Jake czuł obrzydzenie zarówno do Caseya, jak i siebie samego. Policjanci mieli rację. On i Casey byli dwójką bogatych dzieciaków, które miały o wiele za szybkie samochody. Zaciskał zęby tak, że aż rozbolała go szczęka. Nie dbał o to, jakie będzie miał teraz kłopoty. Mógłby siedzieć w więzieniu przez dowolnie długi czas, a nawet oddać życie, za jedną rzecz.

Za to, żeby pan trener przeżył.

Jake miał wrażenie, że jeśli pan Reynolds umrze, to i on tego nie przeżyje.

RS

ROZDZIAŁ 13

To jakiś koszmarny sen!

Na pewno. Abby spojrzała na zegar, mrużąc oczy. Właśnie minęła druga. Niemożliwe, żeby John do tej pory nie wrócił do domu. A wypadki samochodowe nie zdarzają się takim ludziom jak on. Ludziom, którzy o tej godzinie zawsze śpią we własnym domu.

To musiał być sen. Abby była prawie o tym przekonana - tylko że Johna nie było w łóżku, a pościel po stronie, po której sypiał, była nienaruszona. Abby spróbowała przełknąć, ale nie była w stanie. Po co sama się nakręcam? - pomyślała. Przecież zdarzało się, że o tej porze Johna nie było w łóżku, szczególnie po meczu. Mógł oglądać telewizję w salonie, albo jeść owsiankę. Nieraz tak robił.

Ale co odpowiedzieć człowiekowi, który obudził ją telefonem?

- Czy pani mnie słyszy? - usłyszała w słuchawce spokojny i łagodny, lecz stanowczy głos. - Pani Reynolds? Obudziła się pani? Powtarzam: musi pani przyjechać teraz do szpitala. Pani mąż miał wypadek.

- Tak - bąknęła Abby, wobec nieustępliwości rozmówcy. - Już się obudziłam. Będę za dziesięć minut.

Rozłączyła się, a potem zatelefonowała do Nicole. Jeśli ten koszmar potrwa dłużej, trzeba postępować logicznie - pomyślała. Muszę robić to, co do mnie należy.

- Tata miał wypadek - powiadomiła.

- Co?! - krzyknęła Nicole. - Czy jest ranny?!

Abby starała się zachować spokój. Musiała pozostać opanowana, bo nie zdoła dojechać do szpitala. Jeśli ma kiedykolwiek wybudzić się z tego potwornego koszmaru, musiała ruszać się, działać.

- Nie powiedzieli mi. Wiem tylko tyle, że musimy tam pojechać. - Zamknęła oczy. Nie mogę się mylić - myślała. To musi być zły sen. Nic dziwnego - przecież na stadionie wypatrywałam zamachowca z bombą.

- Mamo, jesteś tam?

- Tak. - Abby spróbowała się skupić. - Czy jest z tobą Matt?

- Oczywiście.

- Niech on cię zawiezie. Nie chcę, żebyś sama jechała w środku nocy.

- A ty? Może powinniśmy cię zabrać?

- Sean już się ubrał i czeka.

- Jak on się czuje?

- Poczuję się dobrze, jak ten koszmar się skończy. Abby jechała samochodem do szpitala, zaszokowana tym, że wszystko wydaje się całkowicie realne. Powiew wiatru na twarzy, dotyk kierownicy, przesuwający się pod kołami asfalt. Jeszcze nigdy w życiu nie miała takiego snu.

Ale to musiał być sen.

John nie robił tego wieczoru nic niebezpiecznego. Owszem, na stadionie niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu - ktoś groził zamachem bombowym. Lecz w czasie powrotu ze szkoły do domu? John nie powinien spotkać na ulicy nikogo.

Abby zatrzymała samochód na parkingu przed szpitalem. Nieopodal zobaczyła wysiadających Nicole i Matta. Wpadli razem na ostry dyżur. Natychmiast zaprowadzono ich do jakiegoś gabinetu za dwuskrzydłowymi drzwiami. Nie siedzieli w poczekalni, jak wszyscy.

- Co się stało? - Nicole zaczęła płakać. Matt objął ją ramieniem. - Dlaczego zaprowadzili nas tutaj?

Abby zdała sobie sprawę z powagi sytuacji i zacisnęła pięść. Nie poinformowano jej niemal o niczym. Jakiego rodzaju wypadek miał John, czy zderzył się z jakimś innym samochodem? Jak ciężko jej mąż był ranny, jak znalazł się w szpitalu? Nic nie wiedziała, choć przynosiło jej to po części dziwną ulgę. Bo sny są właśnie takie - dziwne, pełne niewiadomych, niespójne...

Zobaczyła, że Sean także zaczyna płakać.

- Cśś - szepnęła, przytulając go i gładząc po plecach. - Wszystko dobrze.

Wszedł lekarz, zamykając za sobą drzwi. Na jego twarzy malowało się napięcie i smutek. Boże, nie... - jęknęła w duchu Abby. To nie może się dziać w rzeczywistości. Ja chcę się obudzić! Nie wytrzymam ani chwili dłużej.

Nie polegaj na swoim rozsądku, córko - usłyszała w myślach. - Jestem przy tobie, nawet w tej chwili.

Słowa te pojawiły się nie wiadomo skąd, jak gdyby od razu w jej sercu. Dodały jej tyle sił, że spojrzała doktorowi w oczy i zadała najtrudniejsze pytanie w swoim życiu:

- Co z moim mężem? - Żyje.

Cztery osoby jednocześnie wyprostowały się nieco.

- Czy możemy się z nim zobaczyć? - Abby zaczęła wstawać, ale lekarz pokręcił głową.

- Leży na oddziale intensywnej terapii, podłączony do urządzeń podtrzymujących życie. - Lekarz zmarszczył brwi. - Przez kilka najbliższych dni nie będzie wiadomo, czy przeżyje. Trudno powiedzieć. To może stać się w każdej chwili.

- Nie! - krzyknęła Nicole i przytuliła się twarzą do piersi Matta. - Nie, Boże!... Mój tatuś... Nie!...

Abby zacisnęła powieki i przycisnęła mocniej ramieniem Seana. Przypomniało jej się, że nie zadzwoniła do Kade'a. Znajdował się osiemset kilometrów od Marion i nie zdawał sobie sprawy, że jego ojciec walczy o życie. To jeszcze jeden niepasujący kawałek układanki... Koszmarny sen.

Ale ten sen z każdą chwilą robił się coraz bardziej realny. To było przerażające!

Nicole uciszyła się w końcu; nie odrywała twarzy od flanelowej koszuli męża.

Spokój pozwala zachować zdrowie psychiczne - pomyślała Abby. Spuściła wzrok i spostrzegła, że drżą jej dłonie. - Jeszcze raz popatrzyła w oczy lekarzowi.

- Jakie... obrażenia odniósł?

- Ma przerwaną tchawicę, proszę pani. Zazwyczaj skutkuje to śmiercią na miejscu, ale prawdopodobnie pani mąż był ułożony bezpośrednio po wypadku w takiej pozycji, że obie części tchawicy stykały się, i to go ocaliło. Przestał oddychać, kiedy ratownicy wyjęli go z samochodu. Podłączono go więc do urządzeń podtrzymujących życie i przetransportowano tu śmigłowcem.

- Śmigłowcem? - Przed oczami Abby zaczęły migać ciemne kółka, coraz większe. Potrząsnęła głową. Nie mogę zemdleć, nie w takiej chwili! - pomyślała. - Na czym polegał wypadek? - spytała.

Doktor zajrzał do notatnika i skrzywił się:

- Wygląda na to, że pani mąż ucierpiał w wyniku nielegalnego wyścigu samochodowego dwóch nastolatków.

- Wyści... - Gabinet zaczął wirować. - Wyścigu?

Nie, to musiał być zły sen! Przecież nie mogło naprawdę dojść do takiego zbiegu okoliczności. John, którego oskarżano o to, że pozwala swoim zawodnikom na nielegalne wyścigi samochodowe, został uderzony przez rozpędzone samochody ścigających się nastolatków?! Wydawało się to tak niewiarygodne, że nie mogło stać się w rzeczywistości.

- Samochody tych chłopaków jechały z prędkością około stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, akurat kiedy pani mąż wyjeżdżał ze szkolnego parkingu. Jeden z samochodów najechał od tyłu na jego półciężarówkę.

- I... - Abby wpiła palce w skronie, żeby nie zemdleć. Musiała najpierw dowiedzieć się wszystkiego. - I John ma przerwana tchawicę, tak? To mu się stało?

Lekarz nachmurzył się jeszcze bardziej.

- To powoduje bezpośrednie zagrożenie życia, więc w tej chwili jest najważniejszym urazem.

- Doznał jeszcze innych urazów?

Nicole jęknęła i przytuliła się mocniej do Matta. Abby zerknęła na Seana. Płakał, przyciśnięty twarzą do jej rękawa. Biedne dzieci, nie powinny tego słyszeć! - pomyślała Abby. Ale jeżeli to tylko zły sen, to nie szkodzi. Im szybciej zagram swoją rolę do końca, tym szybciej się obudzę.

Lekarz zajrzał w notatki.

- Prawdopodobnie pani mąż ma złamany kręgosłup w odcinku szyjnym. W tej chwili nie jesteśmy w stanie tego stwierdzić, lecz sądzimy, że jest sparaliżowany. Przynajmniej od pasa w dół.

- Neeee!!! - krzyknęła znowu Nicole. Matt spojrzał błagalnie na Abby. Nie mogła jednak nic zrobić. Starła się zaakceptować znaczenie usłyszanego słowa.

- Sparaliżowany? Sparaliżowany?! To niemożliwe! Przecież John kilka godzin temu prowadził zwycięski mecz Orłów! A potem odprowadził mnie do samochodu i wszedł po schodach do szkoły. Dzisiaj mieliśmy pojechać na lekcję tańca!

Sparaliżowany?

- Przykro mi... - Lekarz pokręcił głową. - Zdaję sobie sprawę, że to dla państwa bardzo trudne do przyjęcia wiadomości. Czy chcieliby państwo, żebym kogoś dla państwa zawiadomił?

Abby chciała poprosić doktora, aby zadzwonił do Kade'a. Wstała jednak, przytuliła znowu Seana i spytała:

- Gdzie jest mój mąż? Musimy go zobaczyć.

Lekarz ogarnął wzrokiem wszystkich i skinął głową. Otworzył drzwi.

- Proszę za mną.

Szli za nim, poruszając się, jakby sami byli ranni. Najpierw posuwali się jednym korytarzem, potem drugim. Stukające o posadzkę obcasy doktora

przywodziły Abby na myśl jakiś makabryczny zegar, który odmierzał czas, jaki pozostał Johnowi do śmierci. Miała ochotę krzyknąć na lekarza, żeby szedł ciszej, ale przecież nie miałyby to sensu. Nawet we śnie.

Przystanął wreszcie i otworzył jakieś drzwi.

- Mogą państwo zostać wszyscy w środku tylko kilka minut - zapowiedział. - Pani sama - zwrócił się do Abby - może siedzieć koło męża nawet do rana, jeśli pani sobie życzy.

Abby pierwsza weszła do sali, ostrożnymi kroczkami. I nagle wszystko zrobiło się zupełnie realne. Uwierzyła. Opadła na podłogę koło szpitalnego łóżka, czuła zawroty głowy.

Boże! To się naprawdę stało!

Wokół niej zrobiło się stopniowo ciemno.

- Ja mdle... Straciła przytomność.

Kiedy ją odzyskała, siedziała na krześle koło łóżka, gdzie leżał John. Wokół niej stali Nicole, Matt, Sean i pielęgniarka, która trzymała sole trzeźwiące.

- Zemdląła pani - wyjaśniła pielęgniarka. - Bardzo pani współczuję...

Abby popatrzyła w stronę łóżka, na ukochanego Johna, swój skarb. Do jego ciała podłączone były jakieś rurki - wchodziły mu do ust, szyi, rąk, nóg. Głowę i szyję miał unieruchomioną specjalną klamrą. Sprawiało to na Abby wrażenie, jakby John został uwięziony. Miała ochotę zrzucić z niego to wszystko, uwolnić go i pojechać z nim do domu.

Nie mogła jednak tego zrobić.

Jedynie, co mogła, to trwać przy nim do rana, i jeszcze starać się nie płakać zbyt głośno. Rozumiała, że skoro John znajduje się tu, obok, to nie ma go w domu. Nie ogląda telewizji, nie je owsianki ani nie sprawdza nocą klasówek. Leży unieruchomiony w szpitalnym łóżku i walczy o życie.

Wszystko to mogło znaczyć tylko jedno. Abby nie śniła.

Jej ukochany mąż, mężczyzna, który biegał jak wiatr po boisku Uniwersytetu stanu Michigan, który grywał z nią w tenisa i uprawiał z nią jogging, pokazywał trenowanemu zawodnikowi, jak mają się ruszać, kiedy nie wystarczały im wykresy; mężczyzna, który ze sto razy w najrozmaitszych okolicznościach tańczył z nią na molo za domem... być może już nigdy nie zatańczy.

Był to koszmar, ale nie senny. Nie można było się z niego wybudzić.

Koszmar z rodzaju tych, które trwają do końca życia.

Następne godziny zdawały się minąć w mgnieniu oka.

W sobotę po południu w szpitalu pojawił się Kade. Abby nie była pewna, o której dokładnie godzinie. W każdym razie zebrali się koło łóżka Johna całą rodziną i modlili się za niego. Przybyli także Jo i Denny, i chyba ponad dziesięcioro bliskich znajomych z kościoła i szkoły.

Więści rozchodziły się szybko: trener Reynolds miał wypadek, być może już nigdy nie będzie mógł chodzić! W poczekalni roilo się od ludzi, wśród nich czuwali na zmianę zapłakani futboliści. Na salę wpuszczano tylko najbliższą rodzinę Johna, to znaczy Abby, ich dzieci oraz Matta. Abby nie opuszczała męża, wychodziła jedynie do toalety, z której korzystała tylko ona. Gdy zaglądała do poczekalni, nie chciała rozmawiać o tym, kogo aresztowano i jaka kara groziła sprawcom wypadku. Chwilowo nie obchodziło jej to wcale. Ważne było tylko jedno - to, żeby John przeżył.

Jak dotąd nie odzyskiwał przytomności, chociaż lekarze mówili, że w każdej chwili może się to zdarzyć.

Już dawno Abby przestała rozważać, czy to, co się dzieje, może być tylko snem. To była rzeczywistość. Modliła się, żeby obraz tej rzeczywistości zmienił się inaczej niż wyobrażali sobie lekarze. Pragnęła, żeby John obudził się wieczorem, rozejrzał się po sali i pokazał zęby w charakterystycznym na wpół głupkowskim uśmiechu.

Potem poruszyłyby palcami rąk i nóg, a następnie poprosiłyby pierwszą przechodzącą pielęgniarkę, żeby zdjęła mu kłamerę z szyi. Oczywiście czułby pieczenie w gardle - musiało to doskwierać każdemu, kto miał przerwana tchawicę - ale poza tym byłby zdrowy. Po kilku dniach jego pobytu w szpitalu wyszliby z Abby razem i zapomnieliby o przerażającym wypadku, wracając do codziennych zadań. Kochaliby się i uczyli się tańca od pewnej siebie Pauli.

Abby była przekonana, że tak właśnie się stanie.

Na razie rodzina Reynoldsów umilkła. Kade opierał się o ścianę, wpatrując się niemo w ojca. Stał nieruchomo od dwóch godzin, blady, z przekrwionymi oczami. Obok niego na podłodze siedział Sean. Podciągnął kolana pod brodę i zasłaniał twarz dłońmi. Przez większość czasu płakał cicho. Kiedy przestawał, to nie dlatego, że robił się mniej smutny. Abby czytała z twarzy młodszego syna, że jest zbyt przerażony, by płakać.

Matt i Nicole znajdowali się przy drugiej ścianie. Nicole siedziała na krześle, Matt stał koło niej. Lekarz zachęcił ich do rozmowy, mówiąc, że dzięki niej John może się obudzić, słysząc ich głosy. Abby i chłopcy

odzywali się więc od czasu do czasu, jednak najczęściej mówiła Nicole. Mniej więcej co dziesięć minut wstawiała, podchodziła do łóżka i mówiła:

- Tato, to ja. - Z jej oczu zaczynało wypływać więcej łez. - Obudź się, tatusiu! Czekamy tu na ciebie wszyscy i modlimy się za ciebie. Wyzdrowiejesz, ja wiem, że wyzdrowiejesz.

Po kilku zdaniach płakała tak rzewnie, że nie była już zdolna mówić. Podchodziła wtedy do Abby i tuliła ją długo. Wreszcie wracała na miejsce koło Matta. Od czasu do czasu ktoś wychodził, żeby coś zjeść albo napić się czegoś.

Tego dnia usłyszeli tylko jedną dobrą wiadomość, już rano - lekarz oznajmił, że stan Johna już nie jest krytyczny, a ciężki.

- Wspaniale przetrwał noc - powiedział. - Według mojej oceny prawdopodobnie przeżyje.

Abby nie zdawała sobie sprawy, jak dawno miało miejsce koszarne wydarzenie ani czy znowu zapadła noc. Wiedziała tylko, że nie odważy się pojechać do domu. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby nie być na sali, kiedy John otworzy oczy i powie wszystkim, że tak naprawdę wcale nie jest w takim złym stanie.

Kiedy na korytarzu pojawiły się pielęgniarki pchające wózki z kolacją dla pacjentów, John jęknął cicho.

- John! - Abby nachyliła się nad łóżkiem i ujęła dłoń męża - tę, do której nie dochodziły żadne przewody. - Jesteśmy tu wszyscy razem, kochanie. Słyszysz mnie?

Ich dzieci zgromadziły się wokół Johna, czekając na jego odpowiedź. Nie był jednak w stanie się odezwać. Abby przyglądała się jego twarzy. Była posiniaczona i spuchnięta, a jednak oczy Johna poruszały się, pod półotwartymi powiekami. Pierwszy raz od chwili przybycia Abby do szpitala.

Nicole pogładziła delikatnie drugą rękę ojca, uważając, żeby nie zaczepić o żaden przewód.

- To ja, tatusiu - odezwała się. Wstrząsnęły nią dwa gwałtowne oddechy - walczyła z płaczem. - Obudziłeś się?

John leciutko skinął głową.

- Tak! - szepnął Sean. Świadomość tego, jakie obrażenia odniósł John, i to, że być może nie będzie mógł nigdy chodzić, była dla nich wszystkich czymś okropnym - ale gdyby miał umrzeć... O tym bali się nawet myśleć.

W tej chwili każdy jego nawet najdrobniejszy ruch był dla nich czymś w rodzaju znaku od Boga, mówiącego, że John przeżyje - choćby miał na zawsze pozostać niepełnosprawny.

Jęknął znowu, i zaczął poruszać ustami. Weszła pielęgniarka.

- Proszę się cofnąć - powiedziała. - Nie można za bardzo pobudzać pacjenta przy tracheotomii.

Spojrzała na ekrany monitorów, nachyliła się nad Johnem i odezwała się do niego:

- Panie Johnie, musi pan leżeć zupełnie nieruchomo. Czy pan rozumie?

Głowa Johna znów poruszyła się lekko w górę i w dół, może o centymetr w każdą stronę. Abby nabrała nadziei. Mam rację - on wyzdrowieje! - pomyślała. Muszą tylko pomóc mu wyzdrowieć z poniesionych ran, a potem wszystko będzie dobrze.

Pielęgniarka wystawiła rękę za plecy, dając zebrany znak, żeby nie podchodzili do chorego, zanim ona nie skończy z nim rozmawiać.

- Czy odczuwa pan ból, panie Johnie?

Tym razem zaprzeczył ruchem głowy, słabym, ale zdecydowanym.

- Panie Johnie, miał pan wypadek. Czy wie pan o tym?

Nie poruszał głową, drżały tylko jego powieki - starał się je otworzyć. W końcu udało mu się; zmrużył oczy, jakby ich otwieranie sprawiało mu ból. Prawie jednocześnie poruszył rękami, a potem zbliżył wolną rękę do szyi.

Widzicie?! - chciała krzyknąć Abby. Porusza się! Skoro John rusza rękami, to znaczy, że nie jest sparaliżowany? - myślała. Zamrugła powiekami i zaraz ogarnął ją smutek. Nawet jeśli John nie jest sparaliżowany, musi czuć się okropnie. Miał rurę w tchawicy, głowę i szyję przytrzymywała mu klamra, nie był w stanie mówić... Nie znosił, kiedy choćby miał zmierzyć temperaturę - a tymczasem znalazł się w tak opłakanym położeniu... Pielęgniarka złapała go za rękę, zanim zdążył wyrwać sobie z ciała przewody. Opuściła jego dłoń.

- Nie wolno panu dotykać szyi, panie Johnie - wyjaśniła. - Odniósł pan obrażenia i wszystkie te rurki są potrzebne. Rozumie pan?

Pielęgniarka mówiła głośno, wyraźnie i powoli, jak gdyby John był upośledzonym umysłowo dzieckiem. Kade spoglądał na nią gniewnie spod ściany, lecz Abby cieszyła się, że kobieta jest tak stanowcza. Inaczej John mógłby zrobić sobie krzywdę, a do tego nie można było dopuścić.

- Panie Johnie, czy pan rozumie? - powtórzyła pielęgniarka. - Nie wolno panu wykonywać żadnych gwałtownych ruchów ani odłączać przewodów, które do pana podpięliśmy. Ani jednego! Dobrze?

John zamrugał powiekami, po czym otworzył je trochę szerzej. Chyba zaczął w tym momencie widzieć. Spojrzał w oczy pielęgniarki i skinął głową, nieco mocniej niż przedtem. Później, nie czekając na kolejne słowa pielęgniarki, obrócił głowę i rozejrzał się, poruszając przede wszystkim gałkami ocznymi. Odnalazł kolejno wzrokiem Kade'a, Seana, Nicole, Matta, a na końcu Abby.

Nie wiedziała, co odczytały ze spojrzenia ojca dzieci, ale dla niej niemy przekaz Johna był jaśniejszy niż wszelkie słowa, jakich mógłby użyć. Mąż chciał, żeby trzymała się mocno, i mówił, że nic mu nie jest, i że wszystko będzie dobrze. Jednocześnie spojrzał na nią z tak głęboką i silną, prawdziwą miłością, że nawet zdrowy człowiek nie mógłby jej wyrazić słowami.

- Rodzina pobędzie z panem parę minut - odezwała się znowu pielęgniarka, cofając się o krok - jednak później musi pan zasnąć z powrotem, panie Johnie. Cały czas musi pan leżeć zupełnie nieruchomo. Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby był pan zdrowszy.

Nie spytała Johna, czy jest w stanie poruszać nogami ani czy je czuje. Czy może lekarze już nie sądzą, że został sparaliżowany? Czy też tylko nie można powodować u niego tak silnego szoku tuż po tym, kiedy odzyskał przytomność? Abby wolała o tym nie myśleć.

Zbliżyła się do łóżka, bez przerwy patrząc mężowi w oczy. Nie może zobaczyć moich łez - myślała. Muszę się opanować. Przynajmniej w tej chwili. Wstrzymała oddech i z wysiłkiem uniosła kąciki ust w lekkim uśmiechu. Lubiła się uśmiechać.

- John... - szepnęła.

John rozprostował palce jednej dłoni i Abby ujęła ją delikatnie. Nie mógł mówić, jednak ścisnął lekko jej dłoń. Na razie ani odrobinię nie poruszył nogami, lecz Abby bardzo się starała nie zwracać na to uwagi.

Sapnęła i znowu wstrzymała oddech. Tylko w ten sposób udawało się jej opanować łkanie.

- Pan Bóg jest dla nas taki dobry - szepnęła. - Wyzdrowiejesz, John.

Wyraz twarzy Johna zmienił się i Abby natychmiast odgadła, o czym myśli jej mąż - próbował przypomnieć sobie, co się stało. Kto się z nim zderzył? Co stało się ze sprawcą wypadku? Abby sama wiedziała niewiele, pokręciła więc głową i powiedziała:

- Nieważne, co się stało. To nie była twoja wina. Najważniejsze jest to, że odzyskałeś przytomność. Jesteśmy tu z tobą, a ty znajdujesz się pod najlepszą opieką, wiesz?

Napięcie na twarzy Johna zelżało nieco; skinął głową. Nicole złapała ojca za palce nóg. Nie zareagował. Spojrzał na nią, dopiero kiedy odezwała się:

- Tatusiu, Matt i ja chcemy wam wszystkim coś powiedzieć.

- Cześć - odezwał się do Johna Matt, kładąc dłoń na ramieniu żony. - Cieszę się, że się obudziłeś. - Mówił ze sztuczną wesołością.

Nicole odruchowo złapała się za szyję. Pewnie nie była w stanie mówić. Po kilku sekundach przełknęła, pokręciła głową i zaczęła:

- Mieliśmy powiedzieć wam to dziś wieczorem, przed waszą lekcją tańca...

- Głos jej się załamał. Zwiesiła głowę.

- Kiedy dowiedzieliśmy się o twoim wypadku, początkowo postanowiliśmy z tym poczekać - wtrącił Matt - jednak Nicole...

- Chcę, żebyś wiedział, tatusiu - przerwała Nicole.

- Musisz starać się, jak tylko możesz, szybko wyzdrowieć.

- Pogłaskała ojca w stopę, nie odrywając spojrzenia od jego oczu. - Spodziewamy się z Mattem dziecka. Nie planowaliśmy tego, ale to cud. - Pociągnęła nosem raz i drugi. - Chcieliśmy ci to od razu powiedzieć, bo potrzebujemy cię, tato. Ja cię potrzebuję i nasze dziecko też.

Z oczu Johna popłynęły łzy. Pokiwał poważnie głową, a potem kąci jego ust uniosły się odrobinę. Zrozumieli, co poczuł. Zamierzał być dziadkiem, mimo że na razie leżał unieruchomiony w szpitalnym łóżku i nie wiedział, co go czeka. Był radośnie podekscytowany nowiną.

Abby nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. A jednak Jo miała rację! To dlatego Nicole tak promieniała. Była w ciąży! Pośród najgorszego koszmaru pojawił się promyk nadziei i powód do radości.

Duszą Abby targały sprzeczne emocje. Podeszła do Nicole i Matta, i objęła równocześnie ich oboje.

- To niezwykle! - odezwała się. - Od dawna o tym wiecie?

- Od paru tygodni. Chcieliśmy mieć pewność, zanim komukolwiek powiemy.

Sean i Kade pogratulowali młodym małżonkom, chociaż bracia nie byli weseli. Abby oparła głowę o ramię Nicole i stała bez ruchu, zbyt wyczerpana emocjonalnie, żeby mówić cokolwiek więcej. Będziemy dziadkami - myślała o sobie i Johnie. Rozmawialiśmy o tym od dnia naszego ślubu, jednak

zawsze wydawało się to odległe. Dziadkami zostawali inni ludzie. Starsi. Kiedy Nicole wyszła za mąż, wiedzieliśmy, że może do tego dojść, ale...

Nikt nie spodziewał się, że Nicole od razu zajdzie w ciążę. Nikt oprócz Jo.

Abby ogarnęła nagła fala smutku. Czy John będzie kiedykolwiek biegał z wnukiem i bawił się z nim? Czy będzie mógł pójść z nim na spacer albo podrzucać go na kolanach?

Panie Boże, proszę Cię, spraw, żeby się okazało, że lekarze mylą się w sprawie nóg Johna. Błagam Cię...

- Na świecie doznacie ucisku, ale miejcie odwagę: Jam zwyciężył świat - przypomniała sobie.

Był to cytat, który czytali z Johnem przed miesiącem, kiedy jego kłopoty w szkole stały się poważniejsze niż wcześniej. Słowa te, zawarte w Ewangelii według świętego Jana, nieraz niepokoiły Abby, zamiast przynosić jej ulgę w trudnych okolicznościach. Jak można odnaleźć spokój, przeczytawszy: - Na świecie doznacie ucisku? - myślała.

Z biegiem lat nauczyła się jednak lepiej rozumieć ten cytat.

Kłopoty są nieodłączną częścią ludzkiego życia. Zdarzają się nawet tak okropne rzeczy jak nagła śmierć dziecka - druga córeczka Abby i Johna zmarła we śnie, gdy była jeszcze niemowlęciem - czy matki, matka Abby zginęła w wyniku uderzenia tornada. Część problemów człowiek sprowadza na siebie sam - na przykład rozkład związku Abby i Johna w minionych latach był wynikiem samolubstwa każdego z nich. Część powodują celowe działania innych ludzi - jak kłopoty Johna w szkole.

Jednak czasem po prostu może się zdarzyć, że człowiek siedzi do późna w gabinecie i sprawdza klasówki, a potem kiedy wyjeżdża z parkingu, żeby wrócić do domu, jego życie odmienia się nagle w mgnieniu oka.

Kłopoty są nieuniknione. Po ponad dwudziestu latach wspólnego życia Abby i John dobrze już to wiedzieli. Myślą zawartą w biblijnym cytacie nie było to, że należy rozpamiętywać nieuchronność problemów, ale że można mieć pewność, iż Pan Bóg przezwycięża je wszystkie. Gdyby Pan wszedł w tej chwili do szpitalnej sali, współczułby rodzinie Reynoldsów i płakałby razem z nią.

Lecz przed wyjściem uśmiechnąłby się do nich z przekonaniem i powiedziałby: - Radujcie się! Jam zwyciężył to wszystko.

Taka była prawda.

Dowodem na nią było nowe życie, rozwijające się w łonie Nicole.

RS

ROZDZIAŁ 14

W więziennej celi było bardzo zimno.

Jake siedział skulony w rogu pryczy. Miał towarzysza, który, zdaje się, został aresztowany za próbę rabunku - chłopaka o wyniszczonym na pierwszy rzut oka organizmie. Kiedy go wprowadzono, Jake przyjrzał mu się, ale aż dotąd żaden z nich się nie odzywał.

Mniej więcej od dwudziestu czterech godzin wydarzenia wokół Jake'a przypominały sceny z jakiegoś ponurego filmu.

Sanitariusze zbadali krótko Jake'a i Casey'a na miejscu wypadku, później policja przewiozła obu chłopców na komisariat. Stamtąd odesłano ich w dwa różne miejsca. Casey skończył już osiemnaście lat, został więc potraktowany jako dorosły. Jake miał siedemnaście, czyli w świetle prawa zaliczał się do młodocianych. W związku z tym spędził noc w celi pełnej nastoletnich chłopców, z których żaden nie był spokojny.

Urzędujący w areszcie funkcjonariusz powiedział Jake'owi, że przyjechała jego matka. Czekala na korytarzu, jednak Jake był oskarżony o przestępstwo, co oznaczało, że nie można było go odwiedzać, zanim nie zostanie po stosownych formalnościach umieszczony w przydzielonej mu celi. Nastąpiło to w sobotę po południu.

Lecz Jake od chwili wypadku do tej pory nie widział się z matką.

Stało się to wszystko, przed czym go ostrzegała. Za każdym razem kiedy umawiał się ze znajomymi - a odkąd dostał samochód, miało to miejsce chyba kilkadziesiąt razy - matka mówiła mu coś w rodzaju:

- Jake, nie jedź. Będzie cię kusilo. Takim samochodem łatwo kogoś zabić... I tak dalej.

Acura stała się ostatnio głównym tematem kłótni jego rodziców. Mama uważała, że ten samochód miał w zamyśle ojca zastąpić Jake'owi jego brak. Miał być czymś w rodzaju przeprosin taty za to, że przeprowadził się do innego stanu i żył życiem niczym nie skrepowanego mężczyzny stanu wolnego.

Niejednokrotnie mama krzyczała na tatę przez telefon, próbując przekonać go, że Jake jest za młody, żeby prowadzić tak szybki samochód.

- Żałosny z ciebie ojciec! Gdybyś go kochał, mieszkałbyś tu, na miejscu! A nie łajdaczył się na Wschodnim Wybrzeżu z jakąś flądą!

Udowodnienie, że jego matka ma rację, było ostatnią rzeczą, na jaką Jake miał ochotę. Pogłębiłoby to tylko spór pomiędzy jego rodzicami. Cóż... niestety to zrobiłem! - pomyślał.

Położył się na boku i podkurczył nogi. Czuł się samotny, był wystraszony, miał mdłości. A może pan trener umarł?! - myślał. A jeżeli żyje, to w jakim jest stanie, co się z nim dzieje? Jakie rany odniósł? Jake bał się spotkania z matką, ale z drugiej strony chciał dowiedzieć się od niej, co stało się z panem Reynoldsem.

Dlatego kiedy strażnik zastukał w kraty celi, Jake zerwał się natychmiast.

- Jake Daniels - wywołał go mężczyzna, otwierając kratę kluczem. Szczurowaty chłopak znowu wbił spojrzenie w pustą ścianę. - Masz gościa - burknął strażnik do Jake'a.

Jake czuł się paskudnie. Zabrano mu ubrania i dano niebieski, pozbawiony jakichkolwiek ozdób, jednoczęściowy kombinezon - taki jak na gazetowych rysunkach, przedstawiających oskarżonych na sali sądowej.

- Tędy - rzucił nieprzyjemnym tonem strażnik, prowadząc Jake'a korytarzem. Minęli szereg małych cel i weszli do sali przedzielonej ścianą z grubego szkła. Naprzeciw szyby znajdował się szereg krzeseł, rozdzielonych niskimi ściankami. Przy każdym z krzeseł była słuchawka telefoniczna. - Tam - polecił strażnik, pokazując na ostatnie krzesło.

Jake podszedł do niego niepewnym krokiem i usiadł. Dopiero wtedy zobaczył matkę. Siedziała naprzeciw niego, za szybą, trzymając już przy uchu słuchawkę. Miała napuchniętą twarz, przekrwione oczy. Co ja jej zrobiłem! - jęknął w duchu Jake, kuląc się. Serce zaczęło bić mu w dziwnym rytmie.

Zniszczyłem jej życie! - myślał. Zniszczyłem życie wszystkim!

Matka skinęła na niego, żeby podniósł słuchawkę. Przyłożył ją do ucha, podczas gdy pot wystąpił mu na czoło. Pociły mu się dłonie. Więzienne śniadanie wróciło mu do przełyku.

- Jestem... - odezwał się.

Jego mama chciała coś powiedzieć, lecz nagle zasłoniła twarz wolną ręką i rozpłakała się.

- Mamo... Przepraszam - powiedział Jake. Chciał objąć i przytulić matkę, ale uniemożliwiła mu to szyba. Czy dałbym radę ją wybić? - przyszło mu na myśl. Może wtedy szkło przecięłoby mi tętnice i umarłbym, jak na to zasłużyłem?... Opanował rozbiegane myśli, odchrząknął i powtórzył: - Tak bardzo przepraszam...!

Matka podniosła w końcu wzrok, rozmazując resztki zeszłodniowego makijażu pod oczami.

- Co się stało, Jake? - spytała. - Policja mówi, że ścigałeś się samochodem.

Jake znowu miał ochotę gdzieś uciec. Gdyby tak mógł wyslizgnąć się jakimiś drzwiami i pozostawić za sobą całą swoją sprawę...

Ale drzwi po obu stronach sali były zamknięte na klucz. Nie było ucieczki od serii nieszczęść, które czekały teraz Jake'a. Pomasaował skronie.

- To prawda. Ścigaliśmy się.

Wyraz twarzy matki zmienił się. Jake'owi aż zaparło dech. Do końca życia nie zapomni szoku, smutku, rozczarowania, jakie pojawiły się w spojrzeniu jego mamy. Otworzyła usta, jednak przez dłuższą chwilę nic nie mówiła.

- Dlaczego? - spytała w końcu cicho. Ton jej głosu rozdzierał serce Jake'a.

Zwiesił głowę. Nie było dobrej odpowiedzi na pytanie matki. Znowu spojrzał jej w oczy. Czekala.

- Ścigałem się, bo... Ech... Casey wyzwał mnie na pojedynek. - Nagle Jake poczuł ogromne pragnienie wytłumaczenia się. - O tej porze nie spodziewaliśmy się na drodze nikogo. Ale spod szkoły wyjechał pan trener, i nie dało się zdążyć... - Umilkł.

Oczy jego matki zamknęły się, jakby w zwolnionym tempie. Patrzył na nią przez brudną szybę.

- Och, Jake... nie jestem w stanie tego znieść...

- Czy... tata przyleci tu?

Matka zagryzła wargi i skinęła głową.

- Tak, ma być jutro po południu.

Niepewność dręczyła Jake'a, czuł klucie w żołądku. Cały dzień czekał, aż będzie mógł spytać mamę o stan pana Reynoldsa. Ale kiedy siedziała naprzeciw niego, bał się to zrobić. Nie miał jednak wyboru, myślał tylko o tym:

- Co z panem trenerem?

- Przez... - Matka załkała, z jej oczu poleciały świeże łzy. - Przeżył noc.

Jake poczuł ogromną ulgę, silniejszą niż kiedykolwiek w życiu. Dobrze, że siedzę - pomyślał - bo ugięłyby się pode mną nogi. Pan trener żyje! Mogę siedzieć w więzieniu do końca życia, nieważne. Ważne, że panu Reynoldsowi nic nie będzie. Jake spojrzał znowu w oczy matce i zmarszczył brwi.

Patrzyła ze szczególnego rodzaju smutkiem, jak gdyby nie powiedziała mu jeszcze wszystkiego.

- Rozmawiałam z panią Parker, Jake - kontynuowała. - Zna pewne małżeństwo, które chodzi do tego samego kościoła, co państwo Reynoldsowie. - Zwiesiła głowę. - Pan trener jest w złym stanie, synku. Jeżeli przeżyje... prawie na pewno będzie sparaliżowany od pasa w dół.

Pan trener sparaliżowany?! Od pasa w dół... Sparaliżowany?! Nasz pan trener?! Nie! Jake poczuł się, jakby zapadał się w ruchome piaski. Pan trener nie może być sparaliżowany... Przecież jest silny jak byk. Chłopaki podpuszczają go, mówiąc, że jest bardziej wysportowany niż którykolwiek z nich...

- Czy pani Parker coś się nie pomyliło? - upewnił się Jake. - Co napisali w gazecie?

- Jeszcze nic. Wypadek zdarzył się w nocy i nie zdążyli wczoraj wydrukować artykułu.

Jake znowu zaczął drzeć. Przesunął dłonią po włosach, potarł szyję.

- Mamo, nie możesz po prostu sobie pójść, kiedy się tego dowiedziałem. Ja muszę wiedzieć, co dzieje się z panem trenerem! To przeze mnie!

Matka zacisnęła powieki i siedziała nieruchomo. Jake widział ją w takim stanie tylko raz - przed paroma laty, kiedy opuścił ich ojciec. Być może mama przeżywa załamanie psychiczne? Jake nie miał pewności. Znów zapragnął wybić pięścią dziurę w szybie, przejść na drugą stronę i przytulić matkę. Nie mógł jednak zrobić nawet czegoś takiego! W mgnieniu oka życie wielu osób zmieniło się w jedną wielką tragedię, i wszystko to z jego winy!

-Mamo, proszę cię... Bardzo cię potrzebuję. Ten facet patrzy na mnie i zaraz zabierze mnie z powrotem do celi. -Niespokojny ton Jake'a sprawił, że matka otworzyła oczy. - Muszę wiedzieć, w jakim stanie jest pan Reynolds!

- Policjant powiedział mi, że będziesz tu siedział do poniedziałku, może do wtorku. Do czasu aż zdołają postawić cię przed sądem. Jesteś oskarżony o...

- Głos matki załamał się. Znowu się rozplakała. - O przestępstwo uszkodzenia ciała i o poważne złamanie kodeksu drogowego. I jeszcze o udział w nielegalnym wyścigu i użycie samochodu jako broni. Chcą sądzić cię jak dorosłego, Jake. To znaczy, że być może... - Umilkła.

- Zostanę w więzieniu na lata... - Jake ścisnął mocno słuchawkę. - Trudno, mamo. Zasłużyłem sobie na to.

- Możesz siedzieć naprawdę długo, synku. Policjant powiedział, że będziesz miał szczęście, jeżeli wyjdiesz za pięć lat.

Mama nic nie rozumie! - niecierpliwił się Jake. Co za różnica, gdyby nawet powiedziała, że będę siedział trzydzieści lat? I co? I tak nie będę już

grał w futbol ani prowadził samochodu. Będę musiał wyprowadzić się z Marion, bo przecież całe miasteczko będzie pokazywać mnie palcami jako człowieka, przez którego trener Reynolds stał się niepełnosprawny. Nie mam nawet osiemnastu lat, nie mam skończonych studiów, nie nauczyłem się żadnego zawodu, nie wiem, jak będę zarabiał na życie. To jak mam przeprowadzić się gdzieś i wrócić do normalnego świata?!

Jake miał wrażenie, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia, ale uważał, że to dla niego odpowiednie. Poza tym nawet w więzieniu mógł czasem przejść się korytarzem albo przynajmniej chodzić po celi.

Bo jeżeli mama się nie myliła, pan trener był w gorszym położeniu. Nie mógł zrobić nawet kroku.

Odłożenie słuchawki i odejście od siedzącego w areszcie syna było najtrudniejszą rzeczą jaką Tara Daniels musiała w życiu zrobić. Jednak następnego popołudnia poczuła się niewiele lepiej. W chwili gdy w więziennej poczekalni zobaczyła Tima.

Wszedł, z malującym się na twarzy przerażeniem. Miał przekrzywiony krawat, rozszerzone od niepokoju oczy. Gdy tylko dowiedział się, co się stało, przyleciał najbliższym samolotem.

Natychmiast zobaczył Tarę. Miała ochotę powiedzieć mu mnóstwo rzeczy. Kiedy odebrała telefon z policji i dowiedziała się, że Jake został aresztowany i oskarżony o przestępstwo spowodowania obrażeń ciała w wyniku kolizji drogowej, a także że wypadek miał miejsce wskutek nielegalnego wyścigu, pomyślała, iż Tim również powinien zostać aresztowany. Ostrzegając go przecież. Mówiła i jemu, i Jakeowi, że tak szybki samochód w rękach nastolatka to źródło potencjalnego nieszczęścia. Przekonywała zresztą Tima do niejednej rzeczy - także i do tego, że warto ratować ich małżeństwo. Ze przeprowadzając się do New Jersey, straci wszystko co najcenniejsze - miłość, która dawniej ich łączyła, syna, którego wspólnie wychowali, bliską relację z Bogiem, do którego wcześniej razem się modlili, uważając to za coś bardzo ważnego.

Tara miała rację - i wcześniej, w sprawie ich małżeństwa, i ostatnio, w sprawie samochodu.

Kiedy jednak zobaczyła z bliska rozpacz i żal, malujące się na twarzy Tima, przestała myśleć o swojej racji, czy też o tym, że Tim popełnił błędy. Ważne było tylko to, że ich syn omal nie zabił człowieka, że ofiara wypadku prawdopodobnie została sparaliżowana. I że w związku z tym życie ich wszystkich odmieniło się nieodwołalnie.

Nie był to odpowiedni czas na wskazywanie palcem winnego. W owej chwili na całym Bożym świecie był tylko jeden człowiek, który potrafił zrozumieć cierpienie Tary, pojąć, co przeżywała. Człowiekiem tym był stojący naprzeciw niej mężczyzna, którego wciąż kochała, mimo że już przed laty przestała go lubić.

- Tim... - Wyciągnęła rękę, a on podszedł do niej, powolutku, jak umierający, który chce odwlec własną śmierć choćby o kilka sekund. Objął Tarę w pasie, a ona pogładziła go po szyi. Stali pośrodku zbiorowiska łobuzów, złodziejasków, włóczęgów, policjantów i urzędników - i zrobili coś, czego nie udawało im się zrobić od lat.

Przytulili się mocno. I zapłakali razem.

RS

RS

ROZDZIAŁ 15

W poniedziałek zaczęła zmniejszać się opuchlizna wzdłuż kręgosłupa Johna. Lekarz mówił, że zanim to nastąpi, nie da się stwierdzić, czy został on trwale sparaliżowany. Sam John dotąd w ogóle nie wiedział, że mu to grozi. Od soboty odwiedzali go co chwila nowi goście, dawano mu jednak silne środki uspokajające, przez które pozostawał nie do końca przytomny. Chodziło o to, żeby nie ruszał się zbyt wiele, bo mogło to być niebezpieczne, podczas gdy oddychał za pomocą respiratora i doprowadzonej do tchawicy rury.

Wczesnym popołudniem w szpitalnej poczekalni siedziały Abby i Nicole. Znalazły sobie ustronną wnękę, żeby tam wypocząć, w czasie kiedy John drzemał. Nie mogły jednak zasnąć, mimo że były wyczerpane. Siedziały tylko, w pełni rozbudzone, i wyglądały przez szpitalne okno na różnokolorowe drzewa rosnące wokół parkingu.

Po niecałych dziesięciu minutach nadszedł doktor Robert Furin. Nicole i Abby wyprostowały się z nadzieją. Doktor uśmiechał się, więc zapewne chciał je powiadomić, że John poruszył stopami!

Kąciki ust Abby uniosły się odrobinę, choć czuła się ociężała, tak bardzo była zmęczona.

- Rusza nogami? - spytała.

- Eee... - Lekarz skrzywił się nieco. - Nie, proszę pani. Wciąż nie jesteśmy w stanie określić, czy będzie mógł. Być może uda się to zrobić za jakąś godzinę... - Postukał długopisem w nogawkę spodni. - Mam jednak dobre wiadomości.

Opierając się o Abby Nicole zgarbiła się, zawiedziona. Ona też musiała myśleć o tym, czy John będzie mógł chodzić.

- To dobrze. Przydałyby się nam - westchnęła Abby.

- Wygląda na to, że tchawica wcale nie została przerwana, jak się nam początkowo zdawało. Dziś rano udało się uzyskać wyraźniejszy obraz. Chyba jest po prostu cała. Czasem zdarzają się tego rodzaju wątpliwości, kiedy pacjent doznał silnego uderzenia w szyję. - Doktor zrobił pauzę. - Możemy odłączyć pana Johna od respiratora - to dobra wiadomość. Właśnie wyjmują mu rurę z szyi. Kiedy go panie zobaczą powinien być już w stanie mówić.

- Mężczyzna pokręcił głową. - To prawdziwy cud. Przy zderzeniach samochodów z tak dużą prędkością kierowcy zazwyczaj giną.

Abby ucieszyła się. Miała nadzieję na jeszcze lepszą wiadomość, ale lekarz wiedział, co mówi. Pan Bóg uratował Johna od śmierci. Naprawdę było Mu za co dziękować.

- Kiedy będzie wiadomo, czy mąż może poruszać nogami? - upewniła się.

- Zrobimy mu teraz znowu kilka prześwietleń, jeszcze zanim przestanie działać środek uspokajający. - Doktor Furin jeszcze raz pokręcił głową. - Najdalej za godzinę powinniśmy już coś wiedzieć.

Najdalej za godzinę.

Otrzymają wkrótce wiadomość, która odmieni ich życie na gorsze lub lepsze. Krótką, jednozdaniową, wypowiedzianą spokojnym tonem - tak samo jak poprzednie, które sprawiły, że od paru dni Abby i Nicole doświadczały straszliwego koszmaru.

- Dziękujemy, panie doktorze. - Abby uśmiechnęła się, chociaż wydało jej się to nienaturalne. - Będziemy tu czekać. Bardzo prosimy o powiadomienie nas, kiedy tylko będzie pan miał jakieś nowe wieści.

- Czy masz ze sobą artykuł z gazety? - spytała Nicole, kiedy lekarz poszedł.

- Tak. Nie wiem, kiedy pokazać go tacie, ale prędzej czy później będzie chciał wszystkiego się dowiedzieć.

Abby i Nicole czytały artykuł poprzedniego dnia, Matt pokazał im gazetę. Wydrukowano zdjęcie rozbitej półciężarówki Johna. W ogóle nie można było jej rozpoznać. Kiedy Abby zobaczyła fotografię, aż zasłoniła usta.

Lekarz wyraził się naprawdę trafnie. To istny cud, że John przeżył.

Pisano, że w związku z wypadkiem aresztowano dwóch nastolatków, którzy ścigali się po ulicach. Jeden z nich wpadł samochodem na półciężarówkę Johna, kiedy wyjechała ze szkolnego parkingu. Wiadomości te nie zaszokowały Abby, ponieważ od razu poinformowano ją że John stał się ofiarą nielegalnego wyścigu samochodowego. Jednak zapało jej dech, kiedy przeczytała nazwiska sprawców.

Byli nimi Jake Daniels i Casey Parker.

Rozgrywający drużyny Johna! Dobrzy chłopcy, którzy popełnili kilka głupstw i do końca życia będą za nie płacić. Wedle autora artykułu, Casey został oskarżony o prowadzenie samochodu bez stosowania się do przepisów drogowych, udział w nielegalnym wyścigu samochodowym oraz współudział w spowodowaniu obrażeń ciała przy użyciu pojazdu. Został zwolniony za zobowiązaniem powrotu do aresztu na żądanie sądu. Zamierzał

podobno przyznać się do winy, przynajmniej w zakresie niektórych zarzutów, podczas rozprawy, która miała się odbyć w następnym miesiącu.

Oskarżenia wobec Jake'a były znacznie poważniejsze. Przede wszystkim prokuratura powzięła starania o potraktowanie go jak dorosłego. Jeśli jej się to uda - a prognozowano, że jest to wysoce prawdopodobne - Jake'a czeka proces przed obliczem ławy przysięgłych. Oskarżano go o kilka rzeczy, w tym o przestępstwa napaści i spowodowania obrażeń ciała za pomocą niebezpiecznego narzędzia. Jeśli zostanie uznany winnym wszystkich postawionych mu przestępstw, może pójść do więzienia nawet na dziesięć lat.

Autor zacytował słowa prokuratora okręgowego: - To miasto ma już dość nielegalnych wyścigów samochodowych. Jeśli sąd postanowi dać obywatelom przykład, jak może skończyć uczestnik takiego wyścigu, owego młodego człowieka może spotkać najwyższy wymiar kary.

Cytowano także wypowiedź matki Jake'a, Tary, która czuwała w poczekalni aresztu, aby jak najczęściej widywać się z synem. - Jake jest przerażony tym, co się stało - mówiła pani Daniels. - Jest gotów przyjąć każdy wymiar kary, jaka zostanie mu wymierzona. Dalej dziennikarz pisał, że matka sprawcy ma nadzieję na wyrozumiałość prokuratury, ponieważ jej syn nie był wcześniej notowany.

Abby nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Gdyby kierowcą rozpedzonego samochodu był jakiś nieznany jej chłopak, być może byłaby tego samego zdania, co prokurator okręgowy, że należy ukarać sprawcę jak najsurowiej.

Ale... Jake'a Danielsa?

Ileż to razy Jake gościł w jej domu na kolacji, pływał w jeziorze, korzystając z prywatnej plaży należącej do jej rodziny, skakał do wody z molo, z którym wiązało się tyle przeżyć Abby i Johna. Jakże mogłaby życzyć Jake'owi spędzenia dziesięciu lat w więzieniu? Nie mogła sobie wyobrazić, że będzie tam siedział choćby dziesięć dni, a co dopiero całą dekadę!

- Zastanawiałaś się nad tym, jak okropnie musi czuć się teraz matka Jake'a? - spytała, spoglądając na Nicole.

- Liczy na wyrozumiałość prokuratury w sprawie jej syna - odpowiedziała Nicole, zakładając ręce. - Tylko tyle zapamiętałam.

Gorycz w głosie córki poruszyła Abby głęboko. Nicole nigdy dotąd nie była ani zgorzkniała, ani przepełniona żalem do kogokolwiek. Zawsze to ona

pierwsza modliła się w obliczu każdej trudnej sytuacji i pocieszała innych mądrymi myślami, cytatami z Pisma Świętego czy słowami nadziei.

Nie mogła stać się zgorzkniała.

- Jake to sympatyczny chłopak, Nic - zauważyła Abby.

Jej córka milczała, więc Abby dała za wygraną. Nie potrafiła sobie jednak nawet wyobrazić, jakie męki przeżywa w tej chwili pani Daniels. Całe to nieszczęście musiało być z punktu widzenia matki Jake'a koszmarem trudnym do porównania z czymkolwiek. Dziwne. Zaledwie parę tygodni wcześniej Abby rozmawiała z Tarą Daniels o samochodzie, który w piątkową noc omal nie zabił Johna.

- Co ten Tim sobie wyobraża? - mówiła Tara. - Jak on mógł podarować Jake'owi taki samochód. Wiesz, ile kosztował? Prawie czterdzieści tysięcy dolarów. To coś niesłychanego! Mógłby zafundować mu za te pieniądze cztery lata studiów. A taki samochód nie służy dorastającemu chłopakowi do niczego dobrego, kusi go tylko do złego.

Prorocze słowa - myślała Abby. Ostatnio Jake postanowił spędzać mniej czasu z chłopcami w typie Caseya Parkera, przestał dokuczać Nathanowi Pike'owi i podobnym młodym ludziom, często rozmawiał z Johnem o swojej przyszłości. Był tak zdolnym futbolista, że mógł liczyć na stypendium na którejś z uczelni. Tymczasem podjął decyzję, która kosztowała tak wiele. Na zawsze zmieniła życie wielu osób.

Abby nie towarzyszyła jednak Tarze Daniels w potrzebie, okazując jej chrześcijańską miłość i psychiczne wsparcie, ponieważ sama przeżywała osobisty dramat. Czytała tylko o matce Jake'a w gazecie, podobnie jak inni mieszkańcy Marion.

Na ostatniej stronie gazety zwracał uwagę tytuł wypisany mniejszymi literami niż ten na pierwszej. Informowano o pogrózkach, jakie odebrano w sekretariacie liceum w Marion. Dziennikarz pisał, że w związku z rzekomą informacją o bombie przesłuchano po meczu jednego z uczniów, a następnie wypuszczono go do domu.

Abby wycięła z gazety artykuł o wypadku, złożyła go i schowała do torebki. Któregoś z najbliższych dni John będzie chciał go przeczytać. Jak dotąd nikt nie rozmawiał z Johnem o wypadku, choćby przez to, że jej mąż nie mógł mówić. Ale teraz, po usunięciu mu rury z tchawicy, zacznie zadawać pytania.

Abby miała nadzieję, że odpowiedzi, które usłyszy, nie zabiją go.

- Czy mogłabym z tobą porozmawiać? - spytała nagle Nicole, cała napięta.
- Nie o wypadku, o czymś innym.

- Oczywiście. - Abby ujęła dłoń córki. - Coś nie daje ci spokoju?

Nicole zmarszczyła lekko czoło. Była wyraźnie zaniepokojona, Abby czuła to na własnej skórze.

- Myślę o moim dziecku.

- Czy wszystko z nim w porządku?

- Tak. - Nicole pokiwała głową. - Po prostu... Już kilka tygodni temu chciałam powiedzieć wam, że jestem w ciąży, ale nie potrafiłam, bo... - Zawahała się i spojrzała matce w oczy. - Na początku wcale mnie to nie cieszyło.

Biedna Nicole. Nie dość, że martwi się okropnie stanem ukochanego taty, to niepokoi ją jeszcze i jej własny, odmienny stan!

- To całkiem normalne, kochanie - pocieszyła Abby, odwracając się w stronę córki. - Szczególnie kiedy nie planowało się mieć dzieci przez kilka najbliższych lat.

- Cztery.

- Cztery - zgodziła się Abby, czekając na to, co jeszcze chciała powiedzieć Nicole.

- Uwielbiam dzieci, wiesz. - Nicole zmagła się z własnymi myślami. - Nie chciałam tylko, żeby dziecko zaszkodziło naszemu związkowi z Mattem... Żeby nie stało się z nami to, co z tobą i tatą, kiedy mnie urodziłaś.

Abby aż się cofnęła. Co ona mówi?! - zdumiała się.

- W niczym nam nie zaszkodziłaś, kochanie - zapewniła. Nicole zdmuchnęła sprzed nosa kosmyk włosów i opadła na oparcie szpitalnej kanapy ze sztucznej skóry.

- Zaszkodziłam. Może nie zdajecie sobie z tego sprawy, lecz tak się stało. To dlatego nie zawsze... nie zawsze byliście takim szczęśliwym małżeństwem, jakim mogliście być.

- Nicole, co ty mów... - Abby umilkła. Nie była zdolna powiedzieć córce, co o tym wszystkim myśli. Najwyraźniej Nicole zdawała sobie sprawę z tego, co mogło zdarzyć się przed kilkoma miesiącami; znacznie lepiej niż Abby sądziła. Ale przecież nasze kłopoty małżeńskie nie miały nic wspólnego z którymkolwiek z dzieci! - myślała Abby.

- Wiem, mamo, że to głupio brzmi, jednak rozmyślałam o tym od dnia ślubu. Zawsze lubiłam myśleć, że ty i tata kochacie się najcudowniej na świecie. Jednak w ciągu ostatniego roku nieraz widziałam, że to nieprawda.

Mówię wam, że wyglądacie jak młoda para, bo bardzo chciałabym w to wierzyć. - Nicole oparła dłoń na piersi. - Ale w głębi serca wiem, że nie zawsze jesteście ze sobą szczęśliwi. Wyobrażam sobie, że to dlatego, że nie nacieszyliście się sobą przez kilka lat, zanim pojawiliśmy się my - wasze dzieci.

Abby roześmiała się odruchowo i natychmiast zasłoniła usta. Nicole była spostrzegawcza, jednak wnioski, jakie wyciągała, były kompletnie nietrafne. Do tego stopnia, że brzmiały zabawnie.

- Jak możesz się z tego śmiać, mamó? - Nicole zmarszczyła brwi.

- Nie śmieję się z ciebie, kochanie. Ale po prostu... to nie to było źródłem problemów moich i taty. Zupełnie nie to.

Nicole umilkła.

- A ja jestem przerażona, odkąd tylko okazało się, że jestem w ciąży. Przerażona tym, że nie zdążyliśmy z Mattem pożyć ze sobą na tyle długo, żeby związać się ze sobą tak najgłębiej, zbudować małżeństwo, które nigdy się nie rozpadnie.

- Och, Nicole. - Abby objęła córkę za szyję i przytuliła ją. - Dzieci właśnie umocnią wasz związek. Tak jak wy zbliżyliście tatę i mnie.

Nicole cofnęła się i spojrzała matce w oczy.

- To co się z wami stało? Wiem, że mieliście niedawno z tatą poważne problemy. Staracie się to ukrywać, ale czasami jest to po prostu oczywiste.

- Czy ostatnio nadal wyglądamy, jakbyśmy przeżywali małżeńskie kłopoty? - spytała Abby. - Powiedzmy - od czasu twojego ślubu.

- Od czasu mojego ślubu? - powtórzyła Nicole, uwalniając się z uścisku matki. Wyjrzała przez szerokie okno i odpowiedziała: - Chyba nie. - Odwróciła się z powrotem ku Abby. - Jak to się stało?

Abby wstała i podeszła do córki. Stały razem przy oknie. Co powiedzieć mojemu drogiemu skarbowi? - myślała Abby. Ile powinnam jej zdradzić?

- Fakt, że urodziłaś się dziewięć miesięcy po naszym ślubie, w najmniejszym stopniu nie był przyczyną naszych kłopotów - odezwała się.

- A co nią było?

- Mówiąc w największym skrócie, zapomnieliśmy ze sobą tańczyć.

- Co masz przez to na myśli? - Nicole zmrużyła oczy. Abby roześmiała się smutno.

- Mam na myśli, że odkąd sprowadziliśmy się z tatą do naszego domu, często schodziliśmy razem nad jezioro i tańczyliśmy na moło. Nie był to

zwykły taniec. Raczej kołysanie się do odgłosów, które słyhać tam dookoła. Wsłuchiwalismy się w nie razem i rozpamiętywalismy wszystko, co ważne.

- Naprawdę?

- Uhm. - Abby poczuła ścisk w gardle. Czyżbyśmy mieli już nigdy więcej nie zatańczyć? - myślała. Czy John, który leży w pobliżu, w szpitalnej sali, naprawdę jest sparaliżowany? Oddaliła od siebie niepokojące myśli i znów wydo była z siebie słowa: - Rozmawialismy o tobie i twoich braciach, o sukcesach i kłopotach taty w pracy, o naszych najszczeńliwszych chwilach i największych tragediach.

- Czy rozmawialiscie czasem o Haley Ann?

- Zawsze - odpowiedziała ze smutkiem Abby. - Ale mniej więcej trzy lata temu przestalismy chodzić na molo, przestalismy rozmawiać spokojnie o życiu i o naszym wspólnym doświadczaniu go.

- Czy to było wtedy, kiedy tata zaprzyjaźnił się z panią Denton?

Abby przytaknęła.

- Ale nie tylko on popełniał błędy. Ja więcej rozmawiałam z redaktorem naczelnym mojego czasopisma niż z twoim tatą... Miało to swoje konsekwencje. Szybko oddalilismy się od siebie z tatą. Zaczęliśmy się czuć, jakbyśmy byli sobie obcy.

- Nie wiedziałam, że było aż tak źle!

- Było jeszcze gorzej... - Abby zastanawiała się, czy powiedzieć w tej chwili Nicole wszystko. Jeśli to zrobi, może spowodować u niej trwały uraz. Ale jeśli nie - być może Nicole nigdy nie dojrzeje.

- Nie myśleliście chyba, żeby... - Nicole umilkła.

- Myśleliśmy. Rok temu. - Abby wyjrzała przez okno. Na drzewie naprzeciw niej siedziała para ptaków. - Pamiętasz dzień, w którym powiedzieliście z Mattem nam wszystkim, że zamierzacie się pobrać?

- Tak. - Nicole odchyliła lekko głowę. - Mieliśmy spotkać się tylko w gronie rodziny, lecz przyjechał Matt i razem zrobilismy wam niespodziankę.

- Największą niespodziankę zrobiliście tacie i mnie.

- Abby obróciła się i spojrzała córce w oczy. - Wyobraź sobie, że właśnie wtedy mieliśmy powiedzieć wam, naszym dzieciom, że z nami koniec. Mieliśmy się rozwieść.

- Mamo! - Oczy Nicole rozszerzyły się. Cofnęła się o krok. - Niemożliwe!

- Naprawdę. Kiedy powiedzieliście o swoich zaręczynach, poszliśmy z tatą do kuchni i postanowilismy, że musimy poczekać. Nie mogliśmy wam tego

zrobić. Postanowiliśmy odłożyć rozwód do czasu aż wrócicie z Mattem z podróży poślubnej.

Nicole złapała się za głowę i wycofała się na kanapę.

- Teraz wszystko rozumiem...! - szepnęła.

- Co takiego? - Abby oparła się o parapet.

- Zawsze kiedy się modliłam - niezależnie od tego, o co - odruchowo myślałam o tobie i tacie. Powiedziałam o tym Mattowi. Był zdania, że pewnie po prostu przeżywacie silny stres w związku z naszym ślubem i przygotowaniem do niego. - Nicole roześmiała się smutno. - Zawsze uważałam, że to coś poważniejszego. Jednak do głowy mi nie przyszło, że aż o tak wiele.

- Byliśmy już u kresu sił, Nicole. Jednak czuliśmy, że się za nas modlisz.

- Czy to znaczy, że... kiedy umierał dziadek i staliśmy wszyscy dookoła jego łóżka w szpitalu, planowaliście z tatą rozwieść się?

Abby pokiwała głową.

- To nie do uwierzenia! Nie miałam o tym pojęcia! - Nicole przeraziła się nagle. - Czy tata zdradzał cię?

Abby przez długie miesiące robiła wszystko, żeby ukryć postępowanie Johna przed Nicole i chłopcami. Lecz teraz czuła, że było to błędem. Panie Boże, chcesz, żeby Nicole się o tym dowiedziała, prawda? - spytała w myśli.

- Prawda was wyzwoli - przypomniało jej się.

Zastanowiła się nad tym cytatem z Pisma Świętego. No pewnie! Prawda wyzwoli nie tylko mnie, ale i Nicole! W końcu Nicole jest już mężatką. Być może któregoś dnia będzie musiała zmierzyć się z podobną sytuacją. To bardzo ważne, żeby dostrzegła pewną prawdę: każde małżeństwo można ocalić, jeśli tylko oboje współmałżonkowie zechcą przedłożyć wolę Boga ponad własne zdanie.

Wzięła głęboki oddech, uspokajając się nieco. Panie Boże, proszę Cię, pomóż mi ująć to tak, żeby Nicole zrozumiała - pomodliła się.

- O mało nie zaczął tego robić - odpowiedziała. - Oboje byliśmy tego bliscy.

Nicole wstała i zaczęła chodzić pomiędzy oknem a kanapą.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Przystanęła i rzuciła ze złością: - Co się stało? Dlaczego nigdy nie powiedzieliście nam, że chcecie się rozwieść?

- W noc waszego wesela... tata był już spakowany. Miał się wyprowadzić, kiedy tylko wyruszyście z Mattem w podróż poślubną.

- Do pani Denton?! - Nicole pobladła, jej oczy wydawały się podkrążone bardziej niż przedtem.

- Nie. To było już po wyjeździe pani Denton z Marion. Jej znajomość z tatą skończyła się nieco wcześniej.

- To dokąd chciał się wyprowadzić tata?

- Do kolegi - jednego z nauczycieli ze szkoły. Rozwodnika...

- To okropne! - Nicole znów opadła na kanapę. - I co się stało, że nie doszło do waszego rozwodu?

- Sean i Kade spędzali wtedy po kilka dni u kolegów. Kiedy odjechaliście z Mattem, tata też ruszył do swojego kolegi - ale daleko nie zajechał. Zatrzymał się w połowie drogi i wrócił. Bóg nie pozwolił mu nas opuścić.

- A ty? - W głosie Nicole pobrzmiwały wątpliwości, lecz wydawała się już mniej przerażona niż chwilę wcześniej.

- Byłam smutna i wściekła. Kompletnie zrozpaczona. Ale jednocześnie miałam w sobie upór, który nie pozwalał mi zgodzić się na to, żeby tata znikł z mojego życia. Poszłam na piętro i włożyłam jedną z bluz taty. I wtedy znalazłam jego pamiętnik. - Abby doskonale pamiętała ową chwilę, jak gdyby zdarzyła się poprzedniego dnia. - Nie wiedziałam nawet wcześniej, że pisał w tamtym okresie pamiętnik.

- Co było w pamiętniku?

- Tata pisał, jak ogromnie żałuje tego, że dopuścił do rozkładu naszego małżeństwa. Ze zbliżenie się przez niego do pani Denton było okropnym błędem. Ze pragnie ponad wszystko, aby nam się znowu ułożyło, ale że jest pewien, iż ja już nigdy nie będę tego chciała.

- I wtedy przyjechał z powrotem?

- Nie. - Wspomnienia sprawiły, że obraz przed oczami Abby przesłoniły łzy. - Kiedy skończyłam czytać, wyszłam na molo. Minęłam rozstawione stoły, puste szklanki, ozdoby z krepiny, konfetti... I stanęłam tam, gdzie zawsze przeżywaliśmy wspólnie z tatą najważniejsze chwile. - Abby spojrzała na córkę. - Kilka minut później za moimi plecami pojawił się tata. I powiedział mi coś, czego nigdy nie zapomnę.

- Co? - W oczach Nicole pojawiła się nadzieja. Abby wiedziała już, że dobrze robi, opowiadając jej o wszystkim. Ta historia była jej córce potrzebna. Tym bardziej że miała przed sobą lata, które będzie przeżywać wspólnie z mężem.

Abby zamknęła na chwilę oczy.

- Powiedział, że musi przypomnieć mi historię o orle.

- O orle?

- Para orłów wiąże się ze sobą na całą resztę życia - zaczęła Abby, znów spoglądając w dal. Pamiętała, jak wyglądał John owej nocy, kiedy wszedł z rozpostartymi ramionami na molo. - Ich zaloty polegają między innymi na tym, że samica wlatuje najwyżej jak umie, a później opada swobodnie ku ziemi. Samiec orła nurkuje do niej i chwytą ją szponami. Przekazuje jej przez to, że chce trwać przy niej, że złączył z nią swój los na dobre i na złe.

- Nie wiedziałam o tym. - Twarz Nicole złagodniała.

- To piękne.

- Tata ujął moje dłonie i powiedział, że już nigdy w życiu nie chce mnie puścić. Nigdy. Ze pragnie kochać mnie tak, jak samiec orła kocha swoją samicę, choćby miał z tego powodu umrzeć. Ze kocha mnie tak, jak pragnie tego Bóg. Ze ma zamiar mnie trzymać, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Abby zamrugała oczami, oddalając wspomnienie. Spojrzała na Nicole. Jej córka miała łzy w oczach.

- I od tego czasu wszystko w waszym związku się odmieniło?

- Tak, to był bardzo ważny moment. - Abby pogładziła dłoń Nicole. - Teraz jesteśmy z tatą szczęśliwsi niż kiedykolwiek. To był prawdziwy cud... Widzisz, kochanie? Nie bój się dziecka. Pan Bóg wykorzysta jego narodziny - jak i wszystkie inne ważne okoliczności w waszym życiu, także i te smutne - do tego, aby was zbliżyć do siebie nawzajem i do Niego.

Nicole sapnęła nagle.

- Czekał, coś mi się przypomniało! - Spojrzała w zdumieniu na matkę. - Tamtej nocy, kiedy meldowaliśmy się z Mattem w hotelu, poczułam, że Bóg jak gdyby przemówił do mnie. To było bardzo dziwne uczucie.

- Przemówił? Co ci powiedział?

- To dotyczyło ciebie i taty. Miałam wrażenie, że Pan Bóg jakby dotyka mojego ramienia i mówi mi, że moje modlitwy za was zostały wysłuchane. - Nicole zamyśliła się. - Powiedziałam nawet o tym Mattowi.

Przez plecy Abby przeszedł dreszcz. To naprawdę byłś Ty, Panie... Dziękuję Ci. Bardzo Ci dziękuję.

- Pan Bóg jest znacznie potężniejszy niż myślimy -skomentowała. - Doświadczamy czegoś takiego jak wypadek taty i myślimy sobie: - Gdyby tylko Bóg zechciał uwolnić nas od tych okropnych cierpień. Ale Panu Bogu nic nie umyka, nic. On wszystko wie, wszystko przewidział i wszystko, do czego dopuszcza, dzieje się z określonego przez Niego powodu.

Abby odwróciła się, słysząc, że ktoś nadchodzi. To był doktor Furin. Tym razem nie uśmiechał się. Szedł powoli, jakby wystudiowanym krokiem. Spojrzał na Abby i Nicole, a potem usiadł naprzeciw nich.

- Obawiam się, że nie mam zbyt dobrych wieści - odezwał się.

Nicole przytuliła się do Abby i ujęła jej dłoń. Tylko spokojnie - myślała Abby. Pamiętaj, o czym przed chwilą mówiłaś. Bóg czuwa nad wszystkim.

- Przeprowadzili państwo badania? - upewniła się.

- Tak. - Lekarz zmarszczył brwi. - Kilka różnych badań. Wszystkie wyniki wskazują na to samo. Pani mąż doznał urazu kręgosłupa, w bardzo delikatnym miejscu. Wskutek tego zaszło to, czego od początku się obawialiśmy... Proszę pań, pan John jest sparaliżowany od pasa w dół. Przykro mi.

Wypadek był wprawdzie makabryczny i przecież John omal nie umarł w jego wyniku, ale mimo to Abby ani przez chwilę nie wierzyła, że ostateczna diagnoza będzie taka, jak oznajmił właśnie doktor Furin. John sparaliżowany? Doktor zaczął mówić dalej. Tłumaczył, że gdyby uszkodzenie nastąpiło centymetr niżej, być może John mógłby chodzić. Zaś gdyby znajdowało się centymetr wyżej, być może już by nie żył. Następnie lekarz przeszedł do tematu rehabilitacji oraz specjalnego typu wózków inwalidzkich.

Nicole płakała cicho. Przytakiwała, jak gdyby słowa doktora były całkowicie zrozumiałe.

Lecz Abby ledwie je rejestrowała. Przekazywano jej właśnie najgorsze wiadomości, jakie dotąd słyszała. Ale ona myślami wcale nie znajdowała się w dusznej, szpitalnej poczekalni.

Znów miała czternaście lat i wylegiwała się na kocu, nad jeziorem, przy ognisku. Obok niej kręcił się młody John. Podrzucał piłkę futbolową, uśmiechał się do Abby i błyskał spojrzeniem niebieskich oczu, w których odbijało się światło księżyca. - Czy masz chłopaka, mała panno Abby?. Nagle Abby miała już siedemnaście lat. Zobaczyła się z Johnem po trzech latach przerwy, tuż przed meczem jego drużyny, na stadionie uniwersyteckim w Michigan. - Jesteś piękna, Abby. Wiesz o tym? Spotkajmy się dzisiaj wieczorem, po meczu.... Później John wbiegł na boisko. Grał, wspaniale rzucał piłką - urodził się do tego. Był wysoki i silny, i szybki jak wiatr... Obraz rozmył się i zastąpił go inny: John i Abby znajdowali się w kościele. John wpatrywał się w nią z największą miłością, jaką potrafił w sobie wzbudzić. - Ja, John Reynolds, biorę sobie ciebie, Abby Chapman, za żonę.... Później tańczyli; ale obraz znów się zmienił i znaleźli

się w sali gimnastycznej szkoły w Marion. Paula pouczała ich, że nie należy wypadać z rytmu. - Pani Abby...

- Słucham? - Abby zamrugła oczami i wspomnienia rozmyły się.

- Mówiłem, że mogą panie teraz zobaczyć się z panem Johnem. Wie już o naszej diagnozie. Spytał nas o nią i... cóż, pomyśleliśmy, że powinien ją poznać.

- Nie chcę tam iść! - szepnęła z lękiem Nicole. Pokręciła głową i spojrzała na Abby. - Nie jestem w stanie spojrzeć tacie w oczy. Jeszcze nie.

- Mamy iść teraz? - spytała Abby doktora. Czuła się, jakby znalazła się nagle pod wodą wydawało jej się, że wszystko wokół dzieje się w zadziwiająco zwolnionym tempie.

- Tak. Pan John poprosił o to - odpowiedział doktor Furin. - Bardzo państwu współczuję.

Abby skinęła głową. Czuła się otepiała. Gorąco pragnęła cofnąć się w czasie, choćby o kilka minut. Do punktu, w którym wciąż była szansa na to, że John będzie chodził. Stracili wcześniej tak wiele lat, a teraz, kiedy wszystko zaczęło układać się lepiej niż kiedykolwiek, John został nagle sparaliżowany? Czy to naprawdę był Boży plan?

Serce Abby biło w przyspieszonym tempie. Jak ja mam na niego popatrzeć? Co mu powiedzieć? - zastanawiała się. Dotąd przez całe życie John korzystał intensywnie ze swoich nóg. Nawet teraz, kiedy był już czterdziestokilkulatkiem, biegał jak młody chłopiec. Był najbardziej ruchliwym z nauczycieli liceum w Marion, raz po raz urządzał improwizowane przedstawienia w klasie albo zmagął się z młodymi koszykarzami w skoku wzwyż, żeby ustalić, czy będzie ich danego dnia pytał, czy nie.

Pewnego razu wybrali się całą rodziną do Chicago, na występ Riverdance. Następnego dnia John witał każdą klasę, wbiegając do sali krokiem irlandzkiego tańca. Nic dziwnego, że uczniowie uwielbiali Johna. W głębi serca pozostał nastolatkiem. Abby czuła to szczególnie ostatnio, kiedy znów byli razem szczęśliwi. Oboje zachowywali się tak, jakby każde z nich odmłodziło o dziesięć lat.

Aż tu nagle... coś takiego?

Co my teraz będziemy robić, jeżeli John już nigdy nie wstanie z inwalidzkiego wózka? - myślała Abby. Być może już nigdy nie będzie się ze mną kochał... Ogarnął ją nagle niezgłębiony smutek. Nie pomyślała o tym wcześniej. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że ich miłość fizyczna może być

już tylko wspomnieniem... I cóż miała powiedzieć w związku z tym Johnowi?

Sama nie miała odpowiedzi na własne pytania. Była zbyt przerażona, żeby płakać. Za mocno zaszokowana, żeby czuć cokolwiek - poza jednym: absolutną pewnością, że John jej potrzebuje. Dlatego właśnie Abby zamierzała do niego pójść. Nawet jeśli nie miała mu nic do zaoferowania, ani słów pociechy, ani nadziei.

Przytuli go i będzie go kochać, trzymać go mocno, jak trzyma się para orłów - nawet jeśli ich życie już nigdy nie będzie wyglądało tak jak przedtem.

Weszła bezgłośnie do szpitalnej sali, lecz John zauważył żonę i natychmiast spojrzał jej w oczy. Abby zbliżyła się do niego i przysiadła na krawędzi łóżka.

- John... - Rozpłakała się. - Tak ogromnie ci współczuję!

Na szyi jej męża znajdował się świeży bandaż, w miejscu rury. John wyglądał, jakby się postarzał, a jego ciało zmalało. Czyżby stracił kilka centymetrów wzrostu i nie miał już metra dziewięćdziesięciu trzech?

Popatrzył Abby głęboko w oczy i odezwał się, pierwszy raz od chwili wypadku.

Tylko jego głos się nie zmienił.

- Co się stało, Abby? - spytał. - Opowiedz mi. - Mówił bardzo powoli. Bez wątplenia bolało go gardło, w którym przez kilka dni tkwiła rura. - Proszę cię. Muszę to wiedzieć.

Abby mówiła przez pół godziny.

Przeczytała mężowi artykuł i dokładnie opowiedziała mu o wszystkich znanych sobie szczegółach całej sprawy. John milczał. Odezwał się, dopiero kiedy skończyła. Nie wiedziała, czy mąż po prostu zaakceptuje fakty, czy też wpadnie we wściekłość. Tymczasem powiedział coś, co sprawiło, że nabrała pewności, iż jej ukochany wciąż żyje i jest przy niej. Ze wypadek być może odebrał mu władzę w nogach, ale nie serce i umysł. John spojrzał na Abby z niepokojem w oczach i spytał:

- Jak znosi to wszystko Jake?

RS

ROZDZIAŁ 16

Chuck Parker źle spał. Nie dlatego, że jego syn miał zapewne zostać ukarany wielusetdolarowymi grzywnami oraz być może długimi godzinami prac społecznych za współudział w tym idiotycznym wypadku. No i na pewno nie zostanie stypendystą żadnej uczelni ze względu na osiągnięcia sportowe; ba, w ogóle nie przyjmą go do żadnej dobrej szkoły.

Nie to denerwowało Chucka. Nie dawały mu spokoju myśli o Johnie Reynoldsie.

Trener Reynolds przeżyje - myślał pan Parker. To chyba dobrze. Ale co on robił w szkole po północy? Chuck nie potrafił przestać się nad tym zastanawiać.

Podobnie jak nad paroma innymi sprawami, o których przeczytał minionego dnia w gazecie. Był nimi tak przejęty, że nie spał przez prawie całą noc. Jeszcze nigdy w życiu mu się to nie zdarzyło.

W ostatnim czasie - przed wypadkiem - sypiał jeszcze lepiej niż dawniej, bo był bardzo zmęczony. Kampania oszczerstw przeciwko trenerowi, którą Chuck prowadził od początku sezonu futbolowego, wymagała od niego mnóstwo starań.

Od kilku miesięcy podczas meczów Orłów przesiadał się co chwila z miejsca na miejsce i rozmawiał z rodzicami kolejnych zawodników. Przysuwał się do rozmówców niby przypadkiem i w swobodnej rozmowie przekonywał ich, że trener Reynolds musi odejść.

- To miły facet - mówił z reguły - nie mówię, że nie. Ale mamy tu w liceum Marion najzdolniejszych chłopców w całym stanie. Nasze dzieci potrzebują prawdziwego wizjonera, kogoś, w kim płonie wewnętrzny ogień. Kto rozumie potrzeby dzisiejszej młodzieży. Zresztą panu Reynoldsowi przyda się odpoczynek. Powinien więcej zajmować się młodszym synem, spędzać czas z rodziną...

Wypowiadając tego rodzaju słowa, Chuck najczęściej się uśmiechał. Było to bardzo skuteczne - niemal za każdym razem po krótkim czasie rodzic kolejnego zawodnika zaczynał przytakiwać i zgadzać się z Chuckiem, po czym obiecywał przyjść na któreś z organizowanych przez niego spotkań.

A na spotkaniach wrzało. Formułowano treść listów, planowano. Trener Reynolds miał zostać zwolniony. Musiał zostać zwolniony. Należało to do prerogatyw rodziców. Dotąd odbyły się trzy zebrania, i z każdego Chuck składał szkolnemu wicedyrektorowi do spraw sportu stosowną relację.

- Panie Hermanie, rodzice chcą, żeby on już tu nie pracował - przekonywał. - Ktoś musi nadać Orłom nowy kierunek.

Lutz zwykle opadał tylko na oparcie fotela i siedział nieruchomo, zaciskając usta. Wtedy Chuck przypominał mu o tym, że w okresie letnich treningów zawodnicy pili i urządzali nielegalne wyścigi samochodowe.

- I takiego trenera chce pan trzymać w liceum Marion? - mówił, podnosząc głos na tyle, żeby Lutz zaczął się denerwować. - Człowieka, który patrzy przez palce, kiedy uczniowie łamią wszelkie możliwe zasady? Nam potrzebny jest odważny trener, ktoś, kto będzie wymagał od naszych dzieci, żeby dawały z siebie jak najwięcej - a jednocześnie nie pozwalał na demoralizację.

Plan Chucka przynosił efekty. Ostatnim razem Lutz zapewnił go, że notuje sobie jego uwagi i czyni określone ustalenia. Na koniec powiedział coś, czego Chuck od bardzo dawna wyczekiwał:

- Być może ucieszy to pana - nie planuję przedłużyć umowy panu Reynoldsowi.

Chuck omal nie wierzył własnym uszom. Herman Lutz był naprawdę uległym człowiekiem - ale właśnie to było wspaniałe! Tańczył, jak Chuck mu zagrał. Reynolds był już prawie wyrzucony z pracy. Jeszcze kilka meczów i sprawa zostanie doprowadzona do finału.

Oczywiście Chuck był pewien, że trener nawet nie wie, czy chłopcy piją albo ścigają się samochodami. W gruncie rzeczy Reynolds wcale nie był złym trenerem.

Jednak popełnił jeden błąd: zdecydował, że syn Chucka będzie grał ławkę rezerwowych.

Casey był jednym z najlepszych rozgrywających w stanie. Fakt, że miał kilka niedostatecznych ocen w dzienniczku. I od czasu do czasu pyskował nauczycielom, przez co wpędzał się w kłopoty. Ale co z tego? Przecież Casey to chłopak pełen emocji, pasji, jeden z tych największych sportowców. Chuck nie wątpił, że któregoś dnia jego syn poprowadzi do mistrzostwa kraju którąś z drużyn zawodowej ligi futbolowej.

A może raczej poprowadziłby - gdyby trener Reynolds tak bardzo nie czepiał się postawy swoich zawodników. Przecież Jake Daniels wcale nie był lepszym rozgrywającym, tylko większym lizusem. A teraz było już za późno. Kariera futbolowa Caseya została zmarnowana, przez jakieś wydumane standardy, które wyznaczył chłopcom Reynolds.

Całe szczęście, że miał jeszcze swoją szansę Billy - młodszy syn Chucka.

Billy rzucał jeszcze lepiej od Caseya. Właśnie dostał się do szkoły, grał w drużynie dziewiątej klasy - i odnosił w niej coraz większe sukcesy. Taki utalentowany chłopak miał zaklepane stypendium sportowe na uczelni. No a potem... Chuck nie wątpił, że Billy będzie w przyszłości zawodnikiem drużyny, która wygra Super Bowl. Już sobie wyobrażał swojego syna - mistrza, odbierającego nagrodę dla - Najbardziej Wartościowego Zawodnika w zawodowej lidze.

Niestety Billy sprawiał jeszcze większe kłopoty wychowawcze niż Casey.

Chuckowi to nie przeszkadzało, ale Reynoldsowi... Chuck wiedział, że jeśli czegoś nie zrobi, Billy zostanie tylko zawodnikiem rezerwowym, tak samo jak jego starszy brat. Tego Chuck by nie zniósł.

I właśnie dlatego zamierzał kontynuować kampanię przeciwko trenerowi Orłów, niezależnie od tego, czy przegrywały, czy zwyciężały. I tak przegrały o wiele więcej meczów niż powinny - a to zdecydowanie ułatwiało Chuckowi zadanie. Jak i to, że wicedyrektorem do spraw sportu był Herman Lutz. Nie miał wielkiego pojęcia o układaniu planu, o treningach i o sporcie w ogóle. Wiedział za to dobrze jedną rzecz - co robić, żeby nie stracić stanowiska. Był marnie oceniany, wymagał więc surowo od podległych mu trenerów, żeby ich drużyny zwyciężały.

Wszystko szło zgodnie z planem Chucka - i rozmowy z innymi rodzicami podczas meczów, i zebrania, i wizyty u Lutza. Spał więc spokojnie - dopóki nie zdarzył się ten wypadek.

W lokalnej gazecie ukazały się dwa artykuły. Pierwszy relacjonował fakty. Dziennikarz opisał, jak chłopcy ścigali się samochodami, i jak ciężko został ranny trener Reynolds. Zachodziła obawa, że umrze. Oczywiście Chuck, jak wszyscy inni ludzie, modlił się, żeby Reynolds nie umarł.

I odetchnął z ulgą w poniedziałek, kiedy przeczytał, że stan trenera Reynoldsa poprawił się.

Jednak autor poniedziałkowego artykułu napisał jeszcze inne rzeczy. Był w poczekalni szpitala i przeprowadził tam wywiady ze wszystkimi uczniami liceum, jakich napotkał. To właśnie wypowiedzi młodzieży mocno niepokoiły Chucka - podobnie jak fakt, że trener przebywał nocą w szkole.

Z artykułu wynikało bowiem, że uczniowie liceum Marion uwielbiają nie tylko futbol, ale i trenera Reynoldsa. Pewien chłopak powiedział wprost, że - pan trener Reynolds i futbol to jedno. Dodał, że tak jest i będzie zawsze, dla każdego Orła z Marion.

Postawa zawodników była jasna - dziennikarz obficie cytował ich słowa:

- W sobotę rano pan trener często przynosi nam torby pełne hamburgerów, tak że może się najeść cała drużyna.

- Pan trener dba nie tylko o nasze wyniki sportowe. Każdy może z nim porozmawiać, i pan Reynolds zawsze ma dla wszystkich dobre rady. Wielu z nas myśli o nim, jak o drugim ojcu.

- Co roku zbieramy się całą drużyną przy domu pana trenera, gdzie urządza dla nas słynne grille, zawsze na dzień przed którymś z meczów w Marion. Pan Reynolds traktuje nas wszystkich jak swoich synów. On naprawdę nas kocha.

Chuck Parker miał kamienne serce - ale w tej chwili czuł się, jakby ktoś wypisał mu na sercu niezmywalnym atramentem oświadczenia zawodników drużyny Orłów.

Jeżeli Reynolds jest taki świetny, to dlaczego Casey kiepsko sobie radzi? - zastanawiał się.

Sam Reynolds zawsze mówił mu to samo: Casey ma nieodpowiednie podejście do swoich obowiązków. Chuck zawsze uważał to za bzdurną opinię. Mój syn po prostu silnie przeżywa emocje, chce być lepszy od innych - myślał.

Lecz po wypadku Chuck zaczął zastanawiać się, czy... czy może trener Reynolds nie ma racji?

W końcu przecież Casey ścigał się z Jakiem samochodem. Dlaczego? Według wszelkich danych, Caseyowi i Jake'owi przydarzyła się gwałtowna wymiana zdań na przyjęciu, po czym Casey postanowił rozstrzygnąć spór na ulicach miasta. Rzucił Jakeowi wyzwanie... Dobrze przynajmniej, że przyznał się do wszystkiego na policji. W każdym razie to Casey wpadł na pomysł, żeby ścigać się z Jakiem - po to, aby pokonać go przynajmniej na jednym polu. Choćby łamiąc przy okazji prawo.

Trudno nazwać to właściwą postawą... To była postawa butnego, zadzierającego nosa chłopaka! Chuck nie wątpił, że może ona zaszkodzić jego synowi w życiu.

W takim razie może myliłem się w sprawie pana Reynoldsa? - zastanawiał się Chuck. Myślał o tym, co trener mógł robić w szkole po północy, po meczu - i przychodziła mu do głowy tylko jedna odpowiedź. Na pewno pracował. Wypełniał jakieś dokumenty, planował treningi, sprawdzał klasówki - coś w tym rodzaju. Bez wątplenia nie brakowało mu obowiązków.

Chuck nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał. John Reynolds był naprawdę uczciwym i ciężko pracującym facetem, oddanym swojemu zajęciu. A tymczasem ja od kilku miesięcy usilnie starałem się mu zaszkodzić... - myślał. Przecież wszystkie zarzuty przeciw niemu wysłałem z palca; brak w nich nawet źdźbła prawdy. Prawda jest w tym artykule...

Nic dziwnego, że Chuck Parker zaczął źle sypiać.

We wtorek rano, po kolejnej nieprzespanej nocy, czuł się tak zmęczony, jak gdyby był pod wpływem jakichś narkotyków. Potknął się, wstając z łóżka, przemył twarz zimną wodą, z trudem zszedł na parter domu i wyszedł na frontową werandę. Szedł po gazetę, która była obecnie jego oknem na świat. Od syna nie mógł dowiedzieć się niczego wiarygodnego na temat rozwoju sytuacji. Poza tym, że Casey chodzi już normalnie do szkoły, ale został wyrzucony z drużyny futbolowej i odebrano mu prawo jazdy.

Chuck spodziewał się znaleźć w gazecie nowe wiadomości. W dwóch poprzednich dniach artykuły na temat wypadku zajmowały naczelne miejsce na pierwszej stronie, więc pewnie i tego dnia coś się pojawi. Chuck podniósł z werandy gazetę i poszedł z nią do kuchni.

Rozłożył gazetę na kuchennym blacie i znieruchomiał z przerażenia, kiedy zobaczył tytuł głównego artykułu z pierwszej strony. Serce przystanęło mu na moment, poczuł skurcz w żołądku. Tytuł głosił: - Trener Orłów z Marion sparaliżowany w wyniku wypadku z udziałem ścigających się nastolatków.

To nie może być prawda! - pomyślał Chuck. Przecież John Reynolds jest w doskonałej formie fizycznej. Wysoki, potężnie zbudowany facet, umięśniony i silny tak samo jak za młodu. Niemożliwe, żeby ktoś taki został sparaliżowany.

Chuck zaczął czytać artykuł:

W poniedziałek lekarze zakomunikowali, że trener drużyny futbolowej liceum w Marion doznał trwałego uszkodzenia rdzenia kręgowego, w wyniku wypadku samochodowego, do którego doszło w niedzielę, we wczesnych godzinach rannych. Półciężarówka trenera Johna Reynoldsa została uderzona przez rozpędzony samochód jednego ze ścigających się nastolatków. W rezultacie trener Reynolds został sparaliżowany od pasa w dół.

Chuck odepchnął gazetę i pobiegł do łazienki, doznając nagle przemożnych mdłości. Opadł na kolana i zwymiotował. Silne torsje wstrząsały nim tak długo, że miał wrażenie, iż jego żołądek wywrócił się na lewą stronę.

Opadł pośladkami na podłogę i jęknął z rozpacz. Co ze mnie za typ? Jak mogłem prowadzić kampanię oskarżeń przeciwko takiemu człowiekowi jak John Reynolds? Przecież on przez cały czas robi dla uczniów wszystko, co najlepsze. Dla Casey'a także...

Torsje wstrząsnęły Chuckiem jeszcze raz.

Wsparł się łokciem o sedes i oparł głowę na ramieniu. To nie trener stwarzał Caseyowi problemy! - myślał. Casey sam je stwarzał. Tak samo Billy. A przede wszystkim ja też nie zachowywałem się odpowiednio. Czarowałem innych rodziców, wywierałem na nich wpływ, przekonywałem ich do moich kłamstw... A wszystko po to, żeby myśleli podobnie jak ja, i żebyśmy razem doprowadzili do zniszczenia człowieka, który od szesnastu lat daje z siebie wszystko, prowadząc szkolną drużynę futbolową. Który stworzył od podstaw program treningowy Orłów z Marion, wyłącznie dzięki własnej ciężkiej pracy i wytrwałości.

Torsje ustały wreszcie, więc Chuck podniósł się z wysiłkiem na nogi. Przygarbiony, ruszył do umywalki, żeby umyć ręce i twarz. Czuł się, jakby na jego plecach wyrósł nagle jakiś ciężar, ogromny niczym góra.

Reynolds doznał tyłu przeciwności - myślał. Ile z nich spowodowałem ja?

Gdybym go słuchał, gdybym od kilku lat starał się skutecznie dyscyplinować Casey'a, może nie wyzwałby Jake'a na ten niebezpieczny pojedynek? Może obaj graliby dalej w drużynie, która właśnie weszła do drugiej rundy? Czytałbym w gazecie o wynikach meczów rozgrywanych w systemie pucharowym, z ich udziałem. A nie o wypadku, na pierwszej stronie, i o tym, że ich trener nigdy więcej nie będzie mógł chodzić.

To wszystko moja wina!

Co więcej, jestem odpowiedzialny za uduszenie pana Reynoldsa w ciągu minionych miesięcy. Ten rok szkolny okazał się dla niego naprawdę paskudny...

Chuck wytarł ręce i odwrócił się od lustra. Nie mógł na siebie patrzeć. Kim ja się stałem?! - myślał. Wiedział, że może zrobić tylko jedno. Coś, co powinien był zrobić na początku bieżącego sezonu futbolowego. Postanowił zrobić to teraz.

Zadzwonię do pracy i powiem, że źle się czuję - myślał. A potem to zrobię. Jeżeli się pospieszę, może nie będzie za późno.

Jake Daniels stanął przed obliczem sędziego sądu dla nieletnich. Sporządzono już akt oskarżenia. Jake miał na sobie niebieski, więzienny

kombinezon; ponieważ w sądzie miała znajdować się publiczność, strażnik skuł go kajdankami i pilnował go przez cały czas.

Kiedy tylko Jake przekroczył próg sali sądowej, wyczuł, że dzieje się coś złego. Jego rodzice siedzieli tuż obok siebie, prawie razem. Ledwie na niego spojrzeli. Ojciec opłacił mu adwokata - ubranego w drogi garnitur faceta nazwiskiem A. W. Bennington. Miał swoją kancelarię w centrum miasta i słyszał z tego, że potrafi wybronić przestępców. Jake nie miał dotąd zamiaru zadawać się z ludźmi pokroju Benningtona. Dotąd...

- Sędzia odczyta ci akt oskarżenia i spyta, czy przyznajesz się do popełnienia zarzuconych ci czynów - wyjaśnił Jake'owi Bennington w poniedziałek po południu. - Wtedy powiedz, że się nie przyznajesz. A ja zrobię za ciebie resztę.

- Czy będę siedział? - spytał wówczas Jake. Sam nie wiedział, dlaczego, ponieważ niespecjalnie się tym przejmował. Gdyby wypuszczono go na wolność, co miałyby ze sobą zrobić? Przecież nie poszedłby do szpitalnej poczekalni, żeby czuwać przy panu trenerze, razem z kolegami z drużyny. Tym bardziej nie wszedłby do sali, gdzie leżał pan Reynolds. Do szkoły też by nie wrócił. Stałby się po prostu świrem - chłopakiem, którego inni pokazywaliby palcami. Plotkowaliby o nim za jego plecami, drwiliby z niego, nienawidziliby go. Przecież pan trener Reynolds był najbardziej uwielbianym nauczycielem w szkole. Rodzice niektórych kolegów nie przepadali za nim, ale uczniowie - jak najbardziej.

A poza tym moje miejsce jest w więzieniu - myślał Jake.

Jednak pan Bennington pokręcił głową i odpowiedział:

- Wyjdiesz zaraz po zakończeniu posiedzenia sądu.

Po wczorajszej wizycie adwokata zaczęli odwiedzać Jakea rodzice - na przemian, jedno po drugim. Dziwne - myślał - skoro wychodzę, to dlaczego mają takie miny, jakby powiedziano im, że zostaną skazani na śmierć?

Kazano usiąść Jake'owi przy długim stole. Nieopodal siedział już jego adwokat. Jego garnitur, koszula i krawat wyróżniały się na tle ubrań wszystkich pozostałych ludzi. Ciekawe, ile tata mu zapłacił! - myślał Jake. Na pewno bardzo dużo, żebym tylko nie przesiedział dziesięciu lat w więzieniu.

Bennington zmarszczył brwi, nachylił się w stronę Jakea i szepnął:

- Pan Reynolds został sparaliżowany. Twoi rodzice mówią, że podała to dzisiejsza gazeta. Może nie pójść tak gładko.

Jake obrócił się gwałtownie, żeby popatrzeć na matkę. Spoglądała na niego ze łzami w oczach. Pokiwała powoli głową i powiedziała mu bezgłośnie coś, czego nie był w stanie odczytać. Zerknął więc na ojca, ale jego tata zagryzł tylko wargi i spuścił głowę.

Jake spojrzął z powrotem na fotel sędziego. Miał ochotę umrzeć. Wstrzymać oddech i odejść. Pragnął, aby Bóg zabrał go z tego miejsca, kończąc horror, jakim stało się jego życie.

Pan trener jest sparaliżowany! - myślał Jake. Ba, to przecież ja sprawiłem! Tak naprawdę. Zdaje się, że zobaczyłem przed sobą tę półciężarówkę. Mogłem gwałtownie zakręcić kierownicą może bym ją minął. Mógłbym przez to zginać, ale panu trenerowi nic by się nie stało. Samolub ze mnie. Uderzyłem w niego, i zrujnowałem panu trenerowi życie! Mojemu wzorowi, człowiekowi, którego tak szanuję... Nauczycielowi uwielbianemu przez co najmniej tysiąc uczniów.

Teraz pan trener już nigdy nie przebiegnie okrążenia razem z drużyną, nie będzie prowadził meczów ani treningów... Chłopcy nie zobaczą go więcej, jak idzie przez boisko z torbą na ramieniu, w tej swojej nasuniętej na oczy czapce. Nigdy.

I to wszystko moja wina! Jake zasłonił twarz rękami. Co powiedział adwokat? Ze może nie pójść tak gładko... Jake zacisnął zęby. Czy dla tych wszystkich ludzi najważniejszy jest wynik rozprawy? Nie rozumieją, co ja zrobiłem? Czego pozbawiłem pana trenera?

- Proszę wstać, Sąd idzie.

Sędzia okazał się kobietą o dostojnym wyglądzie. Była siwa i miała surowe oblicze. To dobrze - pomyślał Jake - może posadzi mnie na sto lat.

Adwokat podniósł się z miejsca i dał znać Jake'owi, żeby zrobił to samo.

- Jake'u Danielsie, jesteś oskarżony o następujące przestępstwa... - Sędzina odczytała listę. Nie było na niej nic nowego, tylko to, co zapowiedział mu policjant, powtórzyła matka, a później omówił z Jakiem pan Bennington.

- W tej chwili traktujemy cię jako nieletniego. Czy przyznajesz się do popełnienia zarzucanych ci czynów?

- Tak - odpowiedział Jake. Było to pierwsze, co przyszło mu do głowy.

- Chwileczkę, Wysoki Sądzie. - Bennington zasłonił Jake'a, podchodząc do niego jednym susem, i uniósł dłoń. - Czy mogę zamienić z moim klientem słowo na osobności?

Sędzina uniosła brwi.

- Proszę się pospieszyć - poleciała. - Rozprawy odbywają się jedna za drugą. Pański klient powinien zostać przygotowany wcześniej.

- Tak, Wysoki Sądzie. - Adwokat usiadł i pociągnął silnie za rękaw Jake'a, sadzając w ten sposób i jego. Przysunął usta do jego ucha, omal go dotykając, i syknął: - Co ty wyprawiasz?!

- Sędzina spytała mnie, czy przyznaję się do popełnienia czynów - zauważył Jake, tylko na wpół ściszym głosem.

- Mów szeptem! - Bennington spojrział na Jake'a z wściekłością, z tak bliska, że wydawało się, iż ma zaledwie jedno, wielkie oko. - Masz powiedzieć, że się nie przyznajesz! Pamiętasz? Omówiliśmy to.

- Ale ja jestem winny - upierał się Jake. - Przecież zrobiłem to wszystko. Uderzyłem samochodem w półciężarówkę pana trenera. Dlaczego mam kłamać?

Przez chwilę myślał, że adwokat dozna załamania nerwowego. Na jego górnej wardze zaczął zbierać się pot.

- Nie rozmawiamy o tym, czy uderzyłeś w jego półciężarówkę - powiedział. - Chodzi teraz o to, o jakiego rodzaju przestępstwo powinieneś zostać oskarżony. - Dłonie Benningtona drżały. - Nasze stanowisko jest takie, że nie uważamy, iż jesteś winny przestępstwa napaści z użyciem niebezpiecznego narzędzia.

Słowa zawirowały w głowie Jake'a. Czuł, że wszyscy na niego patrzą, cała sala. Także rodzice. Nie wiedział, czym zakończy się rozprawa, ale uważał, że musi współpracować z adwokatem. Oparł się wygodnie, założył ręce i mruknął:

- Wszystko mi jedno.

Pan Bennington przyjrzał mu się uważnie, jak gdyby nie był pewien, czy Jake odpowie na pytanie sędziny sensownie. W końcu spojrział na nią i zakomunikował:

- Jesteśmy gotowi, Wysoki Sądzie.

- Cieszę się. - Sędzina wyglądała na znudzoną. - Czy oskarżony zechce wstać? Po raz drugi - dodała po chwili.

Jake podniósł się z krzesła.

- Czy oskarżony przyznaje się do popełnienia zarzucanych mu czynów?

Jake zerknął na adwokata, ale ten wpatrywał się w swój notes. Bał się podnieść wzrok. Jake spojrział jeszcze raz na sędzinę i odpowiedział:

- Nie, Wysoki Sądzie. Nie przyznaję się.

- Dziękuję. Proszę usiąść.

Po powyższych słowach sędziny natychmiast wstał drugi z siedzących przy stole mężczyzn - prokurator okręgowy. Zbliżył się do sędziny i powiedział:

- Wysoki Sądzie, władze stanu wnoszą o potraktowanie oskarżonego jak dorosłego. Jake Daniels ma siedemnaście lat, a już za kilka miesięcy będzie miał osiemnaście - czyli w świetle prawa będzie dorosłym. - Prokurator spuścił na moment głowę, a kiedy znowu ją podniósł, wydawało się, że ma łzy w oczach. - Dziś rano dowiedzieliśmy się, że ofiara wypadku została sparaliżowana. Trwale, Wysoki Sądzie. W tej sytuacji, mając na względzie poważny charakter popełnionych przez oskarżonego przestępstw, jesteśmy przekonani, że powinien on być sądzony jak dorosły.

Jake nie był pewien, co będzie oznaczało potraktowanie go jak dorosłego, a co - jak nieletniego. Wiedział tylko, że pan Bennington woli, aby jego klient był sądzony jako nieletni. Samemu Jake'owi nie zależało na tym specjalnie.

Prokurator ma rację - myślał - nie jestem małym dzieckiem i naprawdę wiem, jak niebezpieczne są nielegalne wyścigi po ulicach. I mimo to ścigałem się.

Sędzina zawyrokowała, że w ciągu dwóch tygodni podejmie decyzję, czy Jake zostanie potraktowany jak dorosły, czy jak nieletni. Następnie znowu zabrał głos pan Bennington. Wniósł o zwolnienie Jake'a z aresztu, argumentując to tym, że Jake jest tak naprawdę dobrym chłopcem, który po prostu popełnił głupstwo, błąd, którego konsekwencje okazały się tragiczne. Nie był wcześniej notowany, po wypadku w jego krwi nie wykryto śladów alkoholu.

- Chcę, żeby natychmiast unieważniono prawo jazdy oskarżonego. - Sędzina zapisała coś w notatniku. - Ponadto chcę, żeby został przeniesiony do szkoły dla trudnej młodzieży, tak aby nie spotykał się na lekcjach ze swoim kolegą, który miał swój udział w wypadku. Podejmując decyzję w powyższych dwóch sprawach, przychyliam się jednocześnie do wniosku obrony. Oskarżony Jake Daniels zostaje zwolniony do domu na czas trwania procesu.

Posiedzenie sądu zakończyło się nadszpiewanie szybko. Do Jake'a podszedł jakiś mężczyzna w mundurze.

- Odwróć się do mnie - rzucił.

Jake obrócił się posłusznie, a wtedy strażnik zdjął mu kajdanki.

- Wychodzisz do domu - odezwał się z uśmiechem pan Bennington. - Jesteś wolnym człowiekiem, Jake.

To nieprawda - pomyślał Jake. Przecież pan trener jest sparaliżowany.
I przez to ja do końca życia nie będę wolnym człowiekiem.

RS

ROZDZIAŁ 17

John czuł się tak, jakby musiał ciągnąć ze sobą wszędzie pięćdziesięciokilogramowy ciężar, bezwładny, nieruchomy.

Minął miesiąc od wypadku. Od jakiegoś czasu John znajdował się na oddziale rehabilitacji. Lekarze ustalili cele, które miał do osiągnięcia. Najpierw chodziło o to, żeby nie leżał, tylko siedział na wózku inwalidzkim. Później, żeby był w stanie samodzielnie przesiadać się z wózka na sedes i z powrotem. Dążyli następnie do tego, żeby nauczył się sam przebierać, a potem opatrywać odleżyny na nogach i tułowiu.

Dzisiejsza lekcja dotyczyła tego, jak rozpoznać, że otwarta rana wymaga leczenia.

- Odleżyny to zagrożenie, które łatwo przeoczyć - mówił szczupły, mniej więcej trzydziestoosmioletni fizjoterapeuta. Widać było, że podchodzi do swojej pracy z prawdziwą pasją, że naprawdę zależy mu na tym, aby pomagać świeżo sparaliżowanym ludziom - takim jak John - osiągnąć samodzielność.

John nie podzielał entuzjazmu fizjoterapeuty, ale miał nadzieję, że ów człowiek mu to wybaczy.

- Czy usłyszał pan, co powiedziałem? - upewnił się fizjoterapeuta.

- Hm? - chrząknął niepewnie John. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, ile osób zwracało się do mnie per - panie trenerze - myślał. Zanim trafiłem do tego szpitala. Minął miesiąc, a ja nie mogę się przyzwyczaić, że lekarze, pielęgniarki i rehabilitanci mówią do mnie - proszę pana, a nie - panie trenerze. Tak jakbym stał się nagle zupełnie innym człowiekiem.

Bo się stałem... Chyba tak? Nie jestem przecież taki sam, jak przed wypadkiem.

- Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć? - poprosił.

- Mówię o odleżynach. Powstają w miejscach, które regularnie ocierają się o podłoże. O tyle niespodziewanie, że będąc sparaliżowanym, nie czuje pan tego. Jeśli paraliż trwa kilka miesięcy lub dłużej, sytuacja staje się szczególnie niebezpieczna. Po tak długim okresie pojawiają się bowiem oznaki atrofii mięśni. Mięśnie przestają stanowić naturalną zaporę dla kości i zdarza się, że kości przecierają ciało i skórę, aż widać je na zewnątrz. Rozumie pan, że to poważne.

John miał ochotę złapać wózek, na którym siedział, i znokautować nim rozmówcę. A najbardziej chciałby zawołać na cały głos - Cięcie!, po czym

zobaczyć, jak do sali wbiega parunastu pracowników filmowego planu, którzy mówią mu, że już może wstać z wózka.

Niestety nie mógł zrobić ani jednego, ani drugiego. Jeśli chciał wrócić do domu przed świętami Bożego Narodzenia, musiał siedzieć i słuchać pilnie obcego człowieka, który opowiadał mu, w jaki sposób jego nogi będą stopniowo niszczyć, i o tym, że pojawią się na jego ciele otwarte rany. John opadł na oparcie wózka i patrzył na usta mówiącego. Poruszały się wciąż. Fizjoterapeuta detalicznie i obrazowo tłumaczył, na czym będą polegały problemy Johna.

Ale on już nie słuchał. Moje ciało zostało uwięzione na wózku - pomyślał - lecz umysł może wędrować, dokąd chce. Miał ochotę przemyśleć wszystko, co zdarzyło się w ciągu minionego miesiąca.

Od razu kiedy odzyskał przytomność w sobotę po wypadku, zdawał sobie sprawę, że jest w złym stanie. Samego wypadku nie pamiętał. Wcale. Wyjeżdżał po prostu ze szkolnego parkingu, a później obudził się w szpitalnym łóżku, czując, że się dusi. A poza tym - to było jeszcze gorsze... Z początku był zbyt skołowany, żeby zwrócić na to uwagę.

Przy jego łóżku stali Abby, Kade, Sean, Nicole, Matt... Zrozumiał, że cokolwiek się z nim dzieje, jego stan jest bardzo poważny. Zebrała się wokół niego cała rodzina... Sięgnął odruchowo do gardła, i wtedy przeszkodziła mu pielęgniarka, która ostrzegła go, że musi leżeć zupełnie nieruchomo. Ze im bardziej pozostanie nieruchomy, tym będzie dla niego lepiej.

Boże, błagam Cię, muszę się uspokoić! - pomodlił się, i po paru sekundach poczuł, że jego mięśnie się rozluźniają. Zorientował się, że rura w gardle nie dusi go, powodowała tylko takie odczucie. Im spokojniej leżał, tym łatwiej mu było oddychać.

Wtedy - dopiero wtedy, kiedy mógł w miarę normalnie oddychać, uświadomił sobie kolejną rzecz. Musiało mu się stać coś naprawdę okropnego, bo ciało bolało go od nieruchomego leżenia i chciał się przeciągnąć - ale zupełnie nie był w stanie. Starał się zacisnąć palce nóg, rozprostować stopy, obrócić nimi, przesunąć nogi...

Nie mógł ani odrobinę się poruszyć.

Przeraził się - jednak postanowił nie pokazywać tego po sobie. Najbliżsi przyglądali mu się, szukali w nim oznak siły. Poza tym początkowo miał nadzieję, że może nie ma racji. Ze być może podano mu tylko jakieś środki, które sprawiają, że jest półprzytomny i pozbawiony sił. Może jakiś silny

środek przeciwbólowy. Niewykluczone, że moje nogi ucierpiały w wypadku - myślał - i że zostały czymś mocno znieczulone.

Następną dobę głównie przespał, zdawał sobie jednak sprawę, że cokolwiek stało się z jego nogami, powinien je czuć. W niedzielę wieczorem zaczął więc badać swoje ciało. Kiedy tylko nie spał, a w sali nie było nikogo - co na ogół trwało po kilka minut - wsuwał rękę pod prześcieradło i dotykał się w różnych miejscach. Najpierw na brzuchu, potem wokół bioder i ud.

Powyżej pępka odczuwał dotyk swojej dłoni w zasadzie normalnie. Czuł, że ma chłodne palce, a kiedy się szczypał, odczuwał ból. Ale poniżej - nie czuł nic. Nic zupełnie. Tak jakby dotykał kogoś innego. Albo jak gdyby ktoś odciął mu dolną połowę ciała i przyszył cudzą.

John rozglądał się po sali, i kiedy nikt nie nadchodził, zaczynał wpatrywać się w tę czy inną część ciała i starał się nią poruszać. W pośladek, biodro czy palec u nogi.

Niestety za każdym razem nie poruszały się zupełnie.

Kiedy więc wyjęto mu rurę z gardła i zaczęto prześwietlać mu plecy oraz robić różne inne badania, John wiedział, co chcą ustalić lekarze. W sumie mogę im to powiedzieć, oszczędzę im czasu - myślał. Spytał w końcu, co się z nim dzieje, jakich urazów doznał. Doktor Furin wszedł do sali, zamknął za sobą drzwi i oznajmił, że niestety ma dla niego niedobre wiadomości. John nie chciał czekać ani chwili dłużej.

- Zostałem sparaliżowany, prawda? - upewnił się.

- Tak. - Doktor popatrzył na niego z bólem. Miał taką minę, jak gdyby żałował, że nie został hydraulikiem, prawnikiem czy księgowym. Kimkolwiek innym niż lekarzem, który jest zmuszony powiedzieć mężczyźnie zdrowemu jak John Reynolds, że nigdy więcej nie będzie chodził. - Obawiam się, że tak. Mielśmy nadzieję, że kiedy zmaleje opuchlizna... - Doktor rozpaczliwie szukał odpowiednich słów. - Ze paraliż może okazać się tymczasowy...

Skoro tylko John poznał prawdę, zaczął martwić się o jedno: jak przyjmie tę wiadomość Abby? Nie pozwalał sobie na rozpacz w obliczu ponurych okoliczności. Jestem gotów sprostać temu wyzwaniu - myślał. Przesiądę się na wózek inwalidzki i będę robił to samo, co do tej pory. A z czasem nauczę się znowu chodzić, wbrew temu, co mówią w tej chwili lekarze. Nie tylko chodzić, ale i biegać normalnie. Tak, za kilka miesięcy, może za parę lat będę znowu biegał. Nawet jeśli będzie wymagało to ode mnie wielkiego wysiłku. Pokażę lekarzom, jak można coś takiego osiągnąć.

Martwił się tylko o to, czy Abby przetrwa szok, jakiego musiała doznać.

Kiedy ją zobaczył, od razu pomyślał, że niepotrzebnie się o to obawiał. Nie kryła przed nim uczuć. Patrzyła mu w oczy z najgłębszą miłością, której nie mogło zakłócić coś takiego jak paraliż. I z siłą, podobną do jego własnej siły. Wiedział, że będą razem walczyć, żeby przewyciężyć trudną sytuację. I że któregoś dnia uda im się wspólnie ją przewyciężyć.

Następnie Abby opowiedziała Johnowi o wypadku. Dowiedział się, że w jego półciężarówkę uderzył samochodem Jake Daniels. John natychmiast zaczął martwić się o Jake'a. Nie wątpił, że chłopak jest przybity, że nie jest w stanie normalnie funkcjonować. Przez następne dwa tygodnie John skupiał się na modlitwach za Jake'a. Błagał Boga, aby z tego, co się stało, wyrosło dobro. O to, by Pan dał Jake'owi siłę, wystarczającą do tego, żeby Jake odwiedził Johna. Żeby zobaczył na własne oczy, iż jego trener nie zamierza zrezygnować z dalszego ciągu życia tylko dlatego, że nie ma czucia w nogach.

Zupełnie nie zamierza.

Jedną z osób, które odwiedziły Johna w szpitalu w pierwszym tygodniu po wypadku, był Nathan Pike. Miał niespokojną minę. Był ubrany jak zwykle w czerń, ale coś się w nim zmieniło... Po paru minutach John zorientował się, że znikła charakterystyczna dla Nathana hardość.

- Dowiedziałem się, co się stało i - Nathan przestępował z nogi na nogę, chowając ręce do kieszeni - po prostu musiałem tu przyjść. Bez pana lekcje o zdrowiu nie są wesołe.

- Bo i zdrowie nie zawsze jest wesołe - odparł ze śmiechem John.

- Tak. - Nathan wzruszył ramionami. - Wie pan, co mam na myśli.

Nastało milczenie. Nathan wciąż wydawał się niespokojny.

- Czy coś się stało? - spytał John.

- Widzi pan trener... Miałem zadzwonić do pana w sprawie tego, co stało się podczas meczu - zaraz następnego dnia, ale miał pan wypadek i... - chłopak spuścił oczy.

- A co chciałeś mi powiedzieć?.

- Chciałem powiedzieć, że te pogróżki... - Nathan uniósł głowę i popatrzył z wielką powagą, jak nigdy wcześniej - To nie ja zatelefonowałem do sekretariatu, panie trenerze. Przysięgam. Robiłem w życiu różne głupie rzeczy, ale czegoś takiego nie zrobiłem. Naprawdę spędziłem cały tamten dzień w bibliotece.

- To dobrze. - John wierzył Nathanowi, choć wydawało się to sprzeczne z logiką. - Skoro tak mówisz.

- Wierzy mi pan, prawda?.

John zacisnął pięść i zderzył się nią lekko z pięścią Nathana.

- Wierzę ci, stary.

- Wie pan co, panie trenerze?.

- Słucham?.

- Tylko pan jeden mi wierzy.

Później odwiedziło Johna mnóstwo ludzi, dziesiątki uczniów szkoły i zawodników jego drużyny. Dzięki wszystkim tym wizytom John nie myślał aż tak wiele o powadze swojej sytuacji. Kiedy jednak rozpoczął rehabilitację, nagle w pełni uświadomił sobie, w jakim znalazł się położeniu.

Wcześniej mówił Abby, że po paru dniach terapii na pewno będzie już mógł ruszać palcami nóg. Co najmniej.

Tymczasem terapeuta przez dwa dni uczył Johna przesiadać się z łóżka na wózek inwalidzki i z powrotem. Poruszenie przez Johna jakimkolwiek mięśniem położonym poniżej jego pasa było równie niemożliwe, jak sprawienie siłą woli, żeby ktoś inny poruszył palcem czy nogą.

- Za ile czasu będę w stanie poruszać stopami? - spytał doktora Furina w drugim dniu rehabilitacji.

Lekarz, który właśnie wychodził z sali, znieruchomiał.

- Proszę pana... - zaczął. - Paraliż to stan permanentny. Niektórzy ludzie czynią graniczące z cudami postępy, w zależności od konkretnego przypadku. Jednak jeśli chodzi o pana, w tej chwili nie spodziewamy się, żeby kiedykolwiek odzyskał pan władzę ani czucie w nogach. Niezależnie od tego, jak długo prowadzilibyśmy z panem rehabilitację.

Dopiero wtedy, pierwszy raz od wypadku, John poczuł gniew.

- To po co w ogóle się wysilać?! - burknął.

- Jeżeli poniechamy rehabilitacji, nigdy nie wstanie pan z łóżka - wytłumaczył łagodnym głosem doktor.

Odpowiedź rozwścieczyła Johna jeszcze bardziej. Powiedział o tym owego wieczoru Abby.

- Mogliby powiedzieć mi coś, co dałoby mi choć odrobinę nadziei - pożalił się.

Abby okazywała naprawdę wielką siłę. Prawie nie płakała - przynajmniej kiedy była przy nim. Znał ją na tyle, że wiedział, iż nieraz płacze, kiedy

znajduje się gdzie indziej. Podziwiał ją jednak za to, że przy nim zachowywała spokój.

Gdy John poskarżył się Abby na swoją sytuację, przysiadła na łóżku i przesunęła delikatnie palcami po jego czole.

- Odkąd to pokładasz nadzieję w tym, co mówią lekarze? - zakpiła żartobliwie.

- Nie pomyślałem o tym... - przyznał John, czując, że jego gniew osłabł.

- Właśnie. - Abby uśmiechnęła się z miłością. - Dlatego masz mnie. Żebym przypominała ci, co jest najważniejsze i prawdziwe.

- Chcesz mi przypomnieć, że nadzieję można odnaleźć jedynie w Bogu, prawda?. - Tak.

- Dobrze, Abby. W takim razie chciałbym cię prosić, żebyś coś dla mnie zrobiła. - Co?.

- Módl się o cud, Abby - poprosił John ze łzami w oczach. Zamrugał powiekami, żeby lepiej widzieć żonę. - Módl się nieustannie.

Kilka dni później Orły z Marion zakończyły sezon futbolowy, odpadając z pucharowych rozgrywek w drugiej rundzie. Po wypadku Johna prowadzenie drużyny przejęli pozostali trenerzy - jego asystenci. Rozgrywającym Orłów został chłopak z pierwszej klasy. Z biegiem dni odwiedzili Johna niemal wszyscy zawodnicy drużyny i trenerzy. Większość z nich spędzała z nim tylko kilka minut. Obdarowywali go podpisanymi piłkami, kartkami z życzeniami, balonikami.

Sezon skończył się i sportowcy nie przychodzili już często. John skupił całą energię na rehabilitacji. Dzień po dniu uczył się rzeczy, których wymagali od niego terapeuci. Umiał już utrzymać równowagę, przenosząc na rękach swoje ciało, i przesiadać się z łóżka na wózek inwalidzki. Trudniej było mu nauczyć się bezpiecznie korzystać samodzielnie z toalety, ale i to ostatnio osiągnął. Doktor Furin powiedział Johnowi, że być może za tydzień wypiszą go do domu.

- A już na pewno przed Bożym Narodzeniem - dodał z uśmiechem doktor. - Założę się, że czekał pan na tak dobrą wiadomość.

John rzeczywiście na nią czekał, jednak jakoś wcale nie czuł się uradowany. Po miesiącu pobytu w szpitalu wciąż nie był w stanie choćby odrobinę poruszać nogami. Nic się w tym aspekcie nie zmieniło. John czuł, że towarzyszące mu zwykle zapał i determinacja zaczynają go opuszczać.

Boże Narodzenie na wózku inwalidzkim?

W ostatnich kilku dniach wciąż modlił się o cud, ale nie czuł, żeby jakkolwiek cud się wydarzał. John nie myślał już o tym, że diagnoza, jaką mu postawiono, jest na pewno nietrafna, że ma pewne szanse dojść do pełnej sprawności, że w jakiś sposób powróci do niej z czasem i znowu zacznie chodzić.

Jego myśli dominowała teraz tęsknota za wszystkim, co stracił.

Abby zauważyła to po raz pierwszy minionego wieczoru. Zrelacjonowała Johnowi postępy w procesie Jake'a. Sędzina odroczyła decyzję w sprawie tego, czy chłopak zostanie potraktowany jak nieletni, czy też jak dorosły. Prokurator okręgowy odmawiał wszelkiej ugody, w ramach której Jake przyznałby się do części zarzutów. Za kilka dni miało się odbyć następne posiedzenie sądu, na którym zostanie ustalone, czy Jake będzie dalej sądzony jako nieletni. W każdym razie bez wątplenia miał być sądzony.

Zakończywszy relację, Abby zaparła się pod boki i stwierdziła:

- Ty mnie wcale nie słuchasz, John. John zamrugał oczami.

- Słucham. To smutne. To, co dzieje się z Jakiem.

- 'To smutne'? - powtórzyła z przekąsem Abby. - Zaraz po wypadku nie potrafiłeś znieść myśli o tym, że Jake może trafić do więzienia. A teraz kwitujesz to tylko słowami: 'to smutne'?

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj mnie, John. Wściekaj się na sytuację, smuć się, ale nie leż tak i nie przepraszaj mnie monotonnym głosem. Zachowujesz się, jakbyś stał się nagle innym człowiekiem.

- Bo to prawda - odpowiedział John, tak samo bezbarwnym tonem jak poprzednio. - Słucham?.

- Stałem się innym człowiekiem. Przegrałem.

- Co?! - Abby zaczęła chodzić nerwowo po szpitalnej sali. - Tylko nie opowiadaj mi o przegranej. Walka jeszcze się nie zaczęła, John! Nie możesz prosić mnie, żebym modliła się o cud, a jednocześnie poddawać się. No coś ty, John....

Rozmowa toczyła się w podobnym tonie przez godzinę. W końcu Abby załamała się. Rozplakała się i przeprosiła Johna za to, że wymaga od niego tak wiele. Zapewniła go, że ma prawo czuć się przybity z powodu swojej sytuacji. A potem przyznała jeszcze, że i ona jest przygnębiona.

Nic dziwnego, że John nie mógł skupić się na opowieści terapeuty o odleżynach. Przez cały dzień, nawet podczas wykonywania

rehabilitacyjnych ćwiczeń, John był pochłonięty wspomnieniami. Myślał o dotyku ziemi pod stopami, kiedy biegał po boisku. O tym, z jaką łatwością wchodził dynamicznym krokiem do szkolnej sali i wychodził z niej, przez minionych dwadzieścia lat. Jak kołysał na kolanach dzieci, kiedy były malutkie. A potem nosił je na plecach, na przykład podczas wycieczki do zoo.

I o dotyku smukłych nóg Abby, kiedy tańczyli razem na molo. I o tym, jak odczuwał fizyczną bliskość jej ciała, kiedy...

- Chciałbym, żeby powtórzył mi pan to, co panu przed chwilą wyłożyłem - przerwał jego wspomnienia terapeuta. Postukał palcem w notatnik. Mężczyzna był lekko zniecierpliwiony. - Proszę mi powiedzieć, jak często powinien pan badać swoje ciało, żeby upewnić się, czy nie ma na nim odleżyn - szczególnie kiedy dojdzie już do atrofii mięśni. Czy dotarło do pana cokolwiek z tego, co mówiłem, panie Johnie?

John popatrzył na fizjoterapeutę, ale nie był zdolny zmusić się do odpowiedzi. Spodziewał się cudów, lecz cuda nie następowały. Rozpoczął nowy etap w życiu - etap, który będzie trwał aż do jego śmierci. Już nigdy nie będzie tańczył, biegał ani kochał się z Abby. Nie przewidywał wcześniej takiej sytuacji, nie zaplanował jej. Odczuwał ją jeszcze boleśniej niż w pierwszych dniach po tym, kiedy powiedziano mu, że został sparaliżowany.

Dlatego, że zaczynał rozumieć, jak będzie wyglądała reszta jego życia.

RS

ROZDZIAŁ 18

Abby jeszcze nigdy nie czuła się tak silnie zestresowana.

Po części pragnęła radośnie powitać powracającego do domu męża. Nadchodziło Boże Narodzenie. Powinni ustroić choinkę i sprawić, żeby w domu panowała świąteczna atmosfera, jak co roku. Wyobrażała sobie, że kiedy przywiozą Johna, przywita go mnóstwo gości, i w ten sposób rozpocznie się wieczór pełen miłych rozmów i wspomnień.

Ale John niczego podobnego nie chciał.

- Zawieź mnie tylko do domu i spraw, żebym mógł posiedzieć w salonie z wami - z tobą i dziećmi - powiedział. - Nie zarządzaj nic więcej.

Starala się w każdej godzinie być dla Johna taka, jak akurat potrzebował. Gdy był osowiały - wspierała go delikatnie. Kiedy się złościł - słuchała cierpliwie. A gdy pojawiały się u niego oznaki determinacji, wola walki z niepełnosprawnością, która na niego spadła, Abby dodawała mu entuzjazmu. Kiedy nie potrafiła odczytać stanu ducha męża, okazywała sztuczną euforię, starając się przekonać w ten sposób Johna, że nie przeszkadza jej jego paraliż, że zmiany, jakie zaszły w ich życiu, nie są tak wielkie, żeby straciła wewnętrzną radość.

Tylko że wszystko to było jednym wielkim kłamstwem.

Nie czuła się szczęśliwa. Od czasu wypadku męża Abby nie była szczęśliwa. John zasługiwał jednak na to, żeby się taką wydawała, żeby wypowiadała pozytywne myśli. Potrzebował tego, potrzebował jej wsparcia. Doskwierało jej jednak to, że nie miała czasu ani miejsca, gdzie mogłaby uzewnętrznić swój prawdziwy nastrój i płakać nad smutną odmianą losu, która ich spotkała.

Abby dusiła więc w sobie smutek, co nie wychodziło jej na zdrowie. Zrobiła się nerwowa, wciąż odczuwała niepokój. Czuła się samotna.

W końcu zrobiła tak, jak prosił John, i nie urządziła wielkiego przyjęcia z okazji powrotu męża do domu. Był Kade - przyjechał z uczelni na miesięczne ferie świąteczne. We dwóch z Seanem kupili choinkę, żeby była w domu, kiedy ich ojciec wróci. Ubierali drzewko wszyscy - także Nicole, Matt, Jo i Denny.

W końcu nadszedł oczekiwany dzień. O trzynastej doktor Furin wypisał Johna ze szpitala. Godzinę później John i Abby zajechali przed dom. Przez chwilę siedzieli oboje w milczeniu.

- Wyobrażasz sobie? - odezwał się w końcu John, wpatrując się w drzwi wejściowe. - Już nigdy nie będę prowadził samochodu. Myślałaś o tym? Nigdy w życiu.

- Będiesz prowadził, John. Są samochody, do prowadzenia których wystarczą ręce. Przystosowane dla ludzi, którzy...

- Nie możesz pozwolić mi choć na chwilę stawić czoła prawdzie?! - zirytował się John. Odchylił zaraz głowę w tył i powiedział: - Och... Przepraszam cię. - Popatrzył na żonę. Abby zobaczyła w jego oczach ogromne zmęczenie. - Nie chcę być dla ciebie niemiły.

- A ja chciałam cię pocieszyć. Naprawdę istnieją specjalne samochody, windy i tym podobne rzeczy... - Abby poczuła, że trzęsą się jej ręce. Nie mogła w pełni nabrać powietrza do płuc. Jak za chwilę będę się czuła - myślała - wprowadzając do domu męża na wózku inwalidzkim? Wiedząc, że już nigdy nie wejdziemy razem normalnie?! Zacisnęła zęby. Była zdeterminowana, żeby panować nad sobą, choćby tłumiony smutek miał ją zabić. John zasługiwał na to, by przynajmniej ona nie użalała się na jego los.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, jak wiele rzeczy wydaje nam się oczywiste? - westchnął John. - Bierzemy za pewnik, że będziemy mogli w przyszłości wsiąść samodzielnie do samochodu i odjechać, albo podbiec do drzwi domu...

- Tak... - szepnęła Abby. Czy on chce, żebym płakała razem z nim, czy też próbowała go pocieszyć? - myślała nerwowo. A kto ma pocieszać mnie? Ja także wiele straciłam! Westchnęła, czując drżenie w piersi. - Chodźmy. Dzieci czekają.

John skinął i otworzył drzwi. Wciąż wyglądał jak sportowiec. Wysunął nogi z samochodu. Abby próbowała nie zwracać uwagi na to, że jego stopy opadły bezwładnie na krawężnik. John za wszelką cenę starał się wyprostować przekrzywione nogi, ale nie był w stanie. Spojrzał na nią, a ona zerwała się natychmiast.

- Już rozkładałam wózek - rzuciła.

Uwijała się, podczas gdy jej mąż siedział ze zwieszoną głową. Otworzyła bagażnik, z wysiłkiem wyjęła ciężki wózek. Poprawiła kurtkę. Było zimno. Dobrze przynajmniej, że nie padał śnieg. Przez prawie minutę Abby zmagала się z zatraskaniem wózka, zadzierając sobie przy tym paznokiec. Pisnęła z bólu i zamachała odruchowo ręką.

- Co się stało? - spytał John. Wyciągał szyję, ale nie zdołał zobaczyć zakrwawionego paznokcia żony.

- Nic. - Abby zamrugała powiekami, żeby powstrzymać łzy. Dziwne - pomyślała. Walczę z żelastwem, a John nie pomaga mi, mimo że jest trzy metry ode mnie. Trzy cholerne metry... a jednak nie może wstać i podejść, aby mi pomóc. - Próbuję rozłożyć wózek, ale zaciął się.

- Ma dwa zatrzaski, po bokach. Widzisz je? - John starał się, jak mógł. Jednak jego porady nie wystarczały Abby do rozłożenia wózka. Przydałaby się jej siła męża.

- Nie chcą się ruszyć! - Abby pociągnęła części wózka mocniej niż przedtem. Panie Boże, proszę Cię, niech John nie usłyszy, że płaczę - modliła się. - Nic z tego...

Szarpała wózek jeszcze parokrotnie, aż w końcu rzuciła go ze złością na trawę obok krawężnika.

- Nienawidzę tego urządzenia! - Oparła się o bok samochodu i ukryła twarz w dłoniach. - Nienawidzę!

- Abby... Chodź do mnie - odezwał się łagodnie John. Miała ochotę odwrócić się i uciec do jakiegoś odległego o tysiące kilometrów miejsca, gdzie John nie potrzebował wózka inwalidzkiego, żeby dostać się do domu. Jednak jej ucieczka nie przyniosłaby nic dobrego.

Boże, ja nie mam siły! - jęknęła w duchu Abby. Pomóż mi, Panie! Proszę Cię, wesprzyj mnie.

- Nie polegaj na swoim rozsądku... - przypomniało jej się. Ten sam wers Pisma Świętego przyszedł jej do głowy, kiedy poprzednio była w fatalnym nastroju. Cóż mógł znaczyć? - Nie polegaj na swoim rozsądku.... A jak w inny sposób zrozumieć to, co ostatnio nas spotkało? - myślała. Czy paraliż Johna może mieć jakąkolwiek dobrą stronę?

Abby nie widziała w nim żadnej.

- Słyszysz mnie? Abby, nie mogę tego znieść. - John mówił teraz głośniej. - Płaczesz, a ja nie jestem w stanie nic w związku z tym zrobić. Zupełnie nic. Chodź tu przynajmniej, żebym mógł cię przytulić.

Abby ogarnął nagle wielki ból. Nie przyszło jej wcześniej do głowy, jak bardzo bezradny będzie czuł się John. Wcześniej, kiedy było jej smutno, zawsze mógł do niej podejść. A teraz już nie. Nie potrafił zrobić nawet tak prostej rzeczy... Abby otarła łzy i zbliżyła się do męża. Klękła naprzeciw niego. Przeszkadzały jej kolana Johna, oparła więc dłonie na jego udach i rozsunała je. Dziwne uczucie - pomyślała znowu. Nie pierwszy raz przesuwiała nogi sparaliżowanego Johna, ale nie przyzwyczała się jeszcze do

tego. Miała wrażenie, jak gdyby jego bezwładne, stawiające opór nogi należały do czyjegoś martwego ciała.

Przybliżyła się do Johna bardziej i oparła głowę na jego ramieniu.

- Przepraszam cię, że płaczę - szepnęła. - To miała być szczęśliwa chwila.

- Och, Abby!... - John muskał nosem jej policzki. - Nie ma w niej nic wesołego.

- Ależ żyjesz, i to prawdziwe szczęście - zapewniła Abby.

- Wyszedłeś ze szpitala i możesz spędzać święta w domu. Wierz mi, jest się z czego cieszyć - szeptała mu do ucha.

- I płaczesz z radości?... - John całował lekko szyję ukochanej żony.

- Nienawidzę twojego wózka inwalidzkiego.

- Ale tylko dzięki niemu będę mógł odtąd się poruszać. Dzięki temu wózkowi nie będę uwięziony w jednym miejscu.

- Wiem. Przepraszam cię.

- Nie szkodzi. - John zbliżył usta do ust Abby i zaczęli całować się czule. - W końcu spojrzał jej w oczy i przyznał:

- Ja też nienawidzę tego wózka.

Abby usłyszała jakieś odgłosy. Obejrzała się przez ramię - to Kade nadchodził od strony domu.

- Cześć. Co tak długo robicie? - spytał. - Czekamy na was w środku, a wy tu się przytulacie, czy coś...

Abby przyjrzała się uważnie starszemu synowi. W jego oczach widać było głęboki smutek, lecz jednocześnie Kade uśmiechał się ciepło i szczerze.

Abby podniosła się i otarła dłonie o nogawki dżinsów. Czowała pulsujący ból przy naderwanym paznokciu.

- Nie potrafię rozłożyć wózka - powiedziała.

- I o to chodzi? - upewnił się Kade. Podniósł wózek, obejrzał zatrzaski po jego bokach, a potem nacisnął stopą na trzeci, znajdujący się u dołu. Pociągnął raz i wózek rozłożył się. Kade docisnął zatrzaski. - Rydwan Waszej Wysokości. - Ukłonił się nisko.

- A ja walczyłam z tym wózkiem przez parę minut! - Abby aż cofnęła się z podziwu. Pokręciła głową. - Skąd wiedziałeś, jak to rozłożyć?

- Wypróbowałem w szpitalu. - Kade wzruszył ramionami. - Miałem trochę czasu...

Abby patrzyła, jak jej syn ustawia wózek koło swojego ojca, a później wsuwa ręce pod jego pachy i przenosi go na miękkie siedzisko. Serce Abby wyskoczyło na moment z rytmu. Jak musi czuć się w tej chwili John? -

myślała. Zawsze był silniejszy od Kade'a. Był jego mentorem, nauczycielem, trenerem... a teraz syn musi go podnosić, żeby posadzić go na wózku inwalidzkim. A jak czuje się z tym Kade? Ma przecież dopiero osiemnaście lat. Ale robi takie wrażenie, jakby pomaganie przez niego w taki sposób Johnowi było czymś zwyczajnym.

Kade zapiął znajdujący się przy wózku pas, a później złapał za uchwyty i zaczął pchać wózek z ojcem w stronę domu.

- Cieszymy się, że wróciłeś, tato - powiedział, otwierając drzwi wejściowe. Wprowadził wózek do środka.

W tej właśnie chwili rozpoczął się nowy rozdział w życiu rodziny Reynoldsów.

Ostatnio John postrzegał rzeczywistość w ponurych barwach, lecz w tej chwili było mu szczególnie smutno. Był wdzięczny rodzinie za to, że zebrała się, żeby go powitać i cieszył się, że znalazł się z powrotem w domu, otoczony najbliższymi. Jednak niezależnie od tego, o czym zaczynał myśleć, za każdym razem już po chwili użalał się nad sobą, rozpamiętywał, jak wiele rzeczy odeszło w przeszłość. Nie potrafił uciec od tego rodzaju myśli.

Nie znaczyło to, żeby siedział otepiały. Przyjął życzenia od członków rodziny, te wypisane na ozdobnych kartkach, i te słowne. Słuchał, jak wszyscy starają się go pocieszyć, mówiąc, że bardzo dobrze wygląda, i że to cud, iż przeżył.

Jednak i tak przez cały czas myślał tylko o swojej niepełnosprawności. Boże, dlaczego spotkało to mnie? Dlaczego teraz, kiedy akurat ostatnio udało nam się z Abby uzdrowić nasze małżeństwo? Właśnie uczyliśmy się znowu razem tańczyć... Odkąd tylko znalazł się w domu, nie był szczególnie miły dla Abby ani dla nikogo innego, kto miał pozytywną odpowiedź na jego stan. Wcale nie chciał furgonetki przystosowanej do przewozu wózka inwalidzkiego ani zaproszenia do wzięcia udziału w Olimpiadzie Specjalnej.

Chciał chodzić. Choć raz się przejść, żeby móc nacieszyć się każdym krokiem, odczuciem dotyku butów i ziemi pod nimi, czuciem w nogach, i jeszcze biegiem po torze wokół szkolnego boiska Orłów.

Gdyby tak jeszcze jeden dzień mógł chodzić, pożegnać się w ten sposób z nogami, dzięki którym wracał we wszystkie dotychczasowe etapy życia! Dotąd wszelkie ważne chwile przeżywał, używając nóg. Ale i jeden dzień chodzenia niewiele by mu pomógł. Nie wystarczyłby mu. Och, gdyby mógł znowu poruszać nogami, ceniłby to co dnia, aż do końca życia.

Niestety nigdy to nie nastąpi. W ogóle nic dobrego nie nastąpi, dopóki nie odnajdę w Panu Bogu siły, dzięki której odegnam czarne myśli - oceniał.

Dwie godziny po powrocie Johna jego dzieci powróciły do swoich zajęć. Abby poszła do kuchni. A on wciąż siedział nieruchomo na wózku inwalidzkim, wyglądając bezwiednie przez frontowe okno pokoju.

Panie Boże - pomodlił się. Wiem, że wciąż jesteś, że znajdujesz się w pobliżu, patrzysz na mnie, i że mnie kochasz. Że masz dla mnie plan na dalszą część mojego życia, nawet teraz...

- Ale jaki to może być plan?!... - szepnął na głos ze złością. - Na co ja się zdam?

Minęła kolejna godzina. W międzyczasie ze trzy razy Johnowi przychodziło do głowy, żeby po coś sięgnąć albo sprawdzić w domu. Za każdym razem odruchowo opierał dłonie na poręczach wózka i próbował wstać.

I za każdym razem przytrzymał go pas bezpieczeństwa. Rozumiem, na czym polega problem - pomyślał. Jeszcze nie myślę jak człowiek sparaliżowany. Wciąż wymyślam sobie powody, z których chcę wstać i dokądś pójść, podczas gdy do moich nóg już to nie dociera. Ciekawe, czy tak samo czują się wszyscy, którzy zostali nagle sparaliżowani. A jeśli tak - jak długo potrwa, zanim mój umysł także się podda? Kiedy w moim mózgu zostanie zakodowane, że moje nogi to tylko bezwładny ciężar?

John zawsze uwielbiał widok z frontowego okna salonu. Przed domem rosły drzewa, ocieniające podjazd, który wił się malowniczo. Lecz w tej chwili John miał już dość siedzenia w jednym miejscu. Zacisnął zęby, po czym sięgnął do kół wózka.

Wózek zaprojektowany był specjalnie dla osób, które miały sprawne ręce i manewrowało się nim stosunkowo łatwo. John energicznie pchnął koła raz i drugi - wózek ruszył w tył na tyle szybko, że wpadł na stolik do kawy.

- John? - odezwała się z niepokojem Abby. Wyjrzała z kuchni, wycierając dłonie w ściereczkę. - Wszystko w porządku?

John popatrzył na żonę, następnie spuścił wzrok.

- Nic się nie stało. Nie myśl, że trzeba interweniować za każdym razem, kiedy uderzę w coś wózkiem.

John natychmiast pożałował wypowiedzianych słów. Był sfrustrowany, ale to nie powód, żeby przelewać frustracje na Abby.

Zona podeszła do niego powoli.

- Nie martwię się o ławę... - zapewniła łagodnie. John poczuł zapach jej perfum, czuł jej fizyczną obecność tuż obok. Zazwyczaj w podobnych chwilach zaczynał laskotać Abby albo całować ją. Potem, jeśli dzieci były zajęte, trafiali często oboje do sypialni i spędzali tam rozkoszne trzy kwadransy...

John wciąż tęsknił za fizyczną bliskością Abby, jednak czyż mógł w tej chwili zachowywać się spontanicznie? Nawet jeżeli wypracują jakiś sposób na wspólne intymne uniesienia - terapeuta podkreślał, że to wciąż możliwe

- będą one wymagały planowania, jak nigdy przedtem.

Abby oparła dłoń na ramieniu Johna.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - spytała.

- Nie, dziękuję. - John sięgnął w górę i ujął dłoń ukochanej żony. Rozkoszował się dotykiem jej skóry; miał nadzieję, że Abby czuje, jak ogromnie pragnie się z nią kochać. - Przepraszam cię - szepnął. - Ostatnio nie jestem dla ciebie miły. Nie zrobiłaś przecież nic złego.

- Musi minąć pewien czas, zanim osiągniesz spokój. Tak mówił doktor Furin, terapeuci - wszyscy to mówią.

- Abby nachyliła się i pocałowała męża w policzek. - Nie zawsze będziesz czuł się tak źle.

- Wiem. - John ujął Abby za policzki i przybliżył jej twarz do swojej. Znów zaczęli się całować, tym razem pocałunek trwał dłużej niż ten przed domem. - Módl się o to, żebyśmy nauczyli się z tym żyć. Proszę cię, dobrze?

- Modlę się, John - szepnęła Abby. Jej oczy błyszczały od łez. John znał dobrze żonę i przypuszczał, że modliła się za niego nieustannie. Więcej niż on sam.

Nagle John poczuł, gdzie chciałby się znaleźć.

- Abby, czy mogłabyś zawieźć mnie na molo? - poprosił.

- Na molo? - Abby zawahała się. - Nie uważasz, że jest trochę za zimno?

Miała rację. Tego dnia temperatura wynosiła około zera. Lecz John nie przejmował się tym. Miał ochotę posiedzieć na ulubionym molo i popatrzeć na jezioro, spróbować odnaleźć jakieś znaki świadczące o tym, że Pan Bóg wciąż słucha jego modlitw, że nie odszedł od niego, nie pozostawił go samemu sobie. Ze nie będzie musiał dożyć reszty swoich dni, dusząc się pod ciężką ciemną chmurą smutku i żalu.

- Włożę kurtkę. Proszę cię, Abby. Potrzebuję tam posiedzieć.

- Dobrze. - Abby westchnęła lekko. Niezbyt głośno, ale jednak John dowiedział się, że nie uważała jego pomysłu za dobry. Sparaliżowani rzadko

mają okazję do tak intensywnego wysiłku, żeby wykorzystywać całą objętość płuc. Zaś mniej intensywna praca płuc oznacza zwiększone ryzyko ich zapalenia. Znając Abby, John obawiał się, iż będzie chciała, żeby przesiedział w domu całą zimę.

Odszukała jego kurtkę, tę futbolową z symbolem Orłów z Marion na plecach i nad kieszonką po lewej. Pomogła mu się ubrać, a potem wyprowadziła go z wózkiem na tylną werandę domu.

Zatrudniła wcześniej robotnika, który zbudował rampę ponad prowadnicą rozsuwanych drzwi, schodziła dalej z werandy na trawnik. Kiedy wózek znalazł się na trawniku, jazda zrobiła się niewygodna, jak gdyby John poruszał się samochodem po wybojach. Nie przejmował się tym jednak.

Kolejna nowa rampa pomagała wepchnąć wózek z nierównej ziemi na molo. Abby z trudem udało się go wtoczyć.

- Może być tutaj? - upewniła się.

- Bliżej wody.

- John, zastanów się - zaproponowała. - To niebezpieczne. - Stała naprzeciw Johna, żeby ją widział. - Molo jest nachylone. Jeżeli zepsuje się hamulec wózka...

Cóż, gdyby zepsuł się hamulec, wózek ruszyłby z miejsca i John wpadłby z nim do wody. Przy końcu molo było na tyle głęboko, że bez wątpienia utopiłby się, chyba że jakimś cudem ktoś zobaczyłby go i zdążył uratować.

- Nie zepsuje się. - John patrzył żonie prosto w oczy.

- Daj spokój, Abby. Nie mogę patrzeć na jezioro stąd.

- Dobrze. - Abby zwolniła hamulec i ostrożnie podprowadziła wózek do końca molo. John usłyszał ponownie szcęk hamulca, następnie wózek szarpnął się odrobinę - Abby upewniła się, czy hamulec prawidłowo działa. - Tak lepiej?

John obrócił się całym ciałem, by ją zobaczyć. Abby była zdenerwowana.

- Dziękuję ci - szepnął.

- Kiedy chcesz wrócić? - spytała, zapierając się pod boki.

Sam dałbym radę wrócić - pomyślał John - gdyby nie ten hamulec. Nie był w stanie sięgnąć do dźwigni hamulca.

- Za godzinę - powiedział.

- Przepraszam cię, John. - Abby opuściła ręce. - Będziemy musieli nauczyć się radzić sobie ze wszystkim. Po prostu nie wiedziałabym, co zrobić, gdybyś wpadł i...

- Zwiesiła głowę. - Nie chcę cię stracić, John - szepnęła, znowu spoglądając na niego. - Nie dałabym rady. Za bardzo cię potrzebuję.

Johna rozboleła już szyja, tak mocno ją wykręcał. Skinął jednak powoli głową.

- Nic mi nie będzie - zapewnił. - Obiecuję ci.

Abby patrzyła mu w oczy jeszcze chwilę, a potem odwróciła się i poszła z powrotem do domu.

John rozprostował szyję i popatrzył ponad wodą. Zagoiły się już jego rany - gardło, rozcięcia, sińce na twarzy i ramionach. Ale nagłe szarpnięcie w chwili wypadku sprawiło, że uderzając w podłogę półciężarówki, złamał kręgosłup w odcinku szyjnym.

Poza tym czuł się znakomicie, aż dziw. Dlaczego? Po cóż Bóg pozostawił mnie na świecie w takim stanie? - zastanawiał się. Przez następne kilka miesięcy będzie skupiał wysiłki na rehabilitacji - co znaczyło, że nie będzie mógł uczyć. Jeśli będę chciał, będę mógł wrócić do szkoły jesienią choć nie będzie mi łatwo. Wszyscy wokół będą mi nieustannie współczuć. Po kilku dniach będę miał tego dość - a co dopiero po dziesięciu latach?

Zobaczył, że jakaś para wypływa łódką wiosłową na środek jeziora, a potem zarzuca wędkę. Przez całe życie zajmowałem się sportem - myślał John. I na co się teraz przydam? A poza tym, jaki sens ma to, żeby Jake Daniels do końca życia płacił za nasz wypadek? Owszem, nie powinien był zgodzić się na wyścig z Caseyem. Ale przecież to ojciec kupił Jake'owi sportowy samochód, który aż się prosił o to, żeby prowadzić go z dużą prędkością. Czy ojciec Jake'a nie jest częściowo winny wypadku?

John nie miał pojęcia, jak radzi sobie Jake. Dostał kartkę podpisaną przez niego i jego rodziców. Przepraszali go gorąco i życzyli mu szybkiego powrotu do zdrowia. Żadne z nich nie odwiedziło go aż do tej pory.

- I co ja mam robić przez resztę życia, Panie Boże? - szepnął John. Jego słowa uleciały ze słabym wiatrem.

Przypomniał mu się wers Pisma Świętego, który uwielbiał jako młody chłopiec, i który dodawał mu sił przed rokiem, kiedy wydawało się pewne, że rozwiodą się z Abby.

- Jestem bowiem świadomy zamiarów, jakie zamyślam co do was - wyroczenia Pana - zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby, by zapewnić wam przyszłość, jakiej oczekujecie. Księga Jeremiasza, rozdział dwudziesty dziewiąty, wers jedenasty.

Cóż, jeśli to prawdziwe słowa, jakie są Boże zamiary względem mnie? I jak mam przetrwać jeszcze parędziesiąt lat, czując się człowiekiem skrzywdzonym? Gdzież pokój w moim sercu?

W tej samej chwili John usłyszał, że otwierają się drzwi na tyłach domu. Szyja, którą niedawno wykręcał, żeby widzieć Abby, bolała go wciąż; poczekał więc, aż żona zejdzie nad wodę i stanie naprzeciw niego.

- Zadzwoił do nas prokurator okręgowy - powiadomiła. - Jutro rano odbędzie się dalsza część rozprawy Jake'a, na której zostanie podjęta decyzja, czy będzie traktowany jako nieletni, czy jako dorosły. - Głos Abby był bezbarwny. - Prokurator powiedział, że jeśli pojawisz się na rozprawie, będzie bardziej prawdopodobne, że sędzina zawyrokuje po naszej myśli.

- Co to znaczy: - po naszej myśli? - spytał John, spoglądając z ukosa.

- Prokurator jest przekonany, że chcemy, żeby Jake był sądzony jak dorosły - odparła z westchnieniem Abby. - Kary dla dorosłych są znacznie surowsze.

Johnowi zakręciło się w głowie. Myśl o tym, że Jake może zostać osądzony jako dorosły i trafić do więzienia, była dla niego nieznośna. John miał wrażenie, że byłby to dla niego cios porównywalny z obrażeniami, jakich doznał.

- Mówisz takim tonem, jakbyś rzeczywiście tego chciała - zauważył.

Abby usiadła na moło, na podkurczonych nogach.

- Sama nie wiem, co o tym myśleć... - przyznała, spoglądając na wózek inwalidzki. - Ludzie nie powinni ścigać się samochodami po ulicach.

- Myślisz, że coś się w tej sprawie zmieni, jeśli Jake pójdzie do więzienia?

- Nie wiem - szepnęła cichutko Abby.

John wychylił się naprzód i lekko oparł dłoń na jej ramieniu.

- Czy nie myślisz, że Jake dostał już wystarczającą naukę?

- Nie jestem pewna. - Abby podniosła wzrok. - Chyba tak.

- Mówię poważnie. Czy myślisz, że Jake Daniels kiedykolwiek więcej zgodzi się wziąć udział w nielegalnym wyścigu samochodowym?

- Nie. - Abby pokręciła głową, cały czas patrząc w oczy mężowi. - Na pewno nie.

- W takim razie po co posyłać go do więzienia? - John sam był zdziwiony pasją, z jaką mówił. - Lepiej niech opowie o wypadku w kilkudziesięciu szkołach, przekonując innych młodych ludzi, żeby się nie ścigali. A potem niech skończy studia i zostanie nauczycielem albo trenerem, czy po prostu zaszczerpi radość z gry w futbol setkom chłopców podobnych do niego. -

John odwrócił na chwilę wzrok, a później znów spojrzał na Abby i powiedział: - Prokurator okręgowy robi to, co uważa za najlepsze. Wykonuje swoją pracę. Ale ja znam Jake'a. Uwięzienie go nie pomoże ani jemu, ani mnie, ani nikomu innemu. I nie zapobiegnie nielegalnemu wyścigowi jakichś innych nastolatków.

W oczach Abby pojawił się błysk, jakiego John nie widział w nich od czasu wypadku. Zrozumiał, o co chodzi. Abby była uszczęśliwiona, słysząc w jego głosie determinację. Znaczyła ona, że jego kondycja psychiczna znacząco się poprawiła. Abby uśmiechnęła się lekko.

- Co mam odpowiedzieć prokuratorowi?

John zacisnął dłonie na poręczach kół wózka. Pierwszy raz od kilku tygodni widział przed sobą jakiś cel.

- Odpowiedz, że będę na tej rozprawie.

RS

RS

ROZDZIAŁ 19

Jake Daniels siedział pomiędzy swoimi rodzicami a adwokatem. Nagle zobaczył coś, co sprawiło, że poczuł skurcz w żołądku. Wózek inwalidzki.

Jake nie był zdolny zapobiec temu, co przed sobą widział: na salę wjeżdżał pan trener Reynolds na wózku inwalidzkim, który pchała żona pana trenera.

Zgromadzeni wokół Jake'a ludzie poodwracali głowy, żeby zobaczyć, czemu się tak przygląda. Pan Bennington zaklął pod nosem.

- Nie mamy szans, jeśli on będzie zeznawał - powiedział.

Rodzice Jake'a spojrzeli z powrotem w stronę fotela sędziny, jednak Jake nie umiał odwrócić wzroku od ukochanego pana trenera. Ledwie go poznał - najbardziej po charakterystycznej czapeczce z symbolem Orłów z Marion. Pan Reynolds okropnie schudł. Wydawał się drobniejszy niż dotąd, i starszy.

Z początku nie widział Jake'a, lecz dostrzegł go, zanim Jake odwrócił wzrok. Spojrzeli sobie w oczy. Jake czuł się jak zahipnotyzowany. Nie był w stanie się poruszyć, mrugnąć powiekami, wstrzymał nawet oddech. Godzinami wyobrażał sobie, jak wygląda pan trener Reynolds na wózku inwalidzkim; myślał, jak smutno będzie wszystkim patrzeć na tak wysokiego i umięśnionego mężczyznę zmuszonego do siedzenia przez resztę życia.

Ale czegoś takiego się nie spodziewał.

Pan trener uśmiechnął się do niego spod przeciwległej ściany. Nie był to szeroki, promienny uśmiech, jaki rozjaśniał jego twarz w stadionowej szatni po zwycięstwie Orłów, ani też głupkowate szczerzenie zębów, jak wtedy, kiedy pan Reynolds zrobił coś śmiesznego na lekcji o zdrowiu. To był smutny uśmiech. Taki, który dał znać oszołomionemu Jake'owi, że pan trener nie znienawidził go.

Pan Reynolds przywitał Jake'a skinieniem głowy, po czym żona pana trenera zaczęła popychać jego wózek ku końcowi jednej z ław dla publiczności. Usiadła koło męża; zaczęli szeptać między sobą.

- Jake, musisz zdać sobie sprawę, jak wielkie znaczenie ma dzisiejsze posiedzenie sądu - odezwał się Bennington, wyraźnie zdenerwowany z powodu wymiany spojrzeń pomiędzy swoim klientem a ofiarą wypadku. - Jeżeli pan Reynolds złoży zeznanie, sędzina prawie na pewno zdecyduje się potraktować cię jak dorosłego.

- - Pan trener!

- Słucham? - Adwokat poprawił okulary.

- Pan trener Reynolds, nie - pan Reynolds. Dobrze? - burknął Jake, spojrzawszy panu Benningtonowi w oczy.

- Jake, pan adwokat stara się ci pomóc. - Ojciec objął Jake'a ramieniem. - Mój syn dopiero teraz zobaczył pana trenera Reynoldsa po wypadku - wytłumaczył Benningtonowi.

Adwokat machnął tylko ręką, jakby informacja, którą usłyszał, nie miała żadnego znaczenia.

- Musimy mieć świadomość, że Jake znajduje się w niekorzystnym położeniu - powiedział. - Jeżeli sędzina postanowi traktować go jak dorosłego, będziemy musieli prosić o odroczenie rozprawy o odpowiednio długi czas. W przypadku uznania Jake'a winnym postawionych mu zarzutów, dostanie karę od trzech do dziesięciu lat więzienia.

- Chyba nie uważa pan, że do tego dojdzie? - upewniła się matka Jake'a, nerwowo pocierając o siebie dłonie. Od półtora miesiąca towarzyszył jej ten dziwny nawyk. - Nawet jeżeli Jake będzie sądzony jak dorosły, może zostać uniewinniony, prawda?

- To bardzo skomplikowane. - Bennington sięgnął po notatnik i długopis, i zaczął rysować jakiś schemat. - Ława przysięgłych może spojrzeć na sprawę na kilka różnych sposobów. Ważny jest zarzut popełnienia przestępstwa napaści, a także...

Jake przestał słuchać adwokata i przechylił głowę tak, żeby widzieć pana trenera i jego żonę. Ciągłe rozmawiali, ściszonymi głosami. Po chwili podszedł do nich prokurator. Zamienili we troje tylko parę słów i po chwili prokurator usiadł przy stole, po przeciwnej stronie w stosunku do Jake'a.

Jake zdawał sobie sprawę, że nie zachowuje się grzecznie, ale nie potrafił odwrócić wzroku. Widok ukochanego pana trenera na wózku inwalidzkim był najokropniejszą rzeczą, jaką mógł sobie wyobrazić. - Panie trenerze, niech pan wstanie - myślał - zrobi okrażenie wokół sali i powie głośno, że to był tylko pana dowcip. Tak jak na lekcjach o zdrowiu. Błagam pana!.

Jednak pan trener Reynolds wciąż siedział na wózku.

Rozprawa miała zostać wznowiona już za chwilę. Po raz pierwszy od chwili, kiedy Jake zderzył się samochodem z półciężarówką pana trenera, nie miał ochoty uciekać. Chciał wstać, podejść do pana trenera i powiedzieć mu, jak bardzo za nim tęsknił i jak ogromnie przeprasza go za to, co się stało. Ze do końca życia będzie mu z tego powodu smutno.

Nagle Jake zobaczył coś po prostu strasznego. Stopa pana trenera ześlizgnęła się z podnóżka wózka i zaczęła bezwładnie zwisać. A on nawet

tego nie zauważył! Zona pana Reynoldsa spostrzegła to wcześniej niż on. Schyliła się i podniosła jego stopę - jakby była to jakaś rzecz - ustawiając ją z powrotem na podnóżku.

Nie! - pomyślał ze łzami w oczach Jake. Jak to możliwe? Pan trener Reynolds w ogóle nie ma czucia w stopach? Jest z nim aż tak źle?! Jake otarł łzę z policzka. Od czasu rozwodu rodziców niewiele się modlił. Jednak pomodlił się ostatnio raz, bezpośrednio po wypadku, kiedy potrzebna była pomoc. Wołał nawet Boga o pomoc, na głos.

I Pan Bóg sprowadził pomoc.

Więc może pomodłę się i teraz? - pomyślał Jake. Zamknął oczy.

Panie Boże, wiem, że wszystko zniszczyłem - zaczął. Całe swoje życie. Co najgorsze, zniszczyłem też życie pana trenera Reynoldsa. On zupełnie na to nie zasłużył. Wiesz, Panie Boże. Dlatego chciałbym Cię bardzo poprosić - bo wierzę, że Ty możesz wszystko. Możesz uzdrowić i niewidomego, i głuchego - tak przynajmniej mówił pan od religii. - Po twarzy Jake'a płynęły teraz łzy, ale chyba nikt nie zwrócił na nie uwagi. - Przypomina mi się historia paralityka. Leżał chyba na łożu, czy coś. Przynieśli go przyjaciele. I Ty, Panie Jezu, sprawiłeś, że ten człowiek znowu zaczął chodzić. Pamiętam na pewno - leżał na łożu, a zaraz potem mógł normalnie chodzić... - Jake otworzył oczy i znowu zerknął na ukochanego trenera. - Więc chciałbym Cię bardzo poprosić, Panie Boże - czy mógłbyś zrobić to samo dla pana trenera Reynoldsa? Czy mógłbyś sprawić, żeby znowu chodził i biegał? Proszę Cię, zrób z nim to, co z tamtym paralitykiem, żeby pan trener znowu czuł nogi i mógł ich używać. Bardzo Cię proszę, Panie Boże!

Jake nie pamiętał, kiedy ostatnio modlił się w podobny sposób. W każdym razie bardzo ucieszył się z własnej modlitwy. Rodzice mówili, że pan trener do końca życia pozostanie sparaliżowany, lecz Jake wierzył, że Bóg może go uzdrowić, jeżeli zechce.

Pan trener znów spojrzał w oczy Jake'owi, i tym razem Jake szybko odwrócił wzrok. Otarł łzy i zaczął przyglądać się swoim rodzicom. Denerwowało go, że słuchają wszystkiego, co mówi pan Bennington. Adwokat uważał pana trenera za przeciwnika, nawet wroga - ale chyba mama i tata tak nie uważali? Przecież jeszcze kilka lat temu przyjaźnili się z panem trenerem i jego żoną.

Jake pociągnął nosem i wciąż przypatrywał się rodzicom.

Co się właściwie u nich dzieje? - myślał. Ojciec wziął urlop bezpłatny, żeby być obecnym podczas procesu. Zatrzymał się w hotelu, niedaleko od

domu Jake'a i jego matki. Jake chodził do szkoły specjalnej dla trudnej młodzieży. Zastanawiał się, dlaczego nie siedzi w więzieniu; uważał, że tam jest jego miejsce.

Co z moim tatą? - myślał. Co robi całe dnie? Czy spędza je może z mamą, w naszym domu? A jeżeli tak, to czy godzą się stopniowo, czy tylko zastanawiają się wspólnie, co robić, jeżeli trafię do więzienia? Siedzą w pewnej odległości od siebie, więc raczej nie jest między nimi dobrze...

Dawniej, jeszcze zanim zaczęli się nieustannie kłócić, to właśnie ten dziwny dystans pomiędzy ojcem a matką był pierwszym sygnałem, że dzieje się z nimi coś złego. Chociaż ostatnio, to znaczy od czasu wypadku, Jake nie był świadkiem ani jednej kłótni rodziców.

Na salę weszła sędzina i wznowiła rozprawę. Wcześniej wysłuchała już rodziców Jake'a, którzy przekonywali, dlaczego ich zdaniem powinien on zostać potraktowany jak nieletni. Teraz zaczęła od zadania pytania adwokatowi:

- Czy pojawiły się jakieś nowe dowody w sprawie, które sąd powinien wziąć pod uwagę przed podjęciem decyzji?

- Nie, Wysoki Sądzie - odpowiedział Bennington, wstając na chwilę.

- To samo pytanie kieruję do oskarżyciela - powiedziała sędzina.

Prokurator wstał i popatrzył na tył sali.

- Tak. Władze stanu chciałyby poprosić o złożenie zeznań pana Johna Reynoldsa.

Jake ledwie był w stanie oddychać. Pani Reynolds pchała w jego stronę wózek z panem trenerem. Teraz pan trener będzie opowiadał o tym, jak złą rzeczą są nielegalne wyścigi samochodowe po ulicach miasta, i zapewniał, że Jake wiedział, co robi.

Jakeowi było wszystko jedno. Uważał, że zasłużył na to, co z nim będzie. Myślał tylko o stanie pana trenera, o tym, czy właśnie za chwilę Pan Bóg go uzdrowi.

Czy też może później.

RS

ROZDZIAŁ 20

Oczy wszystkich były zwrócone na Johna.

Abby zdawała sobie z tego sprawę. Każdy z zebranych był przerażony utratą wagi Johna i bezwładnością jego nóg, faktem, że John tkwił na metalowym krzeselku na kółkach i nie mógł z niego wstać. Nie przejmowała się jednak reakcją otaczających ludzi. Była ogromnie dumna z męża. Był zdeterminowany przyjechać do sądu, mimo że plecy, które wciąż go bolały, dokuczały mu tego ranka tak bardzo, że ledwie był w stanie usiąść.

Prokurator nie wiedział tak naprawdę, po co John pojawił się na sali.

Abby zaparkowała wózek obok pulpitu dla świadków, po czym usiadła w pierwszym rzędzie, blisko Johna. Kiedy podał swoje nazwisko i powiedział, w jakiej sprawie zamierza zeznawać, sędzina poleciła prokuratorowi przesłuchać świadka.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie - zaczął prokurator. Był mężczyzną o przeciętnym wyglądzie, najbardziej wyróżniającą go cechą była kwadratowa szczęka. Miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami i tanie spodnie od garnituru. Robił wrażenie człowieka uprzejmego. Abby miała nadzieję, że prokurator zrozumie, co chce osiągnąć John.

Zadał szybko Johnowi kilka pytań, których celem było potwierdzenie przez Johna uczestnictwa w wypadku i tego, że właśnie w jego wyniku został sparaliżowany

- wskutek uderzenia w jego półciężarówkę samochodu ścigającego się Jake'a Danielsa.

- Porozmawiajmy chwilę o oskarżonym - kontynuował prokurator. Nie podchodził do Johna, prawdopodobnie po to, żeby sędzina przez cały czas mogła wpatrywać się w sparaliżowanego człowieka na wózku. - Zna pan Jake'a Danielsa, prawda?

Zaczyna się - pomyślała Abby, czując, że serce zabiło jej szybciej.

- Tak, znam - potwierdził John, a następnie spojrzał na Jake'a. Jake wbijał wzrok w złączone dłonie. John spojrzał więc z powrotem na prokuratora i dodał: - Znam go od kilku lat.

- Czy można powiedzieć, że dorastał na pańskich oczach?

- Tak. Tak było - potwierdził John.

- Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że za chwilę ten sąd ma zdecydować, czy oskarżony powinien być sądzony jak dorosły?

- Tak, zdaję sobie sprawę.

- Czy wie pan, że już za parę miesięcy oskarżony ukończy osiemnaście lat, czyli w świetle prawa będzie dorosłym?

- Wiem.

- Rozumiem. W takim razie, czy pańskim zdaniem prawie osiemnastoletni chłopak, który zgodził się wziąć udział w nielegalnym ulicznym wyścigu samochodowym, powinien być sądzony jak dorosły?

Abby zerknęła na rodziców Jake'a. Skrzywili się oboje i wstrzymali oddechy, czekając na słowa potępienia z ust Johna.

Lecz z jego ust padły zupełnie inne słowa.

- Nie, moim zdaniem Jake Daniels nie powinien być sądzony jak dorosły - odpowiedział, spoglądając na

Jake'a. - Jake to porządny chłopak. W miesiącach poprzedzających wypadek wykazał się budzącą podziw dojrzałością - postępował wbrew niedobrym zwyczajom swoich rówieśników, wybierając własną, lepszą drogę.

- Czy dobrze rozumiem? - wtrącił prokurator. - W miesiącach poprzedzających wypadek dostrzegam pan u oskarżonego dojrzałość, ale nie uważa pan, że powinien on być sądzony jak dorosły? Czy się nie mylę?

- Nie - potwierdził z uśmiechem John. - Jeśli chłopak taki jak Jake potrafi na przyjęciu z rówieśnikami odmawiać alkoholu i zachowywać się w sposób, który stanowi dobry przykład dla innych, mogłoby się wydawać, że jest dojrzały na tyle, iż można go sądzić jak dorosłego.

Abby znów spojrzała na rodziców Jake'a. Tara płakała cicho, zasłaniając usta, Tim obejmował ramieniem Jake'a. Patrzyli z niedowierzaniem na Johna.

- Kiedy jednak tak dobry chłopak jak Jake zgadza się na coś tak złego jak wyścigi samochodowe po ulicach miasta, mogę wyciągnąć z tego tylko jeden wniosek - Jake jest jeszcze dzieckiem. Nieukształtowanym dzieckiem, które nie umie jeszcze osądzić, czym jest taki wyścig, i które właśnie dlatego podjęło niemądrą decyzję.

Spojrzał na Jake'a, a ten podniósł wreszcie wzrok. Płakał. W tym momencie wszyscy obecni na sali musieli zrozumieć, że Jake naprawdę jest dzieckiem. Wystraszonym, zawstydzonym chłopcem, który oddałby życie za to, żeby cofnąć tragiczne skutki niedojrzałych decyzji, jakie podjął feralnej nocy.

- Czy to wszystko? - upewnił się cicho prokurator.

- Nie. - John obrócił się z wózkiem, aby lepiej widzieć sędzinę. - Wysoki Sądzie, chciałbym jeszcze powiedzieć, że nie uważam, żeby więzienie było najlepszym miejscem dla takiego chłopca jak Jake. Gdyby był wielokrotnie notowany, to co innego. Ale Jake nie jest agresywnym chłopakiem, który lubi łamać prawo. I nie czeka w tej chwili na dzień, kiedy dostanie z powrotem prawo jazdy, żeby mógł pościgać się znowu. Więzienie w niczym mu nie pomoże, on potrzebuje czego innego. Byłoby najlepiej, gdyby opowiadał o wypadku, jaki się zdarzył, w innych szkołach. Występował przed uczniami, rozmawiał z nimi, by zrozumieli, co tak naprawdę oznaczają nielegalne wyścigi po ulicach. Mógłbym się założyć, że każdy, kto posłucha jego historii, poczuje się podobnie, jak w tej chwili Jake. I być może dzięki temu zapobiegniemy tragicznemu w skutkach wypadkowi innych ludzi. - John skłonił głowę. - To wszystko, Wysoki Sądzie.

Po tych słowach podjechał na wózku do Abby. Oczy Johna błyszczały. Była w nich nadzieja, której Abby nie spodziewała się w nich zobaczyć już nigdy.

- Świetnie się spisałeś - pochwaliła.

- Dzięki.

Prokurator poprosił sędzinę o rozmowę. Abby myślała akurat o czym innym, i zanim zastanowiła się, co może oznaczać prośba prokuratora, została ogłoszona przerwa. Do Johna i Abby podszedł adwokat Jake'a. Złączył dłonie za plecami, spuścił głowę, okazując w ten sposób szacunek niepełnosprawnej ofierze wypadku. Jednocześnie na twarzy mężczyzny widać było prawdziwy entuzjazm.

Abby skrzywiła się w duchu. John nie zeznawał po to, żeby adwokat odniósł sukces, tylko po to, by ratować Jake'a, którego znał, któremu ufał i w którego wciąż wierzył.

Adwokat skomentował wylewnie wspaniałomyślność Johna. Zanim John zdążył odpowiedzieć, sędzina wznowiła rozprawę.

- W świetle zeznania złożonego przed paroma minutami przez ofiarę wypadku - kobieta spojrzała wymownie na Johna - zdecydowałam, że oskarżony będzie traktowany jak nieletni.

Matka Jake'a powstrzymała wybuch głośnego płaczu. Na sali podniósł się szum; sędzina przywołała zebranych do porządku, stukając młotkiem w pulpit.

- Dość - uciszyła wszystkich. Popatrzyła na prokuratora i powiedziała: - Oskarżyciel poprosił mnie o czas na wypracowanie z obrońcą ugody w

sprawie przyznania się przez oskarżonego do części zarzutów. Wyrażam zgodę. Odraczam rozprawę na trzy tygodnie. Po jej wznowieniu określimy, czy sprawa wymaga kontynuowania procesu, czy nie.

Abby zerknęła na adwokata Jake'a. Uśmiechał się z zadowoleniem. Uścisnął dłoń Tary Daniels, potem Tima, na końcu Jake'a. Abby poczuła się sfrustrowana, ale później zwróciła uwagę na wyraz twarzy chłopaka i jego rodziców. Nie uśmiechali się. Adwokat zapewne cieszył się z sukcesu, lecz państwo Danielsowie i ich syn byli zbolali. Bez wątpienia myśleli o tym, że John pozostał sparaliżowany. I bez względu na to, jaka kara zostanie wymierzona Jake'owi, wszyscy wiele stracili na ostatnich wydarzeniach.

Po zakończeniu posiedzenia sądu adwokat odciągnął Jake'a na bok i zaczął rozmawiać z nim sam na sam. Abby podniosła się i popchnęła przed siebie wózek z Johnem. Jej spojrzenie padło na rodziców Jake'a. Tara zbierała rzeczy - i nieoczekiwanie popatrzyła w oczy Abby. Nie rozmawiała z nią od chwili wypadku. Nie kontaktowała się z nią nijak, nie licząc kartki z przeprosinami i życzeniami. Abby rozumiała zachowanie państwa Danielsów. Ostatni czas był dla nich bardzo trudny, podobnie jak dla jej rodziny.

Manewrowała ostrożnie wózkami pomiędzy stołem a pierwszą ławą dla publiczności. Serce biło jej coraz szybciej - zbliżała się do rodziny Jake'a.

Pierwszy przerwał niewygodną ciszę John:

- Co u was, Tara?

- Tak og... - Głos Tary załamał się. Podeszli z Timem do Abby i Johna. W oczach Tary błyszczały łzy. Zbliżyła się jeszcze o krok, a John podniósł rękę, i uścisnęła ją drżącą dłonią. - Tak ogromnie wam współczujemy i przepraszamy! Odwiedzilibyśmy was, ale... nie wiem, co moglibyśmy powiedzieć. - Podniosła wzrok. - Bardzo was przepraszamy!

Rozplakała się rzewnie. Abby obeszła wózek z Johnem i przytuliła Tarę.

- Przecież Jake zrobił to niechcący - pocieszyła cicho, tłumiąc własne łkanie. Cofnęły się i stały naprzeciw siebie, każda z nich przeżywała własną rozpacz.

- Dawno cię nie widziałem... - odezwał się do Johna Tim, odchrząknawszy.

- Rzeczywiście. - John uścisnął dłoń Tima. - Nie pożegnałeś się.

- Nasza sytuacja była... - Tim zerknął na Tarę - niewesoła. Przepraszam.

- Ożeniłeś się po raz drugi? - spytał John.

- Nie. - Tim zarumienił się. - Wziąłem teraz urlop bezpłatny. Zatrzymałem się w hotelu w Marion. - Ponownie spojrzął na Tarę. Ciekawe - pomyślała Abby - czyżby tych dwoje znowu coś łączyło? Po paru latach od rozvodu? - Rozmawiamy ostatnio dużo - kontynuował Tim. - O ważnych rzeczach - na przykład o tym, dlaczego opuściłem Tarę. Dlaczego nie uratowaliśmy naszego małżeństwa.

John zerknął na Abby, potem wychylił się lekko naprzód i powiedział:

- Może was to zaszokuje, ale czy wiecie, że Abby i ja też o mało się nie rozwiedliśmy? Mieliśmy to zrobić latem, w tym roku.

- Naprawdę? - Tara otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. - Wy?

- Od trzech lat dyskutowaliśmy o rozwodzie. - Mówiąc te słowa, Abby miała ochotę stanąć na stole i wołać, że jej mąż jest wspaniały. Został ostatnio trwale sparaliżowany w wyniku wypadku, a mimo to bez ogródek opowiadał o innych sprawach, które na zawsze pozostaną dla niego ważniejsze niż jego własne nogi - o małżeństwach w kryzysie i o rozwodach. Szczególnie interesował się rozpadającymi się małżeństwami chrześcijan.

- Co się stało, że wciąż jesteście razem? - zainteresował się Tim, chowając rękę do kieszeni.

- Przypomnieliśmy sobie, dlaczego się pobraliśmy, i o wszystkich wydarzeniach, które złączyły nas od czasu ślubu. A przede wszystkim uświadomiliśmy sobie, jak fatalnie wyglądałaby nasza przyszłość, gdybyśmy już nie mieli siebie nawzajem. - John wykręcił szyję, żeby móc jeszcze raz spojrzeć Abby w oczy. - I teraz jest między nami lepiej niż kiedykolwiek - powiedział do Tima.

Tara pociągnęła nosem i otarła łzy.

- Tim chce, żebyśmy porozmawiali jeszcze i spróbowali na nowo zostać małżonkami. - Pokręciła głową. - Nie mogę. Rozwód omal nas nie zabił. Gdyby nie udało nam się po raz drugi, załamałabym się kompletnie.

- Wiecie co... - John wyciągnął rękę w tył, w poszukiwaniu dłoni Abby. Abby stanęła obok niego i ujęła dłoń męża. - Skoro Tim jest w mieście, może wpadalibyście do nas oboje, powiedzmy co drugi-trzeci dzień? Żeby omówić wszystko?

Abby wyobraziła sobie tę sytuację i ucieszyła się.

- Może moglibyśmy podzielić się z wami częścią naszych doświadczeń, i to by wam pomogło - zaproponowała.

- Nie wiem - mruknęła z powątpiewaniem Tara. Zapadła chwila milczenia. Tim spuścił wzrok, przestępując z nogi na nogę. Kiedy znów podniósł spojrzenie, miał łzy w oczach.

- Przepraszam cię, John - szepnął. - Za twoje nogi. John wzruszył ramionami. Czuł się spokojniejszy niż w ciągu ostatnich kilku tygodni.

- To nie twoja wina - pocieszył.

- Ja kupiłem ten samochód - przypomniał Tim, blednąc. - Tara miała rację. To nie był odpowiedni prezent dla nastolatka. Będzie mnie to dręczyło do końca życia.

Trzy metry dalej adwokat klepał Jake'a po ramieniu. Pożegnawszy się w ten sposób, wyszedł szybkim krokiem i zniknął. Jake popatrzył na swoich rodziców i na państwa Reynoldsów. Podeszedł do nich na chwiejnych nogach. Abby przyjrzała się chłopakowi, nie wiedząc, co o nim myśleć. Czasami myślała, że go nienawidzi. Podjął decyzję, której konsekwencją była niepełnosprawność Johna. Jej mąż nie będzie mógł chodzić, ich życie zmieniło się diametralnie... Ale czasami po prostu nie wiedziała, co myśleć.

Nadeszła jedna z takich właśnie chwil.

Jake zbliżył się, popatrzył na rodziców i spytał:

- Czy mógłbym porozmawiać chwilę z panem trenerem?

- Oczywiście. - Tara zebrała rzeczy i oboje z mężem ruszyli do drzwi. - Będziemy czekać przed budynkiem sądu, aż skończycie.

- Czy chcesz, abym poszła? - spytała Abby, ściskając lekko ramię Johna.

- Nie - odpowiedział szybko Jake, zanim John zdążył się odezwać. - Chciałbym, żeby pani też słyszała, co powiem. Bardzo panią proszę.

Abby sięgnęła po krzesło i usiadła koło Johna. Jake założył ręce, wziął głęboki oddech... Abby usiłowała odczytać z oczu chłopca, co chciał powiedzieć. Czy zamierzał wygłosić przemówienie dziękczynne, które ułożył jego adwokat? Czy może rzeczywiście pragnął powiedzieć coś od serca? Abby od razu stwierdziła, że chodzi o to drugie.

- Panie trenerze - odezwał się Jake - adwokat właśnie skończył mi opowiadać, jak wielkie mam szczęście. - Jake sapnął ze złością. - Wyobraża pan sobie?!

John czekał na dalszy ciąg, w milczeniu patrząc w oczy rozmówcy.

- Chciałbym powiedzieć panu i pani też, że nie jestem szczęśliwy - niezależnie od tego, co ze mną niedługo zrobią. - Do oczu Jake'a napłynęły łzy. - Popełniłem bardzo głupi błąd i... no i...

Zagryzł wargi, zwiesił głowę i milczał długo. Abby rozumiała to. Chłopak tak silnie przeżywał to, co się działo, że chwilowo nie był w stanie mówić. Zamierzał powiedzieć więcej, a nie rozplakać się. Wstrzymywał jeszcze chwilę oddech, następnie znów spojrzął Johnowi w oczy i kontynuował: - To moja wina, panie trenerze. Nie powinienem był ścigać się z Caseyem. Pod żadnym pozorem. - Kolana Jake'a zaczęły drżeć. - Zobaczyłem, że pana półciężarówka wyjeżdża z parkingu. Ale za szybko jechałem. Nie zdążyłem się zatrzymać.

Boże! - jęknęła w duchu Abby. Ze też John musi przeżywać coś takiego.

- Nie polegaj na swoim rozsądku - przypomniało jej się.

Zamrugła oczami. Urywek Pisma Świętego, który nieoczekiwanie przyszedł jej na myśl, był jak bezpośrednia odpowiedź Boga na jej westchnienie. Ostatnio wciąż przypominały jej się te słowa.

Czy to Ty przemówiłeś, Panie Boże? - spytała w myśli.

- To wam powiedziałem, abyście pokój we Mnie mieli. Na świecie doznacie ucisku, ale miejcie odwagę: Jam zwyciężył świat.

Jake mówił tymczasem dalej. Opowiadał, jak szybko przebiegł wypadek; Abby nie słuchała go jednak. Kiedy przypomniał jej się kolejny cytat z Pisma, przeszedł ją dreszcz. Rozważała ów wers Biblii podczas porannej modlitwy. Zwrócili na niego uwagę z Johnem jakiś czas temu - po ślubie Nicole, kiedy znów zaczęli razem studiować Pismo Święte.

Wers ów idealnie opisywał sytuację, w jakiej znalazła się jej rodzina. Abby rozumiała to teraz jeszcze dobitniej niż wcześniej w szpitalu, kilka dni po wypadku Johna. Słowo Boże, Jego obietnice, wszystko, co powiedział Bóg, zostało przekazane ludziom po to, żeby mogli cieszyć się pokojem. Abby nie wątpiła, że na świecie doznają ucisku. Ostatnio doznawali go z Johnem najpierw w formie ataków ze strony rodziców zawodników i gróźb wicedyrektora szkoły, a później w postaci wypadku Johna i jego paraliżu.

Lecz w ostatecznym rozrachunku Bóg zwycięży, mimo że obecnie tego nie dostrzegali. Bóg zwycięża bowiem zawsze. Jest potężniejszy niż podstępni rodzice i słabi dyrektorzy, ma większą moc niż wypadek samochodowy, a nawet niż paraliż.

Nawet jeśli John do końca życia będzie siedział na wózku inwalidzkim, Pan Bóg i tak zwycięży.

Jake opowiadał teraz o tym, że Casey uciekł z miejsca wypadku, a zaraz potem wrócił, wezwawszy pomoc.

- Byliśmy okropnie przerażeni - mówił Jake. - Myśleliśmy, że pan umrze, panie trenerze. - Skrzywił się i wtedy łzy pociekły mu z oczu, spadając aż na jego tenisówki. - Tak ogromnie pana trenera przepraszam! - Jake opadł na krzesło naprzeciw Johna i ukrył twarz w dłoniach. - Oddałbym wszystko za to, żeby cofnąć tamten wypadek.

Casey także nie widział się dotąd z Johnem. Dowiedziawszy się wcześniej, że to ojciec Caseya pisał skargi na jej męża, Abby zastanawiała się, czy może pan Parker cieszy się ze stanu Johna. To znaczy, oczywiście nie z samej jego niepełnosprawności, ale z tego, że John nie będzie już trenerem Orłów. Były to okropne myśli, jednak Abby nie umiała ich zmienić. Była żoną trenera i wiedziała, jak okropnie ludzie oceniają nieraz trenerów, jak źle się do nich odnoszą. Wiedziała, że w całym kraju zdarza się to nazbyt często.

Nie wiedziała, czy John zastanawia się nad tym samym, co ona. Nie wspominał o tym.

Jej mąż wychylił się naprzód tak bardzo, jak tylko mógł, ujął Jake'a za kolana i odezwał się:

- Jake, popatrz na mnie. - Jego głos był cichy, ale stanowczy. Takiego samego tonu używał wobec własnych dzieci, kiedy bywały rozzłoszczone same na siebie.

Jake ledwie uniósł głowę i zaraz znowu zakrył oczy dłońmi.

- Jake. Mówię poważnie. Opuść ręce i popatrz na mnie. Abby w milczeniu obserwowała scenę. Mój ukochany

John - myślała - zawsze dostrzega, kiedy coś jest nie w porządku i prostuje to z pasją, której nie sposób się oprzeć. John opuścił ręce i popatrzył na Johna, cały zapłakany.

- Proszę, niech mnie pan trener nie zmusza, żebym patrzył panu w oczy, bo nie jestem w stanie! - jęknął.

Głęboki smutek w oczach chłopaka sprawił, że Abby złagodniała. To naprawdę jeszcze dzieciak - pomyślała - chłopiec ogarnięty przemożnym poczuciem winy, z którego nie potrafi się wyzwolić.

- Jake - John nachylił się jeszcze bliżej chłopca - przebaczam ci. To był wypadek.

- To była moja głupota! - Jake wykrzywił okropnie twarz z powodu psychicznego bólu. - Został pan skazany na wózek inwalidzki. Przeze mnie! Nie mogę znieść myśli o tym! - Załkał krótko. - Ja chcę iść do więzienia. Kiedy będę tam siedział, nie będę musiał udawać, że żyję sobie normalnie,

że wszystko ze mną w porządku. Nic nie jest w porządku, bo zniszczyłem życie panu trenerowi!

- Nie zniszczyłeś mojego życia - przekonywał John. - Jeśli będę dostatecznie się starał, dam radę robić wszystko, co chcę; i będę pracował, możesz mi wierzyć. Nigdy nie pozwalałem wam spocząć na laurach - żadnemu z was, chłopcy - i na pewno nie pozwolę na to teraz.

Serce Abby przystanęło na moment. Była zaszokowana - słowa, które usłyszała, wypowiedział człowiek, który jeszcze poprzedniego dnia siedział sam na molo, załamany! Miała ochotę unieść wysoko ręce i krzyknąć z radości.

Jake potarł nerwowo czoło, pokręcił głową i odezwał się znowu:

- To niesprawiedliwe. Nie zasłużyłem na to, co pan trener dzisiaj dla mnie zrobił.

- Zrobiłem dobrze, bo tkwiąc w więziennej celi, nikomu w niczym nie pomożesz. Popełniłeś błąd, z powodu którego twoje życie zmieniło się w jednej chwili. Moje także. Ale nie uratujesz nikogo, siedząc za kratkami. Ani siebie samego, ani też ofiary kolejnego ulicznego wyścigu. I na pewno nie mnie. Musisz dzielić się opowieścią o wszystkim, co się stało, z innymi. Mówić o tym innym młodemu ludziom, żeby nie ścigali się samochodami, nawet jeżeli ktoś rzuci im wyzwanie. W ten sposób ocalisz niejedno życie.

- Panie trenerze - na twarzy Jake'a cały czas znać było udrękę - to za łagodna kara. Nie mogę patrzeć w lustro. To... po prostu straszne! Pan i cała państwa rodzina... tak naprawdę nigdy nie będziecie mogli mi przebaczyć. Nie powinien mi pan przebaczyć.

- Jake - szepnął John - ja już ci przebaczyłem.

- Niech pan tak nie mówi.

Abby zamknęła oczy. Domyślała się, co nastąpi dalej. Panie Boże - pomodliła się w duchu - spraw, żebym nie musiała przebaczyć mu już teraz. Jeszcze nie...

John oparł się wygodnie i odpowiedział:

- Kiedy tylko Abby opowiedziała mi przebieg wypadku - kiedy dowiedziałem się, że to twój samochód uderzył w mój - od razu zdecydowałem głęboko w sercu, że ci przebaczam. - Roześmiał się smutno. - Jak mógłbym chować urazę do ciebie? To był wypadek, Jake. A poza tym, jesteś dla mnie jak syn. Całkowicie ci przebaczyłem.

Abby poruszyła się nerwowo na krześle.

Przemów, córko - mówił niemy głos w jej umyśle. - Wybacz, jako i Ja ci wybaczyłem.

Nie miała wątpliwości, do czego namawia ją Pan. Boże -jęknęła w duchu - proszę Cię. Nie zmuszaj mnie, żebym powiedziała to teraz. Jake nie potrzebuje mojego przebaczenia.

- Abby także ci przebacza - ciągnął John, spoglądając na nią wzrokiem pełnym emocji. Odczytała ze spojrzenia męża, że choćby w nadchodzących miesiącach i latach miał zmagać się z rozmaitymi przykrymi uczuciami, nie będzie dręczył go żal do jakiegokolwiek osoby. John nie oszukał Jake'a - nie życzył mu źle ani nie chował do niego urazy. Ani odrobiny. - Powiedz to sama - zachęcił, patrząc wyczekująco. - Przebaczasz Jake'owi, prawda?

- Oczywiście. - Abby czuła, że musi to powiedzieć, dla dobra Johna. Później zastanowię się, co o tym tak naprawdę myślę - stwierdziła w duchu. - Wszyscy ci przebaczymy.

- Nienawidzę siebie - mruknął Jake, zwieszając głowę.

- W takim razie już wiem, na czym polega problem. Nie jesteś w stanie wybaczyć sobie samemu. - John oparł się mocno łokciami o kolana. W ogóle tego nie czuje! - pomyślała Abby, wciąż zaszokowana stanem męża. Oparł się, jak o stół.

Jake milczał.

- Będę modlił się o to - John zagryzł kącik ust - żeby Pan Bóg obdarzył cię łaską przebaczenia samemu sobie. Podobnie jak On ci przebacza.

- Bóg? - Jake podniósł nagle wzrok. - Jak Bóg mógłby przebaczyć mi coś takiego? Nie przebaczy mi. Przecież to moja wina, że pan siedzi na wózku!

- A czy przeproszałeś Go? Mówiłeś Mu, że żałujesz tego, co się stało?

- Tak! - W oczach chłopaka widać było wielki ból. - Po wypadku przeproszałem Boga co najmniej z dziesięć razy.

Muszę odpokutować swoją winę. Nie spodziewałem się, żeby ktokolwiek mi wybaczył - Bóg, pan trener, czy pani - ktokolwiek, jeśli najpierw nie przesiedzę długich lat w więzieniu.

- Dlaczego?

- Muszę najpierw zadośćuczynić za to, co zrobiłem.

- Zadośćuczynić? Wynagrodzić mi utratę władzy w nogach? - W oczach Johna pojawił się błysk, a kąciki jego ust uniosły się lekko. - Gdyby było to potrzebne, musiałbyś okropnie długo siedzieć, młody człowieku, bo naprawdę szybko biegałem!

Abby znów miała ochotę klasnąć w ręce albo pisnąć z radości - jej mąż zartował! Mówił do Jake'a takim samym tonem jak dawniej, kiedy się z nim droczył. A robił to od czasów, kiedy Jake chodził jeszcze do gimnazjum i bywał czasem z rodzicami u Abby i Johna na niedzielnych obiadach.

Abby pamiętała, w jaki sposób John i Jake wyglądali i zachowywali się przed pięciu laty. Państwo Danielsowie przychodzili, John witał się z nimi. Wtedy Jake przyskakiwał do Johna z szeroko otwartymi oczami i wołał:

- Panie trenerze - od zawsze nazywał Johna - panem trenerem - musimy się pościgać! Biegam coraz szybciej!.

- Wtedy John parsknął śmiechem i odpowiadał: - No, nie wiem, Jake. Naprawdę szybko biegam. Jake unosił brwi i zartobliwie szturchał Johna w ramię. - Panie trenerze - mówił - niech pan nie przesadza - ja biegam jeszcze szybciej!.

Przez plecy Abby przeszedł dreszcz. Zrozumiała, że jej mąż szuka sposobów na uratowanie Jake'a od przygniatającego go poczucia winy. Stała nieruchomo, przyglądając się płaczącemu chłopakowi. Nagle Jake przestał się krzywić.

- Niech pan nie przesadza - odpowiedział schrypniętym głosem. - Ja biegałem jeszcze szybciej. - Po jego policzku spłynęła łza.

- Dobry chłopiec - pochwalił John, po czym klepnął Jake'a w kolano. - Jestem sparaliżowany, ale jeszcze nie umarłem. Nie chcę, abyś zwieszał głowę za każdym razem, kiedy będziemy się widzieć. Bo w ten sposób straciłbym dwie ważne rzeczy.

- Dwie rzeczy?

- Moje nogi - i ciebie... Nie rób mi tego, Jake. I tak będzie mi dostatecznie trudno wykonywać codzienne obowiązki. Nie chcę do tego martwić się, co się z tobą dzieje i jak się czujesz.

Jake znów się rozplakał. Wyglądał w tej chwili, jakby miał dwanaście lat. Abby poczuła, że jej serce mięknie. Może i jestem w stanie mu wybaczyć? - zastanawiała się.

- Ale jest mi ogromnie przykro. Panie trenerze, ja muszę coś zrobić, żeby zapłacić za to, co zrobiłem.

- Słuchaj, za każdym razem kiedy będziesz wchodził na salę pełną młodych ludzi i opowiadał im o naszym wypadku, chciałbym, żebyś pamiętał jedną rzecz. - John zniżył odrobinę głos. - Jestem z tobą, Jake. Będę tuż obok ciebie, przez cały czas, podążając za tobą. W ten sposób wynagrodzisz wszystko, co się stało.

ROZDZIAŁ 21

Nicole prawie codziennie miała mdłości. Niezwykłe, charakterystyczne dla wczesnego okresu ciąży. Minęły mniej więcej cztery miesiące, odkąd w nią zaszła, i poranne mdłości przestała odczuwać już przed paroma tygodniami. Teraz złe samopoczucie Nicole wynikało z innego powodu - nie dawał jej spokoju fakt, że jej ukochany tata wciąż zupełnie nie ma czucia w nogach. Tymczasem nadchodziło Boże Narodzenie...

Tamtego okropnego popołudnia w szpitalu, kiedy lekarze poinformowali, że John został sparaliżowany, Nicole zaczęła się modlić. Odtąd wiele godzin spędziła na modlitwie, błagając o cud. Wierzyła, że Bóg uzdrowi jej ojca. Nie wiedziała, jak się to odbędzie, ale była przekonana, że cud nastąpi. Musiał nastąpić. Za każdym razem kiedy Nicole modliła się o coś w podobny sposób jak ostatnio, sprawy układały się zgodnie z jej oczekiwaniami.

Jednak w miarę upływu dni jej modlitwy stały się coraz rzadsze, aż wreszcie zaprzestała ich. Zrozumiała coś - i właśnie to przyprawiało ją o mdłości.

Zdała sobie sprawę, że nie zawsze dzieje się tak, jak by sobie tego życzyła, jak jej zdaniem powinno się dziać.

Gdyby wszystko szło po jej myśli, nie zaszłaby w ciążę przez parę najbliższych lat, jej rodzice nigdy nie mieliby problemów małżeńskich, nie myśleliby o rozwodzie. Chrześcijanie nie traciliby najbliższych w wypadkach czy z powodu chorób. Nie cierpieliby z powodu depresji, bólu czy kłopotów finansowych.

Na pewno żaden pobożny chrześcijanin nie zostałby sparaliżowany.

Gdyby zawsze działo się tak, jak jej zdaniem powinno, wyznawcy Chrystusa doświadczaliby tylko szczęścia, a później, w bardzo podeszłym wieku, odchodziliby spokojnie w nocy, budząc się nieoczekiwanie prosto w ramionach Boga.

Lecz życie przebiegało inaczej. Dostrzegając to, Nicole zaczęła z niesmakiem myśleć o swojej religii. Było to dla niej całkiem nowe uczucie - tak samo jak to, że żyje w związku małżeńskim czy że cierpi z powodu niepełnosprawności ojca.

Być może Bóg postanowił wykorzystać stan jej taty do tego, aby uczniowie liceum Marion stali się lepszymi ludźmi? Nicole nie podobała się ta możliwość, ale rozważała ją poważnie. Kade, który wciąż kontaktował się

z kilkorgiem uczniów liceum, przekazywał Nicole najnowsze plotki. W szkole mówiono powszechnie, że od czasu wypadku ich ojca, zachowanie uczniów poprawiło się. Zrodził się nawet pomysł zorganizowania przez miasto wiecu na cześć - pana trenera Reynoldsa. Nicole i Kade postanowili na razie nie wspominać o tym ojcu.

I tak w jego głowie kłębiło się dość myśli. Usiłował pogodzić się z własną niepełnosprawnością, uczył się żyć, siedząc na wózku inwalidzkim.

Jeżeli Pan Bóg dopuścił do paraliżu taty właśnie po to, powinnam być spokojna - myślała Nicole. Powinnam czuć, że spełniają się słowa Listu do Rzymian - że wszystko dzieje się dla dobra tych, którzy kochają Boga.

Nie miała jednak takiego poczucia.

Czuła tylko mdłości.

Lekarz ostrzegł ją, że przedłużający się stres matki nie służy dziecku. Nicole obiecała więc Mattowi i sobie samej spędzać więcej czasu na studiowaniu Pisma Świętego i modlitwie, żeby złagodzić napięcie.

Ale za każdym razem, kiedy próbowała przeczytać któryś z ulubionych wersów albo porozmawiać z Bogiem, zaczynała myśleć o wypadku. Dlaczego Pan Bóg na niego pozwolił? Czy tata nie mógł wyjechać z parkingu pięć minut wcześniej? Albo choćby kilkadziesiąt sekund później? Czemu zdarzyło się coś takiego, po wszystkim, przez co przeszli rodzice, po tym jak znów zaczęli być naprawdę razem? Kiedy tata znowu chodzi z nami do kościoła?

Nicole miała do Boga tyle pytań, że nie była w stanie normalnie się modlić. Pozostawała więc pełna niepokoju. Nie czuła, że gniewa się na Pana Boga - nie mogła tak powiedzieć. Raczej nie była pewna, czy Mu ufa. Było to dla niej coś tak niesłychanego, że nie miała odwagi nawet tego rozważyć, a tym bardziej podzielić się swoimi wątpliwościami z kimkolwiek.

Nicole bowiem do chwili wypadku ojca nigdy w życiu nie miała wątpliwości religijnych. Zawsze polegała na słowach Biblii, modlitwie, na wypowiedziach Pana, które zdawała się słyszeć w myślach - najbardziej z całej rodziny.

Dopiero ostatnio zdała sobie sprawę z przyczyn swojej głębokiej wiary. Nie uważała się za lepszą od innych ludzi, nie odczuwała też większej niż inni potrzeby Bożej obecności i Bożego pokoju. Chodziło o Haley Ann.

O tym Nicole także jeszcze z nikim nie rozmawiała.

Nikt nie wiedział, że Nicole pamięta śmierć małej siostrzyczki. Kiedy umarła Haley Ann, Nicole miała niecałe dwa lata, lecz na zawsze

zapamiętała sceny z tamtego smutnego dnia. Płakała wtedy rzewnie. Nie pamiętała szczegółów, ale kiedy zamknęła oczy, wciąż widziała potężnych mężczyzn, wpadających do pokoju Haley Ann, która spała w kołysce. Ratownicy krzatali się wokół jej siostrzyczki, próbowali przywrócić jej oddech.

Wszystkim zdawało się, że Nicole nie pogrzyżała się w żalu po śmierci siostry, bo była zbyt mała. Jednak ona doskonale czuła, że Haley Ann była jej siostrzyczką! Jej jedyną siostrzyczką.

Nicole pamiętała jedną z dawnych rozmów z matką na temat śmierci Haley Ann.

- Haley Ann jest teraz w niebie, kochanie - mówiła z płaczem mama. W tamtym okresie bardzo często płakała. - Ale jak długo będziesz kochać Pana Boga, zawsze będziesz bliźniutko Haley Ann. Rozumiesz?.

Nicole zrozumiała słowa matki lepiej niż ta sobie wyobrażała. Postanowiła kochać Boga całym sercem, żeby być jak najbliżej Haley Ann i związanych z nią wspomnień. Nicole kochała więc Boga co siłą, zawsze, każdego miesiąca i roku. Aż do teraz...

Ostatnio wszystko się zmieniło, i dobrze wiedziała dlaczego. To proste - nie wiedziała, czy wciąż ufa Panu Bogu. Nie wiedziała, czy warto powierzać Mu swoje największe troski, modlić się gorąco. Wszak modliła się zawsze o to, żeby nikomu z jej rodziny nigdy nie stało się nic złego. Nawet rano w dniu, po którym nastąpił wypadek. A nocą znajdowała się już w szpitalu, u boku mamy, zastanawiając się, dlaczego stało się coś tak strasznego.

Dlaczego Bóg nie interweniował w tak niezwykle ważnej dla nich sprawie.

Jej niespokojne myśli wzmagaly stopniowo napięcie, jakie Nicole odczuwała. Co gorsza, Matt ciągle opowiadał o Bożej woli, łasce, o tym, że Pan w cudowny sposób ocalił jej tatę. Mówił jej o tym w najmniej odpowiednich momentach - kiedy odrabiała zadaną pracę, składała pranie albo szykowała się do wyjścia na zajęcia.

Przed dwoma dniami po raz pierwszy pokłócili się z tego powodu poważnie. Nicole siedziała przy komputerze, szukając czegoś ciekawego do kupienia na internetowej giełdzie, kiedy nagle Matt stanął za jej plecami i zaczął gładzić ją po ramionach.

- Wstań już od komputera, Nicole - szepnął.

- Dlaczego mam wstać? - spytała, oglądając się przez ramię.

- Dlatego, że uciekasz.

- Przed czym? - Nicole skupiła uwagę na wystawionych na sprzedaż przedmiotach.

- Przed wszystkim! - sapnął nagle Matt. - Nie chcesz ze mną rozmawiać, nie chcesz myśleć o sytuacji twojego taty, o ciąży... - Zawahał się. - O Bogu.

Nicole do tej pory nie wiedziała, dlaczego słowa męża tak ją rozgniewały. Zanim zdołała się powstrzymać, zaczęła krzyczeć:

- Za kogo ty się uważasz, żeby mówić mi, od czego uciekam?! - Obróciła się gwałtownie z fotelem i ze złością patrzyła na Matta. - Być może nie chcę zagłębiać się w głębokich rozważaniach nad sensem każdej sprawy, ale to jeszcze nie znaczy, że uciekam!.

- Niekoniecznie chodzi o głębokie rozważania nad sensem. Mogłabyś na przykład pomodlić się wspólnie z mężem.

- Dobrze, Matt. Chcesz, żebym się modliła, to się pomodłę. Ale nie prosź mnie, żebym wkładała w to serce, bo w tej chwili nie potrafię! Potrzebuję trochę czasu, zanim będę znowu zdolna wzywać Boga.

Mąż popatrzył na Nicole ze zdumieniem.

- Mówisz zupełnie inaczej niż przed ślubem! Czyżbyś aż tak się zmieniła?.

- Dzięki!.

- Ja nie żartuję. Dawniej bez przerwy opowiadałaś o Bogu. A teraz zachowujesz się, jakby nie istniał.

- Wcale nie! - Nicole westchnęła ze złością. - Chodzi o to, że nie zostało wiele rzeczy, o które chciałabym Go prosić. Może o to, żeby tata miał zdrowe nogi? Za późno!

O to, żebyśmy mieli dzieci dopiero za kilka lat? Dziecko w drodze. Nie uciekam, Matt. Zdaje mi się, że zwyczajnie nie widzę sensu w modlitwie.

- I sądzisz, że zabawa w kupowanie w Internecie pomoże ci rozwiązać ten problem? - spytał Matt, pokazując wymownie na komputer.

- Lepsze to niż marnowanie każdej wolnej chwili na modlitwę, skoro w rezultacie Bóg i tak robi, co chce.

Matt wpatrywał się w oczy Nicole przez długi czas. W końcu odezwał się cicho:

- Ja wciąż wierzę w sens modlitwy, i chcę, żebyś coś wiedziała....

Nicole umilkła, czując, że palą ją policzki.

- Będę modlił się za ciebie, Nicole. O to, żeby Pan Bóg pomógł ci przypomnieć sobie, kim jesteś.

Słowa Matta odzywały się w jej głowie raz po raz, docierając pomału do jej serca. Co się ze mną stało? - zastanawiała się Nicole. Przecież chyba

nadal wierzę w sens modlitwy. Przez całe życie czułam, jakie są podpowiedzi Boga. Moja wiara nie może chwiać się z powodu wydarzeń, do jakich ostatnio doszło w naszym życiu...

Ubrała się w czarną luźną spódnicę i białą, jedwabną bluzkę. Brzuch wystawał jej już, ale jeszcze nie potrzebowała ciężowych ubrań. Cieszyła się z tego. Była Wigilia. Rodzice zaprosili ją i Matta do siebie - podobnie jak Jo i Denny'ego. Rodzice Matta przyjechali do jej domu i razem z jej mężem czekali na nią na dole.

Nicole zaczęła wkładać czarne rajstopy i nagle jej spojrzenie padło na tabliczkę wiszącą koło jej małżeńskiego łóżka. Na tabliczce wygrawerowany był wers z Pisma Świętego, z listu do Herbajczyków. Ulubiony wers Matta.

- Patrzmy na Jezusa, który nam w wierze przewodzi i ją wydoskonala....

Nicole znieruchomiała, nie zdążywszy ubrać się do końca. A może na tym polega mój problem? - pomyślała. Od czasu wypadku taty za mało spoglądam na Chrystusa. Myślę o tym, że tata nie może chodzić, o ciąży, pograżam się przez to wszystko w smutku.

O Panu Jezusie nie myślę.

Jest taki wers Pisma, który mówi, że Bóg jest Dawcą... czegoś. Nicole zamknęła oczy. No tak - Dawcą życia. Pan został nazwany w Dziejach Apostolskich Dawcą życia. Jeśli jest jego Dawcą, to On decyduje o tym, że niektóre osoby będą zdrowe aż do śmierci, a inne zostaną sparaliżowane w wyniku wypadku samochodowego.

Ta myśl nie poprawiła jednak samopoczucia Nicole, a już na pewno nie wzbudziła w niej pragnienia modlitwy. Jeżeli Bóg daje życie, postanowił już, czym kogo obdarzy. Możemy kochać Pana i On nas kocha, ale modlitwa nie zmieni niczego - myślała.

- Nicole, jesteś gotowa? - zawołał z parteru Matt. Przeprosili się już nawzajem po ostatniej kłótni, jednak ich relacja nie była teraz tak cudowna jak wcześniej. Matt uznał, że Nicole zmieniła się; ona uważała, że to raczej Matt stał się zbyt mało wrażliwy. Powiększało to tym bardziej niepokój Nicole.

- Zaraz! - zawołała, wychylając głowę zza drzwi.

- Pospiesz się. - Matt spojrzał ze złością na ścienny zegar. - Już jesteśmy spóźnieni!

- Wesołych Świąt!... - mruknęła półgłosem Nicole, kończąc zakładać rajstopy. Przysiadła, i nagle poczuła coś niezwykłego.

Jakiś ruch, głęboko wewnątrz swojego ciała. Czuję się trochę tak, jakby ktoś łaskotał mnie od środka - pomyślała ze zdumieniem. Czyżby to...? Jej serce przyspieszyło. Siedziała bez ruchu mniej więcej minutę i wtedy odczucie powtórzyło się. Jak gdyby dotykały ją w dole brzucha miękkie łapki zaspanego kotka. Po chwili Nicole poczuła to samo po raz trzeci.

Wiedziała już, co to jest. To poruszało się jej dziecko Maleństwo, którego jeszcze do końca nie zaakceptowała. Nie cieszyła się dotąd specjalnie z powodu pojawienia się go. Ale kiedy poczuła, że ono naprawdę jest, porusza się i kształtuje, ogarnęła ją niezmierzona radość. Pan Bóg tworzy we mnie nowe życie! - pomyślała. Dlaczegoż czuję się uszczęśliwiona dopiero teraz?!

Przycisnęła ręce do piersi i zaczęła zastanawiać się, jak będzie wyglądać jej dziecko. Czy będzie dziewczynką, czy chłopcem? Czy w przyszłości będzie wysokie jak Kade, czy może krępe, jak Matt? Uczuciowe jak mama czy wytrwałe jak tata? Nicole poczuła w oczach łzy, lecz nie były to łzy smutku. Niezależnie od wszelkich problemów, poczuła się nagle gotowa urodzić rozwijające się w niej maleństwo. Pokochała je.

Być może pewnego dnia znów nauczę się rozmawiać z Panem Bogiem? - zastanawiała się.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadł Matt.

- Nic, minęło całe pięć minut. Co robisz? Nicole roześmiała się w odpowiedzi.

- Dziecko...

- Co z dzieckiem? - spytał Matt, zbliżywszy się.

- Nasze dziecko się porusza, Matt. Czuję to! - Nicole zaśmiała się znowu. - Poczułam to leciutko i tylko kilka razy, ale z całą pewnością to było nasze dziecko!

- Naprawdę? - Napięcie na twarzy Matta znikło. Podeszedł do żony i położył dłoń na jej brzuchu.

- Nie poczujesz - oceniła, kładąc dłoń na jego dłoni. - Sama czułam to bardzo delikatnie. Gdybym akurat nie usiadła, nawet bym nie zauważyła.

- Wydajesz się szczęśliwa... - stwierdził Matt, patrząc żonie w oczy.

Czy wcześniej sprawiałam wrażenie aż tak rozczarowanej? - zmartwiła się Nicole.

- Oczywiście, że jestem tym uszczęśliwiona! - zapewniła, po czym wychyliła się naprzód i pocałowała męża.

Matt przez chwilę patrzył na nią, zakłopotany. Widać było, że w jego głowie kłębią się ważne pytania. Nicole myślała, że mąż poprosi ją o modlitwę albo spyta o jej odczucia na temat Boga.

- Jedźmy do twoich rodziców i podzielmy się nowiną! - odpowiedział jednak z uśmiechem.

Nicole poczuła, że ogromnie kocha męża. Od paru miesięcy nie doznawała tego tak intensywnie. Matt bardzo pragnął ją naprawić - spowodować, żeby czuła, myślała i postępowała tak samo jak dawniej. Lecz w tej chwili nie próbował przekonywać jej, że Bóg dokonuje w niej prawdziwych cudów. Mąż Nicole doszedł do wniosku, że może z tym poczekać.

- Dziękuję ci - odezwała się. - Za to, że nie drażysz tematu.

- Kocham cię, Nic. Bez względu na to, co w tej chwili czujesz i w co wierzysz. - Matt podał żonie dłoń. - Porozmawiamy, kiedy sama będziesz chciała.

Abby zmagala się z emocjami.

Była Wigilia. Za pięć minut w salonie miała zebrać się cała jej najbliższa rodzina - a jednak Abby czuła, że nie jest tak, jak powinno być. Spojrzała ostatni raz w lustro i westchnęła, żeby się uspokoić. W minionym tygodniu John częściej bywał w dobrym nastroju niż w złym. Wiedziała, dlaczego - to z powodu spotkania z Jakiem Danielsem w sądzie. John miał okazję porozmawiać z Jakiem, pośmiać się razem z nim, dodać mu otuchy, i to wszystko podziało na męża Abby lepiej niż jakakolwiek terapia.

Sama nie czuła się jednak spokojna. Nie mogła pozbyć się gniewu, wyrzucić go z siebie. Dręczył ją więc, jak gdyby drażniąc od środka jej żołądek.

Telefonowały do niej przyjaciółki z parafii, ale Abby odpowiadała wszystkim: - Trzymamy się świetnie, dzięki za modlitwę, John czuje się coraz lepiej, przyzwyczał się do życia na wózku - i tak dalej.

Nie miała niestety odwagi opowiadać prawdy: - Wściekam się, jestem rozżalona, załamana. Nie za bardzo uśmiecha mi się perspektywa patrzenia przez resztę życia, jak mój mąż marnieje na wózku inwalidzkim.

Miała przecież być silna, wytrwała, dostrzegać we wszystkim dobre strony. Taka zawsze była jej rola, nawet kiedy zamierzali z Johnem rozwieść się. Od czasu wypadku Abby miała wrażenie, że wszyscy, którzy do nich dzwonią, oczekują od niej swoistego pocieszenia.

Dlaczego to ode mnie zależy, czy wszyscy wokół będą dobrze znosić fakt, że John stał się nagle człowiekiem niepełnosprawnym? - denerwowała się.

Sam John, nasze dzieci, ich bliscy, przyjaciele, znajomi. Zupełnie jakby wszyscy zrobili zebranie i ustalili: - Och, skoro Abby dobrze się trzyma, to znaczy, że wszystko w porządku. Możemy odetchnąć z ulgą i zająć się swoimi sprawami.

Optymizm, wewnętrzny spokój - to była postawa właściwa. Oczekiwana przez otoczenie. Gdyby Abby płakała za każdym razem, kiedy ktoś pytał ją o Johna, nikt nie wiedziałby, jak zareagować. Albo gdyby, rozpaczliwie gestykulując, wołała, że z trudem to wszystko znosi...

Popatrzyła w lustro jeszcze raz.

Muszę jeszcze przynajmniej przez krótki czas skrywać, co czuję - zawyrokowała. Przecież jest Boże Narodzenie.

Cała rodzina spodziewa się, że będę z wesołą miną prowadziła miłe rozmowy. Chociaż w minionym roku też chowałam swoje prawdziwe uczucia - wówczas związane z naszymi kłopotami małżeńskimi - i pogorszyło to jedynie całą sytuację... - zauważyła.

Ale wtedy chodziło o co innego. Muszę teraz zachowywać na zewnątrz spokój, bo inaczej nie damy sobie wszyscy rady.

Wyszła z sypialni, wstrzymując oddech - tylko w ten sposób umiała pohamować płacz. Przestań - mówiła sobie samej - nie myśl o tym, co czujesz. Pomyśl o czym innym! Zamrugła powiekami. Na przykład o tym: z Kade'em jest coraz lepiej. Odkąd przyjechał do domu na ferie, spotyka się regularnie z kościelnym psychologiem. Niedawno powiedział, że od czasu rozmowy z Johnem na jeziorze ani razu nie oglądał pornografii - ani w Internecie, ani na papierze. Psycholog poradził Kade'owi przeanalizować przykład jakiegoś znanego mu małżeństwa, które naprawdę jest sobie bliskie, także w aspekcie miłości fizycznej.

I Kade wybrał jako przykład małżeństwo własnych rodziców.

Abby zeszła na parter i usłyszała ożywione głosy. Weszła do salonu. Natychmiast powitali ją Jo i Denny.

- Dobry wieczór, Abby. Naprawdę, wyglądasz jak bożonarodzeniowy anioł! - odezwała się Jo, podchodząc energicznie do Abby. Uścisnęła ją i trajkotała dalej: - Zawsze powtarzam Denny'emu, że wyglądasz jak anioł. Masz jasne włosy jak aureolę, i w ogóle. Ale dzisiaj naprawdę wyglądasz absolutnie anielsko! - Jo szturchnęła łokciem męża. - Prawda, Denny?

Denny skinął nieśmiało dłonią, nie wyjmując rąk z kieszeni.

- Piękna dziewczyna, nie ma dwóch zdań - zgodził się.

- Dziękuję, kochani. Wy także wyglądacie przepięknie.

- Abby uśmiechnęła się. Komplementy były naprawdę bardzo miłe, jednak i tak nie poczuła się od nich lepiej.

- Kolacja gotowa. Zapraszam wszystkich do stołu.

Podczas posiłku panował pogodny nastrój. Abby upiekła indyka. Na krańcach stołu płonęły świece, rozsiewając cynamonowy aromat. John siedział na szczycie, nie dlatego, że było to jego zwyczajowe miejsce, tylko z tej przyczyny, że gdzie indziej nie zmieściłby się z wózkiem inwalidzkim. Abby starała się o tym nie myśleć.

- Wiesz, tato - odezwał się znad talerza tłuczonych ziemniaków Kade - kolega ze studiów powiedział mi, że jego trener futbolu ze szkoły przez ostatnie pięć lat kariery pracował, siedząc na wózku. Cierpi chyba na niedowład mięśni, czy coś.

Abby zerknęła z niepokojem na Johna, ale ten słuchał z zainteresowaniem, kiwając głową.

- Wiem, że to możliwe - odpowiedział.

- Powinieneś pójść w jego ślady - kontynuował Kade, odkładając widelec.

- Pozostałbym w pracy, gdyby nie inne problemy.

- Masz na myśli kłopoty z uczniami? - upewniła się Nicole, ocierając usta.

- Z uczniami, i z rodzicami. - John pokręcił głową.

- Mój wypadek niczego nie zmienił. Ostatnio rodzice domagali się mojej dymisji. Nie zapomnieliście chyba? Kiedy zdarzył się mój wypadek, właśnie miałem zostać zwolniony z pracy.

- Och tato, nigdy by cię nie zwolnili - zaproponował Kade, kręcąc głową. - Jesteś na to za dobry.

- To nie ma znaczenia. - John wypił długi łyk wody.

- Jeśli nie masz poparcia dyrekcji, nie warto się starać.

- Czy to znaczy, że rezygnujesz? - spytał ze smutkiem Kade.

John uśmiechnął się ponuro.

- W przyszłym miesiącu złożę pisemną rezygnację.

- Ta dyrekcja powinna puknąć się w głowę, a najlepiej iść do psychiatry - skomentowała Jo, wyczyściwszy talerz z jedzenia. Mówiąc, nakładała sobie po trochu wszystkiego na nowo. - Pozwolić, żebyś odszedł, to jak złowić największego łososa po tej stronie Mississipi, po czym wypuścić go przed zrobieniem chociaż jednego zdjęcia! - Jo rozejrzała się po twarzach zebranych. - Wiecie, co mam na myśli.

- Łososa? - zdumiał się Sean.

Nawet Abby się roześmiała, mimo że Jo natychmiast zaczęła tłumaczyć, w jakich wodach można złowić łososia i jaka przynęta najlepiej się do tego nadaje.

Po kolacji wszyscy zebrali się wokół choinki i obdarowali się nawzajem prezentami. Zgodnie ze zwyczajem, każdy otrzymywał jeden podarunek od kogoś innego.

John otworzył prezent jako ostatni, dostał go od Jo i Denny'ego. Pakunek nie był duży. John ściągnął ozdobny papier - z początku Abby nie mogła rozpoznać prezentu. Po chwili okazało się, że to sportowe rękawiczki bez palców. Takie, jakich używają na przykład kolarze.

Albo niepełnosprawni na wózkach inwalidzkich.

John włożył rękawiczki, zapiął rzepy...

- Są świetne, dziękuję - skomentował.

Nicole miała łzy w oczach. Jo spostrzegła, że jej prezent wywołał smutek zebranych.

- Wiecie - odezwała się, żywo gestykulując - uważamy z Dennyem, że John jest przede wszystkim człowiekiem aktywnym. Wszędzie cię pełno, John. Przy tobie wszyscy wychodzimy na leniwych. Rozumiecie, o co mi chodzi. - Jo zachichotała, ale umilkła, bo jakoś nikt jej nie zawtórował.

- Jo chce powiedzieć - Denny spróbował wytłumaczyć myśl żony - że John na pewno będzie w najbliższym czasie coraz aktywniejszy, może na przykład będzie jeździł na wózku po bieżni wokół szkolnego boiska, no i...

- Właśnie - dodała Jo - a te rękawice... wiadomo, do czego służą. Inaczej John miałby kompletnie pokiereszowane dłonie. Przecież nie możemy na to pozwolić - spojrzała na Abby - bo John jest wyjątkowo przystojnym mężczyzną. Prawda?

Znowu wszyscy się spodziewają, że rozładuję sytuację! - pomyślała Abby. Ze wypowiem jakąś optymistyczną myśl, po której każdy będzie już mógł okazywać wesołość. Nie wiedziała jednak, co powiedzieć. Nie gniewała się na Jo i Denny'ego. Chcieli jak najlepiej, a rękawiczki najpewniej wkrótce okażą się bardzo przydatne.

Tylko że Abby nie chciała, żeby w Wigilię coś przypominało dodatkowo o niepełnosprawności jej męża. Wolałaby prezent w postaci swetra, szalika, perfum, książki, płyty, słodyczy - a nie czegoś, dzięki czemu łatwiej będzie Johnowi korzystać z wózka inwalidzkiego.

Nicole odezwała się w końcu pierwsza:

- Doskonały prezent, Jo. - Pociągnęła nosem. - Widać, że smutno nam wszystkim, że są naszemu tacie potrzebne, ale to bardzo dobrze dobrany prezent.

- Oczywiście - potwierdził John, unosząc dłonie w sportowych rękawiczkach i przyglądając się im.

- Nie chcieliśmy, żeby komukolwiek było smutno... - Jo spuściła nieco głowę. - Tylko, żeby John nie niszczył sobie dłoni.

- Fajne, tato - odezwał się Sean, wstając. - Czy będę mógł je pożyczać, wychodząc na rower?

Zebrani roześmieli się i napięcie opadło. Abby westchnęła, wdzięczna dzieciom za ich reakcje. Kończyły jej się już pomysły na to, jak mówić pozytywnie o wszystkim, co wiąże się z paraliżem Johna.

Wiosną powinien zacząć ćwiczyć biegi razem ze swoimi zawodnikami... - myślała Abby. Chyba nie będę już wtedy w stanie mówić nic, co dodawałoby komukolwiek energii, choć wszyscy na mnie w tej sprawie liczą.

John patrzył w ciemność za oknem, przypominając sobie, jak jego rodzina przeżywała Boże Narodzenie w różnych minionych latach. Sądził, że wszyscy śpią, ale ktoś nadszedł cicho.

- Tato? - To był Sean.

- Myślałem, że jesteś w łóżku. - John odwrócił głowę i w półmroku spojrzął młodszemu synowi w oczy. Wyciągnął rękę i Sean podszedł do niego.

- Nie mogę spać - wyznał, przytulając się. John zobaczył, że jego jedenastoletni syn płacze.

- Hej, co się stało? Nie powinno ci być tak smutno w Wigilię.

- Wszystko się wali...

Zaskakująca wypowiedź chłopca sprawiła, że Johnowi ścisnęło się serce. Tak mało widzieliśmy się od czasu wypadku - pomyślał. Na pewno cała sytuacja odbija się i na psychice Seana. Mocniej niż mi się zdawało.

- Czy masz na myśli to, że zostałem sparaliżowany i wszystko, co z tego wynika? - upewnił się.

Sean zwiesił głowę, wydał usta.

- To niesprawiedliwe, tato! - zawołał ze złością.

John czekał. Sean zawsze dłużej milczał, zanim podzielił się z kimś uczuciami. John cieszył się, że chłopiec zdecydował się to zrobić przynajmniej teraz.

- Powiedz, co ci leży na sercu - zachęcił John.
- Wiem, że jestem samolubem, bo przecież to ty nie możesz chodzić. Ale...
- Sean wzruszył ramionami i otarł łzy.
- Co takiego?
- Moje marzenia się nie spełnią. - Chłopiec popatrzył Johnowi w oczy. - Rozumiesz, tato?
- Jakie marzenia?
- Byłeś trenerem Kade'a od początku, aż do czasu kiedy poszedł na studia.
- Sean założył ręce, wyraźnie poruszony. - A ja? Za dwa lata pójdę do gimnazjum... Nie chcę mieć innego trenera niż ty!

Nie pomyślałem o tym - zdał sobie sprawę John. Jasne, że Sean jest nieszczęśliwy z powodu mojego stanu zdrowia. Przecież zawsze rozmawialiśmy o tym, że będę trenował go tak samo jak Kade'a. Nie wiedziałem, że Sean uważa to za coś w rodzaju umowy... Jest dopiero w szóstej klasie. Zawsze zdawało mi się, że to odległa przyszłość, kiedy trafi do gimnazjalnej drużyny. Ale przecież nastąpi to już za dwa lata...

- Okropnie mi przykro, Sean - odezwał się John, przytulając chłopca mocniej.

Sean rozplakał się jak małe dziecko. John pojmował jego uczucia. Smutek, frustrację i poczucie winy, bo przecież Sean mówił o swojej karierze, nie o sparaliżowanym ojcu.

Chłopiec podniósł wzrok, popatrzył błagalnie i przypomniał:

- Słyszałeś, co mówił Kade? Można być trenerem futbolu i siedzieć na wózku inwalidzkim. Przepisy tego nie zabraniają, ani nic...

John uśmiechnął się smutno. Sytuacja była nader skomplikowana, ale nie zamierzał referować synkowi szczegółowo swoich zawodowych problemów. Sean potrzebował utwierdzenia w przekonaniu, że wszystko będzie dobrze. Ze wbrew temu, co się stało, wciąż będzie szczęśliwy, nawet jeżeli John nigdy nie będzie jego trenerem.

Boże, odpowiedz mi coś mądrego - pomodlił się. - Coś, co uspokoi i umocni Seana.

I nagle przyszła mu do głowy odpowiedź.

- Zawsze będę twoim trenerem, Sean - oznajmił. - Bez względu na to, czy będę pracował na boisku, czy nie.

Wyraz twarzy chłopca zmienił się. Smutek i gniew nie minęły całkiem, jednak dołączyła do nich nadzieja.

- Ale naprawdę?

- Oczywiście. Będziemy razem pracować, uczyć się zagrywek. - John czuł, że jego entuzjazm rośnie. Przecież nawet jeżeli złożę dymisję, mogę zawsze trenować swoich synów - myślał. A szczególnie jego - będzie przecież grał jeszcze wiele lat. - Nauczę cię wszystkiego, czego nauczyłem Kade'a - zapewnił.

Sean wyprostował się odrobinę i nie marszczył już tak mocno czoła.

- Nawet jeżeli będziesz siedział na wózku? - upewnił się. - Tak.

Milczeli chwilę, a potem Sean oparł dłoń na ramieniu Johna, westchnął i spytał:

- Tato, mogę ci coś powiedzieć?

- Co tylko chcesz. - John zmierzwił jasne włosy chłopca.

- Bardzo się cieszę, że nie umarłeś.

Do oczu Johna napłynęły łzy. Dopiero teraz miał okazję mi to powiedzieć! - uświadomił sobie. Naprawdę musimy teraz spędzać ze sobą więcej czasu, rozmawiać. To ważne.

- Ja też - odparł, uśmiechając się.

Sean nachylił się i przytulił go. Tulili się długo, aż w końcu chłopiec cofnął się i ziewnął.

- Chyba już pójdę z powrotem do łóżka.

- Idź, bo chyba nie chcesz zderzyć się po ciemku z wychodzącym Świętym Mikołajem.

Sean roześmiał się. O to chodziło! - ucieszył się John. Dziękuję Ci, Boże. Dziękuję Ci za tę rozmowę z Seanem.

- Dobranoc, tatusiu. Kocham cię.

- Ja też cię kocham, synku. Do zobaczenia rano.

Sean poszedł, a John jeszcze przez długą chwilę rozmyślał nad ich rozmową. Fajnie będzie go trenować - wyobrażał sobie - jest zdolny tak samo jak Kade. I na pewno będę z nim pracował, kiedy tylko będzie okazja.

Nie chodziło mu tylko o to, żeby dotrzymać obietnicy składanej od lat marzącemu o karierze futbolowej synowi. John zrozumiał właśnie ważną rzecz - i tak pozostanie trenerem, nawet jeśli zrezygnuje z prowadzenia drużyny Orłów.

Świadomość ta była największym prezentem, jaki mógł w te święta dostać.

ROZDZIAŁ 22

Przez całą zimę John bał się tego momentu.

Nadszedł pierwszy tydzień marca. Przez resztki śniegu przebijała się trawa. John wiedział, że już czas. Dyrekcja szkoły nie odzywała się, ale nie było na co czekać. Wkrótce będzie ustalany skład grona pedagogicznego, więc powinienem dać im znać - myślał. Podobno Lutz nie zamierzał go jednak zwalniać, przynajmniej nie w tym roku. Tak wynikało z informacji przekazywanych przez innych nauczycieli.

- Boją się, jak by to wyglądało - powiedział Johnowi jeden z matematyków. Słyszał rozmowę Lutza z naczelnym dyrektorem, w styczniu. - Mówili, że zwolnienie cię po paru miesiącach od wypadku zostałyby bardzo źle przyjęte.

Czyli chcą mnie zwolnić, tylko pewnie poczekają rok

- wnioskował John. Nie znają mnie. wydaje im się możliwe, że pozwalałem zawodnikom na picie alkoholu albo nielegalne wyścigi samochodowe... A poza tym skłaniają się do żądań kilkorga niezadowolonych rodziców, zamiast udzielać mi wsparcia, choćby ze względu na pracę, jaką wykonałem dla szkoły i na moje osiągnięcia.

Czas złożyć rezygnację...

John poprosił Abby, żeby pomogła mu ciepło się ubrać - w dwa dresy i jeszcze trzecią bluzę; na to wszystko włożył najcieplejszą kurtkę. Sięgnął po laptopa.

- Muszę napisać list - wyjaśnił, mrugając jednym okiem do Abby.

- Dobrze... - odparła po chwili milczenia. - Gdybyś mnie potrzebował, będę w pobliżu.

John uśmiechnął się, ale nie oszukał żony. Oboje mieli łzy w oczach. Wyjechał na tylną werandę, zjechał na trawnik i popatrzył przed siebie. Na molo wiodła teraz betonowa dróżka. Po jej bokach widoczne były resztki lodu, ale dróżka była od niego wolna, dzięki odmiataniu i rozsypanej soli. Zlecili zbudowanie dróżki odpowiedniej firmie jeszcze zanim spadł pierwszy śnieg.

John wciągnął w płuca rześkie powietrze, którego przyjemny zapach potwierdzał, że nadeszło przedwiośnie. Wciąż nie miał czucia w nogach, mimo że modlił się o nie i ćwiczył w ramach fizjoterapii. Nauczył się jednak przynajmniej większej niezależności. Był w stanie samodzielnie dotrzeć na molo. Lekarz przepisał mu inny model wózka - taki, który miał łatwo

dostępny dla Johna hamulec. John nabrał również mięśni rąk i górnej części tułowia. Miał teraz dość sił, żeby wjeżdżać na wózku pod górę.

Z laptopem na kolanach podjechał prawie na sam koniec moło. Zaciągnął mocno hamulec, pochylił się, żeby rozłożyć komputer i odruchowo popatrzył na swoje nogi. Następowwała atrofia mięśni, przed którą ostrzegał go terapeuta. Dawniej były chyba ze dwa razy większe niż mięśnie nóg Kade'a. A w tej chwili nogi Johna były smuklejsze niż nogi jego starszego syna. Wkrótce zostanie z nich tylko skóra i kości... - myślał John.

Uruchomił komputer, a potem edytor tekstu. I co ja mam napisać? - zastanowił się, zawieszając palce nad klawiaturą. Jak ująć w słowa to, że jestem gotów zrezygnować ze swojej życiowej pasji?

Zaczął pisać:

Do wszystkich zainteresowanych,

Chciałbym powiadomić, że niniejszym składam rezygnację z prowadzenia drużyny futbolowej liceum w Marion. Jak wiadomo, byłem trenerem Orłów od czasu otwarcia szkoły, tj. od 1985 roku. W ciągu tego czasu...

Przerwał. W ciągu tego czasu... Ależ mnóstwo rzeczy wydarzyło się od tego czasu! A wszystko zaczęło się jeszcze wcześniej. Kiedy właściwie zakochałem się w futbolu? John popatrzył ponad wodami jeziora. Czy jeszcze jako niemowlę? John miał zdjęcia przedstawiające go z piłką w rączkach - tak malutkiego, że nie chodził jeszcze nawet na czworakach.

Przypomniały mu się sceny z dzieciństwa i wczesnej młodości. Od ponad dziesięciu lat nie zagłębiał się we wspomnieniach z tego okresu.

Zycie jego ojca kręciło się wokół futbolu, tak samo było z ojcem Abby. Obaj grali w drużynie Uniwersytetu stanu Michigan i zostali najlepszymi przyjaciółmi.

Po ukończeniu studiów ojciec Johna został bankierem, a ojciec Abby - trenerem futbolu.

- Mam futbol we krwi - powtarzał zawsze z uśmiechem. - Nie umiałbym żyć bez tej gry.

Tak samo było z Johnem. Jego ojciec rzadko opowiadał o swoich osiągnięciach na boisku, ale mimo to kiedy tylko John urósł na tyle, że mógł włożyć na siebie ochronny strój zawodnika, zaczął błagać rodziców, żeby zapisali go do drużyny. Zrobili to, a gdy zdobył pierwsze w życiu przyłożenie, wiedział, że nigdy nie przestanie grać w futbol.

Przypomniało mu się, jak odwiedził z rodzicami rodzinę Abby. Mieszkała w Lake Geneva, w stanie Wisconsin, w domu nad brzegiem jeziora. Poznał

już Abby wcześniej, ale teraz miał ukończone siedemnaście lat i chodził do maturalnej klasy; zaś Abby była czternastolatką, rozpoczynała średnią szkołę.

Na każdym kroku było widać, że Abby jest córką trenera futbolu. Umiała rzucać i łapać piłkę lepiej niż większość chłopców w jej wieku. Tamtego lata spędzili we dwoje długie godziny na plaży, bosy, rzucając do siebie piłką.

- Nie jesteś taka zła, jak na dziewczynę - drażnił ją John.

Zadarła wówczas tylko wyżej głowę. Starsi chłopcy nie onieśmielali jej; w końcu jej tata co roku trenował ich sześćdziesięciu. Często odwiedzali jej rodzinę i jedli kurczaka z ich grilla albo spędzali z nimi czas nad jeziorem.

John zapamiętał na zawsze odpowiedź Abby. Spojrzała na niego z ukosa i odparła:

- A ty nie jesteś taki zły, jak na chłopaka.

Roześmiał się wtedy donośnie, aż w końcu zaczął gonić Abby i łaskotać ją, udając przy tym, że Abby jest w stanie mu uciec. W rzeczywistości był już wtedy szybki jak wiatr. Poszedł w ślady ojca - stał się wspaniałym rozgrywającym. Chciały go pozyskać drużyny chyba z dziesięciu dużych uniwersytetów - w tym Rosomaki z Uniwersytetu stanu Michigan, gdzie grali ojcowie ich obojga.

Pewnego wieczoru Reynoldsowie i Chapmanowie poszli z kocami nad jezioro, na piaszczystą plażę; ojciec Abby rozpalił ognisko. Wszyscy razem zaczęli śpiewać pieśni o Bogu. Nie jakieś głupie ogniskowe piosenki, ale pogodne pieśni o pokoju, radości, miłości i Panu Bogu, który opiekuje się wszystkimi ludźmi. Kiedy dorośli skończyli śpiewać i pograżyli się w rozmowie, John przysunął się do Abby, trącił ją łokciem i spytał:

- Czy masz chłopaka, mała Abby? - powiedział to z uśmiechem. Zaczął wyobrażać sobie, jak będzie wyglądała kilka lat później.

Nie była onieśmielona.

- Niepotrzebny mi chłopak - odparła natychmiast, po czym musnęła bosą stopę Johna własną.

- A więc to tak? - upewnił się John, oddając jej. Uśmiechnął się szeroko; Abby nie była pewna, jak to zinterpretować.

- Tak. - Znowu zadarła nos, a następnie powiedziała Johnowi prosto w oczy: - Chłopcy bywają bardzo niedojrzali. - Przyjrzała mu się uważnie. - Niech zgadnę - co tydzień masz inną dziewczynę. Prawda? Tak zachowują się rozgrywający z drużyny taty.

John roześmiał się, odrzucając głowę, a potem znów spojrzał na Abby i odparł:

- Ja widocznie jestem jakiś inny.

- Jak to?! - Abby była szczerze zdumiona. - John Reynolds nie ma dziewczyny?.

Wtedy John sięgnął po piłkę - nigdy nie zostawiał jej dalej niż metr od siebie - i podrzucając ją kilkakrotnie, oświadczył:

- To jest moja dziewczyna.

Abby pokiwała głową, udając poważną minę.

- Rozumiem. Będzie świetnie tańczyła z tobą na balu maturalnym.

John znowu trącił stopą jej stopę i szepnął:

- Cśś! Robisz jej przykrość.

Zamrugnął oczami i wspomnienie rozwiało się.

Po owych wakacjach był już pewien, że pewnego dnia ożeni się z Abby Chapman. Nie podjął w tej sprawie chłodnej decyzji, jak w sprawie wyboru uczelni czy kierunku studiów. Po prostu tak mu mówiło serce, wiedział, że tak się stanie.

Ślub był jednak wówczas jeszcze czymś bardzo odległym. W międzyczasie John poświęcił się całkowicie swojej pierwszej miłości - futbolowi. Szczególnie na pierwszym roku studiów, kiedy został stypendystą Uniwersytetu stanu Michigan.

Popatrzył na korony drzew i zastanowił się, jak daleko potrafił w tamtych czasach rzucić piłką. Mniej więcej na sześćdziesiąt metrów - myślał. Zamknął oczy i zaczął przypominać sobie dotyk murawy pod stopami, energię, jaką w sobie wyzwał, żeby przyspieszyć, kiedy ruszał do biegu i zaczynał rozglądać się za skrzydłowym.

Jego rodzice przyjeżdżali na każdy mecz jego drużyny; najlepiej zapamiętał jednak ten, kiedy pod koniec pierwszego roku jego studiów grali przeciw drużynie Uniwersytetu stanu Ohio - najgroźniejszemu rywalowi. Drużyna Johna zwyciężyła wówczas przewagą trzech przyłożeń. Po meczu John poszedł na spacer z ojcem do parku Allmendigera. Usiedli na ławce.

- To wspaniałe uczucie, patrzeć na ciebie na boisku - odezwał się ojciec Johna. - Śmigasz i kierujesz drużyną, tak samo jak ja przed laty.

Ojciec rzadko pograżał się w rozmyślaniach, więc tamtego popołudnia John słuchał go z uwagą, przeważnie milcząc.

- Kiedy patrzę, jak biegasz i rzucasz, czasem wydaje mi się, jakbym obserwował siebie samego - kontynuował ojciec. - Zupełnie jakbym znowu był zawodnikiem, przeżywał to wszystko jeszcze raz.

- Nie ma nic wspanialszego niż futbol - odpowiedział wówczas John.

- Nie ma. - Ojciec miał łzy w oczach. John widział to tylko parę razy w życiu. - To coś wyjątkowego. Jesteś na boisku, tylko ty i piłka, i twoja drużyna; i przeżywacie razem spektakl, bitwę. To tak cudowne i złożone uczucie, że tylko zawodnik może zrozumieć, o czym mówimy.

- Właśnie!.

- Czas jest nieubłagany, synku. Zdobędziesz tylko określoną liczbę przyłożeń, rozegrasz skończoną liczbę meczów. Zanim się obejrzysz, będziesz już dużo starszy, i będziesz patrzył na własnego syna, jak biega po boisku i gra. I wtedy zrozumiesz, jak ja czuję się teraz.

Ojciec miał rację. Lata studiów i gry w uniwersyteckiej drużynie z Michigan przeminęły szybko. A podczas ostatniego meczu, pod sam koniec studiów, John zerwał sobie wiązadła w kolanie. Dzwonili do niego w tamtym okresie przedstawiciele drużyn zawodowej ligi, ale po owym wypadku było już po wszystkim. John szybko zrozumiał smutną prawdę - jego kariera zawodnicza dobiegła końca.

Doskonale pamiętał ten ostatni mecz. Przypominał sobie, jak zwyczajowo wymieniał w szatni z kolegami pół-żartem kąśliwe uwagi, jak wybiegł na boisko.

I jak tuż przed końcowym gwizdkiem zwił się z bólu na ławce, a jego kolano owinięte było trzema rolkami bandaża. Do tej pory pamiętał, jak dziwne było to uczucie. Zanim skończył się mecz, John, podobnie jak jego koledzy, myślał tylko o jednym - o pokonaniu drużyny z Illinois.

Zwycięstwo było potrzebne, żeby jego drużyna miała szansę na puchar. Ale po wypadku Johna zawodnicy z Illinois zdobyli przyłożenie i jego koledzy nie odzyskali już przewagi. A później, kiedy zapadła cisza po ostatnim gwizdku, John myślał o kilku rzeczach.

Wszystko się skończyło - mecz, sezon rozgrywek... a także jego kariera.

Patrzył na wychodzących z trybun ludzi i zastanawiał się, co myślą. Może, że w przyszłym roku Rosomaki będą miały więcej szczęścia? Albo że dzieje się z nimi coś dziwnego? Tylko jeden człowiek wiedział wówczas, co czuje John, który grał w futbol od szesnastu lat i nagle po gwizdku sędziego na zawsze przestał być zawodnikiem. Tylko ten jeden człowiek rozumiał, jak wielki psychiczny ból odczuwał wtedy John. I przytulił go. To było godzinę

po meczu; John zdążył już oddać ochronny strój futbolisty, wziąć prysznic, przebrać się. Po czym usiadł i milczał ze smutkiem, przeżywając nagłe zakończenie swojej kariery.

A ojciec, który go przytulił, siedział i milczał razem z nim.

John przełknął i przypomniał sobie, jak dumny z niego był ojciec w 1985 roku, kiedy John powiadomił go telefonicznie, że został trenerem w Marion.

- Tato, mam pracę! Zostałem głównym trenerem drużyny w liceum Marion - powiedział.

- W Marion? - upewnił się ojciec.

- Tak. To świeżo otwarta szkoła. Mam głowę pełną pomysłów. Stworzę własny program treningowy, całkowicie nowy, inny i lepszy niż te, które mają pozostałe szkoły w naszym stanie.

- Trudno jest stworzyć dobry, nowy program treningowy - zauważył wówczas jego ojciec. - Czy rozmawiałeś o tym z tatą Abby?.

- Jeszcze nie. Masz rację, że to nie takie proste. - John ledwie był w stanie się opanować, tak bardzo był podekscytowany. - Wiem, że będzie to ode mnie wymagało mnóstwo wysiłku, ale to mnie wcale nie zniechęca. W Marion jest porządna i zdolna młodzież, są dobrzy nauczyciele i odpowiednia dyrekcja. Zaczniemy od samego początku, lecz już za kilka lat będziemy liczącą się drużyną w lidze. Co będzie potem - któż to wie?.

- Czy Abby też się z tego cieszy?.

- Chyba jeszcze bardziej niż ja. Powiedziała, że będzie pisać artykuły o mojej drużynie do lokalnej gazety i że założy fundację do wspierania drużyny finansowo przez rodziców. Kiedy Kade podrośnie, będę zabierał go na treningi.

- On ma dopiero dwa lata, John - przypomniał mu ze śmiechem ojciec.

- Ale już chodzi. Nawet w tym roku będą mogli przyjeżdżać z Abby na treningi.

- Dobrze. Tylko nie zapominaj, co ci powiedziałem. - Na jaki temat?.

- Mówię o tym, jak czuje się człowiek, kiedy patrzy, jak jego syn rozgrywa mecze. Mam nadzieję, że Kade zostanie w przyszłości zawodnikiem. Nadchodzi twoja kolej - zakończył wesoło ojciec.

I nadeszła, jednak ojciec Johna nie widział nigdy meczu z udziałem swojego wnuka. Cztery lata po objęciu przez Johna funkcji trenera Orłów z Marion, jego ojciec zmarł na zawał serca. Tylko Abby zdawała sobie sprawę, jak ważną postacią w życiu Johna był jego ojciec. Był także jego mentorem, trenerem, i przede wszystkim przyjacielem.

Lekarstwem na żalobę Johna była praca z młodymi zawodnikami. Okazało się, że być trenerem, to coś niemal równie ekscytującego jak samemu biegać z piłką po boisku. I do tego, zawodnik ma przed sobą niewiele lat gry. Kilka lat w szkole średniej, a ci najzdolniejsi - następnych kilka w lidze uniwersyteckiej.

A trener może pracować długo.

Każdego roku po ostatnim meczu sezonu odchodziła z drużyny część zawodników - maturzyści. Nieodmiennie mieli łzy w oczach. Jesienią John i reszta zespołu trenerskiego powracali do pracy; przychodzili wtedy pierwszoklasiści. Robiło się plany na nadchodzący sezon. John zamierzał pracować jako trener aż do osiągnięcia wieku emerytalnego. Co najmniej.

Myślał tak nawet podczas pierwszych trudnych lat, kiedy rodzice gderali, że Orły zbyt rzadko wygrywają i że drużynę powinien prowadzić ktoś inny. Ale już w 1989 Orły zdobyły mistrzostwo stanu.

Całe Marion pokochało Johna. Później, w 1997, do drużyny dołączył Kade. Dopiero wówczas John w pełni zrozumiał, o czym mówił mu przed laty ojciec w parku Allmendigera.

John podziwiał boiskowe wyczyny swojego syna, żałując tylko, że jego ojciec nie może patrzeć na nie razem z nim. Kade wrodził się w nich obu. Był jeszcze lepszym zawodnikiem. Przerósł ich, biegał jeszcze szybciej i rzucał z potężną siłą. John niezliczone razy nieruchomiał z podziwu, patrząc jak jego syn ustawia się, rzuca komendę, a potem rusza do biegu, od razu przygotowując się do podania piłki skrzydłowemu.

Ojciec Johna miał rację. Patrząc na Kade'a, John niemalże czuł dotyk osłaniających go ochraniaczy i woń murawy. Było to niezwykle doświadczenie. Cudowniej było tylko grać samemu.

Dopiero ostatniego lata John znowu zaczął mieć poważne kłopoty zawodowe. Było to kilka miesięcy po odejściu ze szkoły Kade'a - maturzysty.

Co myślałby o tym wszystkim mój ojciec? - zastanawiał się John, spoglądając na taflę jeziora. - O postawie zawodników i rodziców. Czy stałby się zgorzkniały? Czy przestałby uwielbiać futbol? A poza tym - o tym John myślał z największą niechęcią...

Jak ojciec zniósłby jego rezygnację z pracy?

Na pewno byłby przybity, patrząc na sparaliżowanego Johna, siedzącego na wózku inwalidzkim. Myśl o tym, że jego syn nie będzie już nigdy chodził ani biegał, byłaby dla ojca nieznośna. Byłby też niewątpliwie smutny, gdyby

wiedział o kampanii niezadowolonych rodziców, zmierzającej do usunięcia Johna. A co by czuł, wiedząc, że syn sam zamierza złożyć dymisję? Odejść, nie odwracając głowy?

John westchnął ciężko i popatrzył na klawiaturę. Ojciec zrozumiałby - pomyślał. On wiedziałby, że jeśli rezygnuję z pracy trenera, to tylko z jednego powodu.

Futbol zmienił się.

Tak, ojciec poparłby moją decyzję. Na pewno przygląda mi się z nieba, wiedząc, jak trudno napisać list rezygnacyjny. John dotknął znowu dłońmi klawiszy. Odnalazł w sobie siłę potrzebną do kontynuowania listu, którego napisania do niedawna nigdy nie planował.

John był przekonany, że jego ojciec wie o wszystkim, i nawet w tym najtrudniejszym momencie kariery zawodowej syna siedzi gdzieś na niebiańskim boisku i dodaje mu otuchy, tak samo jak zawsze, odkąd tylko John sięgał pamięcią.

RS

ROZDZIAŁ 23

Na molo weszła Abby. John kończył właśnie list.

Abby miała zaczerwienione oczy, chyba płakała. Zbliżyła się do Johna, przystawiła ławeczkę do wózka inwalidzkiego, usiadła.

- Skończyłeś? - zagadnęła.

- Tak. - John akurat się podpisywał. - Dokładnie w tym momencie.

Abby popatrzyła na jezioro.

- Kończy się pewien rozdział.

- Rzeczywiście. - John wyciągnął rękę i splótł dłoń z dłonią żony. - Dobrze się czujesz?

Zaciskała zęby. Westchnęła, spojrzała na niego, i wtedy John dostrzegł w jej oczach wielki gniew. Gniew, jakiego nie widział w nich od wielu miesięcy. Abby otworzyła usta; przez chwilę nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. W końcu zmrużyła oczy i wypaliła:

- Nie! Nie czuję się dobrze.

John od dawna podejrzewał, że Abby stara się udawać spokojniejszą i bardziej pogodną niż w rzeczywistości. Od czasu do czasu pytał ją o samopoczucie, ale zawsze odpowiadała to samo - że wszystko w porządku, że cieszy się, iż John żyje, że jest szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Właśnie z tego powodu, a także dlatego, że ich związek znów stał się tak udany jak na początku.

Były to pozytywne odpowiedzi, choć wydawały się Johnowi sztuczne. To znaczy, nie podejrzewał, że żona kłamie. Na pewno mówiła prawdę, bardzo chciała, żeby prawda wyglądała właśnie tak. Jednak Abby zawsze silnie przeżywała emocje i John dziwił się, że jego żona tak spokojnie przyjmuje największe fizyczne wyzwanie, jakie przydarzyło się im jako parze. Czekał więc, co Abby powie dalej.

- John, robię, co mogę, żeby tobie i dzieciom było łatwiej - zaczęła - żeby było łatwiej wszystkim. - Wzruszyła ramionami i oparła się na łokciach. - Ale już chyba nie daję rady.

John przeraził się ogromnie. Co ona ma na myśli, mówiąc, że nie daje rady?!

- Rozumiem. Czy mogłabyś powiedzieć o tym coś więcej?

- Jestem po prostu wściekła! - wybuchnęła Abby, zaciskając pięści. - Tak wściekła, że tracę panowanie nad sobą! To jak tornado, które tworzy się

gdzieś we mnie, w środku. - Zatoczyła obrazowo kółka palcami. - Codziennie czuję się coraz bardziej rozwścieczona.

- Na kogo jesteś tak wściekła? - spytał ostrożnie John.

- Nie wiem! - krzyknęła jego żona. - Na ciebie, za to, że pracowałeś tamtego dnia do tak późna, zamiast przyjechać do domu wcześniej. - Wstała i zaczęła chodzić na sam koniec moła i z powrotem. - Na Jake'a, za to, że uderzył samochodem w twoją półciężarówkę. Na lekarzy, bo nie zdołali uratować cię od paraliżu. I na to, że nikomu nie przychodzi do głowy, że ja mogę być wściekła z powodu tego wszystkiego! - Abby opuściła rękę. - Jestem też zła na Boga, za to, że pozwolił na coś takiego.

- Jesteś wściekła na mnie? - upewnił się John, zagryzając wargi.

Pytanie w jakiś sposób zbiło Abby z tropu, roześmiała się nerwowo, nie mogąc się opanować.

- Nie zaczynaj - mruknęła, uspokoiwszy się trochę.

- Czego?

- Spodziewam się, że zaczniesz drażnić to, że jestem wściekła na Boga.

- Nie wiem... - John wzruszył lekko ramionami i opadł na oparcie wózka. - Rozumiem, że możesz być wściekła na Boga. Sam też czasami czuję się na Niego wściekły.

- John spojrzał z ukosa. - Ale na mnie? Abby, naprawdę, co ja złego zrobiłem?

Abby westchnęła ze złością.

- Powinieneś był wtedy pojechać ze mną do domu.

- Pchnęła go lekko w ramię. - Wtedy nie doszłoby do wypadku.

- Och... Hm, chyba jestem w stanie to zrozumieć.

- Nieważne, ty wariacie. Teraz przyszła kolej na mnie, żebym się powściekała. - Abby wydała nieokreślony odgłos, coś pomiędzy płaczem a śmiechem. Było w nim więcej śmiechu. Szturchnęła Johna jeszcze raz. Wtedy złapał ją za rękę i pociągnął ją tak, że usiadła mu na kolanach.

Złapała laptopa i odstawiła go na moła. Tymczasem John zwolnił hamulec wózka.

- Co ty robisz?! - Abby krzyknęła ze strachu. - Wpadniemy oboje do wody!

Zanim to nastąpiło, John wyhamował ruch wózka i zakręcił nim.

- Cóż to? Moja śliczna panienska nie ufa mi? Abby złapała go za kurtkę, a on uśmiechnął się.

- Przestań, John! Naprawdę zwariowałeś.

John znowu obrócił wózek i podjechał z Abby na początek molo. Później puścił koła i wózek ruszył powoli tyłem w stronę wody. Abby krzyknęła jeszcze raz, próbując się uwolnić, ale John trzymał ją mocno, obejmując ją w pasie jedną ręką. Drugą hamował lekko wózek, trzymając za jedno koło.

- Odwołaj to - powiedział. Wózek przejechał już połowę długości molo, zbliżali się szybko ku wodzie.

- Co?! - krzyknęła z przerażeniem i podnieceniem Abby.

- Powiedz, że nie jesteś na mnie wściekła. - Dobrze! - zgodziła się Abby, widząc, że za chwilę wpadną do wody. - Nie jestem na ciebie wściekła.

John złapał za oba koła wózka, zwalniając jego ruch i jednocześnie obracając nim tak, że zatoczył mały krąg. Wszystko to zrobił jednym, płynnym ruchem, jakby była to jedna z jego akcji na futbolowym boisku. Następnie zaciągnął hamulec i objął mocno Abby. Oddychała ciężko, patrząc na męża szeroko otwartymi oczami.

- To była najbardziej szalona rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś! - skomentowała, następnie pchnęła ramię Johna po raz trzeci, mocniej niż poprzednio. - A gdybyś nie zdążył wyhamować wózka?

- Przez cały czas panowałem nad swoim pojazdem, Abby - zapewnił John. - Tak samo jak ty przez parę miesięcy panowałaś nad emocjami.

Abby znieruchomiała, w jej oczach błysnęły łzy.

- Czy bardzo było widać, jakie to dla mnie trudne? - upewniła się.

- Oczywiście, że było.

- Bałam się powiedzieć ci o wszystkim, co czuję - wytłumaczyła z westchnieniem.

- Dlaczego? Nigdy wcześniej nie obawiałaś się mówić, nawet kiedy źle się między nami układało.

- To dlatego - Abby spuściła wzrok - że bałam się, że nie dojdiesz do siebie, jeżeli będziesz wiedział, jak bardzo mi smutno.

- No coś ty. Wręcz przeciwnie. - John zastanawiał się nad doborem słów. - Nie dojdę do siebie, jeżeli będziesz udawała, kochanie. Nie możemy udawać, że nic się nie stało i już. To bez sensu. Będą takie dni, że nie będziesz mogła wytrzymać tego, że pomagasz mi się ubierać, kiedy będziesz miała ochotę krzyczeć z wściekłości. I dni, kiedy ja sam będę czuł podobnie. Niezależnie od tego, jak pogodne nastroje byśmy udawali. Jedynym sposobem na przetrwanie przez nas tego doświadczenia jest zachowywać się szczerze, prawdziwie. Rozumiesz?

- Och, John - jęknęła z płaczem Abby. - Jestem taka wściekła, że przydarzył ci się ten wypadek. To niesprawiedliwe, po prostu niesprawiedliwe.

- Wiem, kochanie. - John przytulił znowu żonę i zaczął gładzić ją po plecach. - Wiem.

Abby nachyliła się i przylgnęła twarzą do jego twarzy; poczuł na policzkach jej łzy.

- Chciałabym znowu z tobą zatańczyć - szepnęła. - Czy ty też o tym myślisz?

- Nieustannie. - John zwolnił hamulec wózka i znowu ruszył z Abby w stronę początku molo.

- Co ty wyprawiasz? - Abby zeszywniała. - Ja już nie chcę zjeżdżać do wody! Zaraz naprawdę wpadniemy.

- Nie, Abby. - Tym razem John ustawił wózek przodem do jeziora. - Oprzyj się o mnie wygodnie i zrelaksuj się.

Abby wahała się. Przez chwilę wydawało się, że zeskoczy z kolan Johna.

- Mówisz poważnie? - upewniła się.

- Tak. - John przycisnął dłoń do piersi. - No oprzyj się spokojnie.

- I co będziemy robić?

- To takie tango, specjalny krok. Ćwiczyłem go od jakiegoś czasu. - Puścił Abby tak, że usiadła tyłem do niego i popatrzyła na wodę. - Dobrze, a teraz wyzwól z siebie wszystko. Gniew, frustrację - wszystkie emocje. To konieczne, żeby taniec wyglądał autentycznie.

Abby zachichotała, ku wielkiej radości Johna.

- W porządku, jestem gotowa.

John puścił hamulec i wózek zaczął zjeżdżać ku wodzie. Abby roześmiała się głośniej, opierając się plecami o ciało męża.

- To świetna zabawa, kiedy tak się nie boję! - stwierdziła.

- Tango zawsze jest wspaniałe.

- Pewna siebie Paula byłaby z ciebie dumna! Wózek nabrał szybkości. Abby i John śmieli się coraz głośniej. Kiedy znajdowali się już blisko wody, John wyhamował wózek i zatoczył z Abby jeszcze jedno koło. A potem zaczął kołysać wózkiem naprzód i w tył.

- Słyszysz? - szepnął Abby do ucha.

- Uhm - zamruczała. - Chyba tak.

- Krok naszego tańca zmienił się, ale muzyka ciągle gra - powiedział John, całując żonę w ucho.

Siedzieli tak i kołysali się, pośród delikatnego szmeru wiatru, który poruszał nagimi jeszcze gałązkami. W końcu Abby obróciła się, siadając na kolanie Johna, i zaczęła całować męża, powoli, z rozkoszą.

- Wiesz co? - odezwała się. - Co?

- Już nie jestem zła. Przynajmniej chwilowo.

- Widzisz? - John musnął nosem jej nos. - Tango za każdym razem działa w ten sposób.

- Nie... - Całowali się raz po raz. - To twoja miłość za każdym razem tak działa.

John chciał rozpocząć kolejny pocałunek, kiedy zdarzyło się coś szczególnego. Trwało tylko moment i nie było silnym odczuciem, więc John zastanawiał się, czy warto zwracać na nie uwagę.

A jednak... Znieruchomiał. Przecież poczułem.

- Co się dzieje? - Abby cofnęła się z niepokojem. - Wystraszyłeś mnie.

John przełknął i skoncentrował się na miejscu, w którym doznał owego niezwykłego odczucia. Wtedy powtórzyło się, jak gdyby Bóg chciał upewnić go w przekonaniu, że to nie wytwór jego wyobraźni ani jakiś nic nie znaczący przypadek.

John poczuł klucie, czy też palenie w dużym palcu nogi. Nie czuł przecież nóg od chwili wypadku.

- Abby, to nie do uwierzenia! - odezwał się, patrząc żonie głęboko w oczy.

- Co się stało? - Abby przyjrzała się uważnie mężowi. - Czy dzieje się z tobą coś złego?

- Nie. - John, z bijącym mocno sercem, pokazał na swoje stopy. - Przed chwilą... Nie umiem tego wytłumaczyć.

- Co takiego? - zainteresowała się Abby, wstając. Przyglądała się stopom męża.

Przecież to niemożliwe - pomyślał John. Może to być ból fantomowy. Czytał o przypadkach, kiedy sparaliżowanej osobie nawet kilka lat po wypadku wydaje się, że coś odczuwa w obszarze dotkniętym paraliżem.

Nie chciał powiedzieć czegoś, co wzbudziłoby w nich obojgu nadzieję, która ległaby w gruzach, kiedy okazałoby się, że stan jego zdrowia pozostaje bez zmian. Powiem jej później - postanowił. Jeszcze nie teraz. Muszę coś wymyślić.

- Widzisz? - odezwał się z szerokim uśmiechem do czekającej na wyjaśnienia żony. - Właśnie opatentowaliśmy nowy taniec.

- Myślałam, że coś ci się stało! - sapnęła Abby. - Ze nie możesz oddychać albo coś w tym rodzaju.

- Nie. - John zachichotał, nie zdradzając podniecenia, które go opanowywało. - Zapomniałaś, że taniec dobrze robi na płuca? - Poklepał się w pierś. - Po takim tangu jak to, będę oddychał pełną piersią przez ładnych parę dni.

- Jesteś niemożliwy! - skomentowała Abby, wyciągając rękę. Ruszyli razem w stronę domu. - Niepotrzebnie to zrobiłeś. Naprawdę myślałam, że coś ci się stało.

Kiedy znajdowali się na trawniku przed domem, doznanie w palcu nogi Johna powtórzyło się. To nie mógł być ból fantomowy. To było wyraźne mrowienie. A poza tym... palec Johna poruszył się!!!

Trudno było Johnowi powstrzymać się przed natychmiastowym podzieleniem się nowiną z Abby. Nie był jednak pewien, co się dzieje ani co to oznacza. Miał jednakże niezwykle poczucie, że coś dzieje się z jego kręgosłupem. Jak gdyby dotykały go uzdrawiające ręce.

Nie były to dłonie lekarza czy terapeuty.

To mogły być jedynie palce Boga.

ROZDZIAŁ 24

Chuck Parker ledwie wszedł do biura, kiedy zadzwonił telefon.

Chuck był brokerem ubezpieczeniowym. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak zajęty, jak kończącej się właśnie zimy. Interesy kwitły, a poza tym Chuck albo jego żona musieli wozić wszędzie Caseya, któremu odebrano na rok prawo jazdy.

Najbardziej denerwowało Chucka to, że nie miał czasu zorganizować zebrania. Odkąd tylko dowiedział się, że trener Reynolds został sparaliżowany, zamierzał zwołać rodziców i przedyskutować z nimi w szkole to, jak traktowali pana Reynoldsa podczas minionego sezonu futbolo-
wego. Zatelefonował wprawdzie do kilku osób, ale do spotkania jakoś nie doszło. Powodem był brak czasu. Ostatnio mam tyle na głowie, że umknęła mi ta sprawa - myślał Chuck.

Nie musiał się jednak martwić, bo kiedy przestał - on i inni rodzice - naciskać na Lutza, wicedyrektor nie zamierzał już zwalniać Reynoldsa. Może zebranie jest już niepotrzebne? - zastanawiał się Chuck. Pan Reynolds wróci jesienią do pracy i sam zobaczy, że jego wypadek zmienił postawę wszystkich. Zawodników, uczniów i rodziców.

Chuck złapał słuchawkę telefonu.

- Halo? - odezwał się.

- Czy pan Parker? Mówi Sue Diver z liceum Marion.

Sue Diver... zaraz... ach, to sekretarka szkoły. Ubezpieczyłem ją na życie w 1998. Chuck spojrzął na zegarek. Za pół godziny miał rozpocząć pierwsze z trzech spotkań, jakie miał tego wieczoru odbyć.

- Dobry wieczór, pani Sue. Co u pani słychać?

- Dzisiaj przyszedł do sekretariatu list... - zaczęła z zakłopotaniem w głosie pani Diver.

- Tak?...

- Nie wiem, czy powinnam to panu mówić.

- Myślę, że tak. Skoro pani dzwoni, to znaczy, że ma pani taką potrzebę.

Podziałało. Pani Diver wzięła głęboki oddech i wyjaśniła:

- Pan trener Reynolds podaje się do dymisji, ze skutkiem natychmiastowym. Napisał, że futbol się zmienił i... że nie szanują go już rodzice zawodników.

Co?! Chuck poczuł się, jakby zapadała się podłoga pod jego stopami. Dlaczego ja nie zorganizowałem w porę tego zebrania?! - wyrzucał sobie.

Już za późno. Kiedy tylko Lutz przeczyta list Reynoldsa, ogłosi na stanowej stronie internetowej, że poszukuje trenera. Pewnie najpóźniej jutro. Przypuszczam, że wciąż sądzi, iż wszyscy chcą, żeby miejsce pana Reynoldsa zajął ktoś inny.

Ale przecież już tak nie jest. Zupełnie nie!

Chuck zamknął oczy i ścisnął odruchowo koniec nosa.

- Potrzebne mi numery telefonów do kilku osób -stwierdził. - Czy mogłaby mi pani podać nazwiska i numery do wszystkich zawodników z drużyny futbolowej Orłów?

- Chyba tak.

- To poproszę. - Chuck zerknął na stos dokumentów przygotowanych na wieczorne spotkania. - Jeszcze dzisiaj zatelefonuję do wszystkich. Kiedy będzie wolna największa sala, żebyśmy mogli przeprowadzić zebranie?

Sekretarka zaczęła przeglądać plan zajęć.

- Dzisiaj jest poniedziałek. Chwileczkę... - Słysząc było szelest papieru. - Może być czwartek wieczorem?

Chuck zajrzał do notesu. Umówił się na czwartkowy wieczór z czworgiem potencjalnych klientów.

- Jak najbardziej - odparł. - Powiedzmy, o dziewiętnastej. W sali, w której odbywają się wszystkie uroczystości.

- Dobrze. Muszę upewnić się u dyrekcji, ale myślę, że będzie to tylko formalność. Rodzice mają prawo korzystać z budynku w sprawach związanych ze szkołą.

W głosie sekretarki było słychać niepokój, jakby usiłowała przekonać samą siebie. Trudno. Po kilku miesiącach zwłoki Chuck ustalił wreszcie termin zebrania. Musiał jeszcze tylko skompletować potrzebne numery telefonów.

- Czy ma pani listę telefonów do zawodników? - spytał.

- Tak. Mogłabym przesłać ją panu faksem?

- Oczywiście. - Chuck podał kobiecie numer. - Będę czekał. Serdecznie dziękuję pani za wiadomość. Będziemy musieli spotkać się któregoś dnia, żeby zastanowić się wspólnie, czy nie potrzebuje pani bardziej kompleksowej ochrony ubezpieczeniowej.

- Tak... Przepraszam, muszę kończyć.

Chuck rozłączył się i niemal natychmiast zadzwonił faks. Chuck najpierw zatelefonował do trzech osób, odwołując spotkania, z których pierwsze

miało zacząć się już za paręnaście minut. A potem wziął głęboki oddech i z listą w ręku zaczął powiadamiać rodziców Orłów o zebraniu.

John nie chciał budzić u Abby płonnych nadziei. Jednak wieczorem tego samego dnia, kiedy poczuł mrowienie w palcu u nogi, powiedział żonie, że musi jak najszybciej iść do lekarza.

- Co się dzieje? - spytała Abby, która rozbierała się do snu. Wcześniej pomogła znaleźć się w łóżku mężowi.

- Martwię się o swoje nogi. - John za wszelką cenę starał się zachować spokój. - Są zbyt chude.

- Kochanie... - Abby popatrzyła na niego ze smutkiem.

- Doktor mówił, że tak będzie. To normalne.

- Ale wychudły po prostu okropnie, i bardzo szybko.

- John szukał sposobu na przekonanie żony. - Odruchowo przycisnął do nóg koldrę - i wtedy duży palec jego prawej stopy znowu odrobinę się poruszył. - Marnieję w oczach. Muszę porozmawiać o tym z lekarzem.

- Naprawdę? - dziwiła się Abby. - Cóż, skoro tak uważasz, zadzwonię rano do doktora Furina.

Następnego dnia po śniadaniu, kiedy John pił kawę, Abby weszła do kuchni i powiadomiła:

- Telefonowałam do doktora Furina. Powiedział, że możesz przyjechać do niego dzisiaj o jedenastej.

- Cieszę się. - Westchnął, rozwiewając kłęby unoszącej się z kubka pary. - Na pewno będzie w stanie udzielić mi jakiejś porady.

- Nie pogniewasz się, jeżeli wysadzę cię i pojedę zrobić zakupy? - spytała Abby, porządkując szybko kuchnię.

- Kończ nam się kilka rzeczy.

- Jasne. Będę... siedział w poczekalni i czekał, aż wrócisz. - John czuł się uradowany. Nie chciał, żeby Abby słyszała rozmowę o tym, że jego palce nóg zaczęły się poruszać. Ostatnie kilka miesięcy było dla niej naprawdę bardzo trudnym okresem. Nagłe rozbudzanie w niej nadziei byłoby bardzo nierozsądne.

Dwie godziny później John znajdował się już w gabinecie doktora Furina.

- Dzień dobry - przywitał się lekarz, zamykając drzwi.

- Zona mówi, że martwi się pan o postępującą atrofię mięśni nóg...

- Wcale nie dlatego przyjechałem - odparł ze śmiechem John. - Jestem tu dlatego, że... - Opanował entuzjazm, żeby zastanowić się, co naprawdę się

zdarzyło. - Nie mogłem zdradzić żonie prawdziwego powodu mojej wizyty u pana doktora, bo nie chcę niepotrzebnie rozbudzać jej nadziei.

- Rozumiem. - Furin odłożył notatnik. - Co w takim razie pana sprowadza?

- Panie doktorze - John uśmiechnął się mimo woli - zacząłem coś czuć w dużym palcu prawej nogi. Nie przez cały czas, tylko momentami - zastrzegł się. - Ale wczoraj zdarzyło się to kilkakrotnie, i dzisiaj znowu. To jakby mrowienie czy ból. I parokrotnie czułem, że mój palec się poruszył.

- Naprawdę? - Lekarz otworzył usta ze zdumienia.

- Tak. Nikomu jeszcze o tym nie mówiłem.

Furin zaczął chodzić z namysłem tam i z powrotem.

- Kiedy oglądaliśmy pierwsze prześwietlenia, wydawało nam się, że być może miał pan szczęście - uraz nastąpił w krytycznym punkcie. Takim, że część pacjentów odzyskuje czucie. Jednak dzieje się to z reguły już po kilku dniach, kiedy schodzi opuchlizna. - Chodził dalej, masując się odruchowo po brodzie i wpatrując się bezwiednie w podłogę. - Panu czucie nie wróciło, zrobiliśmy więc następną serię prześwietleń i kilka innych badań. Wszystko wskazywało na to, że się pomyliłem. Ze jednak uraz nastąpił o może milimetr za wysoko. Że został pan trwale sparaliżowany.

- W takim razie dlaczego czuję coś w paluchu prawej nogi? - spytał John, słuchając uważnie doktora.

- Od wielu lat zajmuję się pacjentami z urazami kręgosłupa, lecz jeszcze nigdy nie spotkałem się z przypadkiem, w którym uraz nastąpiłby tak dokładnie na granicy odcinka, którego uszkodzenie powoduje paraliż. Milimetr w jedną czy drugą stronę oznacza permanentną niepełnosprawność bądź pełen powrót do zdrowia. Ale być może...

- Co? - ponaglił zamyślnego doktora John. Nie mógł się doczekać jego opinii.

- Najnowsze badania wskazują, że w określonych rzadkich przypadkach, kiedy uraz następuje właśnie na granicy owych dwóch odcinków, można pomóc pacjentowi operacyjnie. Istnieją ludzie, którym po takiej operacji wróciło czucie, mimo że wydawali się trwale sparaliżowani.

Nadzieje Johna wzrosły niepomierne.

- Myśli pan doktor, że być może mój przypadek należy do właśnie takich? - upewnił się. Ręce trzęsły mu się od nadmiaru emocji.

- Będziemy musieli przeprowadzić badania w tym kierunku, ale jeśli dobrze pamiętam, pierwszym symptomem w owych przypadkach był właśnie powrót czucia w jednym czy kilku palcach nóg. Z całą pewnością

sytuacje, o których mówię, dotyczyły pacjentów, którzy doznali urazu w tym punkcie, co pan. Badania naukowe w tym zakresie wciąż trwają.

John miał ochotę krzyknąć z radości. Opanował się jednak i pomodlił się w duchu: Panie Boże, dziękuję Ci za to, że być może mam szansę na powrót do zdrowia. Nie mógł się doczekać rozpoczęcia badań, dowolnego rodzaju. Gdyby okazało się, że jest szansa na operacyjne wyleczenie go, był gotów iść pod nóż choćby tego samego popołudnia.

- Czy ma pan teraz czas zostać tu dłużej? - spytał Furin.

- Jestem gotów na natychmiastową operację, panie doktorze! - odparł ze śmiechem John.

- Musi pan zdawać sobie sprawę - uspokoił lekarz, marszcząc brwi - że nawet jeśli z badań wyniknie, iż kwalifikuje się pan do operacji, o jakiej mówimy, nie ma żadnych gwarancji, że spowoduje ona jakąkolwiek poprawę pańskiego stanu. Dotychczasowe statystyki wskazują, że okazuje się skuteczna zaledwie w połowie przypadków.

- Panie doktorze, to i tak znacznie więcej niż spodziewałem się, kiedy wjeżdżałem do pańskiego gabinetu! Kiedy możecie państwo zacząć badania?

- Trzeba zrobić jeszcze kilka zdjęć rentgenowskich i przeprowadzić parę specjalistycznych badań, do których sprzęt znajduje się tylko w szpitalu. Normalnie czekałby pan na nie kilka tygodni, ale akurat dzisiaj musieliśmy odłożyć badania innego pacjenta. - Furin zawahał się. - Chyba musi pan powiadomić o wszystkim żonę. Badania zajmą nam większość popołudnia, a poza tym to żona będzie musiała zawieźć pana do szpitala.

John skinął głową. Jak zareaguje Abby? - zastanawiał się. Czy będzie bała się, że doznają tylko wielkiego rozczarowania? Czy będzie bardzo niespokojna? Podekscytowana? Tak czy owak, doktor ma rację; czas zawiadomić Abby.

Furin zrobił na początek kilka zdjęć rentgenowskich kręgosłupa Johna. Pół godziny później wróciła Abby.

- Przepraszam - powiedziała - myślałam, że zdążę wyjść ze sklepu szybciej. - Pocałowała Johna w policzek.

- Siadaj, Abby. - John pokazał na jedno ze składanych krzeseł pod ścianą. - Muszę ci coś powiedzieć.

Na twarzy Abby wymalowało się przerażenie. Usiadła posłusznie, niemal dotykając kolanami kolan Johna.

- Co się dzieje? - spytała, przetykając z trudem. - Nie mów, że zachorowałeś na coś nowego...

- Słuchaj tylko - John nie chciał trzymać żony w niepewności ani chwili dłużej - wczoraj na molo, kiedy zawołałem: - To nie do uwierzenia!...

Abby skupiła się.

- Powiedziałeś, że opatentowaliśmy nowy taniec.

- Tak, wtedy. - John ujął jej dłoń. - Tak naprawdę zawołałem z innego powodu.

Abby otworzyła lekko usta.

- Poczułem wówczas jakby ból w dużym palcu prawej nogi. Naprawdę poczułem... - John był ogromnie wzruszony. - A później, kiedy weszliśmy do domu, ten sam palec poruszył się. - John rozejrzał się, zastanawiając się, jak opisać to, co wtedy czuł. - Myślałem, że może tylko coś sobie wyobrażam, że to nie stało się naprawdę. Ale powtórzyło się, zanim poszliśmy spać, i dzisiaj rano - znowu.

- To dlatego nalegałeś, żeby pojechać do lekarza?

- Musiałem podzielić się tym z doktorem Furinem - potwierdził John, kiwając głową. - Wszyscy zgodnie mówili, że nigdy więcej czegoś podobnego nie poczuje. Podejrzywałem ból fantomowy. Ale jednak mój palec naprawdę poruszył się raz i drugi, i czułem to.

- Co powiedział doktor Furin? - Abby oblizwała usta z emocji.

John wytłumaczył żonie sytuację najlepiej jak umiał. Podkreślał, że w pewnych bardzo rzadkich przypadkach można przeprowadzić operację, która u części, i tylko u części pacjentów, przywraca czucie.

- To jednak tylko hipotetyczna możliwość, Abby - zastrzegął. - Doktor chce przeprowadzić ze mną jeszcze dzisiaj kilka badań. Dopiero po nich będzie wiedział, czy w ogóle kwalifikuję się do takiej operacji.

Abby otwierała usta z wrażenia. Pochyliła się naprzód, chwytając się obiema dłońmi poręczy wózka Johna.

- Coś takiego!... - skomentowała.

- Naprawdę - potwierdził John. Ucieszył się, zobaczywszy w oczach żony nadzieję. Panie Boże - pomodlił się - pomóż nam przez to przejść. I bardzo Cię proszę, ześlij na mnie cud!

Nie przyszły mu w odpowiedzi do głowy żadne szczególne słowa, ale ogarnął go nagle niezwykle spokój.

- Dobrze, w takim razie pojedziemy do szpitala - zawyrokowała Abby.

Badania trwały pięć godzin i były równie wyczerpujące jak długotrwałe. Abby zatelefonowała w międzyczasie do Nicole, prosząc ją, żeby odebrała Seana ze szkoły.

- Co się stało? - dopytywała się Nicole.

- Później ci powiem, obiecuję. - Abby zakończyła szybko rozmowę, żeby jak najszybciej wrócić do męża.

Doktor Furin przyjechał do szpitala po jakimś czasie. Zebrało się konsylium specjalistów od urazów kręgosłupa i wspólnie zaczęli analizować wyniki badań Johna. Wreszcie, o osiemnastej, Furin wyszedł do poczekalni.

John zawsze chełpił się tym, że potrafi odczytywać z twarzy ludzi ich myśli, ale spojrzenie Furina bywało wyjątkowo nieodgadnione, co przysparzało Johnowi dodatkowych emocji. Tak było i tym razem. Doktor skinął na Johna i Abby, żeby przenieśli się do cichego kąta.

Abby ujęła dłoń męża, ściskając go tak mocno, że czuł przez skórę jej puls.

- I co państwo sądzą? - zapytała.

- Pan John kwalifikuje się do operacji - zawyrokował ze słabym uśmiechem doktor. - Pański uraz wygląda dokładnie tak jak przypadki, z którymi przeprowadzono próbne zabiegi.

Głowa Johna opadła do przodu. Jest szansa, że będę chodził! - pomyślał. Nie ma żadnej pewności, ale jednak - być może na nowo odzyskam sprawność w nogach! Nie spodziewał się już tego. Sytuacja była tak niezwykła, że z trudem panował nad emocjami.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Abby zasłania usta. Łkała cichutko, chociaż z jej oczu nie ciekły łzy. Pewnie jest w szoku, tak samo jak ja - ocenił John. Przecież wszyscy myśleli, że nie da się mi pomóc. Jestem sparaliżowany już od kilku miesięcy... Nigdy nie słyszał o podobnej sytuacji.

- Kiedy będzie pan mógł przeprowadzić operację? - zapytała Abby.

- Nie tak szybko - zapowiedział doktor, zakładając ręce. - Chciałbym, żeby zrobili to najlepsi specjaliści w naszym kraju - tłumaczył, pochylając się naprzód. - Będę asystował, ale to oni rozpoczną badania nad tego rodzaju zabiegami, i oni powinni się tym zająć.

- Czy przyjadą tutaj? - spytał John, nie dowierzając własnym uszom. - Pionierskie operacje przeprowadza się chyba tylko w ośrodkach, które nad nimi pracują?

- W tym przypadku ośrodek mieści się w Arizonie, jednak tamtejszy zespół jeździł już do interesujących go przypadków. Pański uraz właśnie do takich należy.

- Kiedy więc możemy się spodziewać przyjazdu tych specjalistów? - spytała Abby, czując, że poca jej się ręce. - Panie doktorze...

- Mamy marzec. Myślę, że uda się wyznaczyć termin w granicach miesiąca, czyli mniej więcej na połowę kwietnia.

- Czy do tego czasu powinniśmy się jakoś przygotować? - John wyciągnął rękę i objął żonę ramieniem. Niespodziewana nadzieja, jaka go ogarnęła, była tak silnym doznaniem, że ledwie zachowywał spokój. Gdyby nie obecność Furina, John przyciągnąłby Abby, posadziłby ją na swoich kolanach, a potem odbyliby długą, pełną przypuszczeń rozmowę.

- Właśnie. - Abby czuła, że trzęsie się jej szczeka. -Czy możemy jakoś wpłynąć na to, żeby operacja lepiej się udała? Może są jakieś ćwiczenia czy dieta? Cokolwiek...

- Owszem. - Doktor popatrzył na Abby, potem na Johna, i z powrotem. - W takiej sytuacji zalecam jedną rzecz.

Modlitwę. Jedźcie państwo do domu i módlcie się - wy, wasze dzieci i przyjaciele. Niech całe miasto modli się za nas wszystkich, o pańskie zdrowie. O cud. A za jakiś czas my, chirurdzy, położymy pana na stole i zrobimy, co będzie w naszej mocy. To jedyna szansa na pański powrót do pełnej sprawności...

Furin wytłumaczył bardziej szczegółowo, na czym będzie polegała operacja; wreszcie odszedł. John wyciągnął ręce do Abby, a ona usiadła mu na kolanach, z miną zagubionego dziecka, które się odnalazło. A później, nie zważając na obecnych w poczekalni czy na korytarzach ludzi, Abby i John dotknęli się czołami i zaczęli modlić się razem. Nie dlatego, że tak zalecił im lekarz, lecz z powodu tego, że mieli szansę na cud. Zamierzali więc prosić Boga o to, żeby szansa zmieniła się w rzeczywistość - żeby John odzyskał władzę w nogach.

Jake Daniels rozmyślał nieraz o tym, co dzieje się pomiędzy jego rodzicami. Miał zaskakujące podejrzenia.

Za tydzień miało odbyć się kolejne posiedzenie sądu, na którym to Jake będzie przedstawiał swoją wersję wydarzeń. W porozumieniu z adwokatem, a za jego pośrednictwem - z prokuratorem okręgowym, zamierzał przyznać się do części zarzutów. Ojciec Jake'a przedłużył bezpłatny urlop i wciąż mieszkał w hotelu w Marion. Jake zastanawiał się jednak, czy czasem jego tata nie spędza nocy na kanapie w salonie.

W niektóre wieczory ojciec był u nich i rozmawiał z matką do późna w nocy. Później Jake zastawał go rankiem w kuchni. Wydawało się to Jake'owi dziwne. Przecież jego rodzice byli rozwiedzeni. Jednak kiedy kilkakrotnie zastał ojca w kuchni, schodząc na śniadanie, mógł wyobrazić sobie, że jego

rodzina nie jest rozbita, i było to miłe. Jak gdyby rodzice nigdy się nie rozwiedli, czy może raczej wrócili do siebie.

To drugie było chyba możliwe? W końcu tego wieczoru wybrali się gdzieś razem.

Jake położył się na łóżku, i nagle zadzwonił telefon. Zegar na szafce wskazywał już prawie dwudziestą pierwszą. Mało kto mógł dzwonić o tak późnej porze. Pewnie adwokat albo mama - pomyślał Jake.

Przypuszczał, że raczej mama. Zdarzyło się już mnóstwo wieczorów, kiedy długo nie wracała ze spotkania z tatą telefonowała wtedy, żeby wytłumaczyć się Jake'owi. Mówiła, że późno podano obiad... albo że nawiązali przedłużającą się rozmowę.

Jake nie martwił się o konkrety. Wystarczyło mu, że rodzice spędzają czas razem. Skoro tak się działo, być może była szansa, że rozwiążą swoje problemy i znowu staną się parą.

Podniósł słuchawkę.

- Halo? - odezwał się.

- Cześć. Mówi Casey Parker.

Casey?! Jake nie rozmawiał z Caseyem od dnia wypadku.

- Cześć - odpowiedział, podnosząc się i siadając na łóżku. Zasłonił twarz rękami. - Co u ciebie?

- Żałuję, że nie zadzwoniłem wcześniej. - Casey mówił takim tonem, jakby z trudem powstrzymywał płacz. - Słuchaj, Jake, przepraszam cię. Za to, że wyzwalałem cię do walki w postaci tego wyścigu, i w ogóle. Naprawdę, ziom. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

Jake zastanowił się, czy jest jakiś powód, z którego Casey zatelefonował akurat teraz.

- Chyba powinniśmy dać temu spokój - zakończył temat.

- Chodzisz do szkoły dla trudnej młodzieży, prawda?

- Tak. Nie jest tak źle, mam same celujące.

- Wrócisz do naszej budy po wakacjach?

Matka zadawała Jake'owi to samo pytanie mniej więcej raz w tygodniu. Jego kurator utrzymywał, że może powrócić do normalnej szkoły, skoro nie znajduje się w ośrodku dla nieletnich przestępców. Po wakacjach nie powinien być już w areszcie domowym - bo na razie nie wolno mu było nigdzie wychodzić, mógł tylko jeździć do swojej specjalnej szkoły i z powrotem. Wszystko wskazywało na to, że jeżeli Jake nie zostanie skazany na więzienie, karą dla niego będą między innymi prace społeczne, polegające

na opowiadaniu w różnych szkołach, dlaczego nie warto ścigać się samochodami po ulicach.

Wszyscy uważali, że lepiej wpłynie na Jake'a powrót do liceum Marion, szczególnie że w przyszłym roku miał być w maturalnej klasie. Przy okazji jego obecność będzie przypominała uczniom, że nielegalne wyścigi miewają tragiczne konsekwencje. Jake nie był jednak pewien, jak by się czuł. Zniósł jakoś rozmowę z panem trenerem Reynoldsem na sali sądowej. Ale patrzeć codziennie, jak pan trener porusza się po szkole na wózku inwalidzkim... To byłoby coś okropnego.

- Nie wiem - odpowiedział Caseyowi.

- Rozumiem cię. Nie jest mi łatwo w szkole. - Casey zrobił pauzę. - Pan trener ciągle nie pracuje. Ale wszyscy mówią, że po wakacjach wróci.

- Tak... - Jake poczuł nagłe mdłości. Czy Casey chce powiedzieć coś jeszcze? - zastanawiał się. - Słuchaj, dzięki, że zadzwoniłeś. Muszę odpocząć, bo...

- Czekaj! - przerwał nerwowo Casey. - Nie dlatego dzwonię.

- A dlaczego?

- Organizujemy zebranie w sprawie pana trenera Reynoldsa.

- Zebranie? - Serce Jake'a przystało na moment. - Co będzie na tym zebraniu?

- Pan trener złożył chyba pisemną dymisję. Napisał, że kończy z futbolem, bo... - Głos Casey'a załamał się na chwilę. - Bo nie ma odpowiedniego poparcia.

Jake'a ogarnął wielki smutek. Nie dość, że pan trener musiał zmagać się ze swoją niepełnosprawnością, to jeszcze akurat przed jego wypadkiem sprzyśli się przeciwko niemu rodzice Orłów - i doskonale o tym wiedział.

- Po co jest to zebranie? - spytał Jake.

- Od czasu wypadku pana trenera Reynoldsa mnóstwo się zmieniło. Mieliśmy wszyscy okazję - nie wiem... jakby przyjrzeć się lepiej samym sobie. Chyba zdaliśmy sobie sprawę - to znaczy rodzice też - że pan trener wcale nie jest zły. To wszystko była nasza wina. Wiesz, co mam na myśli?

- Wiem. Więc cel tego zebrania jest dobry?

- No pewnie. Ma przyjść każdy, kto chce, żeby pan trener Reynolds pracował z Orłami w przyszłym roku. Niech mieszkańcy Marion porozmawiają o tym. Jutro w szkole zaczniemy rozgłaszać wiadomość o zebraniu. Na pewno przyjedzie duża część uczniów i rodziców.

Jake był pewien, że sędzina pozwoli mu wziąć udział w takim wydarzeniu. Miał tylko jedno pytanie:

- Czy ktoś zaprosił pana trenera Reynoldsa? - Właśnie o to chodzi...

Przyszło nam do głowy, że ty mógłbyś to zrobić.

Jake uważał, że będzie to dla niego zaszczyt, po wszystkim co się stało.

- Natychmiast dzwonię do niego - powiedział.

- Fajnie. Zebranie będzie w czwartek, o siódmej wieczorem.

- To do zoba.

Jake rozłączył się i wyobraził sobie pana trenera na wielkiej sali pełnej ludzi, którzy go uwielbiają. Ta perspektywa napełniła go wyjątkowym spokojem. Uśmiechnął się i zaczął zastanawiać się, co chciałby powiedzieć, jeśli starczy mu odwagi. A później wystukał numer do pana Reynoldsa. Myślał, że już nigdy w życiu nie będzie miał okazji tego zrobić.

RS

ROZDZIAŁ 25

Sala widowiskowa liceum Marion była wypełniona policjantami.

Do mikrofonu podszedł Chuck Parker, ale funkcjonariusze zaczęli rzucać w niego czym popadło i wołać o Johna. John wjechał więc powoli na wózku na scenę, rozglądając się niepewnie. Zebrani zaczęli jednak wyć na jego widok, a kiedy tylko mąż Abby dotarł do mikrofonu, podbiegło do niego chyba z dziesięciu policjantów i założyli mu kajdanki.

- Pan Reynolds wiedział, że zawodnicy jego drużyny piją i ścigają się samochodami po ulicach. Zapłaci nam za to! - wołali.

Zabrali Johna, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. - Wytłumacz im, jak było naprawdę! - zawołała z rozpaczą Abby, podnosząc się z miejsca. - Powiedz, że nic o tym wszystkim nie wiedziałeś!

John odwrócił się jednak tylko, zamachał do niej ręką i odparł:

- To wszystko moja wina, Abby. Moja wina....

Chciała do niego podbiec, lecz jakiś policjant złapał ją za ramię i zaczął mówić Abby, że ma prawo milczeć.

- Niech pan mnie nie dotyka! - krzyknęła. - Mąż nie zrobił nic złego, nic! Całe to zgromadzenie to jeden wielki podstęp i....

Coś dziwnie charczało. Coraz głośniejsze...

Abby usiadła na łóżku, zdyszana. Spojrzała na Johna. Spał koło niej, żadnej policji nie było. Tylko odgłos odezwał się znowu - to John chrapał.

Abby opadła z powrotem na poduszkę. W tym tygodniu przeżyła już naprawdę dość emocji.

Najpierw wizyta Johna u lekarza i badania, po których okazało się, że jej mąż kwalifikuje się do operacji i że być może odzyska władzę w nogach, choć to ogromnie niepewne. Później telefon od Jake'a Danielsa - chłopcy z drużyny, ich rodzice, podobno prawie cała szkoła zamierzała stawić się na zebraniu poświęconemu Johnowi...

Puls Abby zwolnił nieco. Co właściwie oni wszyscy będą mówić? - zastanawiała się. Nic dziwnego, że się o to niepokoiła. Spotkanie z ludźmi, którzy próbowali doprowadzić do zwolnienia Johna, nie podobało jej się, nawet jeśli mieli dobre zamiary.

Dzień przeszedł jej szybko na wypełnianiu domowych obowiązków. Nadeszła godzina osiemnasta. John golił się w łazience na piętrze, a Abby patrzyła na telefon. Powinna zaraz zadzwonić do Nicole. Córka Abby koniecznie chciała przyjechać na zebranie, ale zaprosiła wcześniej rodziców

Matta na kolację. Do tego była w siódmym miesiącu ciąży i męczyła się szybciej niż zwykle.

Dzieci Abby i Johna nie wiedziały jeszcze o operacji, której miał się poddać ich ojciec. Abby i John chcieli opowiedzieć im o wszystkim w weekend, kiedy cała rodzina zbierze się w ich domu. Nie przyjedzie oczywiście Kade, jednak i jego będzie można po chwili włączyć w rodzinną rozmowę, dzwoniąc do niego i włączając tryb głośnomówiący telefonu.

- Halo? - odebrała Nicole, kiedy Abby wystukała numer.

- Cześć, tu mama.

- Cześć. Nie wybierasz się na zebranie?

- Zaczyna się dopiero o siódmej. - Rozmawiając, Abby wcierała sobie w dłonie mleczko kosmetyczne. - Jak się czujesz, kochanie? Martwię się, że ciągle jesteś taka zmęczona. W siódmym czy ósmym miesiącu nie powinno tak raczej być.

- Nie wiem, mam - westchnęła Nicole. - Nie chcę martwić Matta, ale kiedy gotowałam obiad, poczułam nagle kilka fałszywych skurczów. Tym razem były naprawdę silne!

- A czy dziecko porusza się normalnie?

- Teraz prawie wcale. Ale wcześniej czułam się, jakby fikała koziółki.

- Ona? To dziewczynka? - Abby przybrała żartobliwy ton; wiedziała bowiem, że Matt i Nicole postanowili nie sprawdzać płci dziecka, woleli być zaskoczeni.

- Zgaduję tylko, lecz mam przeczucie, że to dziewczynka. Matt uważa, że chłopczyk. Więc pewnie jedno z nas będzie... Och!

- Co się dzieje?

- Ooch!... - Nicole złapała z trudem kilka szybkich oddechów. - Kolejny skurcz. Widzisz? Są coraz mocniejsze.

Abby była poważnie zaniepokojona, chociaż starała się nie zdradzać tego tonem głosu.

- Kochanie, musisz zapisywać godziny i daty tych skurczów. Obserwuj je. Jeżeli będą coraz silniejsze albo częstsze, niech Matt zawiezie cię do szpitala. Proszę cię, kochanie. To nie jest błaha sprawa.

Nicole obiecała, że zwróci uwagę na przebieg skurczów.

- Przekaż tacie, że Matt modli się za niego - poprosiła. - O to, żeby na zebraniu były mówione tylko rzeczy miłe dla taty.

- Matt modli się za naszego tatę? A ty?

- Proszę cię, nie zaczynaj, mam - odpowiedziała z westchnieniem Nicole.
 - Wiesz, jakie mam w tej chwili podejście do tych rzeczy.

Abby знаła sytuację i nie dowierzała, że doszło do czegoś takiego. Paraliż ciała Johna był dostatecznie wielką tragedią. A teraz Nicole doznała paraliżu duszy?... Abby wymieniła jeszcze kilka słów z córką, starając się jej nie krytykować. Nicole potrzebowała jej miłości, a nie potępienia. Kiedy się rozłączyły, Abby zamknęła oczy.

Boże, proszę Cię, ześlij jej pokój serca - pomodliła się.

I ty bądź spokojna, córko - usłyszała w myślach. - Nikt nie wyrwie jej z Mojej ręki.

Słowa te podziały ją kojąco na jej znękaną psychikę, napędzając Abby niezwykłym spokojem. - Nikt nie wyrwie ich z Mojej ręki - to cytat z Pisma Świętego, który zapamiętała w czasach studenckich, po dyskusji z pewnym młodym pastorem na temat zbawienia.

Nicole nie odrzuciła wiary, zmagając się z nią tylko... Abby zastanawiała się także nad skurczami odczuwanymi przez córkę. Bez wątpienia Pan Bóg dotrze w jakiś sposób do Nicole i przeprowadzi ją przez okres wątpliwości - pomyślała. Na pewno wkrótce Nicole znowu zacznie się modlić.

Może jeszcze dzisiaj?

Kiedy John i Abby znaleźli się w sali widowiskowej liceum, zebranie już trwało. John był pewien, że kiedy tylko się pojawią, wszyscy umilkną i zaczną mu się przyglądać.

Abby otworzyła drzwi. Nie włączono pełnego oświetenia sali. Abby weszła pierwsza, John bezgłośnie wjechał za nią. Zatrzymał wózek pod tylną ścianą sali, koło pustego krzesła, na którym usiadła jego żona. Nie przemieszczali się do przodu i na razie pozostawali niezauważeni. Do mikrofonu podchodził akurat wicedyrektor Lutz.

- Zebraliśmy się dziś tutaj z inicjatywy rodziców - zaczął. - Jak państwo wiedzą, w naszym okręgu udostępnia się sale szkolne na tego rodzaju dyskusje. - Wyjął kartkę i zaczął czytać, powoli, niezdarnie. Widać było, że nie przećwiczył napisanego tekstu. - Jako wicedyrektor do spraw sportu liceum Marion chciałbym mieć pewność, że każde z państwa zdaje sobie sprawę z określonych granic, w jakich powinny mieścić się państwa wypowiedzi. Serdecznie proszę o wypowiedanie w miarę możliwości pozytywnych opinii, a szczególnie o nieobrzucanie się nawzajem wyzwiskami. Zaznaczam także, że opinie, które będą dzisiaj wyrażane, nie są poglądami dyrekcji ani grona nauczycielskiego szkoły.

Lutz wydawał się znudzony, mówił oficjalnym tonem. Tak samo zachowywał się zresztą wobec trenerów i uczniów szkoły - właściwie przez cały czas. John starał się nie przejmować sposobem mówienia wicedyrektora.

Lutz przysłonił oczy i spojrzał na pierwszy rząd krzeseł.

- Niech zacznie pan Parker - skoro zwołał pan to zgromadzenie. Bardzo proszę.

A więc to prawda - zebranie zwołał ojciec Caseya. Człowiek, który wyklócał się wcześniej z Johnem na temat tego, że jego syn powinien być pierwszym rozgrywającym Orłów. Według Jake'a, to właśnie pan Parker był motorem kampanii przeciwko Johnowi. John oparł się wygodnie i poczuł, że Abby dotyka jego ręki. Ujął jej dłoń, ciesząc się z powodu obecności żony. I z tego, że nikt nie zwrócił na nich dotąd uwagi.

Oczy Johna przyzwyczaiły się już do słabego oświetlenia i mógł przyjrzeć się lepiej sali. Była pełna, stały się setki osób. Cóż oni wszyscy mogli mieć do powiedzenia?

Chuck Parker podszedł do mikrofonu. Przez długą chwilę milczał. Chrząkał tylko i patrzył pod nogi. Kiedy wreszcie podniósł głowę, był czerwony ze wstydu.

- Zwołałem to zebranie z jednego powodu - zaczął - po to, żeby publicznie przeprosić pana trenera Johna Reynoldsa.

- Najwyższy czas - szepnęła Abby, ściskając dłoń męża. John nadstawił uszu. Nie chciał uronić ani słowa.

- Wielu z państwa pamięta, co robiłem podczas minionego sezonu futbolowego. Próbowałem przekonać państwa, że pan trener Reynolds nie jest osobą odpowiednią do tego, żeby prowadzić drużynę Orłów. I miałem w tym swój prywatny cel... - Pan Parker znowu spuścił na chwilę wzrok. - Ale jakiś czas temu przemyślałem całą sprawę. - Chuck zrobił parę kroków w jedną, potem w drugą stronę. - To ja jestem winien temu, co działo się z naszymi chłopcami w minionym sezonie - oznajmił. - Ja i ci wszyscy spośród państwa, którzy staraliście się nastawić swoich synów przeciwko panu trenerowi Reynoldsowi. - Zawahał się. - Trudno, żeby mój syn czuł się zachęcony do sportowych wyczynów, skoro słyszał ode mnie tylko kąśliwe uwagi pod adresem swojego trenera. Atakowałem pana Reynoldsa coraz zacieklej, i w wyniku tego mój syn Casey coraz mniej go szanował. Jeśli zawodnicy przestają szanować trenera, to niezależnie od ich zdolności ani od jego wysiłków, drużyna nie odniesie sukcesu. Będzie przegrywała. To

proste. - Zrobił pauzę. - Nie dostrzegałem tego, nie widziałem, co robię, dopóki nie wydarzyła się tragedia.

John zastanawiał się, czy na pewno nie śni. W najśmielszych wyobrażeniach nie przypuszczał, że Chuck Parker może stanąć naprzeciw setek ludzi i przyznać się do tego, że starał się podkopać jego autorytet. John zerknął na żonę i zobaczył, że Abby płacze ze wzruszenia, w skupieniu słuchając mówcy.

- Starałem się doprowadzić do tego, by pan trener Reynolds został zwolniony z pracy - kontynuował Parker.

- Był to mój błąd. - Wzruszył ramionami. Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć na temat swojej winy. - W tym tygodniu pan John Reynolds przysłał do szkoły list, w którym podaje się do dymisji. Myślę, że jest jeszcze drugi powód, z którego zwołałem to zebranie. Chciałbym, abyśmy przekonali pana Reynoldsa, że chcemy jego powrotu do szkoły oraz na stanowisko trenera drużyny futbolowej Orłów. To on jest twórcą programu ich szkolenia; bez niego nigdy nie będzie ono równie skuteczne jak dotąd.

Następnie Chuck oddał mównicę wszystkim, którzy chcieli zabrać głos. Na początku wystąpiło kolejno kilkoro rodziców. Ich słowa wzmogły tylko zdumienie Johna. Widział naprzeciw siebie ludzi, których zawsze uważał za swoich zwolenników. Tymczasem oni, jeden po drugim, przepraszaali za to, że stanęli po stronie grupki tych, którzy czynnie starali się mu zaszkodzić.

- Nasza kampania przeciw panu trenerowi Reynoldsowi sprawiła, że nasi synowie przegrywali, i my sami postępowaliśmy jak ludzie przegrani - mówił jeden z ojców.

- Wstyd mi za siebie i cieszę się, że mogę podzielić się z państwem tym, co czuję.

John zaczął wiercić się nerwowo. Nic dziwnego, że dostrzegałem wokół siebie nieprzyjemne napięcie - myślał. Nawet ci rodzice, którzy uśmiechali się do mnie, mówili o mnie źle za moimi plecami. John i Abby wymienili spojrzenia. Najwyraźniej Abby myślała to samo, co on.

Następnie wystąpiło parę osób, które w minionych miesiącach publicznie krytykowały Johna. Także i one wyrażały żal z powodu swojej kampanii.

- Jest mi przykro nie tylko dlatego, że teraz pan trener Reynolds jest człowiekiem niepełnosprawnym - tłumaczył inny ojciec. - Nie zebraliśmy się tu po to, żeby żałować pana trenera. Ale po to, aby go przeprosić, ponieważ wstydzimy się naszego zachowania.

Po mniej więcej półgodzinie na mównicy stanął pierwszy z zawodników, obrońca o imieniu Buck. Miał łagodny charakter i tylko na boisku pokazywał, jak wielką energię potrafi z siebie wyzwolić.

Jednak teraz zaczął przemawiać z prawdziwą pasją:

- Pan trener Reynolds to nie zwykły trener, jakich można spotkać w tej czy innej drużynie. - Buck wydawał się trochę onieśmielony, jednak mówił dalej, z wielkim przekonaniem: - Nasz pan trener zapraszał nas do domu na oglądanie filmów albo na kolacje. Powiedział nam raz, że gdybyśmy kiedyś chcieli się rozerwać, a nie mieli ochoty na imprezę z alkoholem, możemy urządzić sobie spotkanie w jego domu. Tak bardzo nas kocha! Chciałbym, żeby wiedzieli to wszyscy rodzice. Bo starali się państwo o zwolnienie z pracy trenera, który opiekował się nami jak nikt! Nie słyszałem, żeby jakiś inny trener był taki dobry dla swoich zawodników. Mieliśmy prawdziwe szczęście, że trafiliśmy pod skrzydła pana Reynoldsa. On naprawdę nas kocha. - Buck zwiesił na chwilę głowę. - Myślę, że przyszła pora, żebyśmy i my powiedzieli wreszcie panu trenerowi, że go kochamy!

John poczuł ścisk w gardle. Zamrugał powiekami, by powstrzymać łzy, i słuchał kolejnych zawodników. Chłopcy jeden po drugim stawali na mównicy i wypowiadali się w podobnym tonie jak Buck. A więc jednak zależy im na mnie! - myślał John. Świadomość tego faktu okazała się dla niego cenniejsza niż przypuszczał. Zbliżył do ust dłoń Abby i ucałował ją czule.

- Widzisz? - szepnęła z uśmiechem jego żona. - Oni cię kochają.

Wreszcie na chwilę zabrakło chętnych do dalszych wypowiedzi. Rozległy się szepty. Wszyscy patrzyli w kierunku jednej osoby. John nie był w stanie rozpoznać, kto to jest. W końcu chłopak wszedł na mównicę.

To był Jake Daniels.

John nie widział Jake'a od dnia ich rozmowy w sądzie. W tej chwili Jake wydawał się starszy, doroślejszy niż wcześniej. Nie robił już wrażenia beztroskiego, nastoletniego gwiazdora futbolu, jakim był jeszcze w listopadzie.

- Dlaczego wszyscy są tak poruszeni? - spytała szeptem Abby, nachylając się.

- Jake pojawił się w szkole pierwszy raz od dnia wypadku.

- Och! Nie wiedziałam.

- Musi w tej chwili czuć ogromną presję.

Jake nie wyglądał jednak na onieśmiałego. Poprawił mikrofon, jak gdyby codziennie występował publicznie, nawiązał kolejno kontakt wzrokowy z różnymi grupami słuchaczy.

- Przyjechałem tu, żeby skomentować plotki, jakie krążyły w zeszłym roku na temat pana trenera Reynoldsa - zaczął. - Żeby powiedzieć, jak wyglądała prawda. - Zrobił pauzę i patrzył na zebranych intensywnym spojrzeniem. - Po pierwsze rzeczywiście niektórzy z nas, to znaczy zawodników drużyny Orłów, pili alkohol podczas naszego letniego zgrupowania w sierpniu. Ja także piłem. I niektórzy z nas ścigali się samochodami.

John i Abby znów popatrzyli po sobie. Jake pił... John był jednak przekonany, że chłopiec nie brał przed wypadkiem udziału w nielegalnych wyścigach samochodowych. A przynajmniej do czasu aż ojciec kupił mu czerwoną acu-rę NSX, która wydawała się do nich stworzona. Nawet kiedy Jake dał się skusić, ścigał się swoim samochodem tylko jeden jedyny raz. Ten pojedynczy wyścig miał tragiczne skutki... W każdym razie Jake nie próbował dowodzić swojej niewinności ani też oskarżać z imienia i nazwiska swoich kolegów.

- Myślę o tym, jak zachowywaliśmy się w zeszłym roku - kontynuował Jake, chowając rękę do kieszeni - i wiem, że postępowaliśmy jak ludzie przegrani. Pan, który tak powiedział, ma rację. Przegrywaliśmy nie tylko na boisku. Większość z nas łamała prawo czy inne zasady - piliśmy alkohol, ścigaliśmy się po ulicach, oglądaliśmy pornografię.

Abby popatrzyła z przerażeniem na Johna.

- Pornografię?! - szepnęła. - W średniej szkole?

- Przypuszczam, że niektórzy to robią.

- Czy Kade też zaczął jeszcze tu, w szkole?

- Nie. - John uważał, żeby nie szeptać zbyt głośno. Dobrze pamiętał rozmowę, jaką odbył z synem na łódce.

- Dopiero w akademiku.

- Aż tak się ta pornografia szerzy!

- I jest coraz paskudniejsza - odparł John, kiwając głową. Właściwie mógłbym poprosić Kade'a, by porozmawiał z Orłami o tym, że pornografia wciąga i przechodzi w nałóg - pomyślał. I że można się z niej wyzwolić, zwrócić się o pomoc. Takie wystąpienie może wywrzeć realny wpływ na...

Nagle uświadomił sobie, że przecież nie będzie w przyszłym sezonie trenerem Orłów, a nowemu trenerowi może być wszystko jedno, czy chłopcy

oglądają pornografię, czy nie. To pierwszy trener drużyny decyduje o tym, kto i kiedy przed nią wystąpi.

- A poza tym - ciągnął Jake - zadzieraliśmy wszyscy nosa, jakbyśmy byli najważniejsi w szkole. Traktowaliśmy innych jak powietrze. Przez nas wszyscy, którzy nie grają w futbol, mieli ciężkie życie. - Jake przerwał i podszedł na skraj sceny, rozglądając się pomiędzy słuchaczami. - Uważaliśmy siebie samych za najlepszych. Nawet za lepszych niż nasz pan trener Reynolds.

Umilkł znowu. Nawet z końca sali John widział, że Jake powstrzymuje łzy. W końcu odchrząknął i z trudem mówił dalej:

- Pan trener chciał, żebyśmy byli porządnymi młodymi ludźmi, przestrzegającymi zasad moralnych, mężczyznami z charakterem. Każdy z nas, zawodników, setki razy słyszał, jak pan trener Reynolds to mówił. Nie tylko mówił, ale i dawał nam przykład.

Teraz poczucie winy ogarnęło Johna - przypomniała mu się Charlene. Nie zawsze byłem moralnym wzorcem! - myślał. Dobrze, że dzięki wierze i dzięki pomocy Pana Boga udało mi się wyrwać z tamtej sytuacji i trzymać z dala od znajomych, którzy sprowadziliby mnie na złą drogę. Tylko dzięki Bożej łasce Jake i jego koledzy widzą we mnie wzorzec do naśladowania.

- Mieliliśmy najlepszego trenera w całym stanie - kontynuował Jake. - Tak jak powiedział Buck - trenera, który nas kochał. Lecz my doprowadziliśmy do tego, że już go z nami nie ma. - Jake pociągnął nosem, starając się zapanować nad emocjami. - Ciągłe wierzę, że Pan Bóg w jakiś sposób uzdrowi pana trenera... ale nie wiem, czy tak będzie. Przez mój feralny wyścig pan trener Reynolds być może już nigdy nie wstanie z wózka inwalidzkiego.

- Jake załkał i przycisnął pięść do ust, żeby się uspokoić.

- Myślę, że zachowanie naszej drużyny w minionym sezonie było jeszcze gorsze niż ten wyścig, bo przez nie pan trener stracił chęć do dalszej pracy. - Jake pokręcił głową i kończył ze wzruszeniem: - Modlę się, żeby pewnego dnia pan trener Reynolds wrócił do szkoły i żeby spotkał tu dobrych i mądrych chłopców, którzy będą rozumieć, jakie mają szczęście. Którzy będą go słuchać, naśladować i grać pod jego skrzydłami, dając z siebie wszystko. Żałuję, że my tak nie robiliśmy.

John strzepnął łzy z powiek i popatrzył na żonę.

- Jake dorósł - skomentowała Abby. W jej oczach także błyszczały łzy.

- Rzeczywiście. - John patrzył, jak Jake schodzi ze sceny.

Nastąpiła chwila przerwy. Wreszcie do mikrofonu podszedł znowu Chuck Parker.

- Miałem nadzieję, że być może przybędzie na nasze zebranie sam pan trener Reynolds, ale myślę, że to zrozumiałe, iż go wśród nas nie ma. Nie dlatego, że porusza się na wózku inwalidzkim, tylko przez wzgląd na to, jak traktowaliśmy go w minionym sezonie. Dlaczego miałby tu przyjeżdżać?

- Powiedz coś - odezwała się Abby, trącając męża w ramię.

- Za chwilę. Niech skończy. - John nie miał zamiaru krzyczeć z końca sali, podczas gdy Parker mówił do mikrofonu.

Chuck znów przysłonił oczy dłonią i rozejrzał się po sali.

- Jeżeli już nikt więcej nie chce zabrać głosu, chciałbym powiedzieć, że mam ze sobą petycję, w której napisałem, że prosimy pana trenera Reynoldsa, aby rozważył jeszcze swoją decyzję i ponownie objął prowadzenie drużyny Orłów. Gdyby przed wyjściem każde z państwa zechciało podpisać ten list...

- Przepraszam!

Na salę wpadł biegiem, bocznymi drzwiami, wysoki chłopak. Pan Parker popatrzył na niego z niepokojem. Nastolatek wdrapał się na scenę i zbliżył się do mikrofonu.

To był Nathan Pike. John spoglądał na niego z zaskoczeniem. Nathan nie był ubrany na czarno ani nie miał na sobie kolczastych obroży czy pieszczochów. Wyglądał jak przeciętny uczeń, nawet jego spojrzenie złagodniało. John ledwie go rozpoznał.

- Przepraszam, że się spóźniłem, chciałbym coś powiedzieć - odezwał się Nathan, wyciągając rękę po mikrofon. - Czy mogę?

Parker uspokoił się. John nie wątpił, że wszyscy znają plotki na temat Nathana. Musiało od nich huczeć po tym jak aresztowano go na stadionie. Później okazało się, że telefoniczne pogróżki wygłosił jeden z zawodników przeciwnej drużyny. Zła sława Nathana nie zmaląła jednak od tego. Niektórzy wciąż uważali go za niebezpiecznego wariata.

Chuck Parker oddał w końcu mikrofon chłopcu i zszedł ze sceny.

- Po pierwsze chciałbym powiedzieć, że pan trener Reynolds jest dzisiaj z nami - zaczął Nathan, spoglądając w stronę Johna. - Siedzi na końcu sali, razem z żoną. Zobaczyłem ich od razu, kiedy tu wpadłem.

Natychmiast podniósł się szum. Ludzie zaczęli się oglądać i pokazywać palcami Johna i Abby.

- Już nas widzą - stwierdziła z niepokojem Abby.

- Panie trenerze, czy mógłby pan tutaj podjechać? - poprosił Nathan.

John poczuł skurcz w żołądku. Pociły mu się dłonie.

- Będę się za ciebie modliła - szepnęła Abby.

- Dzięki. - John ruszył na wózku ku przodowi sali. Mijając kolejne rzędy krzeseł, czuł na sobie spojrzenia ludzi. W końcu wjechał po rampie na scenę.

Przez chwilę wszyscy wpatrywali się w niego z wielkim zdumieniem. Kiedy go poprzednio widzieli, był potężnym, umięśnionym sportowcem. Miał metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu i wyglądał jak modelowy futbolista.

A teraz wydawał się nieporównanie drobniejszy - siedział na wózku, miał dziwnie chude nogi i ważył o osiemnaście kilogramów mniej niż dawniej.

Po chwili Jake Daniels podniósł się z krzesła i zaczął bić brawo. Nie były to uprzejme oklaski, ale głośne, powolne brawa, które szybko podchwyciła cała sala. Wstał Casey, po nim Buck. Zanim Nathan zdążył znowu się odezwać, już cała sala stała i biła brawo Johnowi, energicznie jak nigdy.

Aplauz był tak żywiołowy, że po minucie John zapomniał o całym sezonie, podczas którego krytykowano go i uskarżano się na niego. Oklaski zebranych mówiły mu, że rodzice i zawodnicy żałują tego, jak go traktowali. Wiedzą, że postępowali źle i przepraszają go. Nie tylko współczują mu z powodu jego niepełnosprawności, lecz przede wszystkim przepraszają go za to, że nie wspierali go w trudniejszym niż poprzednie sezonie.

Kiedy wreszcie wszyscy z powrotem usiedli i zapadła cisza, Nathan powiedział do mikrofonu:

- Dzisiejsze zebranie to prawdziwa lekcja wybaczenia. Uczniowie podobni do mnie muszą przebaczyć sportowcom. - Popatrzył na grupę Orłów, siedzących obok siebie. - A uczniowie sportowcy, muszą przebaczyć takim jak ja. Nauczył mnie takiego myślenia właśnie pan trener Reynolds, zapamiętałem jego słowa na zawsze... Ale przede wszystkim potrzeba, żeby pan trener przebaczył nam wszystkim.

John był oszołomiony. Słuchał każdego słowa Nathana.

- Chciałbym, żebyśmy teraz wszyscy zebrali się przy scenie i na scenie - wokół pana trenera - i pomodlili się o dwa cuda. - Z tymi słowami Nathan chwycił wolną ręką wózek inwalidzki Johna.

Nathan Pike wzywa salę do modlitwy?! Coś podobnego nie mieściło się Johnowi w głowie. Nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Ale jednak! Opanował emocje i słuchał dalej.

- Módlmy się, żeby Bóg przywrócił panu trenerowi władzę w nogach. I o drugi cud - o rzecz, którą równie trudno sobie wyobrazić. O to, by pan trener

Reynolds zmienił swoją decyzję i dalej prowadził drużynę futbolową Orłów. Bo potrzebujemy go, wszyscy.

Rodzice, zawodnicy, inni uczniowie zaczęli kolejno podchodzić do sceny. Także ci, którzy nie wypowiadali się publicznie, chcieli okazać Johnowi wsparcie. Wchodzili na scenę, aż w końcu otaczał go tłum ludzi. Na sali pozostał tylko Lutz, i jeszcze dozorca, pod tylną ścianą.

Abby zbliżyła się do Johna i oparła dłonie na jego ramionach. Wokół rozległy się głosy modlących się osób. Wołali do Boga o cuda. I w tym momencie John stwierdził, że może poruszać dużymi palcami obu stóp.

Wydawało mu się, że słyszy cichy szept Boga:

- Nie polegaj na swoim rozsądku....

Zamknął oczy i zaczął w milczeniu modlić się razem z pozostałymi. Widział, że dobry Bóg naprawdę niweluje krzywdy, których John doznał w minionym roku.

I czuł, że nigdy się nie powtórzą.

RS

ROZDZIAŁ 26

Tego samego wieczoru o dwudziestej trzeciej Nicole ponownie była w stanie się modlić.

Od paru godzin doznawała skurczów, zapisując starannie, kiedy następowały. Nie były regularne, lecz bez wątpienia stawały się coraz silniejsze.

Bagatelizowała je przed Mattem i jego rodzicami; nie chciała niepotrzebnie nikogo martwić, jeśli nie działo się nic złego. O dwudziestej pierwszej zatelefonowała jej matka, żeby opowiedzieć jej przebieg zebrania w szkole.

- Co ze skurczami? - spytała z wyraźnym niepokojem mama.

- Nic nadzwyczajnego - odparła Nicole. - Wszystko w porządku.

Od tego czasu minęły dwie godziny, i skurcze stały się tak bolesne, że Nicole zeszła do salonu i położyła się na kanapie. Nie chciała budzić męża; a poza tym mogła zapalić światło i zapisywać godziny. Niepokoiła się - nie tylko skurczami, ale chyba jeszcze bardziej czymś innym. Mama spytała ją przed paroma godzinami, czy dziecko wciąż się porusza.

Nicole odpowiedziała wtedy, że tak, bo poruszało się, chociaż mniej niż przedtem. Zaczęła jednak zwracać baczną uwagę na ruchy dziecka. Rodzice Matta pojechali po kolacji do domu, Nicole położyła się - i zaczęła stopniowo wpadać w panikę, ponieważ od ich odjazdu ani razu nie poczuła ruchu swojego maleństwa.

I właśnie to sprawiło, że Nicole zaczęła się modlić, pierwszy raz od dnia wypadku ojca.

O dwudziestej trzeciej doznała tak silnego bólu, że zgiąwszy się w pół, opadła na kolana obok kanapy i zawołała w myśli do Boga:

Panie, co się ze mną dzieje? Pomóż mi! Przecież jest za wcześnie, żeby dziecko się urodziło.

Nie przyszła jej do głowy żadna odpowiedź.

Kiedy skurcz minął, Nicole zaczęła płakać. Czuła się okropnie - a jednocześnie ogarnął ją cudowny spokój, ponieważ pierwszy raz od bardzo długiego - zbyt długiego czasu, nawiązała rozmowę z Bogiem.

Dlaczego przez parę miesięcy wydawało mi się, że modlitwa nie ma sensu? - zastanawiała się. Co się ze mną stało? Przecież Pan Bóg wysłuchał moich modlitw o pogodzenie się moich rodziców; to był prawdziwy cud. Zresztą nie tylko tych - co dzień wydarzało się coś, o co się modliłam.

Już wiem! Nagle zdała sobie sprawę, dlaczego ostatnio nie potrafiła się modlić.

Wydawało jej się, że Bóg jest godny zaufania tylko wtedy, jeśli reaguje na jej modlitwy tak, jak sama chciała. W Biblii napisane jest, że Bóg słyszy prośby ludzi, że jest wierny, że nie pozostanie na nie obojętny.

Nie znaczy to jednak, że robi dokładnie to, o co Go prosimy, ale raczej, że wpłynie na rozwój danej sytuacji w taki sposób, jaki On sam uzna za najlepszy.

Nicole przypomniało się również, że nie zawsze Bóg reaguje na modlitwy od razu. Inaczej nie byłoby powodu, aby nie ustawać w modlitwie, jak zaleca Pismo.

Położyła się z powrotem na kanapie, wciąż czując napięcie w dole brzucha po ostatnim skurczu. Dlaczego nie pamiętałam o tym wszystkim wcześniej? - zastanawiała się. Jak mogłam przeżyć tyle miesięcy bez rozmowy z Panem Bogiem?

Zachowywałam się, jakbym była całkiem głupia! - myślała ze łzami w oczach. Czy naprawdę zdawało mi się, że mogę iść przez życie bez osobistej relacji z Panem, który stworzył mnie i cały świat? Przecież wszystko zawsze budowałam właśnie na tej relacji.

Poczuła, że nie mogłaby odejść od Boga na zawsze. Po prostu pogniewała się na Niego, bo jej ojciec został sparaliżowany.

Cóż, Pan nigdy nie obiecał, że ludzie nie będą doświadczać problemów. Nicole wiedziała o tym od zawsze, tyle że wcześniej nie przeżywała poważnych kłopotów. Nigdy nie musiała osobiście zmagać się z pytaniem o to, jak Bóg, który jest Miłością może dopuszczać do okropnych cierpień ludzi.

Leżała na kanapie i myślała o swoich dotychczasowych przeżyciach. Pan błogosławił ją na tyle sposobów, tyle razy interweniował i kierował wszystkim! Raz po raz udowadniał, że istnieje i że Jego Słowo jest prawdziwe. Było tak, jak obiecywał - można było odnaleźć pokój pośród cierpienia. Bóg obiecał także ludziom życie wieczne. To najwspanialsze, co może człowiekowi się przydarzyć. Szczególnie, że życie ziemskie jest kruche, nieprzewidywalne i nietrwałe.

Nagle szarpnął ją kolejny, potężny skurcz.

- Matt! - krzyknęła Nicole. - Pomóż mi!...

Skurcz narastał. Spojrzała na leżącą tuż obok kartkę. Poprzedni skurcz nastąpił o 22:58. Nicole popatrzyła na zegarek, wydymając usta i wypuszczając powietrze tak, jak uczyli ją w szkole rodzenia.

Była 23:04. Minęło zaledwie sześć minut; a poprzedni skurcz nastąpił jedynie siedem minut po wcześniejszym. Skurcze były coraz silniejsze i częstsze.

Boże, co mam robić?! - jęknęła w duchu.

Poczuła, że powinna koniecznie przywołać Matta. Skurcz minął, więc zawołała głośno:

- Matt! Musisz mi pomóc!

Usłyszała, że mąż wstaje z łóżka i zbiega po schodach. Wpadł do salonu i zobaczył, że żona, cała zapłakana, kuli się w kącie kanapy.

- Co się stało? - spytał z niepokojem.

- Mam skurcze porodowe! - Nicole płakała z powodu bólu, strachu i zmęczenia. - Teraz powtarzają się już co sześć-siedem minut i są coraz silniejsze!

Matt pobladł, po czym ruszył z powrotem w stronę schodów.

- Ubieram się i jedziemy do szpitala! - rzucił. - Zaczekaj tu, zaraz zejść, dobrze?

Już po kilku minutach był gotowy. Ruszyli do szpitala. Matt prowadził bardzo szybko, ale i tak zanim przyjęli Nicole, była prawie północ. Zrobiono jej jakiś zastrzyk, żeby powstrzymać skurcze. Niestety nie podziałał, poza tym, że stała się po nim tylko jeszcze bardziej roztrzęsiona i skłonna do płaczu.

- Chciałabym zadzwonić do moich rodziców - szepnęła Nicole, wyciągając rękę do męża. - Co będzie, jeżeli urodzę jeszcze dzisiaj w nocy?

- Zatelefonuję do nich, jak tylko znajdziesz się na sali. Lekarz przewiózł Nicole na wózku z izby przyjęć do windy, a potem na oddział porodowy, który mieścił się na drugim piętrze.

- Robimy wszystko, żeby powstrzymać poród, ale rozwarcie szyjki pani macicy wynosi już pięć centymetrów - powiedział. - Skurcze nie ustają.

Pięć centymetrów?! Nicole czytała sporo o porodach i wiedziała, że przy tak dużym rozwarciu poród rzadko się cofa. Po chwili znalazła się w jasno oświetlonej sali, w której stał lśniący, metalowy stół.

- Nadal będziemy się starali powstrzymać skurcze - odezwał się znowu doktor - jednak musi pani wiedzieć, że możliwe, iż urodzi pani w ciągu niecałej godziny.

Nicole otworzyła usta. Chciała zadać lekarzowi pytanie, ale uniemożliwił jej to kolejny skurcz. Walczyła z bólem, podczas gdy Matt spytał za nią:

- Pani doktorze, żona jest dopiero w siódmym miesiącu ciąży! Co będzie z dzieckiem?

- Będziemy musieli poczekać i zobaczyć... - odpowiedział lekarz, marszcząc brwi. - Utrzymanie przy życiu wcześniaka, który ma niecałe siedem miesięcy, jest możliwe. Nie jest jednak pewne. Największym problemem jest oddychanie - płuca tak małego noworodka nie są jeszcze w stanie samodzielnie pracować. Część dzieci przeżywa, ale nie wszystkie.

Tylko część przeżywa?! - jęknęła w duchu Nicole. I chodzi o moje dziecko?! O maleństwo, które pokochałam w Wigilię, kiedy po raz pierwszy poczułam jego ruchy? Zdażyła już nawiązać od owego czasu głęboką więź ze swoim nie narodzonym dzieckiem, silniejszą niż wszystko, co dotąd potrafiła sobie wyobrazić.

- Pani Nicole - odezwał się głośno doktor, żeby wyrwać ją z rozmyślań. Zamrugła powiekami i spojrzała w oczy doktora. - Kiedy ostatni raz czuła pani ruchy dziecka?

- Od paru godzin ich nie czuję. Zazwyczaj jest bardziej ruchliwe.

- Hm... - Doktor zbadał brzuch Nicole stetoskopem. Trwało to chyba z minutę. - Z dzieckiem dzieje się coś niedobrego. Zdaje się, że musimy pozwolić mu się urodzić, aby spróbować je uratować.

Lekarz podłączył Nicole do kolejnego z kilku urządzeń.

- Za kilka minut wrócę. Proszę możliwie jak najmniej się ruszać.

Kiedy znikł, Nicole z bijącym w oszalałym tempie sercem złapała dłoń męża. Boże, błagam Cię, ocal moje maleństwo! - jęczała w duchu. Błagam Cię!

- Matt - szepnęła - dzwoń do moich rodziców. Musimy wszyscy się modlić.

Matt podszedł do stojącego obok telefonu. Znieruchomiał na moment i upewnił się:

- Chcesz, żebyśmy się...

- Oczywiście! - Nicole patrzyła mu z lękiem w oczy.

- Przedtem byłam po prostu zła na Boga. Kilka godzin temu znowu zaczęłam się modlić. I modlę się cały czas!

- Załkała. - Proszę cię, dzwoń już...

Matt wystukał numer rodziców Nicole. Obok strachu, niepokoju, poczucia bezradności, pojawiło się w jej sercu nowe uczucie. Ulga.

Nieprzyjemny odgłos telefonu wyrwał Abby ze snu. Usiadła na łóżku i sapnęła z przerażenia. Kto może dzwonić w środku nocy?! - zastanawiała się.

- Halo?

- Mamo, mówi Matt... - Abby usłyszała w głosie zięcia ogromny niepokój. Rozbudziła się natychmiast. Czyżby z Nicole działo się coś złego?! - Jesteśmy z Nicole w szpitalu - kontynuował szybko Matt. - Lekarze nie są w stanie zatrzymać jej skurczów. Wygląda na to, że w ciągu godziny urodzi. Nicole prosi was o modlitwę.

Serce Abby wyskoczyło z rytmu. Przecież ona jest dopiero w siódmym miesiącu ciąży! - pomyślała. Dziecko jest jeszcze maleńkie! Przypomniała jej się Haley Ann. Czy Nicole także straci dziecko? Boże, błagam Cię, nie dopuść do tego!

- Mamo, jesteś tam? - upewnił się nerwowo Matt. Abby ledwie rozpoznawała jego głos.

- Już jedziemy!

Rozłączyła się i obudziła Johna. Za ledwie dwadzieścia minut później zajechali na szpitalny parking. Ruszyli jak najszybciej na oddział położniczy. Matt wyszedł na korytarz, miał na sobie fartuch i jednorazową maseczkę.

- W żaden sposób nie udaje się zatrzymać porodu!

- Matt miał zaczerwienione oczy. - Lekarze mówią, że z dzieckiem dzieje się coś złego!

- Gdzie jest Nicole? - spytała Abby, ruszając ku drzwiom, z których wyszedł jej zięć.

- Na sali porodowej. Poród może nastąpić w każdej chwili.

- Czy możemy się z nią zobaczyć? - spytał John, podjeżdżając na wózku.

- Nie teraz. Mnie pozwolili tam być, ale doktor mówi, żebyście zostali w prywatnej poczekalni, po drugiej stronie korytarza. Kiedy tylko będę miał nowe informacje, natychmiast was zawiadomię. - Matt przytulił teściów.

- Nicole prosi, abyście modlili się za dziecko, lecz módlcie się i za nią! Doszło do krwotoku wewnętrznego. Jej ciśnienie krwi niepokojąco spadło...

Abby ledwie mogła wytrzymać na korytarzu, miała ochotę natychmiast pobiec do ukochanej córki. Nie tylko dziecko, ale i Nicole jest w niebezpieczeństwie?! Nie przyszło jej to nawet wcześniej do głowy. Bóg nie może pozwolić, żeby coś złego stało się Nicole! - jęczała w duchu. Tyle ostatnio wycierpieliśmy! I straciliśmy już jedną córkę...

Chyba Pan Bóg nie zabierze nam i drugiej?...

Matt odszedł. John ujął dłoń żony.

- Chodź - szepnęła. Ruszył do maleńkiej poczekalni, prowadząc Abby na fotel. Ustawił się z wózkiem tuż obok, po czym delikatnie ujął żonę za policzki i popatrzył jej w oczy.

- Wiem, czego się boisz, kochanie - odezwał się. - Jednak musisz przestać o tym myśleć. Powinniśmy wierzyć, że jest tu z nami Bóg, i że pomoże Nicole i jej dziecku.

Abby skinęła machinalnie głową wciąż ogromnie przerażona.

- Błagam cię, John - módl się! - jęknęła.

John dotknął skronią jej skroni i powierzył los córki i wnuczki czy wnuka Bogu:

- Panie Boże, ufamy Ci. Sytuacja jest trudna, spotkało nas wiele nieszczęść, ale i tak pokładamy w Tobie ufność. Wierzmy, że uczynisz cud i uratujesz naszą córkę i jej dziecko.

Ależ on ma silną wiarę! - pomyślała Abby. Czyż jednak, pomimo wszelkich przeciwności losu, nie doznajemy wciąż także skutków Bożych działań? John przeżył makabryczny wypadek. Powróciliśmy z mężem do siebie i znów się kochamy. Przestałam dusić w sobie uczucia...

Abby poczuła nagłą panikę, ale spokój zaraz powrócił. Nie mogła pozwolić sobie na panikę. Tuż obok walczyli o życie Nicole i jej dziecko. I nawet w takich okolicznościach Bóg z pewnością działał.

Muszę w to wierzyć! - przekonywała samą siebie Abby.

Inaczej chyba nie przetrzymam tej nocy! Gdybym nie wierzyła w Boga, nie przeżyłabym śmierci kolejnego dziecka...

Minęła przedłużająca się w nieskończoność godzina. Wreszcie do poczekalni wszedł Matt. Wyglądał na wyczerpanego, lecz uśmiechał się. Abby odetchnęła z ulgą.

- Z Nicole już właściwie wszystko w porządku - powiadomił. - Krwotok nastąpił wskutek uszkodzenia łożyska. Bywa, że powoduje to śmierć. - Westchnął ciężko; miał napuchnięte oczy. - Poczekaliśmy, aż ciśnienie krwi Nicole powróci do normy. Jest zmęczona, ale lekarze mówią, że niebezpieczeństwo minęło.

- Dzięki Bogu! - szepnęła Abby, oddychając z wysiłkiem. - Wiedziałam, że Pan Bóg ją ocali.

- Co z dzieckiem? - spytał w napięciu John, opierając dłoń na kolanie żony.

Matt posmutniał.

- To dziewczynka. Nie wygląda dobrze. Waży tylko kilogram i nie jest w stanie samodzielnie oddychać. Już przenieśli ją na intensywną terapię.

Nicole miała rację - dziewczynka. Tylko że chyba nawet nie będzie nam dane jej poznać... Biedne maleństwo! Leży samiuteńka w inkubatorze i z trudem nabiera powietrza do płuczek!... Abby gorąco zapragnęła przytulić nowo narodzoną kruszynkę.

- Czy możemy już zobaczyć się z którąś z nich? - spytała.

- Nicole jest na sali poporodowej. Być może śpi, ale na pewno ucieszy się, kiedy was zobaczy. Nie wiem natomiast jak z maleństwem... - Matt spuścił na chwilę wzrok. - Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tak maluteńkiego noworodka...

Abby i John ruszyli z Mattem na salę Nicole. John postukał Abby w nogę. Spojrzała na niego, a wtedy pokazał na swoje stopy.

- Powiedzmy jej! - rzucił szeptem.

No oczywiście! - pomyślała Abby. Wiadomość, że John być może znowu będzie mógł chodzić na pewno doda Nicole sił.

- Najlepiej ty jej powiedz - zaproponowała. Znaleźli się na sali. Nicole natychmiast otworzyła oczy.

- Cześć... - szepnęła słabo. - Co z dzieckiem?

- Zajmują się nią w tej chwili - odpowiedział Matt, natychmiast przyskakując do żony. Poglądził ją delikatnie po czole.

Nicole spojrzała na rodziców.

- Jest śliczna! - szepnęła. - Ma maleńkie ciemne włoski i cudną buźkę. Widzieliście ją?

- Jeszcze nie. - Abby zagryzła wargi. - Nic, ona jest bardzo mała...

- Wiem. Ale czuję, że dojdzie do siebie.

John zerknął na żonę, a ta skinęła głową. Odwrócenie uwagi Nicole od myśli o dziecku powinno jej dobrze zrobić. Szczególnie, że nowina, którą zamierzał podzielić się John, była naprawdę niezwykła. John podjechał do łóżka Nicole i dotknął palców jej nóg.

- Wiesz, Nic, mam dla ciebie ciekawą wiadomość.

- Tak? - Nicole zamrużyła zmęczonymi oczami. - To chyba coś ważnego. - Uśmiechnęła się.

- Owszem. - John wymienił jeszcze jedno spojrzenie z Abby. - Parę dni temu byłem u lekarza. Zrobili mi kilka badań i stwierdzili, że kwalifikuję się

do operacji szyjnego odcinka kręgosłupa. Operacja odbędzie się za mniej więcej miesiąc.

Oczy Nicole rozszerzyły się; Matt spojrzał na Johna, otwierając usta. Nicole, walcząc z bólem, oparła się na łokciach.

- Po co będzie ta operacja? - spytała.

- Otóż ostatnio powraca mi chwilami czucie w palcach nóg. Zdarza się nawet, że jestem w stanie odrobinę nimi poruszać. - Abby patrzyła, uszczęśliwiona, jak błyszczą oczy jej męża. - Podobno w pewnych rzadkich przypadkach taka operacja może przywrócić człowiekowi czucie.

- I mógłbyś chodzić?!... - szepnął ze zdumieniem Matt.

Broda Johna zatrzęsała się. Szukał odpowiednich słów.

- Jeżeli operacja przywróci Johnowi czucie - odezwała się za męża Abby - to odzyska pełną sprawność.

Nicole krzyknęła z radości.

- To cudownie, tato!

- To tylko możliwość, nic pewnego - zastrzegł John. - Ale modlimy się, żeby się udało. - Oparł się wygodnie, roześmiał się i dodał: - Niedawno mama powiedziała, że

Pan Bóg na pewno szykuje dla nas jakieś doniosłe, pomyślne wydarzenie. Nie myliła się chyba.

- Nie. Czuję, że się uda - odpowiedziała z przekonaniem Nicole. - Ze będziesz chodził i że nasze małeństwo przeżyje. - Nicole złączyła dłonie. - Musisz ją zobaczyć, mamusiu. Jest taka cudna!

Abby ogarnął tylko smutek, jednak uśmiechnęła się.

- Nie wątpię, kochanie - szepnęła.

- Zostaliście dziadkami! - zauważyła Nicole. Była wyraźnie zmęczona, ale jej entuzjazm nie opadał. - Zdajecie sobie sprawę?

Abby nie zastanawiała się nad tym ani chwili. Jedyne, co miało dla niej znaczenie, to zdrowie Nicole i dziecka. Nicole urodziła je... faktycznie, jesteście z Johnem babcią i dziadkiem - stwierdziła. Nie potrafiła w to uwierzyć. Przyszło jej do głowy dziwne pytanie - czy ta scena rozgrywałaby się tak samo, gdyby się rozwiedli? Prawdopodobnie nie byłoby w szpitalu Johna. Wezwanie go tu spowodowałoby u wszystkich dodatkowy, zbyt silny stres.

Jaki dobry był dla nas Pan Bóg! - pomyślała Abby, obejmując ramieniem męża. Patrzyła na Nicole; spokój w oczach jej córki był zdumiewający.

- Czy wybraliście już imię maleńkiej?

Nicole i Matt omówili mnóstwo imion, długo nie mogli zdecydować, jakie imię nadadzą chłopcu, a jakie dziewczynce. Ale teraz spojrzeli po sobie z lekkim uśmiechem.

- Tak - powiadomiła rodziców Nicole. - To Haley Jo. Po mojej siostrzyczce i po mamie Matta.

- Och! - Abby nie umiała powstrzymać łez. - Piękne imiona...

Nastała chwila milczenia, przerywana odgłosami płaczu. Wszyscy myślimy o tym samym - oceniła Abby. Haley Ann umarła jako niemowlę; może i Haley Jo nie przeżyje?

Nadszedł lekarz.

- Pani Nicole, pani dziecko jest w bardzo poważnym stanie. Wiem, że jest pani zmęczona, ale dobrze by było, żebyśmy posadzili panią na wózku i przewieźli na neonatologię, na intensywną terapię. Być może dziecku pomoże pani dotyk, brzmienie pani głosu...

Nicole została błyskawicznie przeniesiona na wózek inwalidzki, po czym Matt przewiózł ją na oddział neonatologii. Abby i John znowu zostali sami.

- A jeżeli Haley Jo umrze, zanim zdążymy ją zobaczyć? - jęknęła Abby. Przyłgnęła do męża, obejmując go za szyję.

- Wtedy zostaną w niebie przyjaciółkami z Haley Ann - odpowiedział, całując ją w czoło. - Kiedyś, gdy nadejdzie nasza kolej, przywitają nas tam i wtedy je zobaczymy.

Przenieśli się znowu do poczekalni. O trzeciej w nocy przyszedł Matt.

- Lekarz mówi - odezwał się głosem zdławionym od łez - że możecie tam wejść. - Założył ręce. - Bardzo możliwe, że nasze maleństwo nie przeżyje. Nicole chce, żebyście zobaczyli Haley Jo, zanim...

Nie był w stanie dokończyć myśli. John pierwszy ruszył wózkami w stronę Matta.

- Prowadź - szepnął. Abby była tuż za nim.

Dotarli z Mattem do miejsca, gdzie dano im jednorazowe fartuchy i polecono umyć ręce. Następnie z oddziału intensywnej terapii wyjrzała pielęgniarka.

- Proszę. Wizyta musi być krótka, bo cały czas uwijamy się, żeby uratować dziecko.

John, Abby i Matt przeszli za pielęgniarką na salę, gdzie zobaczyli inkubator. Abby zaniemówiła.

- To jest Haley Jo - powiedziała pielęgniarka, dotykając dłonią przezroczystej pokrywy urządzenia.

Matt pozostał z tyłu, żeby John i Abby mogli dobrze widzieć. Dziecko było naprawdę prześliczne. Wyglądało jak miniatuurka nowo narodzonej Nicole, a także... Było bardzo podobne do...

- John!... Widzisz? - odezwała się Abby.

John ze łzami w oczach skinął głową. Nie mógł oderwać wzroku od malutkiego dzieciątka.

- Wygląda jak druga Haley Ann... - szepnął.

- Poważnie? - Matt popatrzył z zainteresowaniem na swoje dziecko. - Nie mogliśmy z Nicole dojść, do kogo jest podobna.

Abby spojrzała znowu na noworodka. Paluszki dziewczyneczki były drobniutkie jak spaghetti. Mogłaby ułożyć się wygodnie na męskiej dłoni Johna. Do ciała Haley Jo podłączonych było kilka cieniutkich przewodów, opaski z końcówkami urządzeń zakrywały ją niemal całkowicie. Była bardzo blada, jej skóra była półprzezroczysta. Na pewno nie była to skóra zdrowego noworodka.

- Oddychaj, maleństwo, oddychaj!... - szepnęła Abby, dotykając dłonią ciepłej szyby. - Pomagamy ci w tym.

John milczał, ścisnął tylko żonę za kolano. Nie miał nic do dodania.

Nagle Abby uświadomiła sobie, że w szpitalu nie ma Jo ani Denny'ego. Obejrzała się przez ramię.

- Czy dzwoniłeś do swoich rodziców? - zapytała.

- Chyba źle odłożyli słuchawkę... Dzwoniłem wielokrotnie, ale za każdym razem jest zajęte.

- Zajedziemy do nich po drodze do domu i powiemy im o wszystkim - zdecydował John, oddalając się odrobinę od inkubatora. - Nie będziemy was tu dłużej dodatkowo obciążać. Jednak wiedzcie, że przez cały czas będziemy modlić się za Haley Jo. Gdyby cokolwiek się wydarzyło, jesteśmy pod telefonem.

John ma rację - pomyślała Abby, choć nie chciała odchodzić od inkubatora, zupełnie jakby patrząc na dziecko, była zdolna pomóc mu oddychać. Scena przypomniała jej ostatni dzień życia Haley Ann. Ułożyła wtedy córeczkę w kołysce, żeby się przespała, a kiedy zajrzała do niej po dwóch godzinach, Haley Ann już nie żyła.

Gdybym wtedy z nią została i patrzyła, jak Haley Ann oddycha, uratowałabym ją. Zobaczyłabym, kiedy tylko jej oddech ustał, i zaraz potrząsnęłabym nią, a wtedy żyłaby, być może do dzisiaj. A jeśli może od tego zależeć także życie mojej malutkiej wnusi?...

John czekał na Abby, ale ona przyjrzała się jeszcze raz Haley Jo.

Powierzam ją Tobie, Panie - pomodliła się. - Pilnuj jej. Błagam Cię, spraw, żeby oddychała.

Przed oczyma wyobraźni Abby stanął uśmiechający się, pełen młodszej energii Jezus, tulący do piersi malutką Haley Jo. Dopiero wtedy Abby poczuła się gotowa odejść od inkubatora. Wiedziała, co chce przekazać jej Pan. Nie mogła zrobić dla maleństwa nic więcej, za to Bóg opiekował się już jej wnuczką.

Jej życie, przyszłość, każdy kolejny oddech Haley Jo spoczywały w Jego rękach.

RS

ROZDZIAŁ 27

Odezwał się dzwonek do drzwi, dochodziło właśnie południe. Abby była pewna, że przyjechali Jo i Denny. Nicole telefonowała parę godzin wcześniej, powiedziała, że Haley Jo przeżyła noc. Wracając ze szpitala, Abby i John obudzili rodziców Matta, a ci natychmiast pojechali na miejsce. Pewnie postanowili tu zajrzeć, żeby podzielić się swoimi obawami... - myślała Abby. Przynajmniej będziemy mogli wspierać się nawzajem we czworo.

Otworzyła drzwi i ze zdziwieniem zobaczyła rodziców Jake'a Danielsa. Tara i Tim spojrzeli na nią z minami zawstydzonych nastolatków.

- Czy moglibyśmy z wami porozmawiać? - spytała niepewnie Tara.

- Proszę. - Abby cofnęła się odruchowo. Od czasu spotkania w sądzie rodzice Jake'a nie kontaktowali się z nią ani Johnem. - Myślałam, że to ktoś inny.

Danielsowie weszli do przedpokoju.

- Jeżeli spodziewacie się gościa, możemy wpaść innym razem... - odezwał się Tim.

- Nie, w porządku. - Abby machnęła ręką. Zawahała się i wyznała: - Dzisiaj w nocy Nicole urodziła dziecko. Myślałam, że to może rodzice jej męża.

- Czy z dzieckiem wszystko w porządku? - spytał z troską Tim, widząc jej minę.

- Nie. Niestety... Dziewczynka urodziła się dwa miesiące za wcześnie - wyjaśniła zdławionym głosem Abby.

- Modlimy się za nią...

- Chodźcie, chodźcie! - odezwał się z korytarza głos Johna. Musiał usłyszeć wchodzących; zbliżał się do nich na wózku.

Przenieśli się wszyscy do salonu. John ustawił wózek koło fotela Abby.

- Ciagle jesteś na urlopie? - zagadnął Tima.

- Tak. - Tim i Tara wymienili spojrzenia. - W czwartek sąd będzie przesłuchiwał Jake'a.

- Być może skazą go na rok ośrodka dla młodocianych przestępców - poinformowała Tara, przysuwając się odrobinę do męża. - Ale to w najgorszym przypadku.

Przyjechali tu, żeby porozmawiać o wyroku Jake'a?! - zastanawiała się Abby, wierząc się w fotelu.

- Jesteśmy tu z innego powodu - zaczął Tim, zakładając ręce. Pochylił się naprzód i kontynuował: - Kiedy spotkaliśmy się w sądzie, powiedzieliście nam, że w zeszłym roku o mało się nie rozwiedliście... Pamiętacie?

John skinął głową.

- Od tego czasu chcieliśmy was odwiedzić, tylko... jakoś nie mogłam zebrać się w sobie. - Tara założyła nogę na nogę. - Jednak po przyszlotygodniowej rozprawie Tim będzie musiał wrócić do pracy. To znaczy, że wyjedzie, a my do tej pory nie zdołaliśmy ustalić, co czujemy. Czy powinniśmy do siebie wrócić.

- Jesteście pełni obaw... - szepnęła ze zrozumieniem Abby.

- Zanim Tim nas opuścił, klóciliśmy się okropnie. Później, kiedy już go nie było, zaczęło mi okropnie brakować wszystkiego, z czego zrezygnowaliśmy, rozwodząc się. Miłości, śmiechu, wspólnych wspomnień. Zabrakło ich i nie potrafiłam myśleć o niczym innym.

- Ja też tak czułem, ale Tara mi nie wierzy. - Tim uniósł ręce w pełnym emocji geście. - Nie mamy wątpliwości, że chcemy być razem. Nie umiemy tylko przejść do porządku dziennego nad przeszłością.

To samo moglibyśmy mówić my - pomyślała Abby przed rokiem, kiedy umierał mój tata. Wiedzieliśmy wtedy ponad wszelką wątpliwość, że zależy nam na sobie nawzajem i że się nawzajem potrzebujemy, ale każde z nas czuło się tak zranione przez drugie, że nie umiało tego przetrwać.

- Kiedy Tim się od nas wyprowadził, zaczął umawiać się z innymi kobietami! - poskarżyła się Tara. - Ja płakałam za naszym małżeństwem, a on rozpoczął sobie nową pracę w New Jersey, zmienił fryzurę i znalazł sobie zaraz dziewczynę. Zmieniał je czasami co kilka tygodni. Trudno żebym zapewniła mu to samo...

- Te kobiety nic dla mnie nie znaczą - zapewnił Tim, oglądając własne dłonie. - Robiłem to z rozpacz. Żeby zapomnieć, jak cierpię. Wszystko, co robiłem, było dla mnie formą ucieczki. Nawet to, że kupiłem Jake'owi acurę NSX.

Nastąpiła chwila milczenia. Abby wzięła głęboki oddech.

- Czy mogę coś powiedzieć? - upewniła się.

- Mów - odparł natychmiast Tim. - Po to właśnie przyszliśmy.

Abby spojrzała pytająco na Johna, żeby zorientować się, czy mąż zgadza się na to, by podzieliła się z Daniel-sami szczegółowo problemami, jakie sami przeżywali. Patrzył z całkowitym spokojem, zrozumiała więc, że John jest na to gotów. Uśmiechnęła się i popatrzyła na Tarę.

- Kiedy John i ja mieliśmy ze sobą kłopoty - zaczęła ~ John spędzał dużo czasu z pewną nauczycielką ze szkoły. Nieważne, którą; i tak już tam nie pracuje. W każdym razie byłam z tego powodu wściekła. Zazdrosna. Ta kobieta była młodsza ode mnie, miała stałą pracę, była dobrze wykształcona. Pomyślałam, że nie jestem w stanie z nią współzawodniczyć, a poza tym, że wcale nie chcę. Później John wychodził ze skóry, żeby wszystko między nami naprawić, lecz ja jeszcze przez pewien czas pozostawałam zazdrosna i wściekła na niego.

- Tak samo jest z nami - potwierdziła Tara, kiwając głową.

- Musiałam nauczyć się pewnej ważnej rzeczy: czasami serce błądzi. Może popełnić nawet całą serię błędów. Kiedy wychodziłam za Johna, przysięgam kochać go w dobrej i złej doli. Niezależnie od wszystkiego. - W głosie Abby słychać było silne emocje, choć mówiła cicho. Miała zresztą nadzieję, że owe emocje wpłyną na Tarę. - John chciał, żeby między nami było wszystko dobrze, ale ja nie miałam zamiaru mu przebaczyć. I wiecie co? Oznaczało to, że w tamtym okresie to nie on łamał przysięgę małżeńską, lecz ja. Nie chciałam mu zaufać, mimo że raz za razem powtarzał mi, że ostatecznie nie miał romansu z ową nauczycielką. Chciałam na swój sposób ukarać Johna za to, że uważał inną kobietę za atrakcyjną, że zbliżył się do niej, pozwalał na jej umizgi. Usprawiedliwiałam tym sobie fakt, że traktowałam męża... - Abby zastanowiła się nad celnym słowem - okrutnie. Czułam się emocjonalnie zraniona, więc myślałam, że John zasługuje, żebym go źle traktowała.

Znów zapadło milczenie.

- Oczywiście nie rozumiałem, co dzieje się w głowie Abby - odezwał się znowu John, patrząc w oczy Timowi. - Uważałem po prostu, że Abby nie chce mi przebaczyć.

- I jak udało się wam przewyciężyć tę sytuację? - spytała Tara, osuszając dłonią powieki.

- Dzięki wspomnieniom, które nas łączyły. - John oparł się wygodnie i spojrzał przed siebie, na wpeł nieobecny wzrokiem. - Akurat kiedy mieliśmy się rozwieść, Nicole zaręczyła się, postanawiając wyjść za Matta. Zaczęliśmy rozmawiać o ślubnej sukni, o mszy, o przysiędze przed obliczem Boga... - Pokręcił głową. - Zaręczyny Nicole sprawiły, że chcąc nie chcąc, przypominaliśmy sobie z Abby jak to było z nami, dwadzieścia lat wcześniej.

- Jak się pobraliśmy - i jeszcze wcześniej, jak zakochaliśmy się, jeszcze będąc nastolatkami - dodała z uśmiechem Abby. - To był magiczny czas... Ale i wtedy, kiedy powróciły wspomnienia, nie było nam łatwo.

- Bo każde z nas wspominało osobno - dorzucił ze smutnym uśmiechem John. - Żadne z nas nie wiedziało, jak porozmawiać o tym z drugim, i dlatego wciąż szykowaliśmy się do rozwodu.

- I co ostatecznie was powstrzymało? - spytała Tara. Po jej policzku spłynęła kolejna łza.

- Bóg - odpowiedzieli równocześnie John i Abby. Spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się oboje. - Zupełnie jakby przysłał nagle nam obojgu telegram - oznajmił John, patrząc intensywnie w oczy Timowi. - - Nie rozwódźcie się! Stworzyłem was dla siebie nawzajem. Wybaczcie sobie, zapomnijcie o tym, co było złe i życie dalej wspólnie w radości, którą dla was przewidziałem.

- Czy czasami czujesz coś podobnego? - spytała Abby Tarę. - Że Bóg pragnie, abyście porzucili gniew i wzajemne urazy, i po prostu się kochali?

- Przez cały czas.

- To dlaczego jeszcze do siebie nie wróciliście?

- Dlatego, że się boję, że wszystko zacznie się od nowa - odpowiedziała Tara. Popatrzyła na Tima. - Jesteś jedynym mężczyzną jakiego kiedykolwiek kochałam; ale kiedy mnie porzuciłeś, znenawidziłam cię. I poprzysięgam sobie, że już nigdy nie złamiesz mi serca po raz drugi. Nawet gdybyś mnie błagał, żebym do ciebie wróciła.

- Wasz największy problem to coś, co dręczy ludzkość od samego początku.

- Co? - spytał krótko Tim, wykręcając dłonie.

- Pycha - odparł z uśmiechem John. - To z jej powodu Adam i Ewa zerwali jabłko - pomyśleli sobie, że staną się mądrzejsi niż Bóg. Chcieli Mu dorównać. I właśnie dlatego kochające się pary, jak wy czy my, zaczynają się stopniowo rozchodzić, aż dochodzą do wniosku, że jedynym wyjściem jest rozwód. - Ujął dłoń żony. - A tymczasem jedynym wyjściem jest w takich przypadkach trzymać się mocno siebie nawzajem, przebaczyć sobie i kochać się nadal.

Przez chwilę wszyscy znowu milczeli. John postanowił przejść do finalnego argumentu.

- Pamiętajcie? Podstawą grzechu szatańskiego jest właśnie pycha. To szatan chce, żeby nam się zdawało, że nie możemy przebaczyć, żyć razem w zgodzie i pokorze. Ale ma w tym ukryty cel - chce nas zniszczyć.

- Myślisz, że rozwód sprowadza się do tego, że dwoje ludzi postępuje zgodnie z podszeptami szatana? - upewnił się Tim, patrząc Johnowi w oczy.

- W zasadzie tak można powiedzieć. Kiedy składamy przysięgę małżeńską, nie myślimy przecież o rozwodzie. Prawda?

Tara i Tim pokiwali zgodnie głowami.

- Ja, na przykład, biorąc ślub, wiedziałem, że Abby jest moją jedyną miłością, kobietą, z którą chcę spędzić resztę mojego życia.

- Ja czułem to samo wobec Tary!... - szepnął Tim, i położył dłoń na kolanie byłej żony. Nie oponowała.

- Skoro tak, tylko fałszywe mniemania mogą zniszczyć związek. Prawda? Inaczej miłość, która łączyła nas z Abby, z każdym rokiem stawałaby się wspanialsza... - W głosie Johna zabrzmiała nutka żalu. Abby dobrze rozumiała męża. Oboje żalowali straconych lat, kiedy żyli osobno, choć pod jednym dachem.

- Zamiast tego zaczęliśmy myśleć o sobie z niechęcią - podchwyciła. - Szybko zaczęliśmy słuchać fałszywych podszeptów, wyobrażając sobie, że zasługujemy na coś lepszego niż życie w naszym małżeństwie.

- Potrzebowaliśmy wówczas zatrzymać się, przestać od siebie uciekać, przebaczyć sobie nawzajem i przypomnieć sobie, dlaczego przed laty się pobraliśmy.

Tara pociągnęła nosem, chociaż przestała już płakać.

- W tym wszystkim najważniejsze jest przebaczenie!...- stwierdziła.

- To prawda - zgodziła się natychmiast Abby. Przypomniała sobie ze smutkiem, jak okropnie żyło im się z Johnem w okresie, kiedy nie chciała mu przebaczyć. Skupiała się wówczas na odczuwanej goryczy i starała się za wszelką cenę nienawidzić mężczyznę, któremu poprzysięgła miłość.

John poprawił się na wózku.

- W Piśmie Świętym jest historia o człowieku, któremu król darował ogromny dług - kontynuował, spokojniej niż przedtem. - Kiedy tylko ów człowiek został uwolniony od długu, wybiegł na ulicę w poszukiwaniu swojego sługi. Znalazłszy go, złapał go i zawołał: - Jesteś mi winien pieniądze! Oddaj, bo inaczej każę wtrącić cię do więzienia za twój dług!. Kiedy król dowiedział się o tym wydarzeniu, wezwał owego człowieka ponownie i oznajmił: - Dług, który ci darowałem, był o wiele większy niż ten, który zaciągnął u ciebie twój sługa. Skoro nie potrafisz darować drugiemu długowi, i ja nie daruję ci twojego!. I wtrącił go do więzienia.

Abby uwielbiała, gdy John potrafił zilustrować jakąś sytuację biblijną przypowieścią. Miał talent do opowiadania historii. To dzięki niemu był dobrym nauczycielem i bardzo komunikatywnym człowiekiem. A kiedy znowu zaczęli co tydzień jeździć razem do kościoła, raz po raz przypominały się jej mężowi fragmenty Pisma Świętego, w rodzaju tego, który przed chwilą przedstawił.

Abby dostrzegła na twarzach Tary i Tima zrozumienie.

- Bóg przebaczył nam o wiele więcej niż kiedykolwiek będziemy mieli okazję przebaczyć innym - szepnęła.

- Dokładnie... - zgodził się ze współczuciem w głosie John.

- Czy moglibyście modlić się za mnie? - poprosiła Tara, wysuwając się naprzód. - O to, żebym przebaczyła Timowi.

John natychmiast spełnił na głos jej prośbę. Kiedy już pomodlili się wspólnie, popatrzył na Abby i poprosił:

- Kochanie, czy mogłabyś zdjąć mi buty?

Abby nie wiedziała, o co chodzi mężowi, jednak jego uśmiech zwiastował coś dobrego. Kucnęła więc i ściągnęła mu buty z nóg. Wróciła na fotel i czekała, co nastąpi dalej.

Tim i Tara z ciekawością wpatrywali się w jego stopy.

- Patrzcie - polecił, pokazując na palce swoich stóp. - Chciałbym, żebyście przekazali coś waszemu synowi.

Abby zastanawiała się, co chce zrobić John. Jego palce poruszały się raczej odruchowo. Czyżby...?

Cztery pary oczu wpatrywały się w palce Johna. A on poruszył obydwoma paluchami! Abby zobaczyła to na własne oczy. Ruch był niewielki, ale niezaprzeczalny. Abby krzyknęła z radości i objęła męża za szyję.

- Coś takiego, kochanie! Nie do uwierzenia.

Tim i Tara mieli takie miny, jakby John zaczął lewitować.

- Jak to mo... - zająknął się Tim. - John! Czy mówiłeś o tym lekarzowi?

- Tak! - John przyciągnął do siebie Abby, tak że usiadła mu na kolanach. - Okazuje się, że mój przypadek należy do bardzo rzadkiej grupy, którą można operować. Istnieje szansa - choć absolutnie nie ma pewności - że całkowicie odzyskam władzę w nogach. W przyszłym miesiącu będą mnie kroić.

- Boże wielki! - sapnęła Tara, zasłaniając dłonią usta.

- Jake mówił mi, że modli się o cud. O to, żeby... żebyś znowu chodził.

- Nie powiedział mi tego - odezwał się ze zdziwieniem Tim, spoglądając na byłą żonę.

- Naprawdę. - Tara wciąż wpatrywała się w palce stóp Johna. - Do tego Jake twierdził, że Bóg daje mu do zrozumienia, iż spełni jego prośbę. Ale po kilku miesiącach Jake przestał o tym mówić. Cud nie nastąpił...

- W takim razie powiedz Jake'owi, żeby modlił się dalej - odpowiedział z uśmiechem John, przytulając mocno Abby. - Cuda przytrafiają się tym, którzy w nie wierzą.

Tara i Tim poszli. John odjechał na wózku do niedawno urządzonej sypialni na parterze. Abby usiadła przy stole w jadalni, i siedziała długo, wyglądając na jezioro. John ma rację - cuda przytrafiają się tym, którzy w nie wierzą - myślała. Na przykład Nicole modliła się o naprawę naszego związku. A Jake - o wyzdrowienie Johna. Miał też przecucie, że John będzie znowu chodził.

Abby siedziała bez ruchu i modliła się za małą Haley Jo. Rozmawiała z Bogiem, zastanawiając się nad rzeczami, które zaplanował dla członków jej rodziny. Im dłużej myślała o odbytej rozmowie z Tarą i Timem, tym bardziej nabierała przekonania, że za jakiś czas Jake będzie świadkiem nie jednego, a dwóch cudów.

Jednym z nich będzie odzyskanie przez Johna władzy w nogach, zaś drugim... ten drugi cud zapewne nastąpi dużo wcześniej, już niedługo. Spodziewała się, że Tim i Tara podejną wkrótce razem do syna i powiadomią go, że Tim nie wróci już do New Jersey.

Nadeszło niedzielne popołudnie. Haley Jo przeżyła już trzy doby - więcej niż wydawało się możliwe lekarzom. Jednak każdy oddech wciąż był dla niej wyczynem. Nicole szybko doszła do siebie. Kiedy tylko nie spała, wpatrywała się w inkubator; pozwolono jej wkładać rękę do środka i wodzić delikatnie palcem po nóżce albo rączce Haley Jo. Dzieciatko wyraźnie reagowało nie tylko na dotyk Nicole, ale i na jej głos.

W pewnej chwili ktoś poklepał Nicole po ramieniu. Odwróciła głowę i zobaczyła Jo. Jej powieki były czerwone i napuchnięte od płaczu.

- Cześć - odezwała się.

- Cześć, Jo. Siadaj.

Jo skinęła głową i przysiadła na krześle koło Nicole.

- Co z nią?

- Trzyma się... - Nicole przyjrzała się teściowej. Jo była ucieleśnieniem emocji. W jakim by nie była nastroju, przeżywała go z wielką siłą. Tym

razem wydawała się jednak przygaszona. - Dobrze się czujesz? - spytała z troską Nicole.

- Tak. - W oczach Jo błysnęły łzy. - Gdzie Matt?

- W domu, pojechał trochę się zdrzemnąć. Praktycznie nie spał od chwili, kiedy urodziłam.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, obserwując malutką dziewczynkę, która wysilała się, żeby poruszać niedorozwiniętymi mięśniami klatki piersiowej. Minęło pięć minut.

- Nicole, muszę ci coś powiedzieć - oznajmiła z westchnieniem Jo.

- Tak? - szepnęła Nicole, odwracając na moment głowę.

- O rety!... - Jo przewróciła oczami i przycisnęła dłoń do nosa. - Nigdy nie przypuszczałam, że komukolwiek o tym powiem, a już na pewno nie tobie czy Mattowi.

Nicole przyjrzała się uważnie teściowej. Nie wiedziała, o co chodziło, ale było to coś, co Jo odczuwała jako wielkie brzemię.

- Możesz powiedzieć mi wszystko - szepnęła Nicole.

- Czy mogłabyś mi obiecać, że mnie nie znienawidzisz? - spytała Jo, zerkając na nią z niepokojem.

- Obiecuję.

- Widzisz... - Jo sapnęła z wysiłkiem, szukając odpowiednich słów. - To działo się bardzo dawno temu, zaraz po moim pierwszym ślubie z Dennyem. - Jo wytarła spocone dłonie w nogawki spodni, wpatrując się w maleńką Haley Jo. - Byliśmy wtedy młodzi i głupi. Parę tygodni po ślubie okazało się, że jestem w ciąży.

Była w ciąży? Nicole starała się nie okazywać zaskoczenia. Rzeczywiście, ani ona, ani Matt nie wiedzieli dotąd o tym, o czym mówiła Jo.

- Przeraziliśmy się na całego! - kontynuowała Jo, kręcąc głową. - Jak dwie rybki złapane na haczyk. Im dłużej o tym rozmawialiśmy, tym bardziej wyglądało, że jesteśmy w sytuacji bez wyjścia. Rozumiesz?...

- Tak. - Nicole miała nadzieję, że widać, iż naprawdę współczuje teściowej. Sama czuła się podobnie jak ona, kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży. Gdyby nie Boża interwencja, być może Nicole do tej pory nie zaakceptowałaby swojego dziecka.

- W tamtym czasie Denny i ja nie znaleźliśmy Boga. Ani my, ani nikt w naszym otoczeniu. Więc... - Jo zwiesiła głowę. - Przepraszam, nie wiem, czy jestem w stanie dokończyć.

Nicole zrozumiała. Najpewniej Jo poddała się aborcji. Nicole wyciągnęła rękę i ujęła zniszczoną dłoń teściowej.

- Żadne twoje wyznanie nie sprawi, że choćby odrobinę przestanę cię kochać, Jo. Ale nie musisz mi o tym opowiadać, jeśli nie chcesz.

Jo starała się odzyskać panowanie nad sobą. Kiedy już znowu mogła mówić, zerknęła na Nicole i wyrzuciła z siebie:

- Miałam aborcję. - Pokiwała głową, pociągnęła nosem i zaczęła opowiadać: - Denny zawiózł mnie do kliniki. Czekał na korytarzu. Znalazłam się w paskudnym pokoju, i jeden przystojny facet podszedł do mnie i powiedział, że wszystko będzie dobrze. Kazał mi leżeć zupełnie nieruchomo i mówić, jeżeli poczuję ból. Usunięcie ciąży miało zająć tylko chwilę.

Po policzkach Nicole zaczęły płynąć łzy; ogromnie współczuła Jo. Nie wiedziała, co powinna powiedzieć, więc milczała.

- Usunięcie ciąży - powtórzyła Jo - jak to brzmi! Zupełnie jakby nie było to dziecko. - Otarła oczy. - Kiedy pojechałam do tej kliniki, byłam już w piątym miesiącu. Jedna z pielęgniarek powiedziała mi... - głos uwiązł na moment w gardle Jo - że to była dziewczynka. Maluteńka dziewczynka, taka jak twoja Haley Jo! Ale ja zamiast pomagać jej żyć, zabiłam swoje dziecko.

Jo zasłoniła twarz rękami i załkała.

- Och, Jo!... - westchnęła Nicole, jednak nie przychodziły jej do głowy żadne mądre słowa. Zaczęła więc masować delikatnie ramiona teściowej.

- Rok później - odezwała się Jo, kiedy ponownie odzyskała głos - zaszłam w ciążę po raz drugi - wtedy urodził się Matt. Myśleliśmy z Dennem o kolejnej aborcji, lecz coś mnie powstrzymało. Już nawet nie pamiętam, co, ale jakoś wydawało mi się, że zrobiłabym coś złego. Nieważne, że byliśmy młodzi i nie mieliśmy pieniędzy. Pomyślałam, że to nie jest wina dziecka i że nie chcę więcej jeździć do tej okropnej kliniki.

Serce Nicole przystanęło na moment. Gdyby Jo zabiła wtedy Matta... Woląta o tym nie myśleć. Aborcja, na którą zdecydowała się Jo, była dostatecznie bolesnym wydarzeniem.

- Czy Matt wie o tym? - spytała Nicole.

- Jak mogłabym mu o tym powiedzieć? Jak można spojrzeć synowi w oczy i powiedzieć, że zabiło się jego siostrę?

- Cśś, Jo... - uspokoiła Nicole, obejmując teściową za szyję. Przyłożyła skroń do jej skroni. - Nie wiedziałaś, co robisz.

- Ale teraz wiem! - Jo rozplakała się rzewnie. Pielęgniarki zaczęły przyglądać się im podejrzliwie. Jo zauważyła to i zniżyła głos. - Odkąd tylko urodziłam Matta, żałuję tego, co zrobiłam wcześniej. Zrobiłabym wszystko, żeby odzyskać moje maleństwo, żeby wrócić do tamtej sytuacji i urodzić je.

Nicole oparła się wygodnie i szepnęła:

- Pan Bóg przebaczył ci, Jo. Wiesz o tym? Jo pokiwała głową.

- W zeszłym roku kiedy powierzyłam swoje życie Chrystusowi - mówiła, pociągając nosem - rozmawiałam o tym z Dennym. Powiedziałam mu, że to, co kiedyś zrobiliśmy, było bardzo złe, i Denny się zgodził. Uklękliśmy i przeprosiliśmy mocno Pana Boga. - Uniosła odrobinę głowę.

- Nigdy nie widziałam, aby dorosły mężczyzna tak płakał! Zrozumiałam, że nie tylko mnie brakuje naszej małej córeczki.

Obraz namalowany przez Jo poruszył Nicole do głębi. Oboje z Dennym wzięli odpowiedzialność za zabicie nie narodzonego dziecka i błagali Boga o wybaczenie.

- To cudowne, że uczciliście jej pamięć w taki sposób - odezwała się.

- To nie było cudowne, tylko okropnie smutne! Nigdy w życiu nie czułam się taka zbolą, jeśli chcesz wiedzieć. Kiedy już przeprosiliśmy Boga, poprosiliśmy Go, żeby opiekował się naszym dzieckiem w niebie. Wiesz, przytulał ją, całował, zrywał z nią kwiatki w słoneczne letnie dni, uczył jąłowic ryby, śmiać się i kochać. Doglądał jej aż do czasu kiedy sami znajdziemy się w niebie i będziemy mogli się nią zająć.

Jo umilkła i znów wpatrywała się w Haley Jo.

- Wyobraziliśmy sobie, że nasza córeńka jest jak sierotka. W niebie. - Jo spojrzała z ukosa na Nicole i oznajmiła: - I właśnie wtedy obiecaliśmy Bogu, że jeżeli będzie opiekował się naszą małą sierotką, to my będziemy opiekowali się jego sierotami, tu, na ziemi.

- To dlatego jedziecie do Meksyku!...

- Tak. - Usta Jo drżały. - Dlatego. Nicole aż sapnęła z wrażenia.

- Piękna historia! - skomentowała.

- Częściowo. Dalszy ciąg też nie jest piękny.

Serce Nicole znowu przyspieszyło, ale nie przerywała teściowej.

- Kiedy tylko dowiedzieliśmy się o Haley Jo, zaczęliśmy modlić się z Dennym tak żarliwie, że pomyślałam, że wyplujemy zęby. - Jo przyłożyła dłoń do szyby inkubatora. - Ale kiedy tylko się za nią modłę, Bóg podsuwa mi zaraz widok, którego się boję.

- Jaki? - spytała mimo woli Nicole.

- Widzę trzy malutkie dziewczynki, biegające razem po niebiańskich łąkach. - Nicole miała ochotę zasłonić uszy dłońmi. - Jedna to twoja siostra, Haley Ann. Druga to dziecko moje i Denny'ego. A trzecia... to twoja Haley Jo.

Nicole przez chwilę nie mogła oddychać. Wreszcie roześmiała się nerwowo i upewniła się:

- I to tak cię niepokoi?

- No pewnie! - Jo spojrzała ze zdziwieniem na Nicole. - Tak bardzo chcę, żeby Haley Jo żyła! Od dawna niczego tak mocno nie pragnęłam. Ale jeżeli Pan Bóg o tym wie, to dlaczego podsuwa mi taki obraz?

- Może dlatego, że ja też zaszłam w ciążę zaraz po ślubie - próbowałam uspokoić ją Nicole, choć sama była daleka od spokoju. - A może dlatego, że wiesz, że jeśli Haley Jo... nie przeżyje, to będzie szczęśliwa w niebie, w towarzystwie swoich dwóch małych cioc. - Nicole uniosła ręce w geście bezradności. - Nie wiem. To nie znaczy jednak, że Bóg zabierze ją do nieba. Nie powinnaś tak myśleć, Jo.

Jo uspokoiła się, czy to z powodu słów Nicole, czy też tonu jej głosu. Niepokój i udręka opuściły jej twarz. Pozostał tylko smutek.

- Masz rację. Pan Bóg uratuje tę małą dziewczynkę. Muszę w to wierzyć.

Po chwili Jo wyszła i Nicole znowu pozostała sama na sam ze swoim dzieckiem. Patrzyła na nią bez przerwy prawie przez godzinę, modląc się w duchu, żeby oddychała, żyła. I żeby, kiedy podrośnie już na tyle, że będzie mogła biegać po zielonych pastwiskach, biegała po ukwieconym trawniku na tyłach rodzinnego domu.

A nie po niebiańskich łąkach.

ROZDZIAŁ 28

Nadszedł dzień rozprawy. Jake miał wrażenie, jakby w ciągu ostatnich czterech miesięcy zrobił się o dziesięć lat starszy.

Ale nie żeby się zestarzał - tylko dojrzał. Czuł większą pewność w kwestii wiary, swojej przyszłości i tego, że będzie pomagał rówieśnikom nie popełniać tych samych błędów, co on.

Jeżeli tylko nie zamkną go w ośrodku odosobnienia dla nieletnich przestępców, wróci po wakacjach do liceum w Marión. Każdy z kim rozmawiał, mówił mu, że tak będzie najlepiej. Chłopcy z Marión także nie będą mieli dzięki jego obecności ochoty na powrót do ulicznych wyścigów. Poza tym znowu przebywałby blisko ukochanego pana trenera. Cztery miesiące nauki w szkole dla trudnej młodzieży utwierdziły tylko Jake'a w przekonaniu, że chce w maturalnej klasie chodzić do szkoły, w której będzie na nowo uczył pan Reynolds. Jeżeli nawet nie będzie w stanie prowadzić drużyny, to na pewno będzie dalej uczył o zdrowiu. Jake nie wiedział tylko, co postanowi sąd.

Podjął też kolejną decyzję: chciał mimo wszystko spróbować zostać futbolista. I nie po to, żeby popisywać się przed młodszymi kolegami czy wywyższać się ponad rówieśników, tylko żeby naprawdę grać, tak jak uczył go pan trener Reynolds. Całym sobą, pięknie i honorowo.

Adwokat nie ukrywał, że być może nie uda się Jake'owi spełnić tych marzeń. Niewykluczone, że sędzina pošle go na rok do ośrodka dla młodocianych przestępców. Wtedy będzie robił maturę w czymś na kształt więzienia.

Modlił się o jak najlepszy rezultat posiedzenia sądu, które miało odbyć się tego dnia. Pójdę tam, gdzie zechce posłać mnie Bóg - myślał Jake. Nie wątpił, że zasługuje na każdą karę, jaka zostanie mu wymierzona.

Sala sądowa wypełniała się ludźmi. Jake popatrzył na swoich rodziców. Rozmawiali przy drzwiach, wydawali się jeszcze bliżsi sobie niż wcześniej. Jake parokrotnie pytał mamę, czy może pomiędzy nią a ojcem coś się dzieje, ale zawsze udzielała mu wymijających odpowiedzi. Na przykład:

- Mamy mnóstwo spraw do omówienia. Twój ojciec po prostu stara się mi w tym wszystkim pomóc.

Jake unosił z powątpiewaniem brwi, jednak nie próbował wydobyć od matki prawdy. Widział w każdym razie, że rodzice spędzają ze sobą bardzo

dużo czasu i modlił się codziennie do Boga o to, żeby do siebie wrócili - podobnie jak o kilka innych rzeczy.

Sędzina weszła na salę i rodzice natychmiast podbiegli do Jake'a, zajmując przewidziane dla nich miejsca po jego bokach.

- No, to się zaczyna - skomentował Bennington, wyrównując stosik papierów.

Sędzina usiadła i przywołała salę do porządku. Sprawa Jake'a była pierwszą z szeregu tych, które miała rozpatrzyć tego dnia.

- Poinformowano mnie, że oskarżony przez władze stanowe Jake Daniels zamierza ustosunkować się do postawionych mu zarzutów. Czy to prawda?

- Tak, Wysoki Sądzie - potwierdził Bennington, wstając - Doszliśmy z oskarżycielem do ugody w zakresie tego, jakie zarzuty są słuszne.

- Cieszę się. Czy oskarżony zechce wstać?

Jake podniósł się, doświadczając uczucia dziwnego spokoju.

Niech się dzieje wola Twoja, Panie Boże... Sędzina popatrzyła na leżącą przed nią kartkę.

- Jake'u Danielsie, obecnie jesteś oskarżony o użycie pojazdu w rażąco niewłaściwym celu, zignorowanie zasad bezpieczeństwa w ruchu drogowym oraz udział w nielegalnym wyścigu samochodowym na drodze publicznej. Wszystko to są wykroczenia. Czy oskarżony przyznaje się do popełnienia zarzucanych mu czynów? - zapytała, spoglądając Jake'owi w oczy.

- Tak, przyznaję się, Wysoki Sądzie. Do wszystkich trzech zarzutów.

Słowa te podziałały na Jake'a jak balsam. Był winny i nie było sensu udawać, że nie. Z góry godził się z karą, którą miała wyznaczyć mu za chwilę sędzina.

- Czy oskarżony zdaje sobie sprawę, że za każde z owych wykroczeń grozi kara do sześciu miesięcy pozbawienia wolności w ośrodku dla nieletnich przestępców?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- I że trzy zarzuty oznaczają, że oskarżony może spędzić nawet do osiemnastu miesięcy w takiej placówce?

- Tak, Wysoki Sądzie.

Sędzina zaczęła przekładać papiery.

- Widzę, że obrońca dostarczył mi szereg dokumentów związanych z osobą oskarżonego. Zarządzam dwudziesto-minutową przerwę, podczas której zapoznam się z zawartością teczek. - Popatrzyła na adwokata. - Kiedy wrócę, ogłoszę wyrok w sprawie pańskiego klienta. Czy pan zrozumiał?

- Tak, Wysoki Sądzie. - Bennington natychmiast przeszedł do dalszego ciągu wypowiedzi. - Chciałbym prosie Wysoki Sąd o wzięcie pod uwagę faktu, że mój klient już sam zgłosił się do prac społecznych. Zamierza wygłaszać w szkołach pogadanki na temat złych skutków nielegalnych wyścigów, aby zapobiec wydarzeniom podobnym do tego, które spowodował. Obiecał przez najbliższe pięć lat odwiedzić po cztery szkoły w roku. Sędzina umilkła na chwilę.

- Cieszę się - powiedziała. - Wezmę to pod uwagę, podobnie jak listy, które mi pan przekazał.

Przerwa rozpoczęła się. Rodzice Jake'a przytulili go równocześnie.

- Ty chyba wcale się nie denerwujesz? - zdumiał się ojciec, widząc jego minę.

- Nie. Omówiłem już całą sprawę z Panem Bogiem. Cokolwiek się stanie, będzie Jego wola. Nie boję się.

Adwokat roześmiał się nerwowo.

- A ja - tak. Chociaż wątpię, żeby ci to pomogło. - Skinął głową w stronę drzwi gabinetu sędziny. - To surowa kobieta. Niezależnie od treści tych wszystkich listów, może zechcieć zrobić z twojej sprawy przestrożę dla innych.

Matka skrzywiła się, więc Jake pogładził ją po plecach.

- Musimy zaufać w tej sprawie Bogu, mamo - powiedział. - Jeżeli Pan Bóg chce, bym trafił do ośrodka dla młodocianych przestępców, pójdę tam. I wszystko dobrze się skończy.

- Wiem... Po prostu chciałabym, żebyś był w domu. I uczył się w twoim liceum. To takie wspaniałe, że ciągle myślisz o futbolu i o tym, żeby pomagać rówieśnikom.

- Ile listów zdołał pan uzyskać? - spytał adwokata ojciec Jake'a.

- Pięć. To niemal za duża liczba. - Bennington skupił się, aby przypomnieć sobie autorów. - Są listy każdego z państwa, list kuratora Jake'a, list osoby, do której zgłosił się w wydziale do spraw prac społecznych. No i najlepszy list - trenera Reynoldsa.

Pana trenera?! Jake poczuł skurcz w żołądku.

- Poprosił pan pana trenera o napisanie listu w mojej obronie?

- Tak, a dlaczego nie?

- Nie mogę w to uwierzyć... Pan trener naprawdę dostatecznie dużo przeszedł. Nie wiem, kto pana do tego namówił, ale...

Bennington uniósł rękę i Jake umilkł, chociaż kipiał gniewem. Od dawna nie czuł się tak rozzłoszczony. Jak ten facet mógł poprosić pana trenera o napisanie listu, dzięki któremu mam dostać łagodniejszą karę?! - myślał.

- W gruncie rzeczy nie poprosiłem o to pierwszy - usprawiedliwił się adwokat. - To pan Reynolds zaproponował mi, że napisze ten list.

Jake osunął się na kolana. Co??? Pan trener Reynolds, którego przedwcześnie urodzona wnuczka była na granicy życia i śmierci, i którego czekała operacja kręgosłupa znalazł czas na napisanie listu w mojej obronie?!

Jake popatrzył na rodziców i stwierdził, że muszą czuć się podobnie jak on. Wiedzieli wszyscy dobrze, że pan trener jest wspaniałym człowiekiem. Ale żeby aż tak?! Do tego stopnia martwił się o chłopaka, który przykuł go do wózka inwalidzkiego?! Jake poczuł ścisk w gardle.

Tymczasem wróciła sędzina. Przywołała salę do porządku.

- Wznawiam sprawę Jake'a Daniela. Podjęłam decyzję - chociaż nawet ja nie jestem pewna, czy sprawiedliwą.

Idę siedzieć! - pomyślał Jake. Zamrugnął oczami i postanowił zachować odwagę do końca. Boże, proszę Cię, pomóż mi...

- Czy oskarżony zechce wstać?

Podniósł się, chociaż jego kolana stukały lekko o siebie.

- Jak zaznaczyłam wcześniej, mogę skazać oskarżonego na osiemnaście miesięcy pobytu w ośrodku dla młodocianych przestępców. - Popatrzyła na prokuratora.

- Jednak w tym przypadku zostałam zasypana prośbami o łagodniejszy wyrok.

Jake spostrzegł kątem oka, że jego rodzice łapią się za ręce.

- Najbardziej poruszył mnie list napisany przez ofiarę wypadku, pana Johna Reynoldsa. - Sędzina uniosła kartkę. - Pan Reynolds pisze: - Błagam Wysoki Sąd o pozwolenie na to, aby Jake odpracował swój błąd, jednocześnie powracając po wakacjach do liceum w Marion. Albowiem, Wysoki Sądzie, wtedy wrócę do szkoły i ja. Gdyby nie wypadek, Jake stałby się zwykłym maturzystą. W obecnej sytuacji, jeśli po moim powrocie do pracy Jake'a nie będzie, jego nieobecność będzie co dnia przypominała mi o tragicznej listopadowej nocy - o naszym wypadku. Pozbawienie go wolności nie uczyni go ani lepszym kierowcą, ani też mądrzejszym człowiekiem; i nie poprawi mojego stanu zdrowia. Za to jeśli będę widywał na nowo Jake'a w naszym liceum, będzie to dla mnie prawie tak wielka radość, jak gdybym

znowu mógł chodzić. - Sędzina zrobiła pauzę, popatrzyła Jake'owi w oczy i dokończyła: - Uprzejmie proszę Wysoki Sąd, aby pomógł mi powrócić do pełni sił psychicznych, rezygnując z kary pozbawienia wolności dla Jake'a Danielsa. Jake zmienił się znacząco od czasu wypadku, a nasze liceum potrzebuje takich uczniów jak on.

Na sali sądowej zapadła tak głucha cisza, że Jake słyszał tylko cichy płacz swojej matki i jeszcze bicie własnego serca. Co napisał pan trener? Ze jeśli będzie go widywał, to będzie cieszył się prawie tak samo, jak gdyby mógł chodzić?!...

Sędzina odłożyła list i rozejrzała się po sali.

- Dlatego właśnie - i również z powodu tego, że oskarżony zbiera w szkole specjalnej same celujące oceny - odstępuję od wymierzenia mu kary pobytu w ośrodku odosobnienia dla nieletnich. Postanowiłam zgodzić się na plan ustalony z wydziałem prac społecznych, zgodnie z którym oskarżony ma przez najbliższe pięć lat przeprowadzać pogadanki w szkołach, cztery razy do roku.

Jake poczuł się tak uszczęśliwiony, że wydawało mu się, iż niemal unosi się nad ziemią. Nie dlatego, że sędzina darowała mu karę, ale z powodu tego, że będzie mógł wrócić do liceum Marión, gdzie będzie uczył pan trener Reynolds. Jake będzie też miał szansę na nowo zostać futbolista - a przecież nigdy nie chciał przestać nim być. Panie Boże, wynagrodzę Ci to, obiecuję! - pomodlił się z wdzięcznością.

Jego rodzice wyglądali tak, jakby w jednej chwili ubyło im po dziesięć lat. Jake zdał sobie sprawę, że perspektywa jego pobytu w ośrodku dla młodocianych przestępców martwiła ich bardziej niż to po sobie pokazywali.

- Proszę o spokój - odezwała się sędzina, stukając młotkiem w blat. - Ponadto unieważniam prawo jazdy oskarżonego. O nowe prawo jazdy oskarżony będzie mógł starać się najwcześniej w dniu ukończenia dwudziestu jeden lat. Do tego czasu będzie co roku uczęszczał na dziesięciodniowy kurs bezpiecznej jazdy, poczynając od bieżącego roku. - Spojrzała na Jake'a. - Ogłaszając wyrok, zazwyczaj mam poczucie, czy sprawiedliwości stało się zadość, czy nie. - Przekrzywiła głowę. - Tym razem nie jestem pewna.

- Tak jest, Wysoki Sądzie.

- Upiekło ci się, synku. Nie chcę więcej widzieć cię w tym sądzie, ani w żadnym innym. Zrozumiano?

Jake skwapliwie pokiwał głową.

- Nie ma obawy, Wysoki Sądzie. Nie wrócę przed oblicze sądu.

Sędzina zakończyła rozprawę i do Jake'a natychmiast przyskoczyli rodzice, pan Bennington, i jeszcze kilku Orłów, którzy przyszli na rozprawę. Wszyscy gratulowali mu pomyślnego rezultatu rozprawy.

- Luz, ziom! - odezwał się Al Hoosey, jeden ze skrzydłowych. - Przydasz nam się z powrotem jako rozgrywający. - Klepnął Jake'a w ramię. - Pogramy sobie po wakacjach.

- W przyszłym roku będzie inaczej niż w ostatnim sezonie - odpowiedział Jake, patrząc Alowi w oczy. - Zupełnie inaczej.

- To znaczy, chyba lepiej? - upewnił się Al, mrugając powiekami.

- Nieporównanie lepiej! - odpowiedział z szerokim uśmiechem Jake.

Wokół kręciło się pełno ludzi. Ktoś pociągnął go za ramię. Jake obejrzał się i niespodziewanie stanął oko w oko z prokuratorem.

- Słuchaj, wiesz, co myślę o tym, co powiedziała sędzina? - odezwał się prokurator. - Ze nie wie, czy sprawiedliwości stało się zadość.

- Tak? - Jake odwrócił się do niego przodem.

- Ja także zwykle czuję, czy tak jest, czy nie jest. I tym razem jestem przekonany, że wyrok jest sprawiedliwy. - Prokurator mówił z wielką powagą. - Wracaj do szkoły i pilnuj, żeby twoi koledzy nie ścigali się po ulicach. Będę miał dzięki temu znacznie mniej pracy. Umowa stoi?

Jake przełknął z wysiłkiem.

- Stoi.

Sala pustoszała. Bennington zebrał swoje rzeczy i poszedł. Wreszcie został tylko Jake i jego rodzice.

- Nie do wiary, synku! - Mama i tata trzymali się za ręce. Jakoś nie spieszyło im się do wyjścia.

- Pan Bóg musiał zaplanować dla mnie na przyszły rok wielkie rzeczy - ocenił Jake. - W naszym liceum w Marion. - Spojrzał na zegar na ścianie. - Jedźmy do domu. Muszę zatelefonować do człowieka, któremu należą się ogromne podziękowania.

Matka uśmiechnęła się i wyrównała synowi grzywkę, tak samo jak w czasach, kiedy był małym chłopcem.

- Do pana trenera Reynoldsa? - upewniła się.

- Tak. Nie mogę się doczekać, aby powiedzieć mu o wyroku.

- Synku... - odezwał się ojciec, patrząc Jakeowi w oczy. Domyślił się, że chodzi o coś ważnego. - Najpierw - teraz - chcielibyśmy przekazać ci z mamą nowinę...

Abby nie spodziewała się, że zdarzy się to na parkingu obok restauracji.

Wiedziała, że któregoś dnia zbiorą się całą rodziną, żeby pomodlić się za Johna. Ale Haley Jo walczyła o życie dzień po dniu; nie było kiedy się umówić. Wreszcie nadeszła niedziela - a w poniedziałek miała się odbyć operacja Johna.

Kade przyjechał do domu na przedłużone ferie wiosenne. John i Abby postanowili zaprosić najbliższych na wczesny lunch, po nabożeństwie. Zanim się rozjechali, Abby rozejrzała się po twarzach zebranych i powiedziała:

- Chcieliśmy z Johnem poprosić was wszystkich o wspólną modlitwę, przed jego operacją.

- Świetny pomysł! - odpowiedziała Jo, wyciągając ręce na boki. Zamknęła oczy, opuściła głowę. - Kto zacznie? - spytała.

Odpowiedziało jej najpierw kilka stłumionych uśmiechów. Po chwili wszyscy utworzyli krąg, złączyli dłonie, pospuszczali głowy - na restauracyjnym parkingu. Pierwszy odezwał się Kade. Po nim Jo, Denny, Nicole, Matt i Sean.

Abby nie wiedziała, jak się pomodlić. Podziękowała tylko krótko Bogu za to, że dał im nadzieję, choć nie było wiadomo, czy się ona spełni.

Nadeszła kolej Johna. Otworzył usta, ale nic nie mówił. Minęło kilka sekund. I nagle John zaczął śpiewać:

- Wielka Twa wierność, Boże, Ojczy mój; i nie ma w Tobie śladu wahania...

Był to ulubiony hymn ojca Johna. Zebrani podchwycili kolejno pieśń, nie zważając na spojrzenia przechodniów. Doszli do refrenu i śpiewali o wierności i wielkości Boga, i o tym, że Jego litość i miłość odnawiają się rano - jak napisane jest w Lamentacjach.

Dzieje się tak w każdych okolicznościach.

Abby śpiewała czysto, przeżywając każde słowo pieśni. Wiedziała, że nigdy nie zapomni tej sceny. Kiedy dotarli do końca hymnu, John rozejrzał się po swoich najbliższych i skomentował:

- Dziękuję wam. Wierzę, że Bóg jest wierny. Cokolwiek się stanie.

Reynoldsowie i Conleyowie ze łzami w oczach ściskali się nawzajem na pożegnanie, ustalając jednocześnie plany na jutrzejszy dzień. Jo i Denny zamierzali przyjechać do szpitala jakiś czas po zakończeniu operacji Johna. Sean i Kade postanowili siedzieć tam od rana. Będą tam także oczywiście Nicole i Matt, choć przede wszystkim będą czuwać przy Haley Jo.

Zamierzali jednak zaglądnąć na oddział Johna, żeby wiedzieć, co się z nim dzieje.

- Haley Jo leży na drugim piętrze, a ty będziesz na czwartym, tatusiu - powiedziała Nicole, przytulając mocno ojca. - To blisko...

Abby popatrzyła na męża. Zaczynał denerwować się przed operacją.

- Opiekuj się dobrze moją malutką wnuczką, jeśli możesz, Nic - odpowiedział, całując Nicole w policzek.

- Dobrze. - Nicole otarła łzę. - Będziemy się za ciebie modlić.

Sean pojechał do domu z Kade'em, więc Abby i John znaleźli się sami w samochodzie.

- Zwróciłeś uwagę? - odezwała się Abby. - Nikt nie wspomniał o tym, że będziesz znowu chodził.

John wyrzwał przez okno. Był piękny kwietniowy dzień, który nasuwał myśli o nadchodzącym lecie.

- Chyba wszyscy obawiają się mieć taką nadzieję - odparł.

Milczeli przez resztę drogi. Kiedy wysiedli z samochodu, Abby wiedziała już, gdzie się za chwilę znajdą. Bez słowa podążyła za Johnem, który wjechał na wózek na trawnik za domem, a potem podążył betonową dróżką na molo. Zbliżyli się do wody. Abby usiadła na krześle, tuż obok męża.

- I co myślisz, mała Abby? - John popatrzył jej w oczy. - Mała Abby... Nie nazywałeś mnie tak od czasów, kiedy byłam nastolatką.

- Naprawdę? - Tak.

- Ale to nie dlatego, że nie przychodziło mi to do głowy - wytłumaczył ze śmiechem John. - Na zawsze pozostaniesz moją małą Abby. - Umilkł na chwilę, podczas gdy powiał lekki wiatr znad jeziora. - Nie odpowiedziałas mi...

- Hm. - Słońce świeciło prosto ponad ich głowami, powodując, że woda świeciła się tysiącem odblasków. Abby wpatrywała się w nią. - Chyba nie.

- To znaczy... nie myślisz nic szczególnego, czy nie chcesz mi powiedzieć?

- Nie. - Abby uśmiechnęła się powoli.

- Chyba nie rozumiem - odparł John, wydymając usta z namysłu.

- Myślę coś szczególnego i chcę ci o tym powiedzieć - wyjaśniła.

- Aha. - John założył ręce. - W takim razie powiedz mi.

- Czekałam na odpowiednią chwilę. Bo to, co chcę ci powiedzieć, jest ważne. Chciałabym, żebyś naprawdę wziął to sobie do serca, John.

John obrócił wózek tak, by łatwiej patrzeć żonie w oczy. Zetknęli się kolanami - mimo że Abby zdawała sobie sprawę, iż mąż tego nie czuje. Być może jeszcze nie.

- Słucham cię, kochanie. Całym sercem - zapewnił.

- To dobrze. - Abby wzięła głęboki oddech i patrzyła Johnowi w oczy. - Dużo myślałam o twojej operacji. Marzę o tym, jak by to było, gdybyś po niej wyzdrowiał...

- Ja również. - John zmrużył oczy. - Ciągle wyobrażam sobie różne sytuacje, w których korzystałbym z nóg, gdybym mógł się nimi posługiwać jeszcze choćby jeden dzień.

- A co byś zrobił? - spytała z zaciekawieniem Abby. Zobaczyli, że nad ich głowami krąży jastrząb.

- Rano przebiegłbym z kilometr albo dwa, później pograłbym w futbol z Seanem i Kade'em, a potem kochałbym się z tobą przez całe popołudnie, mała Abby.

- To byłoby miłe. - Abby uśmiechnęła się, czując, że się rumieni. - Ja wyobrażam sobie prawie dokładnie to samo.

- I to chciałaś mi powiedzieć?... - John wychylił się naprzód i dotknął nóg żony, pieszcząc ją lekko po wewnętrznej stronie kolan.

- Nie... - Abby patrzyła mu poważnie w oczy. - Chciałam ci powiedzieć, że to nie ma znaczenia.

John słuchał, przekrzywiając głowę.

- To, czy znowu będziesz mógł chodzić, nie jest dla mnie aż tak ważne. Był taki okres, kiedy powiedziałabym ci, że jeżeli nie odzyskasz pełnej sprawności, to będzie nam bardzo trudno - bardzo trudno żyć, i że odbije się to negatywnie na naszym związku. - Pokręciła głową. - Lecz teraz tak nie jest. W ciągu minionych pięciu miesięcy nauczyłam się kochać cię w sytuacji, jaką mamy obecnie. Uwielbiam pomagać ci wstawać i kłaść cię do łóżka, i podciągać ci spodnie. A nawet to, kiedy zjeżdżamy razem na wózku inwalidzkim z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę w stronę wody, w ramach nowej, fantazyjnej wersji tanga. - Abby wciąż spoglądała mężowi głęboko w oczy. - Mam na myśli, że wprawdzie równie gorąco jak ty marzę o tym, żebyś chodził, ale jeżeli po operacji okaże się, że nic się nie zmieniło, to nie szkodzi. I tak kocham cię tak mocno, że nie można kochać jeszcze mocniej.

John milczał długą chwilę. Patrzył na żonę; oboje przeżywali głęboko ten moment.

- Co by było, gdybyśmy nie odbyli tamtej rozmowy, w nocy po weselu Nicole?

- Nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić - szepnęła ze ściśniętym gardłem Abby.

- Tak bardzo cię kocham, Abby! Dzięki Bogu, że odnaleźliśmy w sobie dość rozsądku, żeby usłyszeć Jego głos i odnaleźć się nawzajem na nowo. - W oczach Johna odbijały się połyskujące wody jeziora. Abby zatapiała się myślami w oczach męża, niepomna na cały świat. - Jesteś dla mnie wszystkim, Abby - szeptał. - Wszystkim.

- Wierzę z całego serca, że jutro na sali operacyjnej będzie przy tobie Bóg. Będzie prowadził nóż chirurga i uzdrowi twój kręgosłup. Ale pamiętaj jedno, John - dobrze?

- Dobrze, Abby.

- Ja też tam będę. O, tu... - Abby położyła dłoń na sercu męża. - Cały czas.

- Wiesz, co musimy najpierw zrobić? - zmienił temat John, ożywiwszy się. Jego oczy zdradzały, że szykuje jakąś psotę, jakby był jednym z synów Abby.

- Nie. Najpierw - to znaczy przed operacją? - Tak.

- Poddaję się. Co musimy zrobić? John poklepał się w udo.

- Och, nie. Tylko nie tango!

- Tango, tango. Chodź, Abby. Wychodzi nam coraz lepiej. Abby roześmiała się serdecznie, po czym wstała i bezceremonialnie usiadła Johnowi na kolanach.

- Po jutrzejszym dniu nie będę mogła tak siadać, wiesz - odezwała się.

- Dlaczego nie? - spytał John, obracając wózek i ruszając w stronę początku molo.

- Bo po operacji będziesz mnie czuł, głuptasie. Będę dla ciebie za ciężka.

- Za ciężka? Ty dla mnie? - Dojechali na początek molo i John obrócił wózek przodem do wody. - Nigdy! - John zaciągnął hamulec. - Wiesz, nie wyrzucimy tego wózka. Będziemy go trzymać i raz w tygodniu zjeżdżać sobie po molo, na wspomnienie starych czasów.

- Przestań! - Abby pchnęła męża w ramię - a on zwolnił hamulec i wózek zaczął toczyć się w stronę wody.

- Idziemy w tan! - zawołał John, kontrolując jedną ręką ruch wózka; drugą ujął dłoń żony i wyciągnął ich złączone dłonie naprzód, jak do tanga.

Minęli połowę długości molo. Abby przyłgnęła policzkiem do policzka męża.

- Mówiłam ci już, że ten taniec mnie przeraża?! - zawołała, zdyszana.

- Tak słabo we mnie wierzysz, Abby... Będziemy musieli powtarzać to do skutku - aż przestaniesz się bać.

Przed końcem moło John zwinnie obrócił wózek. Niestety tym razem prędkość okazała się zbyt duża i wózek przewrócił się. John wylądował na plecach, tuż przed końcem moło; Abby wylądowała na mężu.

Krzyknęła - na wpół z przerażenia, a na wpół ze śmiechu. Uniosła się odrobinę i popatrzyła Johnowi w oczy z odległości kilkunastu centymetrów.

- Niezła figura.

- Ćwiczyłem ją od kilku tygodni. Byłem przekonany, że ogromnie ci się spodoba. - John przesunął dłońmi po plecach żony, następnie przytulił ją i zaczęli się całować. Najpierw lekko, a potem, stopniowo, coraz bardziej namiętnie.

Abby roześmiała się w końcu.

- Hej, no coś ty! - sapnął John. - Nie powinnaś się śmiać. Przecież tańczymy.

- Nie mogę się powstrzymać. - Oparła głowę na jego ramieniu, zdyszana. - Pamiętasz scenę z naszego domu - odezwała się, znowu spojrzawszy mężowi w oczy - kiedy tańczyliśmy w przedpokoju, a potem upadłeś na plecy, zamiast wprowadzić mnie tanecznym krokiem do kuchni?

John zachichotał, delikatnie pieszcząc żonę wzdłuż kręgosłupa.

- To był jeden z moich największych wyczynów!

- Powiedziałeś wtedy, że nigdy nie dojrzejesz.

- Nawet lekcje pewnej siebie Pauli nie zdołały mi w tym pomóc - zgodził się John, śmiejąc się wesoło.

- Chyba rzeczywiście nie.

Śmieli się i całowali, szczęśliwi, a wiatr niósł ich radosne śmiechy ponad wodami jeziora. Dopiero kiedy zmęczyli się śmiechem, Abby podniosła się i postawiła wózek. Pomogła Johnowi znaleźć się na nim, po czym popchnęła go w stronę domu.

Wiedziała, że do końca życia nie zapomni tego popołudnia. Popołudnia głębokiej miłości, śmiechu, spokoju i pogodzenia z losem. Nie oszukała Johna ani trochę - naprawdę kochała go tak mocno, jak tylko można kochać, i wiedziała, że po nadchodzącym dniu będzie tak samo.

Niezależnie od tego, co ów dzień im przyniesie.

ROZDZIAŁ 29

Następnego dnia Jake obudził się o siódmej rano. Dzień operacji pana trenera Reynoldsa - pomyślał, patrząc w kalendarz.

Czuł to. Czuł to bardzo mocno. Modlił się, nie tylko o wyzdrowienie pana trenera, ale i o ocalenie jego przedwcześnie urodzonej wnuczki. I miał pewność, bez wątpienia pochodzącą od Boga, że tego dnia ich oboje spotkają nadzwyczajne cuda.

Wiedział też, że musi modlić się przez cały czas.

Dlatego jeszcze zanim Jake wstał z łóżka, obrócił się twarzą do poduszki i zaczął się modlić. Nie tak jak dawniej, przed wypadkiem, kiedy właściwie wciąż był dzieckiem.

Obecnie modlił się jak mężczyzna. Tak żarliwie, jakby zależało od tego jego życie.

Wokół inkubatora Haley Jo kłębiły się pielęgniarki.

Nicole spała w pobliskiej salce, w której siedzieli nieraz z Mattem, odkąd Haley Jo się urodziła. Małeńka przeżyła już cały miesiąc - dłużej niż przypuszczali lekarze. Ale jej płuca wciąż pracowały bardzo słabo. Obecnie lekarze mówili, że jeśli sytuacja szybko się nie poprawi, Haley Jo z dużym prawdopodobieństwem zapadnie na zapalenie płuc, co przy jej stanie zdrowia prawie na pewno oznaczałoby śmierć.

Jak zawsze Nicole poprosiła pielęgniarki, żeby wezwały ją, jeśli stan Haley Jo zmieni się. Jednak nikt jej nie wezwał, tymczasem kiedy weszła na salę, gdzie leżała jej córeczka, zobaczyła, że otacza ją cały tłum pielęgniarek. Serce Nicole zabiło z przerażenia. Ruszyła szybko do inkubatora swojego dziecka.

- Przepraszam... - Nicole spojrzała ponad ramionami kobiet. - Co się tu dzieje? To moja córeczka.

- To cud! - odezwała się radośnie znajoma jej pielęgniarka. Uścisnęła ją odruchowo. - Rano przyrzędy wskazywały, że stan Haley Jo pogorszył się jeszcze. Już miałyśmy panią wołać, a tu nagle parę minut po siódmej wszystko się odmieniło!

- Odmieniło? - Nicole próbowała zrozumieć, co znaczą słowa pielęgniarki. - Co pani ma na myśli?

- Płuca pani dziecka po raz pierwszy wykonały pełen samodzielny oddech. Zaraz potem poziom tlenu we krwi Haley Jo podskoczył do prawie normalnego.

- To znaczy... Poprawiło jej się? - Nicole wyciągnęła szyję w stronę córeczki. Pielęgniarki rozchodziły się wreszcie.

- Ogromnie! - Kobieta, z którą Nicole rozmawiała, była rozpromieniona. - Bezpośrednie zagrożenie minęło. Właśnie był przy niej pan doktor, przekwalifikował jej stan z krytycznego na ciężki. Jeżeli Haley Jo dalej będzie tak oddychała, wypiszemy ją do domu, kiedy tylko dostatecznie przybierze na wadze. Nie możemy w to uwierzyć! To dlatego widziała pani przed chwilą to zbiegowisko. To się po prostu nie zdarza. Pani dziecko było w naprawdę fatalnym stanie.

Wokół inkubatora było już tyle miejsca, że Nicole mogła doń podejść i przyłożyć policzek do szyby.

- Czy mogę jej teraz dotknąć?

- Teraz - jak najbardziej! - Pielęgniarka uśmiechnęła się znowu.

Nicole włożyła rękę do inkubatora i pogładziła palcem nóżki i rączki Haley Jo.

- To ja, kochanie. Twoja mama - szepnęła, następnie roześmiała się, jednocześnie płacząc ze wzruszenia. - Pan Bóg cię uratował. Będiesz żyła, malutka.

Przypomniawszy jej sobie obraz, który pojawiał się w myślach jej teściowej - trzy małe dziewczynki biegające razem po niebiańskich łąkach. Nicole zadrżała. Niewiele brakowało! - pomyślała.

Tymczasem Haley Jo, czując dotyk matki, rozprostowała nóżki i zaczęła poruszać rączkami.

- Ona chce, żebym ją przytuliła - stwierdziła Nicole, spoglądając na pielęgniarkę.

- Naprawdę? - Kobieta uniosła brwi. - Po południu zważymy ją. Jeżeli nadal będzie tak sprawnie oddychać, pewnie pozwolimy pani ją poprzytulić.

Nicole miała ochotę krzyknąć z radości. Haley Jo będzie żyła! Zastanawiała się, co najpierw zrobić. Zatelefonuje do Matta, żeby powiedzieć mu, co się wydarzyło; i do rodziców - koniecznie do rodziców...

Rodziców!

Było kilka minut po ósmej. Za chwilę miała rozpocząć się operacja taty. Muszę wcześniej zdążyć przekazać mu radosną nowinę! - myślała Nicole.

- Haley Jo, prześpij się troszkę kochanie; zaraz wrócę. - Odwróciła się do pielęgniarki. - Proszę, niech pani ją obserwuje. Pójdę powiadomić najbliższych.

Nicole nie biegła tak szybko od czasu narodzin Haley Jo. Minęła korytarz, wpadła do windy, wjechała na czwarte piętro i natychmiast zerwała się na nowo do biegu.

- Szukam ojca, Johna Reynoldsa - rzuciła, zaglądając do pokoju pielęgniarek na oddziale taty.

- Jedzie właśnie na salę operacyjną - odparła jedna z kobiet, pokazując palcem w głąb korytarza.

- Dziękuję! - Nicole pobiegła dalej, modląc się, żeby zdążyła przekazać ojcu nowinę.

Minęła zakręt korytarza i wpadła prosto na Kade'a; przewrócili się oboje.

- Zaczekaj, tato! Muszę ci coś powiedzieć! - zawołała, jeszcze zanim się podniosła.

Była tam i jej matka, która pomogła jej wstać.

- Niezły blok! - pochwalił Kade, z trudem podnosząc się z podłogi. Poprawił bejsbolową czapkę. - Minęłaś się z powołaniem. Powinnaś zostać obrońcą a nie nauczycielką.

- Przepraszam. - Nicole najpierw otrzepała spodnie brata, potem własne. - Musiałam dogonić tatę, zanim znajdzie się na sali operacyjnej.

Jej ojciec znajdował się tuż obok, leżał na noszach, czekając na windę.

- To musi być dobra wiadomość - ocenił, śmiejąc się wesoło.

Nicole przywitała się z Seanem, po czym podeszła do ojca. Sanitariusz przyglądał jej się z taką miną, jakby była chora psychicznie.

- Dzień dobry. - Machnęła do mężczyzny ręką. - Przepraszam za to zamieszanie.

Drzwi windy otworzyły się. Nicole pokręciła głową.

- Proszę chwilę poczekać, dobrze?

- Nicole, co się stało? - spytała Abby, przyglądając się uważnie córce.

- Tato - Nicole znów spojrzała na ojca - stan Haley Jo diametralnie się poprawił. Oddycha samodzielnie, jak każde inne dziecko. - Nicole z trudem mówiła, tak była zdyszana. Nie tylko z powodu biegu, ale i z podniecenia wywołanego niezwykle zdarzeniem, cudem, którego przed paroma minutami stała się świadkiem. Wzięła oddech na uspokojenie i dodała: - Pan doktor powiedział, że nastąpiła zdecydowana poprawa i że niebezpieczeństwo minęło. To cudownie, tato!

Kade z radości uściśnął siostrę tak mocno, że aż uniósł ją z podłogi. Sean i Abby przytulili ją jednocześnie. Także John wyciągnął rękę i ścisnął dłoń córki.

- Naprawdę, kochanie? - upewnił się.

- Tak, tatusiu! - zapewniła Nicole, podekscytowana. Nachyliła się nad ojcem i patrzyła mu w oczy. - Pan Bóg jeszcze nie skończył. Nie mogłam pozwolić, żeby zaczęli cię kroić, zanim nie dowiesz się, czego dzisiaj dla nas dokonuje. Dokona dziś cudu i dla ciebie, tato!

- Jak to się stało? - dopytywał się John. - Po prostu Haley Jo zaczęła nagle samodzielnie oddychać, bez łatwo wytłumaczonego powodu?

Drzwi windy otworzyły się ponownie.

- Czy możemy jeszcze momencik? - Nicole uśmiechnęła się promiennie do sanitariusza. - Proszę!

- Bez pani ojca nie zaczną - odparł mężczyzna, wzruszając ramionami.

- Nikt nie wie, dlaczego to nastąpiło - opowiadała Nicole, spoglądając z kolei na matkę. - Mniej więcej około siódmej po raz pierwszy odetchnęła całkiem samodzielnie. I od tego czasu oddycha bez żadnej pomocy. Urządzenia pokazują, że jej oddech osiągnął normę.

- Hurra! - zawołał Sean, wyrzucając pięść ponad głowę. - Moja malutka siostrzenica będzie żyła!

- Tatusiu - Nicole ściszyła nieco głos - a teraz kolej na ciebie - dobrze?

John uśmiechnął się.

- Powiedz córeczce, że niedługo dziadek zabierze ją na spacer.

- Powtórzę jej. - Drzwi windy otworzyły się po raz trzeci i Nicole skinęła głową. - Jedź, tato.

Skulili się całą czwórka, podczas gdy sanitariusz wpychał ich ojca i męża na noszach do windy. John uśmiechnął się i pokazał im na pożegnanie uniesiony kciuk.

Nicole miała łzy w oczach. Na stadionach tata wykonywał ten gest tylko przed tymi meczami, w których był pewien zwycięstwa swojej drużyny.

Abby nigdy nie miała zwyczaju nerwowego chodzenia tam i z powrotem, ale teraz to robiła. Chodziła szybkim krokiem pomiędzy oknami a przeciwległą ścianą.

Nicole i Matt znajdowali się dwa piętra niżej, przy Haley Jo. Chłopcy poszli właśnie do baru, żeby coś zjeść. Jo i Denny jeszcze nie przyjechali. Abby została w poczekalni sama. Operacja trwała już od godziny i Abby nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Wiedziała, że jeżeli operacja nic nie zmieni, będzie kochała Johna tak samo jak ostatnio. Ale jeżeli zmieni?... Jeśli John naprawdę zacznie znowu

chodzić, biegać, prowadzić samochód? To będzie po prostu cudowne! Wypadek Johna sprawił, że ich miłość pogłębiła się jeszcze, a gdyby John odzyskał sprawność, mogliby cieszyć się nią tak samo jak na początku!

Abby nie wiedziała, co się wydarzy, jej serce biło więc w przyspieszonym rytmie; i jedyne, co mogła w tej chwili robić, żeby rozładować gotującą się w niej energię, to chodzić tam i z powrotem.

Doktor Furin zapowiedział, że operacja może potrwać około czterech godzin. Chirurdzy będą musieli odszukać po kolei każdą wiązkę uszkodzonych włókien nerwowych i mozolnie złączyć ją na nowo. Jeżeli John miał rzeczywiście odzyskać sprawność, powinno się okazać, że część wiązek pozostała nietknięta. To tłumaczyłoby czucie w palcach jego stóp.

Ale to nie wystarczyło. Sama operacja także musiała przebiec idealnie. Każda wiązka nerwów musiała zostać dobrze połączona. Niemożliwe było zrobienie tego w szybkim tempie.

Abby chodziła coraz szybciej.

W takim stanie zobaczyli ją Jo i Denny. Zatrzymali się w drzwiach poczekalni.

- Wielkie nieba, Abby, a co ty wyprawiasz?! - odezwała się donośnie Jo, po czym podeszła i oparła dłoń na jej ramieniu. - Zaraz wydepczesz dziurę w podłodze.

- Nie mogę spokojnie usiedzieć! - rzuciła Abby, przystanąwszy pierwszy raz od półgodziny.

- Jest na to prosty sposób - odpowiedziała Jo, prowadząc ją na najbliższą kanapę. Denny patrzył tylko, wciąż stojąc w drzwiach. - Siadaj tu i pomódlmy się razem. - Jo skinęła na męża.

Denny podszedł i podał Abby stronę z gazety.

- Kiedy już się pomodlimy, przeczytaj sobie artykuł - skomentowała Jo, rozpromieniona. - Jedno i drugie powinno cię uspokoić.

Abby skinęła głową, odbierając gazetę. Zamknęła oczy. Modlitwą pokierował Denny. Poprosił Boga, żeby trzymał chirurgów za ręce i prowadził je. Po modlitwie Abby popatrzyła na wskazany artykuł - przez chwilę nie rozumiała, na co patrzy. Cała strona zapisana była nazwiskami, lista była bardzo długa. Spojrzała na tytuł i aż krzyknęła z wrażenia.

Wymienione osoby musiały wykupić całostronicową reklamę. Nad listą było napisane: - MODLIMY SIĘ ZA PANA, PANIE TRENERZE!.

Pod spodem znajdował się jeszcze krótki tekst: - My, uczniowie i nauczyciele liceum Marion, publicznie dziękujemy panu trenerowi Johnowi

Reynoldsowi za cały trud, jaki włożył w to, żebyśmy odnosili prawdziwe sukcesy. Dziś pan trener przechodzi operację. Modlimy się o jego całkowity powrót do zdrowia. I o to, aby w przyszłym roku szkolnym znów prowadził niepokonaną drużynę Orłów.

Nazwisk było tyle, że nie dało się ich przeczytać w ciągu paru minut. Całe setki - podpisali się nauczyciele, uczniowie, zawodnicy. O wielu Abby nawet nie słyszała.

- Widzisz? Wiedziałam, że przestanieś chodzić. - Jo pokiwała głową.

- John nie mógłby w to uwierzyć!... - Gazeta w ręku Abby zadrżała.

Jo miała rację. Abby ogarnął niespodziewany spokój. Przez następne trzy godziny na przemian modliła się i grała w karty z Jo i Dennym.

Kade i Sean grali w elektroniczną grę - oczywiście imitację futbolu. Od czasu do czasu pojawiali się Nicole z Mattem.

Nie było jednak żadnych wiadomości o przebiegu operacji.

Abby starała się nie myśleć, że to zły znak. Doktor Furin mówił, że w miarę możliwości postara się sygnalizować jej co jakiś czas, co się dzieje. Minęły już jednak niemal cztery godziny i wciąż nic nie wiedziała.

- Czy nie powinni już nas zawiadomić, jak idzie? - odezwał się w końcu Denny, spoglądając ponad ułożonymi w ręku kartami.

- Też o tym myślę. - Abby wzięła głęboki oddech. Muszę zachować panowanie nad sobą - myślała. - Poczekamy, zobaczymy.

- Dobry wędkarz potrafi czekać - skomentowała Jo i rozegrała kartę. Wyglądała na całkowicie rozluźnioną, jak gdyby siedzieli w jakimś oświetlonym jasno słońcem salonie. - Nam też lepiej pomoże spokój niż chodzenie tam i z powrotem. - Uśmiechnęła się do Abby. - Prawda?

Minęło kolejne pół godziny. Abby modliła się raz po raz o zdrowie dla męża, niepokój stopniowo ogarnął ją znowu.

- Słuchajcie - odezwała się, rozglądając się po twarzach najbliższych - czas, żebyśmy znów pomodlili się wszyscy razem.

Zanim jednak któreś z nich zdążyło rozpocząć modlitwę, w poczekalni pojawił się doktor Furin. Abby spróbowała odczytać z wyrazu jego twarzy, co się dzieje. Jeśli się uśmiechał, to zawsze tylko odrobinę - lecz teraz był uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Co z Johnem? - spytała Abby, zrywając się. Pozostali znieruchomieli i wyteżyli słuch.

- Pani mąż znakomicie zniósł operację. - Doktor usiadł na krześle. - Uraz wyglądał tak, jak mieliśmy nadzieję, że wygląda. Ale ledwie starczyło nam naci, tyle było z nim pracy!

- Czy można już stwierdzić, czy operacja przyniosła jakiś skutek? - Głos Abby drżał.

- Pan John już się budzi - i obserwujemy prawidłowość wszystkich odruchów. - Furin uśmiechał się jeszcze szerzej niż przedtem. - Operacja zakończyła się stuprocentowym sukcesem! - Doktor uniósł ręce z emocji. - Oczywiście potrzebna będzie fizjoterapia, żeby pani mąż odzyskał siłę w nogach. Jednak oczekujemy, że powróci do pełnej sprawności.

Jo podniosła się z miejsca, zaparła się pod boki i skomentowała:

- Panie doktorze, jestem prostą kobietą. Może mi pan więc wytłumaczyć prosto - nie o sprawności ani fizjoterapii - tylko: czy John będzie chodził?

- Tak - potwierdził ze śmiechem lekarz. - Zanim nadejdzie lato, pan John powinien już biegać szybciej od pani.

Jo wydała z radości indiański okrzyk, wyrzucając w powietrze zaciśniętą pięść.

- Dzięki Ci, Panie Jezu! - zawołała.

Kade i Sean przysiedli się z obu stron do matki i zaczęli ją tulić. Płakali.

- Nie sądziłem...! - szepnął Kade. Głos uwiązł mu w gardle.

- Nikt nie wierzył, że naprawdę się uda - dodał Sean.

- Myśleliśmy, że tylko wam się zdaje, że ta operacja może uzdrowić nogi taty.

- Tak mi wstyd - stwierdził Kade, przyciskając twarz do ramienia matki.

Doktor skłonił głowę i odszedł cicho. Szczegóły można było omówić później. Abby i jej synowie potrzebowali chwili spokoju.

- Pójdę zawiadomić Nicole - szepnęła Jo, ujmując dłoń męża.

Abby skinęła głową, a kiedy została sama z chłopcami, zaczęła gładzić ich obu po plecach.

- Nie musicie się wstydzić, kochani - powiedziała.

- A przede wszystkim tata wyzdrowieje! - Nawet Sean nie był już małym dzieckiem, ale teraz obaj synowie Abby potrzebowali jej pocieszenia. W minionym roku przeżyli naprawdę wiele trosk.

Kade zakaszał i uniósł głowę. Jego oczy napuchły od płaczu.

- To niezwykle, mamó - powiedział. - Od urodzenia jestem chrześcijaninem, a tymczasem okazało się, że rodzice Matta mieli więcej

wiary ode mnie. Co ze mnie za człowiek! - Był wyraźnie rozzłoszczony na siebie samego.

- Ze mnie też! - Sean również płakał ze wzruszenia i wstydu. - Wszyscy modliliśmy się o cud, i ja się modliłem. Jednak tak naprawdę myślałem, że tata już nigdy nie będzie chodził!

- Nie tylko wy tak myśleliście, chłopcy - pocieszyła Abby. - Momentami czułam podobnie. A nawet musiałam pozostawać w przekonaniu, że operacja nic nie da i będzie tak samo jak do dzisiaj. Dotąd trudno mi wierzyć, że tata naprawdę będzie miał sprawne nogi.

- No coś ty, mamgo? - zdziwił się Kade. Wyprostował się odrobinę i otarł łzy. - Myślałem, że w twoim wieku ludzie nie tracą nadziei tak łatwo.

- W moim wieku? - Abby roześmiała się i lekko szturchnęła syna w brzuch. - Myślę, że ludzie w moim wieku tracą ją właśnie łatwiej... - Przypomniała jej się Haley Ann. - Dlatego, że mieliśmy już okazję doświadczyć na własnej skórze, że czasami Pan Bóg nie robi tego, o co Go prosimy.

- Ale tata naprawdę będzie chodził?! - Sean odnajdywał się w nowej sytuacji. Z radości zaczął podskakiwać na kanapie. - Może latem będziemy mogli biegać? Tak ze dwa-trzy kilometry dziennie.

- Pozwól najpierw tacie wyzdrowieć - skomentował ze śmiechem Kade. - Tata będzie musiał przez jakiś czas ćwiczyć, aby w ogóle miał siłę ruszać nogami.

Rozmowa zesłała na atrofie mięśni, lecz po chwili nadbiegli Nicole i Matt.

- Mamgo, to prawda? - spytała ze wzruszeniem Nicole, ujmując dłonie Abby.

- Moi rodzice powiedzieli, że operacja zakończyła się sukcesem - wyjaśnił Matt. - Zostali z Haley Jo, żebyśmy mogli z wami porozmawiać. - Czy lekarz rzeczywiście użył słowa - sukces?

- Jeżeli chcesz, żebym przytoczyła jego słowa - odparła z promiennym uśmiechem Abby - to powiedział, że jeszcze tego lata John będzie biegał szybciej niż inni!

- Hurra! - Nicole uścisnęła z radości męża, a potem matkę i braci. - Wiedziałam, że dziś będzie dzień cudów. Po prostu czułam to!

Czworo młodych ludzi zaczęło jednocześnie mówić i śmiać się; dodawała im skrzydeł nadzieja na pozytywną zmianę w życiu ich rodziny. Abby znów poczuła, że musi wstać z miejsca. Ale nie z powodu niepokoju. Musiała zrobić coś ważnego.

- Zaraz wrócę - rzuciła i ruszyła przed siebie korytarzem.

- Mamo, dokąd idziesz? - spytała Nicole.

Abby odwróciła tylko głowę, uśmiechając się szeroko.

- To niesprawiedliwe, ja też chcę zobaczyć się z tatą!

- Najpierw ja. Jeżeli będzie przytomny, przyjdę tu po was. - Abby spojrzała poważnie na dzieci, po czym pobiegła w stronę sali, gdzie leżał John.

Od chwili rozpoczęcia się operacji wyobrażała sobie, że podejdzie do męża, pocałuje go w usta, a potem wyzwie go na biegowy pojedynek. W czerwcu odbywały się otwarte zawody.

Zbliżywszy się do sali, zwolniła kroku; nie chciała niepotrzebnie budzić Johna. Na pewno był wyczerpany i wciąż pod wpływem znieczulenia. Zajrzała przez drzwi. Od strony łóżka nie dobiegały żadne odgłosy. Podeszła więc cichutko do męża.

- Udało ci się, mój kochany! - szepnęła, mając nadzieję, że usłyszy ją przez sen.

Po krótkiej chwili z jego ust dobył się cichy jęk. John miał unieruchomioną szyję, nie mógł więc obrócić głowy, ale jego oczy zaczęły się poruszać. Po kilku sekundach zamrugał powiekami i na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia.

- Kochanie, wszystko dobrze! - szepnęła Abby. - Już po operacji.

John popatrzył w jej kierunku i zobaczywszy ją, na

tychmiast się uspokoił.

- Cześć - szepnęła.

Abby przesunęła palcami po jego ramieniu, następnie nachyliła się i pocałowała męża w czoło.

- Cześć.

- Jak długo tu leżę? - spytał i skrzywił się, czując dotyk ortopedycznego kołnierza.

- Krótko. Niecałą godzinę.

John najwyraźniej się wybudzał; patrzył coraz przytomniej.

- Abby - szeptał - proszę cię, powiedz mi - czy się udało?

- Tak, kochanie! Tak! - odpowiedziała ze śmiechem, i z wrażenia zasłoniła usta dłonią. Nie mogła pohamować łez. - Operacja zakończyła się stuprocentowym sukcesem. Doktor Furin powiedział, że masz wszelkie prawidłowe odruchy w nogach!

- Czy to znaczy... - John przełknął z trudem. - Czy to znaczy, że będę mógł chodzić?

Abby pokiwała skwapliwie głową.

- A spróbuj od razu poruszyć nogami...

John miał unieruchomioną głowę, ale widział całe swoje ciało. Oboje zobaczyli, że mięśnie jego nóg napinają się pod prześcieradłem. Abby wiedziała, że to nie mimowolne drżenie.

- Widziałaś?! - szepnął John, patrząc jej znowu w oczy.

- Tak! - Zbliżyła twarz, do jego twarzy, wzruszona jak nigdy. - A ty, czy czułeś ruchy swoich mięśni?

- Czułem.

Abby wyprostowała się i nagle zobaczyła, że jej mąż płacze - a nie płakał przy niej ani razu od chwili wypadku. Nie był to płacz spowodowany smutkiem czy wstydem - raczej ciche wzruszenie. John leżał spokojnie, a po jego policzkach spływały łzy.

Abby pocałowała go i szepnęła:

- To prawdziwy cud, John.

Zaśmiał się w odpowiedzi, jednocześnie pociągając nosem.

- Kiedy znowu będę mógł chodzić?

- Pan doktor mówi, że na początku lata powinieneś być już w stanie wygrywać biegi. - Abby pocałowała męża jeszcze raz. - Ale ja odpowiedziałam mu, że chyba zwariował. Przecież ja biegam szybciej. Na pewno bym cię prześcignęła. Jestem bezkonkurencyjna!

- Taak? - Głos Johna ponownie stał się zaspany. - Rzucasz mi wyzwanie? - Uśmiechnął się spokojnie.

- Właśnie tak! - Abby zachichotała, z radością myśląc o przyszłości. Nie mogła się doczekać, kiedy jej mąż odzyska pełnię sił.

- Przyjmuję wyzwanie. Zobaczymy w czerwcu, kto wygra... - Powieki Johna opadły powoli, aż w końcu zasnął.

- Spij spokojnie, kochanie - szepnęła Abby, cofając się pod ścianę. Jej mąż spał z uśmiechem na twarzy. Wiedziała, że dzieci niecierpliwia się, chcąc zobaczyć tatę, ale nie mogła oderwać spojrzenia od Johna. Już prawie - myślała. John ma już prawie zdrowe nogi!

Zamknęła oczy i uniosła spojrzenie ku niebu.

Panie... Zwykle podziękowanie nie wystarczy. Nie jestem w stanie wyrazić tego, co czuję. Najpierw uzdrowieś małą Haley Jo, teraz Johna... Jesteś taki dobry, Boże! Cokolwiek by się działo, zawsze jesteś. Obdarzasz

nas pokojem, uczysz nas kochać, przywracasz nam życie pełne nadziei...
Dziękuję Ci, Boże!

Abby przypomniała sobie wersy Pisma Świętego, które pomagały jej przetrwać smutny okres niepełnosprawności męża: - Na świecie doznacie ucisku, ale miejcie odwagę: Jam zwyciężył świat. - Nie polegaj na swoim rozsądku, myśl o Nim na każdej drodze, a On twe ścieżki wyrówna.

Rozważała Boże obietnice, które Pan niewątpliwie wypełnił - długo przed udaną operacją Johna.

Abby zaczęła wyobrażać sobie przyszłe chwile - dzień, kiedy John zacznie stawiać pierwsze kroki, poranek, kiedy znów wróci do domu, popołudnie, kiedy będzie pchał przed sobą wózek z małą Haley Jo. I chwile, kiedy będzie znowu biegał.

Pewnego czerwcowego dnia John stanie obok mnie na jednym z końców naszego trawnika i urządzimy sobie wyścig - myślała. Będzie to największe osiągnięcie sportowe w życiu mojego męża!

RS

ROZDZIAŁ 30

Mięśnie nóg Johna rzeczywiście się poruszały, chociaż nie można było powiedzieć, że ruszał nogami. Jego najbliżsi musieli podejść do łóżka i nachylić się, żeby dostrzec ruchy prześcieradła. Abby była jednak tak rozpromieniona, jak gdyby jej mąż zatańczył właśnie na szpitalnym łóżku skoczny taniec.

- Widzicie? - upewniał się John, pokazując na swoje nogi. - Patrzcie, poruszę nimi jeszcze raz.

Kade, Sean, Nicole i Matt patrzyli uważnie z bliska. Lewe kolano ich taty uniosło się o centymetr, później to samo stało się z prawym, potem zaś pod prześcieradłem zaczęło się poruszać wszystkie dziesięć palców stóp Johna.

- To niezwykle, tato! - szepnęła z podziwem Nicole, ujmując dłoń ojca. - Ty i Haley Jo zostaliście uzdrowieni tego samego dnia. Tylko Pan Bóg mógł tego dokonać!

Był środowy wieczór - mijał trzeci dzień od operacji. Komentarze doktora Furina na temat stanu zdrowia Johna były coraz wspanialsze. John miał normalne czucie w niemal całych nogach; chodziło zarówno o skórę, jak i mięśnie. Tylko tylne części jego łydek wciąż pozostawały nieco zdrętwiałe, jednak nie niepokoiło to doktora. Mówił, że w tych kilku rzadkich przypadkach, kiedy udało się wyleczyć uraz rdzenia kręgowego, pełne czucie wróciło pacjentom dopiero po dłuższym czasie.

- Pański przypadek jest wyjątkowy - oznajmił tego dnia Furin. - Musieliście państwo pójść za moją radą.

- Jak najbardziej. - John mrugnął do doktora jednym okiem. - Modliła się za mnie większa część mieszkańców naszego miasta. - Pokazał wymownie na wiszącą na ścianie listę z gazety.

Abby cofnęła się i pozwoliła dzieciom nacieszyć się głośno ruchliwością nóg ojca. Minione dni obfitowały w niezapomniane chwile. Wiadomość o udanej operacji Johna, miny dzieci, kiedy zobaczyły na własne oczy, że ich tata naprawdę ma znowu czucie w nogach...

A szczególnie moment, kiedy Abby podała Johnowi fragment gazety.

Było to następnego ranka po operacji. Z początku John także nie rozumiał, co to za lista. Później popatrzył na nagłówek i tekst pod spodem, i już po chwili patrzył na Abby, nie będąc zdolny mówić.

- Oni cię kochają, John!... - szepnęła Abby. - Myślę, że zawsze tak było - dodała, wzruszając ramionami.

- Czy to znaczy, że wszyscy ci ludzie... - Przeglądał dziesiątki i setki nazwisk. - Wszyscy oni się za mnie modlili?.

Abby przytaknęła.

- Podobno Kade powiedział chłopcom z drużyny, że doktor Furin chce, żeby jak najwięcej ludzi modliło się za ciebie i lekarzy. - Uśmiechnęła się. - Kilku chłopców wzięło to sobie do serca tak mocno, że zaczęli zbierać podpisy. Wszystkich, którzy wyrazili wolę modlitwy w twojej intencji i którzy chcieli podziękować ci za to, co zrobiłeś dla szkoły.

John długo wpatrywał się w kartkę, przeglądając kolumny nazwisk. - Niebywałe!.

- A ponadto modliła się za ciebie cała nasza rodzina, a także Jo i Denny!.

John zachichotał, choć jego śmiech zniekształcał ortopedyczny kołnierz.

- Jo ma pewne cechy, z powodu których chciałbym, żeby zawsze się za mnie modliła.

- Ona nie prosi, ona po prostu domaga się od Boga różnych rzeczy. Zachowuje się prawie tak, jakby z góry wiedziała, że jej prośby zostaną spełnione, więc uważa, że Pan Bóg mógłby natychmiast zabrać się do roboty.

- Dokładnie!.

W owych pierwszych dniach po operacji Abby i John przeżyli tyle wspaniałych chwil!

Dotąd odwiedzali jej męża tylko członkowie ich rodziny - a także Jake Daniels. Nikt i nic nie było w stanie powstrzymać go przed przyjazdem do szpitala. Abby była przekonana, że tego wieczoru także się pojawi. Ale teraz John czuł się już na tyle dobrze, że mógł przyjmować odwiedziny rozmaitych gości.

Abby powiadomiła parę pytających o możliwość wizyty osób, że mogą przyjechać do szpitala. I od razu, tego samego dnia, odwiedziło jej męża już trzech chłopców z drużyny, wraz z rodzicami. Teraz w sali znów zgromadziły się wszystkie dzieci Abby i Johna, łącznie z Mattem. John ani razu nie miał dość poruszania na czyjeś polecenie nogami. Wręcz przeciwnie. Na sali panowała odświętna atmosfera.

- Tato, dlaczego jeszcze nie możesz podnieść kolan wyżej, albo wstać z łóżka? - spytał Sean, dotykając ostrożnie kolana ojca. - Myślałem, że będziesz ruszał nogami bardziej.

- Ty baranie! - Kade szturchnął młodszego brata w bok. - Mięśnie nóg taty zmalały prawie do zera i dlatego nie ma w nich siły. Mówiłem ci przecież.

Żeby normalnie ruszać nogami, nasz tata musi najpierw poćwiczyć jakiś czas mięśnie.

- Właśnie tak - zgodził się John, rozbawiony. - Twój tata jest na razie tak słaby jak mała Haley Jo.

- A jak czuje się twoja córeczka, kochanie? - spytała Abby Nicole.

- Cudownie! Mogę już przytulać ją, kiedy tylko chcę.

- Także i Nicole nie wyglądała jeszcze tak dobrze od czasu porodu. Była szczęśliwa, zadowolona, spokojna. - Waży niecałe półtora kilo i codziennie jest coraz cięższa. Oddycha normalnie, nie ma porażenia mózgowego. - Nicole ujęła energicznie dłoń Matta. - Jeśli wszystko nadal będzie szło dobrze, Haley Jo zostanie wypisana do domu już za trzy tygodnie!

Otworzyły się drzwi - przyszli Jo i Denny. Jo niosła jakieś kolorowo opakowane pudło, do którego umocowany był ogromny balon w kształcie ryby z napisem: - Mam Cię!. Jo uśmiechnęła się od ucha do ucha i wręczyła prezent Johnowi.

- Dziękuję wam, kochani! - szepnął ze wzruszeniem John, patrząc na podarunek. - Naprawdę, nie trzeba było...

- Widziałeś kiedyś fajniejszy balon? - Jo popatrzyła na zielonożółtą plastikową rybę, kiwającą się ponad łóżkiem Johna. - Denny powiedział mi, że to nie pasuje dla kogoś, kto ma szybko wyzdrowieć, ale ja myślę, że podziąła.

- Spojrzała na Johna z powagą i dodała: - Wiesz, jak już będziesz chodził i biegał, na pewno przyjdzie ci ochota połowić z tej waszej łódki. No, ja bym na pewno chciała. Jak tylko weźmiesz wędkę w ręce, na pewno złowisz od razu największą rybę w życiu. Czuję to przez skórę. Dlatego ten napis na balonie pasuje. - Mam Cię!.

Abby i pozostali z trudem powstrzymywali się od głośnego śmiechu.

Denny przewrócił oczami i popatrzył na żonę.

- Ona już chyba majaczy... - skomentował, kręcąc głową. Jo obróciła się na pięcie i lekko kopnęła męża w łydkę.

- Wcale nie majaczy! - Spojrzała znowu na Johna i kontynuowała: - Poza tym ten napis pasuje jeszcze z innego powodu. Bo jak wstaniesz i poczujesz się lepiej, twoi piękni synkowie zagonią cię od razu na boisko, to chyba jasne. Wiem, że na początku nie będziesz miał dużo siły w nogach, lecz łapy masz niczego sobie. - Jo zademonstrowała futbolowy rzut wyobrażaną piłką. - Będziesz rzucał jak najdalej, a twoi synowie będą łapać. I jak któryś złapie, powie...

- Mam cię! - dokończył John, mrugając jednym okiem do Denny'ego. - No pewnie. Bardzo rozsądne wytłumaczenie.

Był już w stanie usiąść, podniósł się więc na łokciach nieco wyżej i zaczął rozpakowywać prezent. Nie zamierzał leżeć ze smutną miną tylko z tego powodu, że jeszcze przez kilka tygodni będzie miał sztywny kołnierz na szyi.

W pudełku była para zniszczonych adidasów - brudnych, ze startymi niemal do końca podeszwami, a nawet dziurawych!

- Dobra - odezwała się Jo. - Teraz powiem o butach.

- Sean i Kade chichotali, lecz Jo pogroziła im palcem. - Ej tam, nie śmiać mi się. Te buty mają swoją historię.

- Jo... - jęknął Denny, kręcąc głową. - Mówiłem jej, żeby dała ci kwiaty albo czekoladki, jak normalna kobieta - no, ale znasz ją...

- Cicho! - Jego żona rozejrzała się po twarzach zebranych, po czym ciągnęła: - Słyszałam, że w czerwcu macie urządzić sobie z Abby wyścig, bieg. Prawda? - upewniła się z lekkim niepokojem.

- Tak - potwierdziła Abby, spuszcżając wzrok, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Właśnie. Przyszło mi to do głowy parę dni temu, jak patrzyłam na twoje stopy - mówiła Jo, tym razem znowu do Johna. - Pomyślałam, że masz chyba taki sam rozmiar butów jak Denny. Bo Denny - dodała konspiracyjnym szeptem - jest niski, ale ma duże stopy!

- Dzięki - mruknął Denny.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała z uśmiechem Jo. - No więc przypomniało mi się, jak Denny miał największą passę wędkarską w życiu. Poważnie - jednego dnia złapał trzy wielkie ryby, a następnego cztery. I potem przez kilka tygodni, dzień po dniu, wyławiał wielkie sztuki. I to - wyrwała zniszczone adidasy z rąk Johna i uniosła je, żeby wszyscy mogli je podziwiać - są właśnie buty, które wtedy nosił Denny. - Pokiwała głową na potwierdzenie swoich słów. - Specjalnie trzymałam je przez te wszystkie lata na wypadek, gdybyśmy potrzebowali pary szczęśliwych butów.

- Rozumiem, że... - John sięgnął z powrotem po adidasy, śmiejąc się na ich widok - chcesz, żebym je włożył, kiedy będę ścigał się z Abby, tak?

- No jasne! - Jo pokręciła głową, spojrzała na Abby, potem na Nicole i skomentowała: - Ci mężczyźni nie za szybko łapiają, o co chodzi. Nie uważacie?

Abby otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, co uważa, jednak Jo ją uprzedziła:

- Uwaga, uwaga, słuchajcie: mamy z Denny ogłoszenie!

Abby i Nicole zaczęły się śmiać, potem zasłoniły usta i znów starały się słuchać Jo ze spokojem.

- Jo, już im to mówiliśmy. - Denny zarumienił się ze wstydu. - Ostatnio moja żona ma coraz gorszą pamięć.

- Wcale nie! - Jo zaparła się pod boki. - Poza tym na pewno nie mówiłam o szczegółach. Kupiliśmy z Denny bilety do Meksyku! - Jo mrugnęła jednym okiem do Nicole. Musiała już jej o tym powiedzieć - pomyślała Abby. Spytam Nicole, co jej mówiła.

Jo wyjęła tymczasem z torebki dwa bilety lotnicze i zademonstrowała je wszystkim.

- Proszę, jest już na nich data - trzeci czerwca. Dwa bilety w jedną stronę do Meksyku.

- W jedną stronę? - zainteresował się Matt. Podszedł i przyjrzał się dokładnie biletom. - Chyba zamierzacie wrócić?

- Tak. Za pół roku, może nawet za rok. - Jo schowała bilety z powrotem. - Nie ma obawy, muszę być przy tym, jak mała Haley Jo dorasta.

- Co parę miesięcy będziemy przyjeżdżali tu z wizytą - zapowiedział Denny, obejmując ramieniem żonę. - Ale musimy lecieć. Obiecaliśmy to Panu Bogu - oznajmił, wymieniając z żoną czułe spojrzenie.

- A propos - Jo poklepała Kade'a w ramię - Denny mówił, że ostatnio rozmawiasz z pastorem.

- Eee... - Kade wyglądał na przerażonego - tak. - Popatrzył niepewnie na rodziców. - Spotkałem się z nim kilka razy.

- Nie o to mi chodzi. - Jo machnęła ręką. - Chciałam spytać, czy może nie myślisz, żeby samemu zostać pastorem, co?

- Nie! - Kade otworzył szeroko oczy ze zdumienia. - Szczerze mówiąc, nie.

- A może misjonarzem?

- Jak dotąd o tym nie myślałem.

- Nieważne. - Jo znów wykonała gest przypominający odganianie muchy. - Rozchodzi się o to, że taki ładny chłopak jak ty przydałby nam się przez parę tygodni w Meksyku - w czerwcu. Prawda, Denny? - Jo zerknęła na męża.

Denny skinął głową, zawstydzony z powodu formy, w jakiej jego żona składała tę szczególną propozycję.

- Nasz pastor mówił, że potrzebna jest grupa wolontariuszy do wymiany dachu sierocińca - wyjaśnił.

Kade zaciekał się.

- Poważnie?

- Tak, a poza tym to tylko parę tygodni. - Jo klepnęła Kade'a w kark. - Chłopcy z drużyny wytrzymają bez ciebie dwa czy trzy tygodnie w czerwcu.

Kade zaczął pytać o szczegóły wyjazdu - dokładne terminy, a także o to... czy mogłoby pojechać również paru kolegów z jego drużyny.

Abby w zdumieniu obserwowała syna. Jeszcze przed rokiem pograżał się w nałogu oglądania pornografii, a tymczasem teraz rozważał wyjazd do Meksyku w celu wymiany dachu jednego z tamtejszych sierocińców, w ramach wolontariatu? Kiedy tylko przyjeżdżał do Marion, spotykał się z pastorem. W sercu Kade'a zaszły zmiany, które łatwo było zauważyć - stał się bardziej uprzejmy i delikatny, bardziej zainteresowany duchowością. Zboczenie z wyznaczonej mu przez Boga ścieżki poskutkowało kilkoma odciskami na jego duszy, ale wszelkie ich ślady już znikły. Sam Pan je usunął.

Nicole i Sean włączyli się w rozmowę, pytając o sierociniec i przebywające w nim dzieci. John ujął dłoń Abby.

- Może i my powinniśmy polecieć? - zaproponował. Abby uniosła brwi.

- Wymiana dachu w Meksyku to nie to samo, co krótki bieg, John - zauważyła. - Spytajcie nas za rok - powiedziała do Jo.

- To mogłaby być całkiem niezła terapia...

Drzwi otworzyły się nagle i do sali weszli Tara i Tim Danielsowie, a także ich syn. Jake uśmiechał się najszerzej jak można. Spojrzał tylko porozumiewawczo na Johna, i Abby od razu wiedziała, że coś razem postanowili.

- Czy nie przeszkadzamy, panie trenerze? - upewnił się, podchodząc do łóżka Johna.

John rozejrzał się po twarzach najbliższych.

- Myślę, że nie - odpowiedział ciepło.

- Dzień dobry, cześć. - Jake zamachał ręką na powitanie.

Abby widziała lekkie wahanie w oczach Nicole, jednak pozostali przywitali się miło.

- My tylko na krótko. Chcieliśmy przekazać państwu kilka wiadomości. Najpierw moi rodzice. - Jake skłonił głowę.

Tim wystąpił naprzód, spojrzał na Abby, potem na Johna i zaczął:

- Tara i ja... - Ujął dłoń byłej żony. - Chcielibyśmy podziękować wam za modlitwę. Omówiliśmy wszystko i doszliśmy do wniosku, że nasz rozwód był błędem.

- Chcieliśmy powiedzieć wam to jako pierwszym - dodała z uśmiechem Tara.

- Najpierw powiedzieli mnie - przypomniał Jake, jednocześnie obejmując oboje rodziców za szyje.

- Oczywiście - zgodziła się Tara. - Tim i ja znowu się pobieramy, w pierwszą sobotę czerwca. - Ze łzami w oczach spojrzała na Abby i dodała. - Chcielibyśmy was prosić, żebyście byli naszymi świadkami, ty i John.

- Tak - dodał Tim. - Bez was nie doszłoby ponownie do naszego ślubu.

- Czy to nie wspaniałe?! - zawołał Jake, a potem zderzył się kolejno otwartą dłonią z dłońmi Kade'a, Seana, Johna i Matta. - Moi rodzice się pobierają!

- Och, kochani, to cudownie! - ucieszyła się Abby, po czym uścisnęła kolejno wszystkich Danielsów. - Z radością zostaniemy waszymi świadkami.

I kto by przed rokiem pomyślał, że Pan nie tylko ocali małżeństwo moje i Johna, a nawet sprawi, że nasza miłość stanie się jeszcze głębsza niż na początku, ale ponadto posłuży się nami do tego, żeby wrócili do siebie Tara i Tim! - dumiała Abby.

John był uszczęśliwiony.

- Na część waszych zaręczyn, Tim, ofiarowuję wam mój balon! - powiedział, pokazując na plastikową rybę. - Zasłużyliście na niego - widzicie, co jest na nim napisane. - Mam Cię! - Wyszczrzył zęby.

Zebrani wybuchnęli śmiechem. Jake zamachał rękami i powiedział:

- Proszę o ciszę. Teraz kolej na oświadczenie pana trenera.

Dziwne - John ma nam coś do powiedzenia? - zdumiała się z niepokojem Abby. Dlaczego najpierw nie powiedział tego mnie?

- Co chcesz powiedzieć, tato? - spytał z zaciekawieniem Kade.

John wzruszył niezdarnie ramionami, z powodu kołnierza, i uśmiechnął się krzywo. Abby była już spokojna.

- Coś - rzucił.

- Panie trenerze, niech pan powie.

- Dobrze. - John z powrotem wyprostował się odrobinę. - Rozmawialiśmy ostatnio we dwóch i Jake powiedział mi, że przyszły rok szkolny będzie dla niego najwspanialszy. - Uśmiechnął się pod nosem. - Bo będzie zdawał maturę, i takie tam.

- I po raz pierwszy będę naprawdę słuchał pana trenera - wyjaśnił Jake. - To znaczy robił wszystko, co pan trener mi powie.

Abby wstrzymała oddech. Czyżby John...?

- Postanowiłem wycofać moją dymisję. - John uniósł ręce dla podkreślenia swoich słów. - Będę jednak w przyszłym roku trenerem!

Sala rozbrzmiała radosnymi okrzykami. Wszyscy ściskali się na przemian, śmieli się i gratulowali Johnowi. Jo klepnęła się w udo.

- No, to ustalone! - ucieszyła się. - Ten wicedyrektor od sportu - jak on się nazywa?

- Herman Lutz.

- Właśnie. Lutz. To on powinien dostać rybę-balona. Zawiozę mu ją osobiście i wręcę, w jego gabinecie. - Mam Cię! - powiem. Ma pan szczęśliwy dzień, bo John Reynolds postanowił znowu zostać trenerem Orłów z Marion!

Rozmowa zesłała na mniej doniosłe tematy - próbowano odgadnąć, jak będzie szło Orłom w nadchodzącym sezonie i jak będzie grał Jake po powrocie do uprawiania futbolu. Abby przestała słuchać. Oparła się o ścianę i popatrzyła na męża. On też nie słuchał już pozostałych.

Spojrzeli sobie w oczy, nawiązując własną, prywatną rozmowę. Abby mówiła bezgłośnie mężowi, jak ogromnie jest z niego dumna. Odważył się złożyć dymisję, i okazało się, że wszystkim go brakuje. Następnie odważył się zastanowić ponownie nad swoją decyzją i dojść do wniosku, że jego miejsce jest na boisku liceum w Marion. A John dziękował w milczeniu żonie za to, że przez cały czas trwała przy nim. Wtedy kiedy miał kłopoty w pracy, gdy uległ makabrycznemu wypadkowi, kiedy stał się sparaliżowanym mężczyzną na wózku, kiedy czekała go operacja o niemożliwym do przewidzenia rezultacie. I teraz, kiedy postanowił, że znowu będzie spędzał mniej czasu z Abby, powracając na ukochane boisko.

- Nie mogę się doczekać!... - wymówiła bezgłośnie Abby, ciesząc się z tej nieoczekiwanej rozmowy z mężem, pośród otaczającego gwaru.

- Ja też!... - John wyciągnął rękę i Abby podeszła do niego. Złączyli dłonie. Abby każdą cząstką swojej istoty odczuwała miłość męża. - Wiesz co, Abby? - odezwał się szeptem.

- Co?

- To będzie najlepszy ze wszystkich sezonów!

Abby uśmiechnęła się i ścisnęła dłoń Johna. Tyle razem przeszliśmy, tak daleko zaszliśmy! - myślała. Zatoczyliśmy wielkie koło - znów nie mogę

doczekać się września, kiedy jasne światło jupiterów stadionu padnie na twarz mężczyzny, którego kocham najbardziej na świecie. Zaczną się futbolowe piątki - jak co roku, odkąd sięgam pamięcią.

Wcześniej czekało ich jeszcze lato, a podczas lata - niewątpliwie dziesiątki małych cudów. Wróci do domu Haley Jo, John nabierze sił i znowu zacznie chodzić.

Jednak w tej chwili Abby myślała tylko o jednym, i ta myśl napawała ją niepomiarłą radością.

John znowu będzie trenerem!

Nie mogła doczekać się nie tylko nowego sezonu futbolowego, ale i całego nowego okresu w ich wspólnym życiu. John ma rację - myślała Abby. To będzie okres najlepszy ze wszystkich.

Od Autorki

Paraliż to bardzo brzemienne w skutki stan. W USA najczęstszą przyczyną nagłego paraliżu jest postrzał w szyję lub plecy. Drugą są wypadki samochodowe. Sposób leczenia, jaki opisałam w niniejszej książce, w rzeczywistości nie istnieje. Jednakże, wedle materiałów Amerykańskiego Stowarzyszenia Neurochirurgów, a także Kongresu Neurochirurgów, ostatnio nastąpił - wysyp nowych technik w dziedzinie chirurgii kręgosłupa, których celem ma być likwidowanie lub przynajmniej zmniejszanie skutków urazów rdzenia kręgowego.

W wielu przypadkach badania nad owymi nowymi technikami są dopiero w fazie, w której potrzebne są znaczne środki finansowe i czas na ich ewentualne rozwinięcie. Być może upłynie wiele lat, nawet całe dziesięciolecie, zanim niektóre z owych technik będą przywracać ludziom sprawność, tak jak w mojej powieści przywrócono sprawność Johnowi Reynoldsowi. Postanowiłam uczynić z mojego bohatera jednego z pierwszych pacjentów, którym pomogła nowa technika - dla pokazania Czytelnikom, o co się modlę. Mam nadzieję, że w przyszłości takie operacje staną się rzeczywistością i będą dostępne dla każdego, kto padł ofiarą wyniszczającego stanu, jakim jest paraliż.

Słowo do Czytelników

Drodzy Czytelnicy,

Dziękuję, że dotarliście do końca opowieści o Abby i Johnie, którzy przeżywali tyle smutków i radości, tak wiele szczęścia i bólu. To moja druga książka o tych bohaterach; zdążyłam więc naprawdę ich pokochać. I wiele się od nich nauczyć.

Być może najważniejszą lekcją, jakiej nam udzielili, jest ta, że w życiu są różne okresy.

Nie trzeba być ani mężem czy żoną ani też trenerem, żeby to zauważyć. W niektórych miesiącach człowiek jest bardzo zajęty i na nic nie ma czasu, w innych zaś może skupić się na emocjach, na miłości przepełniającej jego serce. Miłości do współmałżonka, dzieci czy rodziców, do Boga. Są okresy radości i okresy smutku, okresy żałoby i okresy wzrostu. Ciepienia i nadziei.

Jeśli prześledziliście także pierwszą część historii Johna i Abby, *A Time to Dance* - która ukazała się w Polsce pod tytułem *Tańcz ze mną* (Polwen 2008) [przyp. tłumacza] - wiecie, jak ogromna radość spotkała na koniec naszych bohaterów: po tym jak prawie się rozwiedli, po latach podążania za własnymi, osobnymi zachciankami, pozwolili Panu Bogu ocalić swoje małżeństwo.

Rozmawiałam z dziesiątkami małżeństw, które przeżyły podobne koleje losu jak Abby i John w powieści *Tańcz ze mną*. Par, które najpierw kochały się i zamierzały żyć ze sobą, dopóki śmierć ich nie rozłączy, a później dochodziły do wniosku, że z ich miłością i jednością stopniowo stało się coś złego.

Bóg mówi nam na kartach Pisma Świętego, że nigdy nie pozwoli, abyśmy byli kuszeni w sposób, któremu nie będziemy mieli siły się oprzeć - tylko przeciwnie, że w chwilach pokus zawsze będziemy mieli możliwość ucieczki od grzechu.

To niezmienna prawda - nawet w sytuacjach, kiedy nasze małżeństwa zaczynają się rozpadać.

Oczywiście nader często jedno albo oboje z małżonków wcale nie chcą skorzystać z owej drogi ucieczki, nie chcą przedłożyć głosu Boga ponad nawoływania własnych zachcianek. Lecz kiedy oboje małżonkowie podążą ofiarowywaną przez Boga drogą, odkładając na bok to, co ich różni, przynosi to skutek wspanialszy niż mogłoby im się wydawać.

Jeśli czytaliście także inne moje powieści, wiecie, że mamy z mężem sześcioro dzieci, z których najmłodsze - chłopiec imieniem Austin - miało we wczesnym dzieciństwie problemy z sercem. Austin urodził się z wadą aorty, to znaczy głównej tętnicy, którą krew wypływa z serca.

Lekarze w drodze trudnej i niebezpiecznej operacji usunęli uszkodzony odcinek aorty Austina, zastępując go kawałkiem naczynia z jego lewego ramienia. Nie mogliśmy z mężem uwierzyć, że coś takiego jest możliwe.

A jeżeli te złączone odcinki się nie zrosną? - spytałam z niepokojem chirurga po zakończeniu operacji.

- Ależ zrosną się - odpowiedział. - W istocie obszar, w którym znajdowała się wada, a obecnie będą zrastać się naczynia, będzie w efekcie mocniejszy od tych zdrowych.

Myślałam o tym długo i dumałam nad zawartą w słowach chirurga bardziej ogólną prawdą. Obszar gdzie nastąpił uraz, a po nim - leczenie, będzie w efekcie mocniejszy od pozostałych.

Tak samo jest w naszych relacjach ze współmałżonkami.

W większości małżeństw pojawiają się najróżniejszego typu urazy - kłótnie, różnice, czasami nawet zdrady. Bóg od razu wiedział, że będziemy potykać się na naszej drodze, pozostawił nam więc Słowo pełne porad. Pouczył nas, jak radzić sobie z upadkami, jak zamieniać obszary urazów i wad w obszary rekonwalescencji i zdrowia.

Jak wyjść z kryzysu mocniejszym niż na początku.

- Jak Pan wybaczył wam, tak i wy (wybaczajcie sobie nawzajem).
 - Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest (...) nie unosi się gniewem.
 - Zachęcam was (...) abyście postępowali (...) z całą pokorą i cichością.
 - Miłość zakrywa wiele grzechów. - Znoście jedni drugich. - Zachęcajcie się wzajemnie.

Pan Bóg dobrze wie, co znaczy doznać zła od bliskiej osoby. Pamiętacie pierwszy Wielki Piątek? Oto jeszcze w czwartkowy wieczór każdy z najbliższych przyjaciół Pana składał Mu obietnice wierności i wielkiego poświęcenia - zaś nocą, kiedy pojawił się oddział wojska... najwierniejsi uczniowie Jezusa uciekli.

To samo mamy ochotę zrobić, kiedy nie układa nam się w małżeństwie tak, jak byśmy chcieli. Szatan kusi nas do ucieczki - ale postąpimy dobrze, jeśli pójdziemy za przykładem Chrystusa. Pan nie tylko wybaczył Swoim przyjaciołom, lecz przez cały czas ich akceptował. Kiedy po cudownym zmartwychwstaniu ukazał im się, gdy siedzieli zamknięci w sali na piętrze, nie przypominał im jakiegokolwiek występku przeciw Jego Osobie.

Po ukazaniu się oryginału Tańcz ze mną dostałam mnóstwo listów z pytaniami o dalsze losy Abby i Johna. O to, jak udało im się przełożyć powrót do wzajemnej miłości na codzienne życie. Czy - a jeśli nie, to dlaczego - nie padli znowu ofiarą tych samych problemów, co poprzednio.

Wtedy właśnie zrozumiałam wykład chirurga o urazach i zdrowieniu. Znam wiele par, które odbudowały swoje nadwątlone związki małżeńskie, i

niemal w każdym przypadku udało im się osiągnąć stan, w którym ich relacja jest doskonalsza, związek silniejszy, a miłość głębsza niż kiedykolwiek wcześniej.

Dlaczego? Małżeństwo, które przeżyło problemy, to małżeństwo wypróbowane. A jeśli chcąc przetrwać tę próbę, oboje ze współmałżonkiem patrzymy w kierunku Boga, zawsze będziemy w efekcie bliżsi sobie nawzajem.

Nie wyczytujcie, proszę, między wierszami z moich słów niechęci do tych spośród Was, którzy przeżyli dramat rozwodu. Sytuacja, w jakiej dwoje ludzi, którzy zdecydowali się od siebie odejść, zatrzymuje się niespodziewanie w pół drogi i spogląda nagle na Boga, jest raczej wyjątkiem niż regułą. Wielu z Was marzyłoby o tym, żeby Wasz współmałżonek zechciał posłuchać głosu Pana Boga i skorzystać z proponowanej przez Niego drogi, żeby poniechał dążenia do rozwodu.

Lecz o wiele za często współmałżonek i tak Was opuszcza, niepomny na Boże podszepty.

Dla tych spośród Was modłę się o pełne łask miłosierdzie Pana, o to, aby ukoił Wasze serca. Żebyście doszli do siebie i spoglądali na Niego, Stwórcę wszystkich rzeczy, szukając kierunku, w którym będziecie podążać dalej. Modłę się, abyście wierzyli, że Bóg jest Panem, który daje ludziom drugą szansę. Że nawet i w Waszej obecnej sytuacji przygotował dla Was dobre rzeczy.

Jeśli chodzi o tych z Was, którzy jesteście ogarnięci goryczą albo wpadliście w sidła zdrady własnej bądź współmałżonka i zastanawiacie się nad rozwodem, modłę się, żebyście przestali atakować się nawzajem. Przestańcie myśleć, że wszystko jest winą waszego męża czy też pragnąć innej żony. Zrozumcie za to, że celem nieprzyjaciela Waszych dusz jest niszczyć to, co Bóg stworzył. A jedność małżonków niewątpliwie należy do Bożych darów.

Zasięgnijcie porad specjalistów, módlcie się wspólnie i za siebie nawzajem, szukajcie sposobów na okazanie współmałżonkowi szacunku. I przede wszystkim szukajcie drogi wyjścia z sytuacji, która zmierza do rozwodu. Dość często wystarczy przeprosić współmałżonka. A potem pozwolić Bogu na uzdrowienie Waszej miłości, która doznała urazów. Pozwólcie Panu na to, żeby dał Wam czas śmiechu, czas miłowania i czas pokoju.

Czas przytulania się.

I zastanówcie się, czy łącząca Was więź nie jest w efekcie znacznie silniejsza.

Dodam coś o swojej rodzinie. Minał już ponad rok, odkąd adoptowaliśmy z mężem synów z Haiti, i jest nam wszystkim razem po prostu cudownie. Nasze biologiczne dzieci przyjęły nowych braci z miłością, którą trzeba uznać za cud. Cała nasza gromadka zaciągnęła dług wdzięczności u tak wielu z Was, którzy modliliście się za nas przez ten rok!

Przeżyliśmy także trudne chwile. Po czternastu latach pracy w charakterze trenera koszykówki, mój mąż weźmie kilkuletni urlop. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale mogę napisać tyle, że niektóre z problemów zawodowych, jakie przeżywał przed wypadkiem John Reynolds, były bardzo bliskie rzeczywistym kłopotom mojego męża. Oczywiście wszyscy cieszymy się ogromnie, że Don będzie mógł teraz spędzać więcej czasu z nami. Dzieci uwielbiają jego - minizgrupowania na trawniku za domem.

Jednak mimo to, wiążą się z tym i okoliczności, które sprawiają nam ból.

Jeśli wasze dziecko chodzi na jakieś zorganizowane zajęcia sportowe, wzywam Was do pewnej trudnej rzeczy: okazujcie wdzięczność trenerowi czy trenerce. Jeśli jest osobą, której naprawdę zależy na Waszym dziecku, nie używa wulgarnego języka ani nie dręczy Waszego dziecka nadmiernymi wymaganiami w imię osiągnięcia jak najlepszego sportowego wyniku, znajdujcie chwile na podziękowanie trenerowi. Po każdym meczu czy nawet treningu podchodźcie do trenerów, którzy pracują za darmo albo półdarmo, i dziękujcie im. Trudno znaleźć dobrego trenera czy trenerkę. Jeżeli rodzice młodych zawodników nie zdają sobie z tego sprawy, tracą na tym wszyscy.

Jak zwykle modłę się, żeby moje słowa zastały Was i Waszych najbliższych w dobrej kondycji, radujących się spełnianiem się szczodrych obietnic Pana. Módlcie się nieustannie, żebym pisała książki, które Bóg podyktuje mi w taki sposób, że wywrą na Was pozytywny wpływ, odmieniając Wasze serca i Wasze życie.

W imię Bożej miłości - i do następnego razu!

Karen Kingsbury

PS: Jak zwykle możecie pisać do mnie (po angielsku) na adres rtbnykk@aol.com, a także odwiedzić moją stronę internetową www.KarenKingsbury.com